



**Mike Resnick**

**Na tropach Jednorożca**

*Stalking the Unicorn*

Przekład Danuta Górskiego

Data wydania oryginalnego 1987

Data wydania polskiego 1990

## **Spis treści**

Strona tytułowa

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

DODATEK A

DODATEK B

DODATEK C

DODATEK D

DODATEK E

## Rozdział pierwszy

### 20.35 – 20.53

Mallory podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz przez warstwę brudu. Pięć pięter niżej ludzie niez mordowanie pędzili ulicą z teczkami i pakunkami w rękach, a obok krawężnika cal po calu posuwał się rozciągnięty sznur żółtych taksówek.

Gwiazdkowe dekoracje wciąż jeszcze poprzychepiane były do latarni, a kilku Świętych Mikołajów – którzy widocznie nie zdawali sobie sprawy, że był już sylwester, albo po prostu postanowili wykazać trochę własnej inicjatywy – potrząsało dzwoneczkami, zanosilo się śmiechem i dopominało o datki.

Mallory oparł się o szybę i spojrzał prosto w dół, na chodnik przed frontem budynku.

Dwaj krzepcy mężczyźni, którzy pełnili tam wartę przez cały dzień, odeszli. Uśmiechnął się szeroko: nawet bandyci bywają głodni. Zanotował w myślach, żeby wyjrzeć jeszcze raz za półgodziny i sprawdzić, czy wrócili na posterunek. Telefon zadzwonił. Mallory obejrzał się, nieco zdziwiony, że aparat nie został jeszcze wyłączony z sieci, i przelotnie zaciekawiał się, kto mógłby do niego dzwonić o tej porze.

Wreszcie dzwonek umilkł, a on podszedł do krzesła i ciężko usiadł. To był długi dzień. To był również wyjątkowo długi tydzień. To był w dodatku zdecydowanie za długi miesiąc.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zaskoczony Mallory wyprostował się gwałtownie i zaskowytał z bólu.

Drzwi otwarły się ze skrzypieniem i do środka zajrzała

wiekowa, obramowana siwizną twarz.

– Nic panu nie jest, panie Mallory?

– Chyba coś sobie naciągnąłem – mruknął Mallory, delikatnie masując kark prawą ręką.

– Mogę wezwać lekarza – zaofiarował się staruszek.

Mallory potrząsnął głową.

– Wszystkie potrzebne lekarstwa mamy na miejscu.

– Czyżby?

– Jeśli otworzysz szafę, na najwyższej półce znajdziesz butelkę – oznajmił Mallory. – Zdejmij ją i przynieś tutaj.

– Ho, ho, to bardzo wspaniałomyślnie z pana strony, panie Mallory – oświadczył staruszek drepcząc po zniszczonym linoleum w stronę szafy. – Pewnie masz rację – przyznał Mallory. Przystał rozcierać sobie kark. – No więc co mogę dla ciebie zrobić, Ezekielu?

– Zobaczyłem, że światło się pali – wyjaśnił staruszek wskazując samotną lampę wiszącą nad pustym drewnianym biurkiem Mallory’ego – i pomyślałem, że zajrzę do pana, żeby panu życzyć szczęśliwego Nowego Roku.

– Dzięki – odparł Mallory. Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ten nowy rok mógł być o wiele gorszy od poprzedniego. – Hej, to musiało sporo kosztować! – zawołał staruszek odsuwając na bok kilka znoszonych kapełuszy i wyciągając butelkę. Przyjrzał się jej uważnie. – Tu jest wstążka.

Dostał to pan na Gwiazdkę od jakiegoś klienta?

– Nie całkiem. Dał mi ją mój wspólnik. – Urwał. – Mój były wspólnik. Taki pożegnalny prezent niespodzianka. Leży tutaj prawie od czterech tygodni. – Na pewno wybulił za nią ze dwadzieścia dolców – stwierdził Ezekiel. – Co najmniej. To pierwszorzędny słodowy burbon z Kentucky. W swojej natu-

ralnej postaci został pewnie użyźniony przez Postrach Seattle albo Sekretarza. – Nawiasem mówiąc przykro mi z powodu pańskiej żony – zmienił temat Ezekiel. Otworzył butelkę, pociągnął łyk, wymamrotał z zadowoleniem: – Ach! – i podał butelkę Mallory’emu.

– Nie musisz się przejmować – odparł Mallory. – Świetnie sobie radzi. – Więc pan wie, gdzie ona jest? – zagadnął Ezekiel, sadowiac się na krawędzi biurka.

– Oczywiście, że wiem, gdzie ona jest – odpowiedział Mallory z irytacją. – Jestem detektywem, pamiętasz? – Odebrał staruszkowi butelkę i napełnił brudny kubek z emblematem drużyny baseballowej New York Mets i pękniętym uszkiem, które niegdyś osobiście przyklej) z powrotem. – Nie wymagam, żebyś mi wierzył na słowo.

Sprawdź na drzwiach biura.

Ezekiel strzelił palcami.

– Cholera! Właśnie o tym chciałem z panem pomówić.

– O czym? – zdziwił się Mallory.

– O drzwiach do pańskiego biura.

– Strasznie skrzypią. Trzeba je trochę naoliwić.

– Trzeba je nie tylko naoliwić – stwierdził Ezekiel. – Pan przekreślił nazwisko pana Fallico czerwonym lakierem do paznokci.

Mallory wzruszył ramionami.

– Nie mogłem znaleźć innego koloru.

– Administracja żąda, żeby pan wynajął malarza, który zrobi to porządnie. – Na jakiej podstawie zakładasz, że malarz potrafi lepiej ode mnie przekreślić nazwisko pana Fallico?

– Mnie to nie robi żadnej różnicy, panie Mallory – zapewnił Ezekiel. – Ale pomyślałem sobie, że powinienem pana po przyjacielsku ostrzec, zanim oni znowu zaczną się odgra-

zać.

– Znowu? – powtórzył Mallory zapalając papierosa i rzucając zapałkę na podłogę, gdzie wypaliła niewielki brązowy znak, niczym się nieróżniący od kilkuset innych brązowych śladów spalenizny. – Nigdy dotąd nie grozili moim drzwiom. – Wie pan, o co mi chodzi – zaznaczył Ezekiel. – Ciągłe się pana czepiają w sprawie czynszu i że pan wyrzuca papierowe kubki przez okno, i że jacyś podejrzani klienci łążą po korytarzu.

– Nie wybieram swoich klientów. To oni mnie wybierają. – Odbiegamy od tematu – oświadczył Ezekiel. – Pan zawsze był dla mnie miły, zawsze gotów poświęcić mi chwilę czasu i poczęstować kieliszkiem czy dwoma, i pan jeden nie nazywa mnie Zeke, chociaż prosiłem wszystkich, żeby tak do mnie nie mówili... więc nie chciałbym patrzeć, jak pana wyrzucają za takie głupstwo jak napis na drzwiach. – Zaczekaj, aż otworzą pocztę w następny poniedziałek i nie znajdą tam mojego czeku – powiedział Mallory z ponurym uśmiechem. – Gwarantuję ci, że całkiem zapomną o drzwiach.

– Znam gościa, który mógłby to przemalować za dwadzieścia dolców – nalegał Ezekiel. – Dwadzieścia pięć, jeśli chce pan mieć złote litery. – To jest część budynku – zauważył Mallory, wpatrując się zamyślonym wzrokiem w rozżarzony koniuszek papierosa. – Administracja powinna za to zapłacić. Ezekiel zachichotał.

– Nasza administracja? Chyba pan żartuje, panie Mallory.

– A dlaczego nie? Za co, do cholery, płacę czynsz?

– Pan nic płaci czynszu – sprostował staruszek.

– No więc gdybym płacił, to za co?

Ezekiel wzruszył ramionami.

– Nie mym zielonego pojęcia.

– Ani ja – zgodził się Mallory. – Więc chyba nie będę płacił. – Odwrócił się do drzwi. – Poza tym dosyć mi się podoba tak, jak jest.

– Z tym przekreślonym nazwiskiem pana Fallico? – upewnił się Ezekiel, obrzucając drzwi krytycznym spojrzeniem.

– Sukinsyn uciekł do Kalifornii z moją żoną, no nie? – Wiem, że to nie mój interes, panie Mallory, ale pan pyskował na nich oboje bez przerwy od pięciu lat. Powinien pan się cieszyć, że się pan ich pozbył. – Chodzi o zasadę! – warknął Mallory. – Nick Fallico zgarnia w Hollywood dwa tysiące dolarów na tydzień jako konsultant w telewizyjnym serialu kryminalnym, a ja tkwię tutaj, mając na karku wszystkich jego klientów i miesięczny rachunek z pralni! – Nie robił pan prania, odkąd ona wyjechała?

– Nie wiem, jak się włącza pralkę – wyznał Mallory z zakłopotaniem wruszając ramionami. – Poza tym w zeszłym tygodniu zabrali ją do sklepu. – Popatrzył na staruszkę. – Chyba wiesz, że nie z własnej winy wpakowałem się w takie długi – dorzucił gwałtownie. – Ona mi w tym pomogła. – Zagapił się na swojego papierosa. – A co najgorsze, ten podstępny drań zabrał moje półbuty.

– Pańskie półbuty, panie Mallory?

Mallory przytaknął.

– Doreen za butelkę burbona to uczciwa zamiana, ale będzie mi brakowało tych półbutów. Miałem je od czternastu lat. – Zawahał się. – Cholerny świat, były ze mną o wiele dłużej niż Doreen.

– Przecież może pan sobie kupić drugą parę.

– Ale tamte już przestały mnie cisnąć.

Ezekiel zmarszczył czoło.



– Nie bardzo rozumiem. Przez czternaście lat nosił pan półbuty, które pana cisnęły?

– Dwanaście – sprostował Mallory. – Przez ostatnie dwa lata chodziłem w nich z wielką przyjemnością.

– Dlaczego?

– Ponieważ Doreen ani razu nic zamiotła podłogi, odkąd z nią zamieszkałem.

– Pytałem, dlaczego nie kupił pan sobie półbutów, które by na pana pasowały?

Mallory gapił się na starszuka przez długą chwilę, potem westchnął ciężko i skrzywił się.

– Wiesz co, nie cierpię takich pytań.

Ezekiel parsknął śmiechem.

– No, w każdym razie chciałem pana ostrzec, że oni zamierzają złożyć na pana skargę z powodu tych drzwi.

– Dlaczego ty ich nie pomalujesz? W końcu jesteś dozorcą.

– Jestem pracownikiem sanitarnym – poprawił go starszek.

– Co za różnica?

– Mniej więcej trzydziestu centów za godzinę. I ja nie maluję drzwi. Do diabła, robię się już taki stary i zreumatyzowany, że ledwie mogę przejechać szczotką po korytarzu.

– Dziesięć dolarów – zaproponował Mallory.

– Dwadzieścia.

– Za dwadzieścia mogę mieć twojego przyjaciela.

– To prawda – przyznał Ezekiel. – Ale on nie zna ortografii.

– Więc dlaczego mi go polecałeś?

– Bo to dobry fachowiec i potrzebuje tej pracy.

Mallory uśmiechnął się ironicznie.

– Taak, mój bystry umysł detektywa podpowiada mi, że malarz szyldów, który nie zna ortografii, może mieć trudności ze znalezieniem pracy. – Piętnaście dolarów – powiedział Ezekiel.

– Dwanaście i będziesz mógł obejrzyć wszystkie świńskie zdjęcia, które zrobię przy następnej sprawie rozwodowej.

– Umowa stoi! – oświadczył Ezekiel. – Oblejmy to. – Będziesz musiał poczekać na pieniądze do przyszłego tygodnia – dodał Mallory przekazując mu butelkę.

– Daj pan spokój, panie Mallory – zaprotestował starszek pociągając łyk. – Co to jest dla pana dwanaście dolców?

– Wszystko zależy od tego, czy ten cholerny deszcz przestanie wreszcie padać i czy Akwedukt wyschnie do jutra po południu. – Mallory prychnął z niesmakiem. – Kto kiedy słyszał, żeby padało w sylwestra?

– Chyba nie postawi pan znowu na Odlota?

– Jeśli tor będzie suchy.

– I nie przeszkadza panu, że ten koń przegrał osiemnaście gonitw z rzędu?

– Ani trochę. Uważam, że statystycznie biorąc powinien wygrać chociaż jedną. – Jak pan mi zapłaci przed biegiem, zrobię to za dziesięć dolarów – zaproponował Ezekiel.

Mallory wyszczerzył zęby, sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwitek zmiętych banknotów. Odliczył dwa i pchnął je przez biurko w stronę starszka. – Twarda z pana sztuka, panie Mallory – stwierdził Ezekiel chowając pieniądze. – Pomaluję te drzwi pojutrze. – Urwał. – Co mam napisać? – John Justin Mallory – odparł Mallory rysując litery ręką w powietrzu. – Największy detektyw świata. Dyskrecja zapewniona. Najlepsze usługi, najwyższe ceny.

Specjalna zniżka dla pań używających pejczy i skórze-

nych strojów. – Wzruszył ramionami. – No wiesz, coś w tym rodzaju.

– Poważnie, panie Mallory.

– Tylko moje nazwisko.

– Nie chce pan, żebym napisał pod spodem: „Prywatny Detektyw”?

Mallory potrząsnął głową.

– Nie należy odstraszać osób postronnych.

Ezekiel zachichotał i jeszcze raz pociągnął z butelki. – To rzeczywiście pierwszorzędną gorzała, panie Mallory. Założę się, że dojrzewała w dębowych beczkach, całkiem jak na tych reklamach. – Zgadzam się z tobą. Gdyby to było cygaro, miałbym pewność, że zostało zwinięte na udzie pięknej Kubanki.

– Człowiek powinien łyknąć sobie czegoś ekstra, żeby powitać Nowy Rok.

– Albo zapomnieć o starym.

– A właśnie, co pan tu robi o tej porze w sylwestrowy wieczór?

Mallory skrzywił się.

– Miałem drobne nieporozumienie ze swoją gospodynią.

– Wyrzuciła pana?

– Nie użyła aż tylu słów – odparł Mallory. – Ale kiedy zobaczyłem swoje meble Uwalone na kupę w korytarzu, posługując się wyostrzoną zdolnością dedukcji doszedłem do wniosku, że spędzę tę noc w biurze.

– To fatalnie. Powinien pan się bawić i świętować. – O północy będę świętował jak wszyscy diabli. Chciałbym, żeby ten cholerny rok jak najszybciej się skończył. – Popatrzył na staruszkę. – A co z tobą, Ezekielu? Ezekiel spojrział na zegarek.

– Jest mniej więcej ósma czterdzieści. Zamykam o dziewiątej, a potem zabieram żonę na Times Square. Niech pan

ogląda telewizję za parę godzin; może pan nas zobaczy.

– Postaram się – obiecał Mallory, któremu nie chciało się wyjaśniać oczywistego faktu, że w jego biurze nie ma telewizora.

– Może jeszcze ktoś pana zaprosi na przyjęcie – powiedział współczująco staruszek. – Paru facetów szukało pana wcześniej, około czwartej. Mówili, że może wrócić. – Potężni, umięśnieni, jakby przez cały czas zażywali sterydy? – upewnił się Mallory.

– Właśnie.

– Oni wcale nie chcą wynająć detektywa – oświadczył Mallory. – Prawdę mówiąc – oni chcą zamordować detektywa.

– Co pan im zrobi? – zaciekał się Ezekiel.

– Absolutnie nic.

– Więc dlaczego chcą pana sprzątnąć?

– Wcale nie chcą – odparł Mallory. – Tylko jeszcze o tym nie wiedzą.

– Chyba nie bardzo pana rozumiem.

Mallory westchnął.

– Nick potrzebował forsy, żeby wyjechać na Zachód – Doreen ma rozmaite wady i zalety, ale na pewno nie jest tania – więc zaszantażował kilku naszych klientów. – I zostawił im pana na pożarcie?

Mallory przytaknął.

– Wygląda na to, że nie wszyscy podzielają poglądy Nicka na metody zbierania funduszy.

– Najlepiej niech im pan powie, że to nie pana wina.

– Taki miałem zamiar. Tylko jak dotąd nie znalazłem sposobności. Coś w wyrazie ich twarzy nasunęło mi wniosek, że raczej nie są w nastroju do rozmowy. Myślę, że za parę dni ochłoną, a wtedy dojdziemy do porozumienia.

- W jaki sposób? – zapytał Ezekiel.
  - No, jeśli nie będzie innego wyjścia, podam im adres Nicka w Kaliforniu.
  - To do pana niepodobne, panie Mallory.
  - Zostałem detektywem, żeby łapać szantażystów, a nie żeby ich chronić – odparł Mallory.
  - Zawsze się nad tym zastanawiałem.
  - Nad czym?
  - Dlaczego ktoś zostaje detektywem. To nie jest takie pasjonujące zajęcie, jak pokazują w telewizji.
  - Powinieneś zobaczyć, jak to wygląda od mojej strony.
  - Więc dlaczego pan wybrał ten zawód?
- Mallory wzruszył ramionami.
- Sam nie wiem. Chyba naoglądałem się za dużo filmów z Bogartem. – Zabrał z powrotem butelkę, jeszcze raz napełnił kubek z emblematem New York Mets, pociągnął łyk i skrzywił się. – Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałem, tyle ci powiem. Najczęściej czuję się jak fotograf z „Hustlera” ... a ilekroć mi się poszczęści i złapię jakiegoś złodzieja albo handlarza narkotyków, facet jest z powrotem na wolności, zanim jeszcze zdążę wrócić do biura. – Przerwał. – A najgorsza w tym wszystkim jest Velma. – Nie znam żadnej Velmy – oświadczył Ezekiel.
  - Ani ja – przyznał Mallory. – Ale zawsze chciałem mieć pulchną, łagodną sekretarkę imieniem Velma. Nie wymagam wiele: powinna się ubierać u Fredericka w Hollywood, powinna być niewolniczo uległa i może trochę erotomanka. Taka typowa sekretarka detektywa. – Popatrzył na butelkę. – A tymczasem mam Gracie. – To bardzo miła pani.
  - Możliwe, ale waży dwieście funtów, przez prawie dwa lata nie zapisała poprawnie ani jednej wiadomości, potrafi rozmawiać wyłącznie o alergiach swoich dzieci i oprócz mnie

ma jeszcze dwóch pracodawców: jednookiego dentystę oraz krawca, który nosi złote łańcuszki. – Przerwał i zamyślił się. – Chyba przeniosę się do Denver. – Dlaczego do Denver?

– A dlaczego nie?

Ezekiel zachichotał.

– Pan ciągle opowiada, że pan się wyprowadzi i zmieni pracę, ale nigdy pan nie dotrzymuje słowa.

– Może tym razem dotrzymam – mruknął Mallory. – Na pewno są miejsca lepsze od Manhattanu. – Zawahał się. – Słyszałem, że Phoenix jest bardzo ładne. – Byłem tam. O północy można smażyć jajka na chodniku.

– Więc jedna z Karolin.

Ezekiel spojrział na zegarek.

– Muszę już iść, panie Mallory – oznajmił wstając i podchodząc do drzwi. – Miłego wieczoru panu życzę.

– Tobie również – odparł Mallory.

Staruszek wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Mallory podszedł do okna i przez parę minut wyglądał na zewnątrz przez warstwę brudu. Oderwał od ściany płat łuszczącej się szarej farby, zastanowił się, dlaczego ten pusty pokój wydaje się taki mały, wreszcie usiadł z powrotem za biurkiem i znowu zdjął nakrętkę z butelki whisky, żeby łyknąć za zdrowie słodkiej Velmy, która nigdy nie istniała. Pociągnął jeszcze cztery razy na cześć czterech przeciwnych naturze aktów seksualnych, których nigdy nie miał odwagi zaproponować Doreen (a które ona właśnie w tej chwili radośnie uprawiała z Fallico, czego był absolutnie pewien), kolejny raz za ostatnią gonitwę, którą wygrał Odlot (zakładając, że Odlot w ogóle wygrał jakąś gonitwę w odległej i zamierzchłej przeszłości; bardzo możliwe, że tylko osiemnaście razy dowlókł się do mety): i jeszcze raz za ten koszmary rok, który wreszcie dobiegał

końca.

Zamierzał właśnie wypić za stratę swoich nieodżałowanych półbutów, kiedy spostrzegł, że przed jego biurkiem stoi mały, zielony elf. – Nieźle ci to wyszło – stwierdził z podziwem. – Ale gdzie są różowe słonie?

– John Justin Mallory?

– Przecież wy, chłopaki, nigdy nic nie mówicie – poskarżył się Mallory. – Zawsze tylko siedzicie i śpiewacie „Santa Lucie”. – Zamrugał i rozejrzał się po biurze. – A gdzie reszta twoich kumpli?

– Pijany – zauważył elf z niesmakiem. – Nieładnie, Johnie Justinie. Bardzo nieładnie.

– Twoi kumple są pijani?

– Nie. Ty jesteś pijany.

– Oczywiście, że jestem pijany. To dlatego widzę małe zielone ludziki.

– Nie jestem człowiekiem. Jestem elfem.

– Wszystko jedno – odparł Mallory wzruszając ramionami. – W każdym razie jesteś mały i zielony. – Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. – Gdzie są słonie? – Jakie słonie? – nie zrozumiał elf.

– Moje słonie – powiedział Mallory takim tonem, jakby tłumaczył oczywistą rzecz wyjątkowo tępemu uczniowi. – Kim jesteś i co tu robisz? – Mürgenstürm – oznajmił elf.

– Mürgenstürm? – powtórzył Mallory marszcząc brwi. – Chyba przyjmuje piętro wyżej.

– Nie. Ja jestem Mürgenstürm.

– Siadaj, Mürgenstürm. Skoro już tu jesteś, możesz się napić, zanim znikniesz. – Sprawdził poziom płynu w butelce. – Ale nie za dużo. – Nie przyszedłem tu, żeby pić – oświadczył Mürgenstürm.

– Dzięki niebiosom za drobne łaski – mruknął Mallory. Podniósł butelkę do ust i wysączył jej zawartość. – Okay – stwierdził wyrzucając butelkę do kosza na śmieci. – Skończyłem. Teraz zaśpiewaj albo zatańcz, czy co tam masz w programie, ale potem musisz ustąpić miejsca słoniom.

Mürgenstürm skrzywił się.

– Trzeba będzie cię doprowadzić do stanu trzeźwości, i to szybko. – Jeśli to zrobisz, znikniesz – ostrzegł Mallory wytrzeszczając na niego oczy jak sowa.

– Dlaczego to musi być sylwester? – jęknął elf. – Pewnie dlatego, że wczoraj był trzydziesty grudnia – wyjaśnił rozsądnie Mallory.

– I dlaczego ten pijak?

– No, no, licz się ze słowami! – rzucił rozgniewany Mallory. – Może jestem pijany, ale nie jestem pijakiem.

– Dla mnie bez różnicy. Potrzebuję cię teraz, a ty nie jesteś w stanie pracować.

Mallory zmarszczył brwi.

– Myślałem, że to ja cię potrzebuję – oznajmił zaskoczony.

– Może profesor zoologii... – zamruczał do siebie Mürgenstürm.

– To zabrzmiało jak początek limeryku.

Elf westchnął z rezygnacją.

– Nie ma już czasu. Zostałeś tylko ty.

– A to przypomina szmirowatą piosenkę o miłości.

Mürgenstürm obszedł biurko, zbliżył się do Mallory'ego i uszczypnął go w nogę.

– Auu! Po co to zrobiłeś, do cholery?

– Żeby ci udowodnić, że naprawdę tutaj jestem. Johnie Justinie. Potrzebuję cię.



Mallory popatrzył na niego z wściekłością i rozmasował sobie nogę.

– Kto kiedy słyszał, żeby halucynacja zachowywała się po chamsku?

– Mam dla ciebie zadanie, Johnie Justinie Mallory – oświadczył elf. – Zwróć się do kogo innego. Dzisiaj opłakuję utraconą młodość oraz pozostałe elementy mojej przeszłości, zarówno rzeczywiste, jak i urojone. – To nie jest sen, to nie jest dowcip i to nie jest delirium tremens – zapewnił elf natarczywym tonem. – Pilnie potrzebuję pomocy wykwalifikowanego detektywa. Mallory sięgnął do szuflady, wyciągnął wymiętoszoną książkę telefoniczną instytucji i rzucił ją na biurko.

– W tym mieście jest siedmiuset czy ośmiuset detektywów – oznajmił. – Tylko wybierać.

– Wszyscy inni są już zajęci albo poszli się zabawić – odparł Mürgenstürm. – Chcesz powiedzieć, że w całym Nowym Jorku żaden detektyw oprócz mnie nie siedzi w biurze? – zapytał z niedowierzaniem Mallory. – To jest wieczór sylwestrowy – przypomniał elf.

Mallory przyglądał mu się przez długą chwilę.

– Domyślam się, że nic zdecydowałeś się na mnie od razu?

– Zacząłem od litery A – przyznał Mürgenstürm.

– I przekopałeś się przez cały alfabet aż do „Mallory i Fallico”? Chyba zacząłeś w listopadzie.

– W razie potrzeby potrafię działać bardzo szybko. – Więc dlaczego bardzo szybko nie weźmiesz swojej zielonej dupy w troki i nie wyniesiesz się stąd do diabła? – warknął Mallory. – Budzisz we mnie podejrzania.

– Johnie Justinie, proszę, uwierz mi, że nie przyszedłbym do ciebie, gdyby to nie była sprawa życia i śmierci.

- Czyjej śmierci?
- Mojej – wyznał elf z nieszczęśliwą miną.

- Twojej?

Elf skinął głową.

- Ktoś chce cię zabić?

- To nie jest takie proste.

- Jakoś zawsze tak się składa, że nic nie jest proste – zauważył oziębłe Mallory. – Cholera! Zaczynam trzeźwieć, a to była moja ostatnia butelka. – Pomożesz mi? – nalegał elf.

- Nie wygłupiaj się. Przecież znikniesz najpóźniej za pół minuty.

- Ja nie zniknę! – zawołał elf z rozpaczą. – Ja umrę!

- Teraz zaraz? – upewnił się Mallory i odsunął się z krzesłem od biurka, żeby zrobić miejsce dla padającego ciała.

- O wschodzie słońca, jeśli mi nie pomożesz.

Mallory wpatrywał się w Mürgenstürma przez długą chwilę.

- Dlaczego?

- Zginęło coś, co zostało mi powierzone, i jeśli nie odzyskam tego do rana, postradam życie.

- Co to takiego?

Mürgenstürm odwrócił wzrok.

- Chyba na razie nie powinienem ci tego mówić, Johnie Justinie. – Jak, u diabła, mam to odnaleźć, jeśli nawet nie będę wiedział, czego szukam? – obruszył się Mallory.

- To prawda – ustąpił elf.

- No więc?

Mürgenstürm popatrzył na Mallory'ego, westchnął i wyrzucił z siebie:

- To jest jednorożec.

- Sam nie wiem, czy powinienem ci się roześmiać w

twarz, czy wywalić cię za drzwi – stwierdził Mallory. – Wynoś się i pozwól mi się w spokoju nacieszyć tą niewielką resztką alkoholowego oszołomienia.

- Ja nie żartuję, Johnie Justinie!
- A ja nie dam się nabrać, Morganthau.
- Mürgenstürm – poprawił go elf.
- Dla mnie możesz się nawet nazywać Ronald Reagan.

Zjeżdżaj.

- Wymień swoją cenę – błagał Mürgenstürm.
- Za odnalezienie jednorożca w Nowym Jorku? – upewnił się ironicznie Mallory. – Dziesięć tysięcy dolarów dziennie plus pokrycie kosztów. – Zrobione! – wykrzyknął elf. Wyszarpnął z powietrza gruby plik banknotów i rzucił je na biurko Mallory’ego.

- Czemu wydaje mi się, że ta forsa nie jest całkiem rzeczywista? – mruknął Mallory grzebiąc jednym palcem w nowych, szeleszczących studolarówkach. – Zapewniam cię, że numery serii zgadzają się z rejestrami waszego Ministerstwa Skarbu, a podpisy nie są sfałszowane.

Mallory niedowierzająco uniósł brew.

- Skąd pochodzą te pieniądze?
- Ode mnie – odparł Mürgenstürm obronnym tonem.
- A skąd ty pochodzisz?
- Słucham?
- Słyszałeś dobrze – warknął Mallory. – Widywałem różne niesamowite rzeczy w tym mieście, ale ty tutaj za cholerę nie pasujesz.

- Ja tu mieszkam.
- Gdzie?
- Na Manhattanie.
- Podaj mi adres.

– Zrobię coś więcej. Zabiorę cię tam.

– Co to, to nie – sprzeciwił się Mallory. – Teraz zamknę oczy i kiedy je otworzę, ciebie ani pieniędzy już nie będzie, a na moim biurku zjawią się różowe słonie. Zacisnął powieki, policzył do dziesięciu i otworzył oczy. Mürgenstürm i pieniądze nie zniknęli. Mallory spochmurniał.

– To trwa dłużej niż zwykle – poskarżył się. – Zastanawiam się, co właściwie było w tej cholernej butelce.

– Zwyczajna whisky – odparł elf. – Ja nie jestem wytworem twojej wyobraźni. Jestem zrozpaczonym klientem, który potrzebuje twojej pomocy. – Żeby znaleźć jednorożca.

– Właśnie.

– Jakim cudem udało ci się go zgubić? Pytam przez zwykłą ciekawość. W końcu jednorożec to nie szpilka, prawda?

– Ukradziono go – wyjaśnił Mürgenstürm.

– W takim razie niepotrzebny ci detektyw – oświadczył Mallory.

– Niepotrzebny?

– Tylko dziewczica może schwytać jednorożca, no nie? Na całym Manhattanie zostało na pewno najwyżej ze dwa tuziny dziewczic. Więc po prostu musisz odwiedzać je po kolei, dopóki nie trafisz na tę z jednorożcem.

– Chciałbym, żeby, to było takie proste – ponuro powiedział Mürgenstürm.

– A nie jest?

– Może na twoim Manhattanie zostało tylko dwa tuziny dziewczic, ale na moim Manhattanie mieszkają ich tysiące... a ja mam tylko niecałe dziesięć godzin czasu.

– Czekaj no – przerwał Mallory, ponownie marszcząc brwi. – Co to za brednie o „moim” i „twoim”? Mieszkasz na Manhattanie czy nie? Mürgenstürm przytaknął.

– Przecież ci mówiłem.  
– Więc o czym ty gadasz?  
– Mieszkam na Manhattanie, który ty dostrzegasz kątem oka – wyjaśnił elf. – Każdy z was może na mgnienie ujrzeć przelotny obraz tego świata, ale kiedy odwraca się do niego przodem, wszystko znika.

Mallory z uśmiechem strzelił palcami.

– Tak po prostu?  
– Barwy ochronne – odparł Mürgenstürm.  
– A gdzie właściwie jest ten twój Manhattan? Druga gwiazda na prawo i prosto aż do rana... a może na krańcu tęczy?

– Jest dokładnie tutaj, wokół ciebie – odpowiedział elf. – Niezbyt się różni od twojego Manhattanu, ponieważ jest tą jego częścią, której ty nie dostrzegasz. – A ty go widzisz?

Mürgenstürm kiwnął głową.

– Trzeba tylko wiedzieć, w jaki sposób patrzeć.  
– A w jaki sposób ty patrzysz? – dopytywał się Mallory, mimo woli zaciekawiony.

Mürgenstürm machnął ręką w stronę pieniędzy.

– Przyjmij zlecenie, to ci pokażę.  
– Nic z tego – oświadczył Mallory. – Ale jestem ci wdzięczny, mój mały zielony przyjacielu. Kiedy się obudzę, zapiszę całą naszą rozmowę i wyślę ją do któregoś z tych brukowych magazynów, co zamieszczają listy od czytelników. Niech to przeanalizują. Zdaje się, że płacą pięćdziesiąt dolców za wydrukowanie listu. Pokonany elf opuścił głowę.

– To twoja ostateczna decyzja? – spytał.

– Zgadza się.

Mürgenstürm wyprostował się na całą swoją ograniczoną wysokość. – Wobec tego muszę się przygotować na

śmierć. Przepraszam za kłopot, Johnie Justinie Mallory.

- Nic nie szkodzi - zapewnił go Mallory.
- Ciągłe mi nie wierzysz, prawda?
- Ani w jedno słowo.

Elf westchnął i ruszył do drzwi. Otworzył je i wyjrzał na korytarz, po czym wrócił do biura.

- Spodziewasz się gości? - zapytał.
- Różowe słonie? - zainteresował się Mallory.

Mürgenstürm potrząsnął głową.

- Dwaj ogromni mężczyźni o ponurym wyglądzie w marynarkach wypchanych pod pachami. Jeden ma bliznę na lewym policzku.

- Niech to szlag! - mruknął Mallory spiesząc niepewnym krokiem do wyłącznika światła. Pokój pogrążył się w ciemności." Mallory czym prędzej wrócił do biurka i ukląkł za nim. - Mieli czekać na dole!

- Może zdudziło im się czekanie - zasugerował elf.

- Ale oni nic do mnie nie mają! - jęknął Mallory. - Im chodzi o Nicka Fallico! - Wyglądają na zdeterminowanych - zauważył Mürgenstürm. - Myślę, że zadowolą się każdym, kogo znajdą.

- No cóż - wymamrotał Mallory żałując, że nie ma już nic do picia - zdaje się, że nie tylko ty nie doczekasz późnej starości.

- Zamierzasz ich zabić? - zaciekawiał się Mürgenstürm.

- Nie miałem ich na myśli.

- Więc nie zamierzasz ich zastrzelić?

- Z czego? - zapytał Mallory.

- Oczywiście ze swojego rewolweru.

- Nie mam rewolweru.

- Detektyw bez broni? - zdziwił się elf. - Nigdy o tym nie

słyszałem!

– Nigdy nie potrzebowałem broni.

– Nigdy?

– Aż do dzisiaj – przyznał Mallory.

– Naprawdę myślisz, że oni cię zabiją? – zagadnął Mürgenstürm. – Tylko jeśli nie zdołają się opanować. Pewnie po prostu połamają mi palce i dopilnują, żebym przez następne parę lat musiał chodzić o kulach. Przez matowe szkło w drzwiach biura widać było dwie masywne sylwetki.

– Mam dla ciebie pewną propozycję. Johnie Justinie – oznajmił Mürgenstürm. – Ciekawe, gdzie ja to już słyszałem – odparł Mallory ze szczyptą ironii w głosie.

– Jeśli spowoduję, że odejdą nie robiąc ci krzywdy, czy pomożesz mi odnaleźć jednorożca?

– Jeśli potrafisz spowodować, żeby odeszli, nie potrzebujesz mojej pomocy – stwierdził Mallory z przekonaniem.

– Umowa stoi? – nalegał elf.

Okrągła klamka w drzwiach obróciła się powoli.

– A te dziesięć tysięcy dolarów? – szepnął Mallory.

– Jest twoje.

– Zgoda! – zawołał Mallory. W tej samej chwili drzwi się otwały i dwaj mężczyźni wpadli do pokoju.

## **Rozdział drugi**

### **20.53 – 21.58**

Mürgenstürm wymamrotał coś w języku, którego Mallory absolutnie nie potrafił zidentyfikować, a dwie postacie nagle zamarły w pół kroku. – Coś ty im zrobił, do cholery? – zapytał Mallory, ostrożnie wyłaząc zza biurka.

– Zmieniłem ich subiektywną rzeczywistość vis-a-vis Czasu – odparł elf, skromnie wzruszając ramionami. – Dla nich

Czas się zatrzymał. Pozostaną w tym stanie około pięciu minut.

– Magia? – zainteresował się Mallory.

– Wyższa psychologia – sprostował Mürgenstürm.

– Bzdura.

– To prawda, Johnie Justinie. Żyję w tym samym świecie co ty. Magia tutaj nie istnieje. To wszystko jest całkowicie zgodne z prawami natury. – Sam słyszałem, jak wymawiałeś zakłęcie – upierał się Mallory. – Starożytny aramejski, nic ponadto – wyjaśnił Mürgenstürm. – Odwołałem się do ich pamięci rasowej. – Poufnie zniżył głos. – Jung był bardzo bliski tego odkrycia, kiedy umarł.

– Skoro przy tym jesteśmy, to w jaki sposób wzięłeś z powietrza te pieniądze? – zagadnął Mallory. Pomachał ręką przed twarzą bliżej stojącego rewolwerowca, ale nie wywołał żadnej reakcji.

– Magiczna sztuczka.

Mallory popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale nic nie powiedział. – Chodź, Johnie Justinie! – zawołał Mürgenstürm podchodząc do drzwi. – Mamy robotę.

– Zdaje mi się, że ten facet nie oddycha – zauważył Mallory wskazując jednego z rewolwerowców.

– Zacznie oddychać, jak tylko Czas znowu dla niego ruszy... co nastąpi za niecałe trzy minuty. Naprawdę powinniśmy przedtem stąd wyjść. – Przede wszystkim najważniejsze – przypomniał Mallory. Wziął z biurka zwitek banknotów i wpakował je do kieszeni.

– Pospiesz się! – ponaglił go elf.

– Dobra – mruknął Mallory. Obszedł dookoła dwóch mężczyzn i wyszedł na korytarz.

– Tędy – oznajmił Mürgenstürm spiesząc prosto do



windy.

– Zejdźmy po schodach – zaproponował Mallory.

– Po schodach? – powtórzył elf. – Przecież jesteśmy na piątym piętrze!

– No tak, ale schody w przeciwieństwie do windy nie prowadzą do głównego hallu.

Nie wiem, czy to jest sen, rzeczywistość czy delirium tremens, ale tak czy owak zielony elf, który wysiada z windy i skręca w prawo obok kiosku z papierosami, będzie wyglądał trochę dziwnie.

Mürgenstürm uśmiechnął się.

– Nie martw się, Johnie Justinie. Nie wysiądziemy na parterze. – Myślisz, że twój jednorożec ukrywa się gdzieś pomiędzy parterem a piątym piętrem?

– zdziwił się Mallory. – Pod nami są tylko dwaj maklerzy giełdowi, jednooki dentysta alkoholik, handlarz monet i znaczków pocztowych, facet który skupuje trefną biżuterię, a także... niech pomyślę... krawiec, który nie zna angielskiego, i starsza dama wyrabiająca sztuczne kwiaty.

– Wiem – odparł Mürgenstürm wchodząc do kabiny windy.

– Okay – Mallory wzruszył ramionami i wszedł za nim. – Które piętro?

– Po prostu naciśnij DÓŁ – polecił elf.

– Tutaj nie ma żadnego guzika z napisem: DÓŁ – zaprotestował Mallory. – Tylko numery pięter.

– Tutaj, popatrz – powiedział Mürgenstürm pokazując na tablicę.

– A niech to! – mruknął Mallory. – Nigdy przedtem go nie zauważyłem. Wyciągnął rękę i nacisnął guzik, a winda powoli zaczęła zjeżdżać. W chwilę później minęła pierwsze

piętro. Mallory zerknął na elfa. – Lepiej naciśnę STOP – odezwał się.

– Nie.

– Rozbijemy się.

– Nie – zaprzeczył elf.

– Ten budynek nie ma piwnicy – oznajmił Mallory ze śladem paniki w głosie. – Jeśli natychmiast nie zatrzymam windy, przez następne dwa dni będą nas zeskrobywać z sufitu.

– Zaufaj mi.

– Zaufać ci? Przecież ja nawet w ciebie nie wierzę!

– Więc uwierz w te dziesięć tysięcy dolarów.

Mallory pomacał się po kieszeni, żeby sprawdzić, czy pieniądze nie zniknęły. – Jeśli one są rzeczywiste, to reszta też jest rzeczywista. Lepiej zatrzymam windę. – Odwrócił się do tablicy.

– Nie wysilaj się – rzucił Mürgenstürm. – Minęliśmy parter dziesięć sekund temu. Mallory podniósł wzrok na cyferki wyświetlające mijane piętra i zobaczył, że wszystkie zgasły.

– Wspaniale! – burknął. – Utknęliśmy w miejscu. – Wcale nie – zaprzeczył Mürgenstürm. – Jedziemy dalej. Nie czujesz tego, Johnie Justinie?

I nagle Mallory zorientował się, że rzeczywiście jadą dalej.

– Na pewno któraś żaróweczka się przepaliła – oświadczył niepewnym głosem. – Wszystkie wskaźniki działają – zapewnił elf. – Po prostu tak głęboko nie ma oznaczeń. – Zamilkł na chwilę. – No dobrze. Możesz już zatrzymać windę. Mallory wcisnął STOP i miał już nacisnąć guzik otwierający drzwi, kiedy drzwi same się rozsunęły.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, kiedy znaleźli się w zwy-

czajnym, pustym, słabo oświetlonym korytarzu.

– Naturalnie w tym samym budynku – odpowiedział Mürgensturn. – Windy nie opuszczają swoich szybów.

– Ani nie zjeżdżają pod ziemię w budynkach, które stoją na betonowej płycie – zauważył Mallory.

– To już nasza robota – odparł elf z uśmiechem. – Pewnej nocy odwiedziliśmy biuro architekta i wprowadziliśmy parę zmian.

– I nikt tego nie zakwestionował?

– Posłużyliśmy się specjalnym atramentem. Powiedzmy raczej, że nie zakwestionował tego nikt, kto mógł to przeczytać.

– Jak głęboko jesteśmy pod ziemią? – chciał wiedzieć Mallory. – Niezbyt głęboko. Cal, stopę, metr, milę... wszystko zależy od tego, gdzie jest powierzchnia, prawda?

– Chyba tak. – Detektyw rozejrzał się dookoła. – Spodziewasz się znaleźć tutaj jednorożca?

– Gdyby to było takie łatwe, nie potrzebowałbym detektywa – odparł Mürgenstürm. – Zatrzymałeś Czas i sprowadziłeś windę na nieistniejące piętro – stwierdził Mallory. – Jeśli to ma być łatwe, wolę nie myśleć, co jest trudne. – Trudne jest znalezienie jednorożca. – Mürgenstürm westchnął. – Pewnie powinienem cię zaprowadzić na miejsce przestępstwa.

– Czasem nieźle jest od tego zacząć – zgodził się ironicznie Mallory. – Gdzie to jest?

– Tędy – powiedział elf zanurzając się w ciemność. Mallory ruszył za nim i w chwilę później spostrzegli drzwi, których nie było widać z windy. Przeszli przez próg i jakieś dwa-dzieścia stóp dalej dotarli do betonowych schodów.

Wspięli się dwie kondygnacje w górę i przystanęli na wielkim podeście.

– Dokąd teraz? – zapytał Mallory.

– Na dół – odparł Mürgenstürm przemierzając podest. – Zaczekaj – zaprotestował Mallory. – Dopiero co weszliśmy dwie kondygnacje do góry.

– Zgadza się.

– Więc dlaczego schodzimy z powrotem?

– To są inne schody – oznajmił elf, jakby te słowa wyjaśniały wszystko. Zeszli trzy kondygnacje w dół, dotarli do kolejnego podestu i znowu wspięli się na piętro.

– Daj mi chwilę odpocząć – poprosił Mallory opierając się o poręcz i dysząc ciężko.

Rozejrzył się, ale nie zobaczył następnych schodów. – Według moich obliczeń jesteśmy dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyruszyliśmy. Mürgenstürm uśmiechnął się.

– Bynajmniej.

– Dwa minus trzy plus jeden – podsumował Mallory. Wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł sobie twarz. – Wróciliśmy do punktu wyjścia. – Rozejrzyj się dookoła – zaproponował Mürgenstürm. – Czy to ci przypomina jakieś miejsce, w którym byliśmy wcześniej?

Mallory wyteżył wzrok i ujrzał rząd świateł prowadzących w ciemność, rozmieszczonych wzdłuż jakiegoś wąskiego korytarza o półokrągłym sklepieniu. – Chyba jednak nie powinienem tego zapisywać ani wysyłać do żadnego magazynu – powiedział w końcu. – Prawdopodobnie wylądowałbym pod kluczem. – Czy już odpocząłeś, Johnie Justinie? – zagadnął elf. – Naprawdę mamy mało czasu.

Mallory kiwnął głową, a Mürgenstürm ruszył przed siebie długim korytarzem. Jego kroki rozlegały się echem w ciszy.

– Co za kretyńskie miejsce, żeby trzymać jednorożca –

skonstatował Mallory. – Przecież one potrzebują słońca, trawy i tak dalej. – My tylko tędy przechodzimy.

– Właśnie się zastanawiałem, co my tu robimy – mruknął detektyw. Nagle korytarz skręcił ostro w prawo i po następnych pięćdziesięciu krokach weszli na peron metra.

– To tylko stacja metra – zauważył Mallory. – Mogliśmy się tu dostać łatwiejszą drogą.

– Nie bardzo – zaprzeczył Mürgenstürm. – Niewiele pociągów jeździ tą trasą.

– Co to za stacja? – zapytał Mallory.

– Czwarta Aleja.

– Nie ma takiej stacji.

– Nie musisz mi wierzyć na słowo – odparł Mürgenstürm pokazując napis nad peronem.

– Czwarta Aleja – przeczytał Mallory. – Jak się tak zastanowić, ta stacja wygląda inaczej niż inne.

– Pod jakim względem?

– Po pierwsze nie jest taka brudna. – Mallory wciągnął nosem powietrze. – I nic śmierdzi szczykami.

– Rzadko bywa używana – wyjaśnił elf.

– Nie ma również graffiti – stwierdził Mallory rozglądając się dookoła. Zawahał się. – Szkoda, że inne nie wyglądają tak samo.

– Kiedyś tak wyglądały.

– Ale nie za moich czasów. – Nagle detektyw zeszywniał. – Co to było?

– Co?

Mallory wbił spojrzenie w ciemność.

– Widziałem, jak coś się poruszyło tam w cieniu.

– Na pewno ci się przywidziało – uspokajał go Mürgenstürm. – To ty mi się przywidziałeś! – warknął Mallory. – Tam

coś się poruszyło. Coś czarnego.

– Ach! Teraz ich widzę!

– Ich? – zaniepokoił się Mallory. – Widziałem tylko jedno poruszenie.

– Jest ich czterech – oznajmił Mürgenstürm. – Masz przy sobie żetony do automatów w metrze?

– Żetony do automatów? – powtórzył Mallory.

Mürgenstürm przytaknął.

– Monety też mogą być, ale najlepsze są żetony.

Mallory przeszukał kieszenie i znalazł dwa żetony.

– Rzuć je tam – polecił elf wskazując plamę cienia, gdzie Mallory wcześniej dostrzegł jakiś ruch.

– Po co?

– Po prostu rzuć.

Mallory wzruszył ramionami i cisnął dwa żetony w ciemność. W chwilę później usłyszał odgłos jakiegoś szurania, a potem dwa głośne chrupnięcia. – No i? – zagadnął po chwili milczenia.

– No i co?

– Czekam na wyjaśnienia.

– Naprawdę ich nie widzisz? – zdziwił się Mürgenstürm.

Mallory wyteżył wzrok i potrząsnął głową.

– Ni cholery nie widać.

– Przechyl głowę na prawe ramię – rozkazał elf.

– Po co?

– W ten sposób – Mürgenstürm zademonstrował czynność. – Może to ci pomoże.

– Od tego nie robi się jaśniej.

– W każdym razie spróbuj.

Mallory wzruszył ramionami, przechylił głowę – i nagle ujrzął cztery ciemne, niezgrabne postacie, które przycupnęły

pod wyłożoną kafelkami ścianą i wpatrywały się w niego czerwonymi, niemrugającymi oczami. Ich owłosione ręce sięgały prawie do ziemi.

– Widzisz?! – zawołał Mürgenstürm obserwując jego reakcję. – Nic trudnego. – Co to jest, u diabła? – zapytał Mallory, po raz drugi tego wieczoru żałując, że nie ma przy sobie broni.

– To są Gnomy Metra – poinformował go Mürgenstürm. – Nie denerwuj się, nie będą ci przeszkadzać.

– One już mi przeszkadzają – burknął Mallory.

– Rzadko widują ludzi tutaj na dole – wyjaśnił elf. – Z drugiej strony ja też rzadko je tutaj widuję. Zwykle przebywają na Times Square albo na Union Square, albo na stacji Ósma Aleja w dzielnicy Village.

– Pewnie nie bez powodu.

Mürgenstürm przytaknął.

– Żywią się żetonami, więc oczywiście gromadzą się w okolicach, gdzie występuje największa obfitość żetonów. Te cztery pewnie po prostu zwiedzają slumsy. – Co to za stworzenia, które zjadają żetony? – zastanawiał się Mallory, przypatrując się uważnie gnomom.

– Właśnie takie stworzenia – odparł Mürgenstürm. – Czy nigdy cię nie zainteresowało, dlaczego Nowojorski Zarząd Transportu co roku wypuszcza nowe miliony żetonów? Przecież żetony nie zużywają się i poza metrem nie mają absolutnie żadnego zastosowania. Teoretycznie w obiegu powinny się znajdować miliardy żetonów, ale oczywiście tak nie jest.

Gnomy Metra można uznać za swoisty czynnik utrzymujący równowagę ekologiczną:

dzięki nim Manhattan nie zapada się pod ciężarem ogromnej masy żetonów, a setki ludzi zatrudnionych przy ich

produkcji mają pracę przez cały rok. – A co te gnomy robią, kiedy nie jedzą? – zagadnął Mallory.

– Och, są całkowicie nieszkodliwe, jeśli o to ci chodzi – zapewnił elf.

– Właśnie o to mi chodzi.

– Prawdę mówiąc one żerują przez piętnaście do dwudziestu godzin na dobę – ciągnął Mürgenstürm. – Taki gnom musi zjeść sporo żetonów, zanim się nasyci. – Poufnie zniżył głos.

– Słyszałem, że pewna ich liczba wyemigrowała do Connecticut, kiedy zaczęto tam wytwarzać podobne żetony autobusowe, widocznie jednak tamte żetony nie były równie pożywne, ponieważ większość gnomów wróciła.

– A co by zrobiły, gdybym im nie rzucił żetonów? – zapyta! Mallory nie spuszczaając gnomów z oka.

– To zależy. Podobno one potrafią wywęszyć żeton z odległości dwustu jardów.

Gdybyś nie miał przy sobie żadnych żetonów, zostawiłyby cię w spokoju.

– Ale miałem. Co by się stało, gdybym im tego nie oddał?

– Naprawdę nie wiem – przyznał Mürgenstürm. – Możemy je zapytać. Zrobił krok w stronę gnomów, ale Mallory zatrzymał go kładąc mu rękę na ramieniu.

– To nie jest takie ważne – oświadczył.

– Na pewno? – zatroszczył się Mürgenstürm.

– Zapytamy je innym razem.

– Może to i lepiej. Mamy bardzo napięty program.

– Ani śladu pociągu. Chyba należałoby poinformować o tym Zarząd Transportu.

Mürgenstürm przechylił się przez krawędź peronu. – Nie mam pojęcia, skąd to opóźnienie. Pociąg powinien przyje-



chać dwie czy trzy minuty temu.

– Jeśli chcesz, zaraz go tu sprowadzę – zaofiarował się Mallory.

– Ty? – zdziwił się elf. – W jaki sposób?

– Ty potrafisz zatrzymać Czas, a ja potrafię go przyspieszyć – oznajmił Mallory. Wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił. Ledwie zdążył zaciągnąć się głęboko i wydmuchnąć dym, kiedy pociąg gwizdząc wjechał na stację.

– Działa niezawodnie – stwierdził Mallory. Rzucił papierosa na ziemię i zdeptał go.

Drzwi się rozsunęły i obaj weszli do wagonu, pierwszego z czterech w składzie. Zamiast zwykłych rzędów zniszczonych niewygodnych siedzeń, które Mallory spodziewał się ujrzeć, we wnętrzu zadziwiająco czystego wagonu znajdowało się pół tuzina półokrągłych skórzanych boksów. Podłogę pokrywał dywan o skomplikowanym deseniu, a ściany obite były wytłaczanym aksamitem.

– Na tej linii używamy środków transportu wyższej kategorii – wyjaśnił Mürgenstürm obserwując reakcję detektywa.

– A mimo to chyba nikt z nich nie korzysta – zauważył Mallory.

– Na pewno wszyscy poszli do wagonu restauracyjnego.

– Tu jest wagon restauracyjny? – zdziwił się Mallory.

Mürgenstürm przytaknął.

– Jest też barek.

– Więc na CQ czekamy? – zawołał Mallory podrywając się na nogi.

– Masz być trzeźwy – oświadczył elf.

– Gdybym był trzeźwy, znalazłbym się z powrotem w biurze, a ty rozplynąłbyś się w powietrzu.

– Wolałbym, żebyś przestał to powtarzać – poskarżył się Mürgenstürm. – Niedługo sam sobie wmówisz, że to prawda.

– I co z tego?

– To z tego, że kiedy staniemy twarzą w twarz z prawdziwym niebezpieczeństwem, nie uwierzysz w nie i nie podejmiesz odpowiednich środków ostrożności. – Z jakim niebezpieczeństwem? – zaniepokoił się Mallory.

– Gdybym wiedział, na pewno nie ukrywałbym tego przed tobą.

– Postaraj się odgadnąć.

Elf wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Mam tylko przecucie, że kiedy wytropimy Larkspura, ten, kto go ukradł, nie będzie zachwycony.

– Larkspura?

– Tak się nazywa jednorożec.

– Po cholerę zwracałeś sobie głowę jakimś jednorożcem, który w dodatku nie należał do ciebie?

– Ja go pilnowałem.

– Przed czym?

– Przed każdym, kto chciał go ukraść.

– Po co ktoś miałby kraść jednorożca?

– Przez chciwość, z głupoty, żeby mi zaszkodzić... kto wie?

– Nie bardzo mi pomagasz – stwierdził Mallory.

– Gdybym potrafił odpowiedzieć na wszystkie pytania, nie potrzebowałbym pomocy detektywa, prawda? – zirytował się Mürgenstürm. – No dobrze – ustąpił Mallory. – Zaczniemy z drugiej strony. Kto jest właścicielem tego jednorożca?

– Znakomicie, Johnie Justinie! – wykrzyknął elf z entuzjazmem. – To już znacznie lepsze pytanie.

- Więc odpowiedz.
  - Nie potrafię.
  - Nie wiesz, do kogo należy jednorożec?
  - Właśnie.
  - Więc skąd wiesz, że ten ktoś cię zabije, jeśli nie odzyskasz jednorożca przed wschodem słońca?
  - Och, on mnie nie zabije – odparł Mürgenstürm. – Nie będzie miał okazji.
  - Więc kto cię zabije?
  - Moja gildia.
  - Twoja gildia?
- Mały elf kiwnął głową.
- Jesteśmy strażnikami wartościowych przedmiotów – drogocennych kamieni, iluminowanych manuskryptów, różnych takich – „i jeśli któryś z nas zaniedba swoje obowiązki, karą jest śmierć. – Skrzywił się. – To dlatego musiałem cię wynająć: Nie bardzo mogłem pójść do gildii i powiedzieć im, co się stało. Pokroiliby mnie na kawałeczki.
  - Kiedy ukradziono tego jednorożca?
  - Mniej więcej w południe. To był pierwszy jednorożec, którego mi powierzono.
- Myślałem, że nic się nie stanie, jeśli go zostawię na kilka minut.
- A dokąd poszedłeś? – indagował Mallory.
- Mürgenstürm oblał się ciemnozielonym rumieńcem.
- Naprawdę wolałbym o tym nie mówić.
  - Więc nawet elfy chodzą na dziwki.
  - Wypraszam sobie! – wybuchnął oburzony elf. – To było piękne, romantyczne, głęboko wzruszające przeżycie! Nie pozwolę, żebyś z tego robił jakąś tanią, wulgarną miłośćkę.
  - Przede wszystkim to było głupie – zauważył oschle

Mallory. – Przecież nikt by nie zapłacił za pilnowanie tego cholernego zwierzaka, gdyby nie istniała możliwość, że ktoś go ukradnie.

– Też mi to przyszło do głowy – bąknął Mürgenstürm z nieszczęśliwą miną.

– Nie wątpię, że dopiero po fakcie.

– Kiedy wracałem do Larkspura – przyznał elf.

– Kretyn – stwierdził Mallory.

– Skąd miałem wiedzieć? – bronił się Mürgenstürm. – Przecież wcześniej nic się nie stało, chociaż odchodziłem sześć razy, przyzywany syrenią pieśnią miłości. – A właściwie jak długo opiekowałeś się tym jednorożcem? – zainteresował się Mallory.

– Niecałe pięć godzin.

– I przez ten czas odbyłeś siedem romantycznych schadzek? – Może wyglądam surowo i nieprzystępnie – oświadczył mały elf – ale mam takie same potrzeby jak każdy.

– Raczej jak mało kto – mruknął Mallory, na którym słowa elfa zrobiły spore wrażenie.

– No więc dobrze! – wybuchnął Mürgenstürm. – Nie jestem doskonały! Możesz mnie potępiać!

Mallory zamrugał.

– Nie wrzeszcz – poprosił. – Miałem ciężki dzień i sporo wypięm.

– Więc przestań mnie poniżać.

– Ty jeszcze nie wiesz, na co mnie stać – ostrzegł Mallory. – Jeśli będziesz mi utrudniać życie, przestanę ci pomagać.

– Nie! – wrzasnął elf, aż Mallory wzdrygnął się z bólu. – Proszę – ciągnął zniżonym głosem. – Nie gniewaj się, że straciłem panowanie nad sobą. To wina mojego temperamentu.

To się więcej nie powtórzy.

– Do następnego razu.

– Przyrzekam – oświadczył elf.

Nagle pociąg zwolnił i stanął.

– Wsiadamy? – zapytał Mallory, kiedy drzwi się rozsunęły.

– Na następnej stacji – odparł Mürgenstürm.

Mallory odwrócił się do drzwi i przyglądał się pasażerom wchodzącym do przedziału.

Były to trzy elfy, jakiś dziarski, nieduży człowieczek z rudym, obwisłym wąsem i w długim płaszczu, spod którego wystawał drgający jaszczurczy ogon, oraz elegancka starsza pani trzymająca na smyczy małe zwierzątko z grzywą i łuskami. W ostatniej chwili przed zamknięciem drzwi do przedziału wpadł jakiś Gnom Metra. Wzgardziwszy skórzanymi kanapami oparł się o ścianę naprzeciw Mallory’ego i powoli osunął się na podłogę, przez cały czas wpatrując się w detektywa.

– Nie powinno się im pozwalać jeździć pierwszą klasą – powiedział cicho Mürgenstürm wskazując gнома ruchem głowy. – Po prostu nie pasują do otoczenia. – Z drugiej strony – zauważył Mallory – ta starsza pani wygląda zupełnie normalnie.

– Co w tym dziwnego?

– Wygląda, jakby mieszkała na moim Manhattanie, nie na twoim. – To jest pani Hayden-Finch – szepnął Mürgenstürm. – Dawniej hodowała miniaturowe pudelki. – Westchnął smutno. – Przez dwadzieścia sześć lat nie zdobyła nawet brązowego medalu. – Rozpromienił się. – Teraz hoduje miniaturowe chimery i osiąga znakomite wyniki.

Tej zimy zdobyła pierwszą nagrodę na wystawie w Covent Garden.

– Nie pamiętam, żebym czytał o wystawie chimer w

Westminster. – W Northminster – sprostował elf. – Ta katedra jest znacznie starsza i bardziej godna szacunku.

– W związku z czym nasuwa mi się interesujące pytanie – stwierdził Mallory.

– Dotyczące chimer?

– Dotyczące jednorożców. Dlaczego właśnie ten okaz był szczególnie cenny? Czy to wyjątkowy egzemplarz, reproduktor czy co?

– Następne znakomite-pytanie! Oho, widzę, że wynająłem właściwego człowieka, nie ma wątpliwości!

– Rozumiem, że to oznacza brak odpowiedzi.

– Obawiam się, że masz rację, Johnie Justinie – przyznał Mürgenstürm. – Gdyby ten okaz nie był cenny, nie oddano by go pod moją opiekę... ale poza tym wiem o nim równie mało co ty.

– A co w ogóle wiesz o jednorożcach?

– No – zaczął Mürgenstürm z zakłopotaniem – jednorożce najczęściej są białe i mają rogi, które podobno są dużo warte. Ponadto każdy jednorożec z oburzającym uporem regularnie paskudzi w stajni.

– Coś jeszcze?

Mały elf pokręcił głową.

– Zazwyczaj pilnuję wyłącznie klejnotów, amuletów i tym podobnych rzeczy.

Uczciwie mówiąc nie wiem nawet, co jedzą jednorożce. – Wobec tego czy nie przyszło ci do głowy, że Larkspur mógł po prostu oddalić się na własną rękę, żeby poszukać czegoś na ząb? – zagadnął Mallory.

– Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym – przyznał Mürgenstürm. – W takim razie o wiele łatwiej będzie go znaleźć, nie uważasz? To znaczy jak już się dowiemy, co jadają

jednorożce.

Mallory kiwnął głową.

– Tak, całkiem możliwe. – Przerwał. – Nie jesteś za dobry w swoim fachu, co? – Nie gorszy od ciebie, ośmielę się zauważyć – obruszył się elf. – Gdybym to ja był detektywem, przestępcy, których złapałem, nie chodziliby na wolności. – Chyba nie miałeś zbyt wielu doświadczeń z nowojorskim systemem wymiaru sprawiedliwości – zauważył Mallory.

– Co ma jedno do drugiego? – zdziwił się elf.

– Zupełnie nic – odparł Mallory z lekkim niesmakiem.

Pociąg znowu zaczął zwalniać. Mürgenstürm podniósł się i podszedł do drzwi.

– Wsiadamy – poinformował detektywa.

Mallory wstał, obszedł z daleka miniaturową chimere, która pohukiwała na niego dziwnie krzywiąc pyszczek, po czym dołączył do elfa akurat w chwili, kiedy pociąg stanął i drzwi się rozsunęły.

– Gdzie teraz jesteśmy? – zapytał rozglądając się po nic oznakowanym peronie.

– Na placu Jednorożca.

– W Nowym Jorku nie ma placu Jednorożca.

– Wiem – odpowiedział elf. – Sam wymyśliłem tę nazwę, żeby się nie zgubić. – Nagle zachichotał. – Niezły dowcip: za to zgubiłem jednorożca! – Bardzo zabawne – mruknął Mallory szukając wzrokiem wyjścia. – Jak się stąd wydostaniemy?

– Po ruchomych schodach.

– Tu nie ma żadnych ruchomych schodów.

– Za chwilę będą – zapewnił elf. – Spróbuj zapalić papierosa. Aha, i przesun się trzy kroki w lewo.

– Dlaczego?

– Bo stoisz na drodze.

Mallory odsunął się.

- Na drodze czego?
- Ruchomych schodów - wyjaśnił elf.

Zaledwie przebrzmiały te słowa, kiedy z góry opuściła się lśniąca, srebrzysta rampa i spoczęła dokładnie w miejscu, w którym przedtem stał Mallory. Zaszumił mechanizm i schody ruszyły do góry.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Mallory wchodząc na stopień tuż za Mürgenstürmem.

- Na górę, oczywiście.

Jechali w milczeniu przez kilka minut.

- Jak wysoko? - odezwał się wreszcie Mallory.
- Na powierzchni.
- Jedziemy już trzy albo cztery minuty - zauważył Mallory. - Jak głęboko byliśmy?
- Na poziomie metra.
- Dziękuję.

Po następnej minucie wynurzyli się na otwartą przestrzeń. Było zimno i padał drobny deszcz. Mallory postawił kołnierz marynarki.

- Wszędzie pusto - stwierdził. - Gdzie jesteśmy?
- Na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Mallory rozejrzał się. Budynki wydawały mu się jakby znajome, ale nie wiadomo dlaczego wszystkie miały trochę zwichrowane krawędzie. Przechylił głowę na prawe ramię.

Nie pomagało.

- Gdzie są samochody? - zapytał.
- Kto by wyjeżdżał w taką pogodę? - odparł Mürgenstürm wzdrygając się dostrzegalnie.
- A taksówki?
- Właśnie jedzie jedna - oznajmił elf pokazując w kie-



runku południowym. Piątą Aleją zbliżał się ku nim wielki słoń, obwieszony błyszczącymi ozdóbkami. Na szerokim grzbiecie dźwigał palankin, a siedzący w nim elf z mikrofonem w ręku opisywał cuda Manhattanu kilku innym elfom, które słuchały z wyteżoną uwagą. Nagle słoń dostrzegł Mallory'ego i Mürgenstürma, rozłożył uszy, wyciągnął przed siebie trąbę i zatrąbił. – Chodziło mi o te żółte nowojorskie taksówki – wyjaśnił Mallory wycofując się za róg, żeby zejść słoniowi z oczu.

– Żółte Taxi do usług, proszę pana – zawołał jakiś głos. Mallory odwrócił się w samą porę, żeby uniknąć zderzenia z jasnożółtym słoniem, również przybranym w bogatą uprzęż. – Kurs na Piątą Aleję i do Central Parku – ciągnął elf usadowiony na słoniowym grzbiecie. – Gwarantowany przyjazd przed północą.

– To tylko dwie przecznice stąd – zaprotestował Mallory. – Ale stary Jumbo idzie własną drogą – oświadczył taksjarsz. – Zbacza na wszystkie strony, zupełnie jakby dostał kręćka. Posuwa się niezbyt szybko, ale zdecydowanie, w dodatku ani trochę nie trzęsie, o wiele przyjemniej, niż w tych nowoczesnych, oszczędnych modelach. Na rogu Pięćdziesiątej Ósmej i Broadwayu jest stragan z owocami, którego nie ominął ani razu od dwudziestu lat. Znakomita pamięć! – Dlaczego go nie wytresujesz jak należy?

– Żeby złamać w nim ducha? – oburzył się taksjarsz. – Nawet mi to nie przyszło na myśl!

– Wydaje mi się, że można znaleźć jakiś kompromis, żeby nie łamać w nim ducha ani nie tracić dwóch godzin na pokonanie stu jardów. – My pokonujemy całe mile! – zaprotestował taksjarsz. – Oczywiście nie całkiem w linii prostej... ale przecież na tym polega połowa przyjemności. – Rzucił Mallory'emu gniewne spojrzenie. – Jest sylwester i mam dużo pracy,

bardzo dużo pracy. Chcecie jechać czy nie?

– Pójdziemy piechotą – postanowił Mallory.

– Wasza – strata – stwierdził taksjarz. Kopnął słońca drobną stopą. – Ruszaj, Jumbo!

Wio!

Żółty słoń zakwiczał, skręcił o sto osiemdziesiąt stopni i przeszedł w trucht, ignorując rozpaczliwe wrzaski swego poganiacza.

– Czy wszyscy tutaj są równie zwariowani, jak ty i ten kierowca słońca? – zagadnął Mallory.

– Według mnie on się zachowywał zupełnie normalnie – odparł Mürgenstürm.

– Czyżby? – mruknął Mallory. – Chodźmy dalej.

– Dobrze – zgodził się elf przechodząc na drugą stronę Piątej Alei.

Idąc za nim Mallory spostrzegł, że szeroka ulica zapełniła się nagle. Słonie, konie oraz nadnaturalnych rozmiarów psy, wszystkie jasnej maści i w błyszczących uprzężach, wędrowały tam i z powrotem po jezdni, niosąc pasażerów na grzbietach lub ciągnąc świątecznie udekorowane, otwarte powozy. Dotarli na drugą stronę ulicy, a potem ruszyli okrężną, skomplikowaną trasą, prowadzącą pomiędzy budynki i po bocznych uliczkach, w górę krętymi zaułkami i w dół wijącymi się spiralnie schodami, przez piwnice, gdzie unosiły się dziwaczne zapachy, aż wreszcie Mallory, który usiłował zapamiętać drogę powrotną, całkiem się zgubił. W końcu zatrzymali się na małym, ogrodzonym, porośniętym trawą podwórku. – Jesteśmy na miejscu – oznajmił elf.

– To znaczy gdzie?

– Na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. – Przestań się wygłupiać! – rzucił Mallory z irytacją. – Przecież

stamtąd wyruszyliśmy i zrobiliśmy co najmniej milę.

– Powiedziałbym raczej milę i ćwierć – zgodził się elf.

– Więc jakim cudem znaleźliśmy się w punkcie wyjścia?

Gdzie są sklepy i ulice?

– Tutaj. Po prostu podeszliśmy z drugiej strony.

– To obłąd.

– Dlaczego każda rzecz musi wyglądać tak samo ze wszystkich stron? – sprzeciwił się Mürgenstürm. – Czy drzwi wyglądają identycznie z zewnątrz i od środka? Czy wnętrze czekoladowego tortu niczym się nie różni od jego powierzchni? Wierz mi, Johnie Justinie, naprawdę jesteśmy na rogu Piątej i Pięćdziesiątej Siódmej. Po prostu zaszliśmy od tyłu.

– A gdzie jest przód?

– Ach – uśmiechnął się elf – żeby go zobaczyć, musieliśmy wrócić tą samą drogą.

– Nawet nie wiedziałbym, skąd zacząć – wyznał Mallory.

– Oczywiście od początku.

– Wiesz co – powiedział Mallory – zaczynam cię wyraźnie nie lubić. Zawsze wykręcasz się od odpowiedzi i gadasz bez sensu. – Wszystko się wyjaśni – zapewnił go Mürgenstürm. – Poczekaj, aż spędzisz tutaj trochę czasu.

– Nie mam zamiaru spędzić tutaj trochę czasu – odburknął Mallory. Zaczął się rozglądać po podwórzu, które było kwadratem o boku jakichś pięćdziesięciu stóp, całkowicie zarośniętym chwastami. – To tutaj trzymałeś jednorożca? – Właśnie – potwierdził elf otwierając furtkę. – Patrz pod nogi.

– Następne Gnomy Metra? – zagadnął Mallory.

Mürgenstürm potrząsnął głową.

– Larkspur nie był przyuczony do załatwiania się w wyznaczonym miejscu. – Ostrożnie zbliżył się do sękatego drzewa a detektyw ruszył za nim. – Tutaj go uwiązałem.

Mallory popatrzył na zniszczony dom z piaskowca stojący po drugiej stronie podwórza. Budynek miał sporo okien zabitych deskami i wszędzie było ciemno. Podwójne drzwi, skrzypiąc przeraźliwie, kołysały się w przód i w tył na jednym zardzewiałym zawiasie.

– Ten dom i to podwórze należą do jednego właściciela?  
– spytał Mallory.

– Tak.

– Czy ktoś tam mieszka?

– Dom stoi pusty od ponad roku – odparł Mürgenstürm.  
– Właśnie dlatego wybrałem to podwórko: wiedziałem, że nikt się nie będzie wtrącał. – Prawie nikt – poprawił go oschle Mallory. Przykucnął i zbadał grunt.

– Znalazłeś coś? – zapytał elf po chwili.

– Tylko tropy jednorożca.

– Są jakieś ślady walki? – zasugerował Mürgenstürm. – Myślisz, że ktoś pokonał Larkspura w trzech rundach, zanim go wyprowadził? – rzucił zirytowany detektyw.

– Ja tylko próbuję pomóc – usprawiedliwił się Mürgenstürm. – Więc najlepiej się zamknij – zaproponował mu Mallory. Wyprostował się, a potem zaczął systematycznie przeszukiwać podwórze.

– Czego szukasz? – zaciekał się Mürgenstürm.

– Sam nie wiem – odparł detektyw. – Śladów nienależących do ciebie ani do Larkspura, strzępków ubrania, czegoś, co nie pasuje do ogólnego obrazu. – Jeszcze przez chwilę krążył wśród wysokiej do kolan trawy i chwastów, potem skrzywił się, potrząsnął głową i wrócił do drzewa.

– Żadnej wskazówki? – zagadnął elf.

– Mam koszmarne przeczucie, że będziemy musieli wypatrywać łajna jednorożca, żeby rozwiązać tę sprawę –

oświadczył Mallory. Ostrożnie ruszył do furtki, a za nim Mürgenstürm. – Teraz pomyśl! – nakazał. – Kto jeszcze wiedział, że Larkspur był tutaj?

– Nikt.

– Ktoś musiał wiedzieć. Ktoś go ukradł. Do kogo należy ta działka? – Nie mam pojęcia. Chyba mógłbym się dowiedzieć – zastanawiał się elf. Nagle jego wąskie ramiona opadły bezsilnie, – Ale urzędy miejskie otworzą dopiero jutro rano, a wtedy będzie za późno.

Spojrzenie Mallory’ego pobiegło w stronę cieni, potem znowu skupiło się na twarzy Mürgenstürma.

– Mów dalej – rozkazał detektyw ściszym głosem.

– O czym? – nie zrozumiał elf.

– O czymkolwiek. To nieważne. Ktoś nas obserwuje.

– Jesteś pewien?

Mallory przytaknął.

– Ja nic nie zauważyłem. Widocznie ty masz większe doświadczenie w pracy detektywa.

– Mam spore doświadczenie w wymykaniu się komornikom – wyjaśnił Mallory. – Zaczynaj mówić o jednorożcach. Ten ktoś się zbliża. Na twarzy Mürgenstürma pojawił się wyraz zakłopotania.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Dziesięć minut temu nie mogłem cię zmusić, żebyś się zamknął! – wysyczał detektyw. – Mów coś!

– Głupio się czuję – bronił się elf.

– Poczujesz się o wiele gorzej, jeśli zaraz nie zaczniesz mówić!

– Daj mi jakąś wskazówkę – poprosił desperacko Mürgenstürm.

Mallory zaklął i nagle skoczył w ciemność.

– Mam cię! – wrzasnął triumfalnie. Po chwili wynurzył się z cienia trzymając w ramionach wrywającą się, drapiącą i plującą dziewczynę. – Puszczaj! – prychnęła dziewczyna.

Czując, że zdobycz zaraz mu się wyniknie, Mallory rozluźnił uścisk. Zasycała na niego, potem lekko wskoczyła na płot i tam się usadowiła. – Kim jesteś? – zapytał ją Mallory.

– Ja ją znam – wtrącił Mürgenstürm. – To Felina.

– Co tu robisz? – ciągnął Mallory.

– Mam takie samo prawo jak wy, żeby tu być! – odpowiedziała gwałtownie. – Może nawet większe!

– Pewnie po prostu buszowała po całym domu i szukała odpadków – zauważył Mürgenstürm.

– Więc dlaczego się chowała?

– Nie lubię ludzi!

Przyjrząwszy się jej bliżej Mallory ku swemu zdziwieniu odkrył, że ta młoda, wysmukła istota nie była jednak dziewczyną – a przynajmniej nie wyglądała jak żadna z dziewczyn, które znał. Jej nogi i ramiona porastał miękki puszek barwy pomarańczowej w ledwo widoczne czarne pasy, podczas gdy twarz, szyja i pierś były kremowe. Pomarańczowe tęczęwki przypominały tęczęwki kota, kły były wydłużone, a z górnej wargi wyrastały wąsy – kocie, nie ludzkie. Uszy miała trochę za bardzo zaokrąglone, twarz odrobinę zbyt owalną, paznokcie długie i groźnie się prezentujące. Ubrana była jedynie w krótką brązową sukienkę, która sądząc z wyglądu stanowiła łup zdobyty podczas jakiejś wyprawy po śmietnikach.

– Kim ty jesteś? – zapytał Mallory z wielkim zaciekawieniem.

– Felinis majoris – odpowiedziała wyzywającym tonem.

– Ona należy do ludzi-kotów – wyjaśnił Mürgenstürm. – Niewielu ich już zostało.

- Dlaczego nie lubisz ludzi? – pytał dalej Mallory.
- Oni nikogo nic lubią – wtrącił Mürgenstürm, zanim Felina zdążyła odpowiedzieć. – Psy na nich polują, ludzie od nich stronią, prawdziwe koty ich ignorują.
- Sama mogę za siebie mówić – hardo rzuciła Felina.
- Więc zacznij mówić – zaproponował Mallory. – Co tu robisz?
- Szukam pożywienia.
- Czy ludzie-koty zjadają jednorożce?
- Nie. – Nagle oczy jej się rozszerzyły i uśmiechnęła się bardzo kocim uśmiechem. – Więc to wasz jednorożec został ukradziony!
- Jednorożec był jego – sprostował Mallory pokazując kciukiem na elfa. – Ja mu tylko pomagam w poszukiwaniach.
- Felina odwróciła się do Mürgenstürma.
- Zabiją cię o wschodzie słońca – stwierdziła z rozba-wieniem.
- Chyba że wcześniej go znajdziemy – zaznaczył Mallory.
- Nie znajdziecie.
- Skąd wiesz?
- Bo wiem, kto go ukradł – oznajmiła dziewczyna-kot.
- Kto?
- Zamruczała i polizała sobie ramię.
- Jestem głodna.
- Powiedz mi, kto go ukradł, to kupię ci na obiad wszystko, co zechcesz – obiecał Mallory.
- Ja nigdy nie kupuję obiadów – oświadczyła Felina przeciągając się leniwie. – O wiele zabawniej jest na nie polować.
- Więc wymień swoją cenę.
- Moją cenę? – powtórzyła, jakby sam pomysł sprzedaży

czegokolwiek był dla niej całkowicie nowy. Nagle uśmiechnęła się. – Moja cena jest taka, że chcę widzieć jego twarz – wskazała na Mürgenstürma – kiedy wam to powiem. – Doskonale – stwierdził Mallory. – Przyjrzyj mu się dobrze. – Twój jednorożec, mały elfie – zaczęła Felina wpatrując się w Mürgenstürma, jak kot wpatruje się w mysz – został skradziony przez kogoś imieniem Grundy. Mürgenstürm zrobił się bladozielony i zareagował tak, jakby dostał obuchem po głowie.

– Nie! – wyszeptał opierając się o płot, ponieważ nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Felina uśmiechnęła się i powoli skinęła głową.

– O co chodzi? – wtrącił Mallory. – Kto to jest ten Grundy?

– To najpotężniejszy demon w Nowym Jorku! – jęknął Mürgenstürm. – Może nawet na całym wschodnim wybrzeżu – dodała Felina rozkoszując się przerażeniem elfa.

– Posługuje się magią? – zapytał domyślnie Mallory. – Magia nie istnieje, Johnie Justinie – odparł głucho elf. – Przecież sam o tym wiesz.

– Więc co powoduje, że on jest demonem?

– Nic tego nie powoduje. On po prostu tym jest.

– No dobrze – nie ustępował Mallory – a czym jest demon?

– Wcieleniem złej woli o straszliwej potędze.

– Tak samo jak kontroler z Wydziału Finansowego – rzucił Mallory ze zniecierpliwieniem. – Wyjaśnij to dokładniej. Jak on wygląda? Czy ma rogi? Ogon?

Zionie dymem i ogniem?

– Wszystko to i jeszcze więcej – jęknął Mürgenstürm.

– O wiele więcej – dorzuciła uszczęśliwiona Felina.

Mallory odwrócił się do niej.



– Jesteś pewna, że to Grundy ukradł jednoroźca? – zapytał. – Widziałaś to na własne oczy?

Przytaknęła uśmiechając się od ucha do ucha.

– Lepiej opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło.

– Grundy i Lep Gillespie podeszli do płotu...

– Zaraz – przerwał jej Mallory. – Grundy i kto? – Lep Gillespie – powtórzył Mürgenstürm. – To skrzat, który pracuje dla Grundy’ego.

Nazywają go tak, ponieważ różne rzeczy lepią mu się do rąk.

– Jakie rzeczy? – nie zrozumiał Mallory.

– Portfele, biżuteria, amulety... tego typu przedmioty – wyjaśniła Felina.

– Mów dalej.

– Grundy otworzył furtkę, pokazał palcem jednoroźca i powiedział: „To ten.

Wiesz, co masz robić”. A Lep Gillespie powiedział, że oczywiście wie, co ma robić, i wtedy Grundy znikł, a Lep Gillespie odwiązał jednoroźca i wyprowadził go. – Felina zrobiła przerwę. – To wszystko, co się wydarzyło.

– Jesteś pewna? – nalegał Mallory.

– Tak.

– Gdzie byłaś przez ten czas?

Pokazała mu okno na pierwszym piętrze.

– Co tam robiłaś?

– Polowałam.

– Polowałaś? Na co?

– Na coś smacznego.

– Twierdzisz, że Grundy znikł – mruknął Mallory. – Jesteś pewna, że nie odszedł po prostu, kiedy ty patrzyłaś na jednoroźca?

– On znikł – powtórzyła stanowczo Felina.

Mallory odwrócił się do Mürgenstürma.

– Powiedz mi coś więcej o tym Grundym.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko.

– Nikt o nim nie wie aż tyle – odparł Mürgenstürm. – Wiadomo tylko, że jest wcieleniem złej woli i wyrządza same nieszczęścia na moim Manhattanie. Okropne rzeczy się dzieją, kiedy on się pojawia.

– Jakie rzeczy?

– Okropne! – powtórzył z drżeniem elf.

– Na przykład?, – Nie pytaj!

– Zadawanie pytań jest moim zawodem.

– On odpowiada za całe zło, które tutaj istnieje. Jeśli mamy klęskę żywiołową, on ją rozpętał; jeśli zdarza się niewyjaśniona zbrodnia, on ją popełnił; jeśli wybucha epidemia, on ją wywołał.

– Dlaczego?

– On jest demonem. Taką ma naturę.

– W jaki sposób rozptywa się w powietrzu?

– Jest mistrzem iluzji i mydlenia oczu.

– Ale nie magii?

– Nie. Chociaż – dodał elf – potrafi dokonywać wyczynów, które nawet dla doświadczonego oka niczym się nie różnią od magii. – Jakie są jego słabe strony?.

– Jeśli ma jakieś, nie znam ich.

– Musi mieć, bo inaczej do tej pory zawładnęłyby całym miastem.

– Pewnie tak – mruknął elf z powątpiewaniem.

Mallory odwrócił się do dziewczyny-kota.

– Pomyśl dobrze, Felino. Czy Grundy mówił coś jeszcze?

Czy powiedział Lepowi Gillespie'emu, dokąd zabrać jednorożca?

Felina potrząsnęła głową.

– Czy mówił, kiedy się spotkają?

– Nie.

– Jeszcze jedno, żeby zakończyć sprawę: jak właściwie wygląda jednorożec?

– Całkiem jak koń, tylko inaczej – wyjaśniła Felina.

– A czym się różni od konia? – zapytał Mallory. – Tylko rogiem? – Tylko rogiem – potwierdziła Felina. – Może jeszcze ogonem i głową, i tułowiem, i nogami.

– Wygląda jak koń, tylko ma inny tułów, głowę, nogi i ogon? – upewnił się ironicznie Mallory.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

Mallory przez chwilę patrzył na nią ze złością, potem wzruszył ramionami.

– No dobrze. Czy któreś z was może mi coś powiedzieć o Lepie Gillespie'm?

– To jest skrzat – odparł Mürgenstürm.

– Wiem, że to jest skrzat! – warknął Mallory. – Już mi to mówiłeś? – Ten fakt określa go jednoznacznie – oświadczył Mürgenstürm. – Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

– Prawie wstydzę się pytać, ale jak wyglądają skrzaty? – Są takie... no, małe..-, i mają śmieszne uszy, chociaż wcale nie spiczaste... no i... ee...

– męczył się Mürgenstürm usiłując zakończyć opis.

– Często chodzą w tweedach – odpowiedziała Felina. – W każdym razie rozpoznasz takiego na pierwszy rzut oka – zakończył Mürgenstürm z przekonaniem.

– A jak się zachowują? – wypytywał Mallory powściągniętą chęć, żeby złapać małego elfa i potrząsnąć nim. – Co robią

skrzaty?

– Kradną, rabują i upijają się – odparł Mürgenstürm. – Głównie irlandzką whisky.

– I kłamią – dorzuciła Felina.

– O tak – zgodził się Mürgenstürm. – Nigdy nie mówią prawdy, jeśli mogą skłamać. – Popatrzył na Mallory’ego. – Wydajesz się zdenerwowany, Johnie Justinie. – Ciekawe dlaczego – burknął Mallory. – Spróbujmy jeszcze raz. Gdzie mogę znaleźć Lepa Gillespie’ego?

– Nie wiem – odrzekł Mürgenstürm. – Przepraszam, jeśli moje odpowiedzi niewiele ci dały, ale rzecz w tym, że nikt dotąd nie próbował znaleźć Grundy’ego czy Lepa Gillespie’ego.

Zwykle na ich widok ludzie uciekają w przeciwnym kierunku. – Rozumiem – powiedział Mallory. – Wobec tego uważam, że najwyższy czas ponownie rozpatrzyć nasz kontrakt. Mam wrażenie, że za mało mi płacisz 7a to zadanie.

– Przecież zgodziłeś się przyjąć tę sprawę!

– Ale kiedy się zgodziłem, nie było mowy o żadnym cholernym demonie!

– No dobrze – ustąpił elf z westchnieniem rezygnacji. – Dwadzieścia tysięcy.

– Dwadzieścia pięć – podwyższył Mallory.

– Zgoda.

Mallory wytrzeszczył na niego oczy.. – Trzydzieści pięć. – Przecież powiedziałaś dwadzieścia pięć i ja się zgodziłem! – zaprotestował elf.

– Zgodziłeś się o wiele za szybko – wyjaśnił Mallory. – No więc na pewno nie zgodzę się na trzydzieści pięć tysięcy dolarów, ani teraz, ani później.

– Twoja sprawa – rzucił Mallory. – A Larkspura szukaj sobie sam.

- Dwadzieścia osiem i pół – powiedział prędko elf.
- Trzydzieści trzy.
- Trzydzieści.
- Niech będzie trzydzieści jeden i dobijamy targu.
- Obiecujesz? – nieufnie zapytał elf.
- Słowo honoru.

Elf zastanowił się przez chwilę, a potem skinieniem głowy wyraził zgodę.

- Ty naprawdę będziesz szukał tego jednorożca? – zainteresowała się Felina.

- Owszem – odparł Mallory.
- Nawet wiedząc, że za tym stoi Grundy?
- Nawet wtedy.
- Dlaczego?

- Ponieważ Mürgenstürm płaci mi cholernie dużo forsy – oświadczył Mallory. Zawahał się. – Poza tym ostatnio nie miałem jakoś szczęścia ani w małżeństwie, ani na wyścigach, ani gdzie indziej. Chyba najwyższy czas, żebym wrócił do tego, w czym jestem dobry.

- Podobasz mi się – oznajmiła Felina mruczając i ocierając się o niego biodrem. – Nie jesteś taki jak inni.

- Dziękuję ci – uśmiechnęła się Mallory. – Chyba masz rację. – Jesteś zupełnie inny – powtórzyła. – Jesteś wariat! Pomysleć, że ktoś chce walczyć z Grundym!

- Nie mówiłem, że chcę – zaprzeczył Mallory. – Powiedziałem, że zgadzam się na to za odpowiednią cenę.

Ponownie otarła się o niego.

- Mogę iść z tobą?
- Myślałem, że boisz się Grundy'ego.

- Boję się – przytaknęła. – W końcu cię opuszczę, ale przedtem będzie dużo zabawy.

Mallory przyglądał się jej przez chwilę.

– Potrafisz wywęszyć trop jednorożca?

– Chyba tak.

– Okay, wynajmuję cię. A teraz w drogę. Nie znajdziemy go, jeżeli będziemy tutaj sterczeć i tracić czas na pogawędkę.

Felina rozdymając nozdrza, zbadała grunt, następnie ruszyła do furtki, otworzyła ją i poprowadziła ich pustą, krętą uliczką.

– Przykro mi, że wypadki przybrały tak nieprzewidziany i niebezpieczny obrót, Johnie Justinie – usprawiedliwił się Mürgenstürm, kiedy razem z Mallorym szli za Felina.

– Mogło być gorzej. Teraz przynajmniej wiemy, kogo szukać... i ciągle jeszcze mamy przed sobą prawie całą noc.

– To prawda – przyznał elf. – Ale jeśli zaczniesz energicznie szukać Grundy’ego, on będzie się równie energicznie bronił. – Przerwał. – A jednak ryzykujesz dla mnie życiem i jestem ci wdzięczny.

– Przesadzasz – uspokajał go Mallory. – Ten cały Grundy nawet nie wie, że tu jestem.

Nagle gdzieś huknął piorun i błyskawica na mgnienie rozświetliła nocne niebo. – Nie licz na to za bardzo, Johnie Justinie Mallory! – przemówił tubalny głos z sąsiedniego podwórza.

Mallory natychmiast pobiegł tam, skąd dochodził głos, ale zobaczył tylko tajemnicze cienie płasające po kamiennych gargulcach, które spoglądały na niego z balkonu górującego nad pustą ulicą.

## **Rozdział trzeci**

### **21.58-22.22**

Dotarli do następnej przecznicy, kiedy Mallory zauwa-

żył, że wszędzie robi się coraz jaśniej.

– Chyba pomyliłem kierunki – zwrócił się do Mürgenstürma. – Przysięgłbym, że wracamy tą samą drogą.

– Tą samą, Johnie Justynie – potwierdził elf.

Mallory potrząsnął głową.

– Przedtem ulice były ciemne. A teraz popatrz, latarnie się palą i w wielu oknach widać światło.

– Tak było od początku – zapewnił go Mürgenstürm.

– Akurat.

– Tak było – powtórzył elf. – Po prostu przedtem tego nie widziałeś.

– Dlaczego?

Mürgenstürm podrapał się po głowie.

– Chyba dlatego, że byłeś intruzem należącym do tamtego Manhattanu. A teraz, na dobre czy złe, stałeś się jednym z nas.

– Czy to jakaś różnica?

– Ogromna.

– Dlaczego?

– Znakomite pytanie.

– Więc nie wiesz – stwierdził Mallory.

– Nigdy nie udawałem, że jestem kimś innym niż sobą, czyli piekielnie przystojnym elfem o normalnej inteligencji i przeciętnych potrzebach seksualnych... – Oraz poważnie zagrożonych nadziejach na długowieczność – wtrącił Mallory. – To prawda – przyznał żałośnie Mürgenstürm. – W każdym razie nigdy nie utrzymywałem, że jestem jakimś uczonym czy jasnowidzem, i uważam, że zachowujesz się bardzo nieuprzejmie wytykając mi bez przerwy te braki. Mallory miał właśnie mu odpowiedzieć, ale w tej samej chwili skręcili za róg i detektyw przekonał się, że Manhattan Mürgenstürma w

pełni przebudził się do życia. Ciągłe było zimno i padał deszcz, ale po ulicy uwijały się elfy, gnomy, gobliny, trolle i jeszcze bardziej niehumanoidalne stwory, a także sporo mężczyzn i kobiet. Potężne słonie i konie rozmaitej maści ciągnęły niekończący się strumień furmanek i powozów, a mali uliczni przekupnie o dziwnym wyglądzie, niezaliczający się ani do ludzi, ani do elfów, krzykliwie zachwalali rozmaite towary, od zabawek po magiczne klejnoty. Ogromny mężczyzna o skórze pokrytej łuskami i dziwnie wytrzeszczonych oczach stał przed sklepem z odzieżą i powoli kręcił korbką katarynki, podczas gdy mały jasnowłosy chłopiec na smyczy zbliżył się do Mallory'ego z kubkiem w ręku i pełnym nadziei uśmiechem. Mallory rzucił mu monetę, którą tamten złapał do kubka i skłoniwszy się głęboko fiknął kilka koziółków. Zatrzymał się przed przechodzącą kobietą i wykonując skoczny taniec zmusił ją również do złożenia datku.

– Dostaję honorarium oraz zwrot kosztów, prawda? – odezwał „się nagle Mallory.

– Zgadza się, Johnie Justinie – potwierdził elf.

– Chciałem tylko ci o tym przypomnieć.

– Dlaczego? – zdziwił się Mürgenstürm.

– Ponieważ przemokłem do suchej nitki i zmarłem na kość – oświadczył Mallory zmierzając do frontowych drzwi sklepu z odzieżą. Kataryniarz ustąpił mu z drogi. Mallory spostrzegł, że tamten ma po obu stronach grubej szyi dwa rzędy otworów skrzelowych.

– Tylko nie rozpędzaj się za bardzo, Johnie Justinie – ostrzegł go Mürgenstürm.

– Moje fundusze są ściśle ograniczone.

– Więc wyciągnij jeszcze trochę z powietrza.

– Te pieniądze nie mają żadnej wartości.



– Co? – groźnie warknął Mallory.

– Och, są całkiem dobre na twoim Manhattanie – uspokoił go elf. – Ale co by się stało z moim światem, gdyby każdy, kto potrzebuje pieniędzy, mógł je zwyczajnie wziąć z powietrza?

– Więc daj mi trochę pieniędzy, które są ważne tutaj. Mürgenstürm niechętnie odliczył pięćset dolarów i wręczył je Mallory’emu wraz z całą garścią drobnych. Detektyw pobieżnie obejrzał pieniądze, wsadził je do kieszeni i wszedł do sklepu, który jak na tę późną porę był wyjątkowo zatłoczony. Klienci nosili odzież wszelkich rodzajów, od smokingów po rycerskie zbroje, z wyjątkiem pewnego korpulentnego mężczyzny w średnim wieku, który nie miał nic prócz melonika i parasola ze złotą rączką.

Większość manekinów ubrana była w suknie i płaszcze z atłasu i aksamitu, chociaż kilka przyodziano w kolczugi, a jeden miał na sobie bryczesy i hełm tropikalny. Dwa żywe modele, jeden dobrze powyżej siedmiu stóp wzrostu, a drugi niższy nawet od Mürgenstürma, przechadzały się tam i z powrotem prezentując przecenione garnitury z surówki. – Interesujące – zauważył Mallory.

– Raczej nudne – stwierdził Mürgenstürm, na którym to wszystko wyraźnie nie zrobiło wrażenia.

– Czym mogę służyć? – zapytał elegancko ubrany mężczyzna podchodząc do nich.

– Potrzebuję płaszcza – oświadczył Mallory – najlepiej z futrzanym kołnierzem.

– Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę, proszę pana – odparł mężczyzna.

– Więc może kurtka narciarska na wełnianej podpince?

Mężczyzna potrząsnął głową z lekkim ubolewaniem. –

Strasznie mi przykro, proszę pana, ale po prostu nie marny czegoś tak egzotycznego.

– Nie macie czegoś tak egzotycznego. – powtórzy! Mallory. – A co, u diabła, pokazujecie na manekinach?

– Niewątpliwie chodzi panu o nasz strój safari – odpowiedział mężczyzna wskazując manekina w hełmie tropikalnym. – Obawiam się, że to nasz jedyny ubiór naprawdę outre, proszę pana.

– Słuchaj pan – zdenerwował się Mallory – potrzebuję tylko czegoś, żeby nie marznąć i nie przemoknąć za bardzo.

– I żeby nie było za drogie – pospiesznie dodał Mürgenstürm. – No cóż, zechce pan podać swoje wymiary, a ja zobaczę, co się da zrobić – powiedział mężczyzna wyjmując pióro i bloczek do pisania.

– Nie używa pan centymetra? – zdziwił się Mallory.

Mężczyzna wydawał się rozbawiony.

– Po co?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał Mallory.

– Możemy zaczynać, proszę pana?

– W każdej chwili.

– Wiek?

– Trzydzieści siedem lat – odparł zaskoczony Mallory.

– Nogi?

– Owszem.

Mężczyzna usiłował nie okazywać irytacji.

– Ile, proszę pana?

– Dwie – wyznał Mallory.

– Kolor oczu?

– Brązowy.

– Jakież blizny?

– Blizny? – powtórzył zmieszany Mallory.

– Proszę pana, inni czekają!

Mallory wzruszył ramionami.

– Jedna, po operacji wyrostka.

– Jest pan praworęczny czy leworęczny?

– Praworęczny.

Mężczyzna podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– To chyba wszystko, proszę pana. Zaraz wracam. –  
Dziwne – mruknął Mallory przyglądając się, jak mężczyzna  
spiesznie przechodzi przez sklep.

– Dlaczego tak sądzisz, Johnnie Justinie?

– Nie uważasz, że to niezwykle? – zagadnął Mallory. –  
Niespecjalnie. Oczywiście powinien jeszcze zapytać o plomby i  
ubytki, ale widocznie brakuje im personelu.

W tej samej chwili na drugim końcu sklepu jakaś kobieta  
krzyknęła, a następnie Mallory zobaczył, że Felina wskakuje  
na ladę sycząc z wściekłością. Na głowie miała kapelusz wy-  
konany w całości z winogron, pomarańcz i bananów, i najwy-  
raźniej gotowa była o niego walczyć na śmierć i życie.

– Jeżeli nie zapłacisz, musisz go zwrócić! – zawołała  
sprzedawczyni podchodząc do niej.

Felina ponownie zasyczała i lekko wskoczyła na żyran-  
dol. – Ludzie-koty rzeczywiście nie bardzo potrafią się zacho-  
wać w sklepie – stwierdził ze smutkiem Mürgenstürm. – Oni  
po prostu nie rozumieją kapitalistycznej etyki.

– Idź, kup jej ten cholerny kapelusz i wyciągnij ją stąd,  
zanim kogoś zamorduje – zażądał Mallory.

– Ona nie jest na liście wydatków – zaprotestował  
Mürgenstürm.

– Rób, co ci mówię – ponaglił Mallory. – Możesz to odli-  
czyć z mojego honorarium. Mały elf, zadowolony, poszedł za-  
płacić za kapelusz. W chwilę później wrócił sprzedawca Mal-

lory'ego niosąc czerwoną atłasową szatę ze smoliście czarną pelerynką.

– Jak się panu podoba? – zapytał podnosząc ją do światła. – Prześliczna – zapewnił Mallory. – Ale nie o to prosiłem. Chciałem coś do noszenia na dworze.

– Naturalnie – zgodził się mężczyzna. – Właśnie dlatego wybrałem kolor czarny i czerwony. Nie brudzą się tak szybko, jak nasze bardziej popularne komplety białe ze złotym.

– Chodzi mi nie tylko o brud, co raczej o deszcz i mróz. – Ach, na pewno pyta pan o pas! – wykrzyknął sprzedawca. – Proszę się nie martwić.

Nowe pasy XB-223 mają znacznie ulepszony system sterowania. – Podniósł pas, żeby Mallory go sobie obejrzał.

– Chodzi mi głównie o materiał.

– Najlepiej niech pan przymierzy – zaproponował sprzedawca podając Mallory'emu płaszcz. Detektyw doszedł do wniosku, że ustępując sprzedawcy straci mniej czasu, niż gdyby prowadził dalej tę dyskusję, toteż pozwolił sobie pomóc przy nakładaniu płaszcz. – Och, to pański rozmiar, proszę pana, nie ma dwóch zdań! Czy jest pan gotowy do naszych bezpłatnych testów kontrolnych?

– Testy kontrolne?

– Naturalnie. Gwarantujemy jakość wszystkich naszych wyrobów. Tędy proszę. Zaprowadził Mallory'ego do małej, przezroczystej kabiny i kazał mu wejść do środka.

– Proszę zapiąć pas na pierwszą dziurkę – polecił. Mallory zastosował się do polecenia i po chwili oblały go strumienie wody z pół tuzina ukrytych otworów. Ulewa trwała przez trzydzieści sekund, po czym urwała się nagle.

– No i jak? – zagadnął sprzedawca.

– Sucho – przyznał Mallory ze zdziwieniem.

– Teraz zechce pan zaciągnąć pas mocniej, na drugą dziurkę...

Mallory posłuchał i kabina szybko wypełniła się śniegiem. Po chwili śnieg znikł.

– Ciepło i przytulnie? – zapytał sprzedawca.

Mallory przytaknął.

– To te pasy XB-223 – oznajmił sprzedawca. – Absolutna bomba! – Przerwał. – Ma pan ochotę przeprowadzić testy w warunkach pustyni, dżungli tropikalnej lub szybu kopalni?

– Nie – odparł Mallory wychodząc z kabiny. – To mi wystarczy.

– Czy mam zapakować, proszę pana?

– Nie, nałożę go od razu. Ile jestem winien?

– Dwieście siedemdziesiąt trzy rupie, proszę szanownego pana.

– Słucham?

– Dwieście siedemdziesiąt trzy rupie łącznie z podatkiem.

– Ile to wyniesie w dolarach?

– To wyrób indyjski, proszę pana. Obawiam się, że nie możemy za niego przyjąć amerykańskich pieniędzy.

– Ale ja nic mam żadnych rupii.

– Nie szkodzi, proszę pana. Czy mam to zapisać na pański rachunek?

– Czemu nie? – odparł Mallory wzruszając ramionami.

– Poproszę o pański adres – powiedział sprzedawca.

Nagle Mallory'emu zaświtał pewien pomysł.

– Czy Grundy albo Lep Gillespie mają tu otwarty rachunek?

Sprzedawca zbladł.

– Grundy? – wyszeptał.

– Albo Lep Gillespie.

– Dlaczego pan pyta? – wyjąkał sprzedawca.

– To moi dobrzy przyjaciele, ale zapomniałem gdzieś ich adresy. – Pańscy przyjaciele? – powtórzył przerażony sprzedawca. – Niech pan bierze płaszcz!

Nic pan nie płaci!

– Jak mogę ich znaleźć?

– Nie wiem – pisnął sprzedawca odsuwając się od detektywa. – Ale kiedy pan ich znajdzie, niech pan nie zapomni im powiedzieć, że dałem panu płaszcz za darmo! Odwrócił się i czym prędzej zanurkował w tłum kupujących. Mallory przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, potem wyszedł ze sklepu i odnalazł Felinę oraz Mürgenstürma, którzy czekali na ulicy. Dziewczyna-kot uśmiechała się i popisывała się nowym kapeluszem przed każdym przechodniem.

– Jesteś mi winien sto sześćdziesiąt pięć peso – oznajmił Mürgenstürm. – Jesteśmy kwita. – Mallory zapiął pas na pierwszą dziurkę i przekonał się z zachwytem, że pas natychmiast osłonił go od deszczu. – Dostałem płaszcz za darmo.

– Jak ci się to udało?

– Mam wysoko postawionych przyjaciół – uciał detektyw. – No dobra, Felina, potrafisz odnaleźć trop jednorożca?

Dziewczyna-kot podeszła do Mallory'ego, otarła się o niego i zamruczała.

– Nie rób tego – zaprotestował detektyw rozglądając się niespokojnie.

– Podrap mnie po grzbiecie – poprosiła Felina.

– Nie przy ludziach.

Znowu się o niego otarła.

– Podrap mnie, bo sobie pójdę – zagroziła.

Detektyw skrzywił się i zaczął ją masować po plecach.

Felina z błogim uśmiechem przeżyła się i wyginała na wszystkie strony pod jego ręką. – Wystarczy? – zapytał Mallory po chwili.

– Na razie tak – odparła z zadowoleniem. Ruszyła przed siebie przytrzymując jedną ręką kapelusz, a Mallory i Mürgensturm poszli za nią. Felina przez jakiś czas trzymała się głównej alei, potem skręciła w drugą z kolei wąską-uliczkę. Po kilku jardach przystanęła, rozejrzała się niepewnie, podeszła do skrzynki na listy, wskoczyła na nią i zaczęła sobie wylizywać wierzch lewego uda.

– Coś nie gra? – zapytał Mallory.

Felina wylizywała się jeszcze przez chwilę, zanim podniosła głowę.

– Zgubiłam trop – oznajmiła.

– Ale Larkspur na pewno wszedł w tę uliczkę?

Wzruszyła ramionami.

– Tak mi się zdaje.

– Tak ci się zdaje? – powtórzył Mallory, kiedy z powrotem zajęła się lizaniem uda.

,- Dotarł do tego miejsca, ale tędy przechodziło za dużo ludzi. Nie wiem, dokąd poszedł potem.

– Wspaniale – burknął Mallory. Zrobił kilka kroków. – A jak w tym miejscu? Felina zeskoczyła ze skrzynki na listy, podeszła do detektywa, wciągnęła nosem powietrze i ponownie wzruszyła ramionami.

Mallory rozejrzał się po słabo oświetlonej i praktycznie wyludnionej uliczce. Kilka budynków miało odnowione fasady, a jeden pysznił się oświetloną rzęsiście restauracją na świeżym powietrzu. Z powodu lodowatego deszczu większość stolików stała pusta, ale jeden był zajęty przez dwóch mężczyzn. Człowiek odwrócony plecami do Mallory'ego ubrany

był w trencz i filcowy kapelusz, natomiast jego partner siedzący naprzeciwko, znacznie niższy, miał na sobie wymięty dwurzędowy garnitur z przeceny i bez przerwy ocierał twarz z wody wielką jedwabną chustką. Podchodząc bliżej Mallory zobaczył, że mężczyźni grają w szachy.

– No, od czegoś trzeba zacząć – mruknął detektyw zatrzymując się obok dwóch szachistów. Stał tak przez chwilę, podczas gdy tamci ze skupieniem wpatrywali się w szachownicę. Wreszcie odchrząknął. – Przepraszam bardzo – zaczął. – Nic nie szkodzi – odezwał się mężczyzna w trenczu, nie podnosząc wzroku znad szachownicy. – A teraz spływaj.

– Czy mogę o coś zapytać? – nie ustępował Mallory.

– Możesz – powiedział mężczyzna. – Ale i tak ci nie odpowiem.

– To potrwa tylko sekundę.

Mężczyzna z irytacją podniósł wzrok.

– To już zajęło dwadzieścia sekund. – Odwrócił się do swojego przeciwnika. – Nie próbuj mi tego doliczać do czasu.

– Oczywiście, że doliczę – oświadczył mniejszy gracz z lekkim nosowym akcentem, którego Mallory nie mógł zidentyfikować. – Pamiętasz dzień zwycięstwa nad Japonią?

Wstałem i wiwatowałem, a ty doliczyłeś mi całą minutę.

– To było, co innego – odparł mężczyzna w trenczu. – Nikt ci nie kazał wstawać.

– Postąpiłem patriotycznie.

– Ty sam zdecydowałeś się postąpić patriotycznie. Natomiast ja siedziałem spokojnie i nie mieszałem się do niczego, kiedy ten źle wychowany prostak mnie zaczepił. – Trzydzieści dziewięć dni, osiem godzin, sześć minut i szesnaście sekund, odliczanie trwa – oświadczył twardo mniejszy gracz.

Mężczyzna w trenczu spiorunował Mallory'ego wście-



kłym wzrokiem.

– Widzisz, co narobiłeś! – warknął.

– Słyszałem, że mówiliście o Dniu Zwycięstwa – zagał Mallory. – Czy wy, chłopcy, naprawdę gracie od drugiej wojny światowej?

– Dokładnie od 4 lutego 1937 roku – sprecyzował niższy mężczyzna.

– Kto prowadzi?

– Straciłem jednego pionka – wyznał mężczyzna w trenzu.

– Chodzi mi o to, ile partii każdy z was wygrał. – Co za kretyńskie pytanie! Chyba nie myślisz, że siedziałbym tu na deszczu w wieczór sylwestrowy, gdybym go pokonał.

– Nigdy go nie pokonałeś? – zdziwił się Mallory. – Więc dlaczego ciągle próbujesz od nowa?

– On też mnie nigdy nie pokonał.

– Wy dwaj pewnie ustanowiliście rekord w uzyskiwaniu samych remisów – zauważył Mallory.

– Nigdy nie doszliśmy do remisu.

Mallory zamrugał strącając krople deszczu z rzęs. – Postawmy sprawę jasno – odezwał się w końcu. – Rozgrywacie jedną i tę samą partię szachów od pół wieku?

– Możesz wierzyć albo nie – odparł mężczyzna w trenzu.

– Partia szachów nie zabiera tyle czasu – zaprotestował Mallory.

– Chyba że to my ją rozgrywamy – oświadczył niższy mężczyzna z odcieniem dumy. – Racja – potwierdził jego przeciwnik. – Wszystko zależy od partii... a właściwie od stylu gry stosowanego przeze mnie i przez Łasicę. – Łasicę? – powtórzył Mallory.

– To ja – wyjaśnił niższy mężczyzna z nadzwyczaj skromnym uśmiechem. – A on nazywa się Trencz.

– Nie macie prawdziwych nazwisk?

– My wiemy, kim jesteśmy – oznajmił Trencz zapalając zgniecionego camela.

– I siedzicie tutaj od pięćdziesięciu lat?

– Nie całkiem – sprostował Trencz. – Zaczęliśmy na tych łach baru w Village, ale oni stracili koncesję jakieś trzydzieści lat temu.

– Dokładnie trzydzieści dwa – poprawił go Łasica.

– Więc właściwie siedzimy tutaj tylko przez jedną trzecią stulecia.

– Bez przerwy? – upewnił się Mallory.

– Wyjąwszy zaspokajanie potrzeb naturalnych – odparł Łasica.

– Jemy posiłki przy tym samym stoliku – wtrącił Trencz.

– To oszczędza czasu. – I oczywiście – dorzucił Łasica – kiedy wypada jego ruch, ja nadrabiam zaległości w spaniu.

– Czy żadnego z was nie interesuje, co wydarzyło się na świecie przez ostatnie pół wieku? – spytał Mallory.

– Nawet bardzo – przyznał Łasica. – Czy ciągle toczą się wojny?

– Trzydzieści albo czterdzieści – odpowiedział Mallory.

– A czy na ulicach popełniane są przestępstwa?

– Oczywiście.

– A co z Jankesami? – chciał wiedzieć Trencz. – Czy dalej wygrywają?

– Od czasu do czasu.

– No i sam widzisz – stwierdził Trencz wzruszając ramionami. – Nic się nie zmieniło.

– Pomyśl, ile pieniędzy zaoszczędziliśmy nie kupując

gazet – dodał Łasica.

– Przecież nie możecie po prostu usunąć się ze świata i grać w szachy przez resztę życia – upierał się Mallory.

– Oczywiście, że możemy – oznajmił Trench.

– Przynajmniej dopóki nie skończymy partii – poparł go Łasica.

– A czy kiedykolwiek skończycie?

– Naturalnie – oświadczył Łasica z przekonaniem. – Do-  
stanę go za jakieś piętnaście lat.

– Akurat – rzucił pogardliwie Trench.

– Ale wy sobie marnujecie życie – zauważył Mallory. –  
Siedzicie tutaj i zwyczajnie wegetujecie.

– To on wegetuje – obruszył się Łasica. – Ja opracowuję  
plan, żeby przebić się przez jego indyjską obronę.

Trench odwrócił się, żeby przyjrzeć się Mallory'emu.

– A co ty takiego ważnego robisz?

– Tropię jednorożca.

– No, w tym mieście raczej go nie znajdziesz – stwierdził  
Trench. – Jednorożce potrzebują wody i zieleni. Na twoim  
miejscu poszukałbym w Afryce albo w Australii, albo gdzieś  
dalej.

– Ten jednorożec został ukradziony – wyjaśnił Mallory.

– To twój jednorożec?

– Nie. Ja jestem detektywem.

– Wiesz, to dziwny przypadek – zauważył Trench.

– O? Dlaczego?

– Bo ja też kiedyś byłem detektywem.

– A ty? – zwrócił się Mallory do Łasicy. – Ty też byłeś  
detektywem?

– Au contraire. Ja byłem przestępcą.

– Co więcej – wtrącił Trench – on był moim przestępcą.

– Chyba nie bardzo rozumiem – wyznał Mallory.

– To naprawdę całkiem proste – tłumaczył Trencz. – Co jest jedyną rzeczą, bez której detektyw absolutnie nie może się obejść? Przestępca! – A ja potrzebowałem go równie desperacko – przejął wątek Łasica. – Prawdę mówiąc określamy się nawzajem. Nie ma przestępców, jeśli nie istnieje prawo, i nie można walczyć o przestrzeganie prawa, jeśli nie ma przestępców. Innymi słowy nasz związek stanowił symbiozę. Codziennie rano odbijałem kartę o ósmej i wychodziłem, żeby rabować, plądrować i grabić...

– A ja odbijałem kartę o dziewiątej... zgodnie z zasadami gry należało zostawić mu trochę czasu, żeby zdążył pogwałcić jakieś prawa... potem zaś usiłowałem go zaaresztować. – Trencz przerwał i uśmiechnął się na to przyjemne wspomnienie. – Przez cały dzień zmagaliśmy się w pocie czoła: on w przebraniu krył się wśród cieni, ja zbierałem dowody i starałem się go wytropić...

– Z godziną przerwą na lunch – wtrącił Łasica. – ...a potem odbijaliśmy kartę o piątej, wstępowaliśmy razem na kieliszek i odpoczywaliśmy przed następnym dniem.

– Nawet uzgadnialiśmy między sobą urlopy i zwolnienia lekarskie. – Właśnie – przyznał Trencz. – Aż pewnego dnia odkryliśmy, że sama gra stałą się dla nas ważniejsza od nagrody.

– Stwierdziłem, że walka na umyśle z moim przeciwnikiem dostarcza mi większej satysfakcji niż złodziejski proceder. A tymczasem miałem w domu cały skład opiekaczy do tostów i ciągle musiałem jadać na mieście.

– A ja w gruncie rzeczy, wcale nie miałem ochoty łapać morderców i kasiarzy; na ogół żaden z nich nie był dla mnie godnym przeciwnikiem... a poza tym sąd i tak zawsze ich wy-

puszczał na wolność.

– Doszliśmy również do wniosku, że obaj robimy się trochę za starzy, żeby ganiać się po mieście i strzelać do siebie... – podjął Łasica. – Chociaż nigdy nie Celowaliśmy tak, żeby trafić... – Więc skoro interesowała nas wyłącznie walka na umyśle, postanowiliśmy zrezygnować z wszelkich urządzeń peryferyjnych i skoncentrować się na właściwej rozgrywce.

– Znalazłem inną pracę dla Velmy, mojej sekretarki – w tym momencie Mallory zamrugał – A później zaś usiedliśmy z Łasicą” żeby przedyskutować najbardziej obiecujące możliwości...

– Poważnie zastanawialiśmy się nad kartami – w sąsiednim budynku toczy się partia pokera prowadzona przez Lincolna z Nebraski, która trwa jeszcze dłużej od naszej – ale szukaliśmy czegoś wykluczającego element przypadku... – I wybraliśmy szachy – zakończył Trench.

– Tak jest. Uderzam pod osłoną nocy i kradnę mu pionka... – A ja tropię go po ciemnych, krętych uliczkach pomiędzy wieżami i gońcami – dokończył Trench z westchnieniem satysfakcji. – To daje znacznie więcej zadowolenia niż tropienie morderców. Albo jednorożców, skoro o tym mowa. – Co do jednorożców... – zaczął Mallory.

– Myślałem, że mówimy o szachach – wpadł mu w słowo Trench.

– Tylko niektórzy – burknął Mallory. – Inni szukają skradzionego jednorożca.

– Naprawdę nie wiem, jak możemy ci pomóc.

– Wytropiliśmy go do tej uliczki, a potem zgubiliśmy ślad. Czy nie przechodził tędy w ciągu ostatnich paru godzin? Powinien mu towarzyszyć pewien skrzat.

– Kto wie? – odparł Trench wzruszając ramionami. – Ja

już od dwóch dni koncentruję się przed moim następnym ruchem.

– A ty? – zwrócił się Mallory do Łasicy.

– Ja patrzyłem na niego, żeby sprawdzić, czy nie oszukuje – odparł Łasica.

– W każdym razie ja na twoim miejscu nie spieszyłbym się z łapaniem tego jednorożca – oświadczył Trench.

– Dlaczego?

– Uwierz koledze detektywowi: patrzysz na to z niewłaściwej perspektywy. Jeden jednorożec, ukradziony starannie i jak należy, może ci zapewnić dobrze płatne zajęcie do końca życia.

– Dziękuję za radę – odparł Mallory – ale tu chodzi o jego życie – pokazał palcem Mürgenstürma – które zakończy się jutro rano, jeśli nie znajdę tego jednorożca. – Kto chce go zabić? – zainteresował się Trench.

– Mam wrażenie, że będą się o to ubiegać dwie strony: jego gildia oraz Grundy.

– Grundy? – powtórzył Trench unosząc brew. – Czy on jest w to zamieszany?

– Tak.

– Uważaj na niego – ostrzegł Trench. – To kawał drania.

– Możesz mi coś o nim powiedzieć? – zagadnął Mallory.

– Właśnie to zrobiłem – wyjaśnił Trench.

– Czy wiesz może coś o skrzacie zwanym Lep Gillespie?

– Tylko ogólnie.

– Ogólnie? – powtórzył Mallory.

– Skrzaty to złośliwe i źle wychowane stworzenia.

– Pewnie nie miałbyś ochoty wziąć udziału w poszukiwaniach? Trench przez chwilę wpatrywał się w szachownicę, potem westchnął i potrząsnął głową.

– Nie teraz, kiedy zbieram się do zadania śmiertelnego ciosu.

– Wobec tego możesz już sobie iść – odezwał się Łasica.  
– Chyba rzeczywiście przyparłeś go do muru – przyznał Mallory rzucając szybkie spojrzenie na szachownicę.

– Tak uważasz? – triumfalnie zawołał Trencz. – Więc popatrz na to! Nachylił się, chwycił swoją królową i postawił ją na sąsiednim stoliku, tuż za wazonem ze sztucznymi goździkami.

– Mon Dieux! – wymamrotał zdumiony Łasica. – Cóż za zuchwałe, bezczelne, genialne w swej prostocie posunięcie!

Natychmiast zamilkł i zaczął się zastanawiać, jak uchronić swego gońca przed atakiem zagrażającym z sąsiedniego stolika.

– Nie ma sensu dłużej tu sterczeć – oświadczył Mallory potrząsając głową z niedowierzaniem. – Gdzie się podziała nasza wierna tropicielka? Mürgenstürm pokazał mu stojący nieco dalej kosz na śmieci, opatrzony tabliczką z napisem: ZACHOWAJ CZYSTOŚĆ, w którym grzebała Felina bez kapelusza, szukając jadalnych odpadków.

– Zawołaj ją i, skończmy z tym cyrkiem – polecił Mallory. Kiedy Mürgenstürm poszedł po Felinę, detektyw nachylił się nad Łasicą i szepnął:

– Solniczka na c4.

Oczy Łasicy rozszerzyły się.

– Wiesz co – odszepnął z podnieceniem – pomysł jest tak zwariowany, że może się udać! – Powrócił do studiowania szachownicy.

– Co się stało z twoim kapeluszem? – zapytał Mallory, kiedy Felina wróciła w towarzystwie Mürgenstürma.

– Znudził mi się – odpowiedziała wzruszając ramionami.

– Co teraz, Johnie Justinie? – niespokojnie zapytał elf.  
– Dalej szukamy Larkspura.  
– Ale gdzie? Zgubiliśmy ślad.  
– No i koniec ułatwień – stwierdził Mallory. – Wygląda na to, że będę musiał włożyć trochę wysiłku w tę sprawę.

– Wysiłku?

Mallory przytaknął.

– Zanim zacznę szukać jednorożca, muszę dokładnie wiedzieć, czego szukam. Jak wygląda jednorożec? Czym się żywi? Czy należy mieć pod ręką jakąś dziewczycę? Gdzie mogą go ukryć? Jakie ślady zostawia jednorożec oprócz łajna? Czy reaguje on jakiś szczególnie dźwięk lub zapach?

– Skąd mam wiedzieć? – bronił się Mürgenstürm. – Ja miałem tylko pilnować tego cholernego zwierzaka, a nie badać jego obyczaje. – A kto wie?

– Nie mam pojęcia – odparł elf. Dotarli już do skrzyżowania z główną ulicą. Tłumy przechodniów przepychały się beładnie na chodnikach, mnóstwo zwierząt zaprzęzonych do różnych pojazdów pędziło jezdnią nie zwracając żadnej uwagi na światła regulujące ruch.

Felina zaczęła wspinać się na latarnię w pogoni za małym nietoperzem, który trzepotał wokół klosza lampy.

– Osoby rozprawiające bez końca o zwyczajach i środowisku jednorożców niezbyt odpowiadają moim wyobrażeniom o dobrym towarzystwie – dokończył elf. – Może jakiś zoolog? – zasugerował Mallory.

– Moim zdaniem niezły pomysł – uznał Mürgenstürm. – Znasz jakiegoś? – Mallory tylko na niego popatrzył. Nagle elf triumfalnie strzelił palcami. – Mam! – Co?

– Muzeum Historii Naturalnej! Mają tam wśród eksponatów wypchanego jednorożca.



Powinni dysponować wszelkimi potrzebnymi informacjami.

– Myślisz, że będzie otwarte? – powątpiewał Mallory. – Znam nocnego stróża. Wpuści nas do środka w zamian za niewielkie wsparcie finansowe.

– Co taki zielony kurdupel mógł robić w muzeum?

– Jest tam galeria, którą zamknęli do remontu, a przy takiej pogodzie... ee...

no wiesz, jak to bywa...

– To tam zabierasz swoje podrywki? – niedowierzająco zapytał Mallory.

– Czasami – przyznał elf. – Tylko te, które mieszkają w pobliżu. Nie więcej niż trzy lub cztery na wieczór. – Wyprostował się na całą swoją niewielką wysokość. – I to nie są żadne podrywki – dodał z godnością.

– Nie?

– No, nie wtedy, kiedy je tam zabieram – wyjaśnił Mürgenstürm. – Dopiero kiedy wychodzę.

W tejże chwili Felina lekko zeskoczyła na ziemię obok nich i delikatnie zdjęła z wargi strzęp szarej sierści.

– Trafiłem między stworzenia o zwyrodniałych apetytach – skomentował Mallory z niesmakiem. Rozejrzał się po szerokiej ulicy. – No, idziemy. Właśnie mijał ich gazeciarski dźwigający pod pachą wielki stos zwiniętych, świeżo wydrukowanych gazet.

– Grundy wysyła ostrzeżenie! – wołał wymachując nad głową gazetą, którą trzymał w wolnej ręce. – Przeczytajcie! Grundy wysyła ostrzeżenie! – Widzisz? – powiedział Mallory z przekonaniem. – Grundy ma tyle innych zajęć, że pewnie nawet nie zdążył obejrzeć Larkspura, odkąd go ukradł. Drugi gazeciarski zbliżył się do nich z przeciwnej strony. – Grundy

grozi Mallory'emu! – wrzasnął. – Dodatek nadzwyczajny! Dodatek nadzwyczajny! Grundy grozi Mallory'emu! Tyki i konusy znowu przegrywają! Mallory podszedł do chłopca.

– Daj no mi jedną – powiedział wyjmując drobne z kieszeni.

Gazeciarz podał mu egzemplarz i Mallory rozłożył gazetę.

– „«Mallory, wracaj do domu, póki czas!» ostrzega Grundy” – przeczytał na głos.

– Czy jemu chodzi o ciebie? – spytała Felina.

– Chyba tak.

Uśmiechnęła się i otarła o niego.

– Jesteś sławny!

Mallory ponownie rzucił okiem na gazetę, a następnie popatrzył na Mürgenstürma.

– Skąd, u diabła, miał moją fotografię? – zapytał w końcu.

Mały elf wzruszył ramionami.

– To jest właśnie cały Grundy.

Nagle mały chłopiec w uniformie listonosza podbiegł do nich i wręczył Mallory'emu kopertę.

– Co to jest? – zapytał Mallory.

– Telegram, proszę pana.

– Na pewno do mnie?

– Pan się nazywa John Justin Mallory, tak?

Mallory kiwnął głową.

– Ile jestem winien?

– Opłacono z góry.

Mallory rzucił mu monetę, którą chłopiec złapał w biegu, po czym rozdarł kopertę.

**MALLORY, NIE IDŹ DO MUZEUM, POWTARZAM, NIE IDŹ**

DO MUZEUM ANI NIE PRÓBUJ ODNALEŹĆ JEDNOROŻCA I LEPA GILLESPIE'EGO STOP TWOJE ŻYCIE JEST W NIEBEZPIECZEŃSTWIE STOP TO JEST PIERWSZE I OSTATNIE OSTRZEŻENIE STOP Mallory podał telegram Mürgenstürmowi, który po przeczytaniu zrobił się prawie biały. Telegram wysunął mu się z drżących palców i upadł na mokry chodnik. – Dopiero niecałe dwie minuty temu postanowiliśmy, że pójdziemy do muzeum – przypomniał Mallory.

Mürgenstürm przełknął ślinę.

– Wiem.

– Nawet gdybyśmy byli na podsłuchu, samo napisanie i doręczenie telegramu zabiera więcej czasu.

– Widocznie nie Grundy'emu – stwierdził Mürgenstürm drżącym głosem.

– Mówiłeś, że on nie dysponuje żadną magiczną siłą. – Masz absolutną rację, Johnie Justinie. Magia nie istnieje i zawsze powtarzałem, że w naszych oświeconych czasach powinno się wyśmiać każdego, kto twierdzi inaczej. – Więc jak wytłumaczysz ten telegram? – nalegał Mallory.

Mały elf uśmiechnął się niewyraźnie.

– Może nie miałem racji.

## **Rozdział czwarty**

### **22.22 – 23.20**

Mallory rozejrzał się po wystawach sklepów.

– Czego szukasz, Johnie Justinie? – zagadnął Mürgenstürm. – Myślałem, że idziemy do muzeum.

– Przede wszystkim najważniejsze – oznajmił Mallory. – Gdzie tu jest sklep z bronią?

– Przy następnej przecznicy – wyjaśnił Mürgenstürm. – Ale mówiłeś, że nigdy nie nosisz broni.

– Nigdy dotąd nie otrzymywałem pogroźek od demona – odparł Mallory ruszając w kierunku wskazanym przez elfa. – Czy sklep będzie otwarty w sylwestra? – Czemu nie? – odpowiedział Mürgenstürm. – W sylwestra ginie od kul więcej ludzi niż w każdą inną noc w roku.

Po minucie dotarli do sklepu i Mallory zwrócił się do elfa:

– Chyba Felinie wystarczy ta jedna orgia zakupów. Najlepiej zostań z nią tutaj i przypilnuj, żeby gdzieś nie powędrowała.

– Po co się o nią martwić? – zaprotestował Mürgenstürm. – Przecież już jej nie potrzebujemy do tropienia śladów.

Ponieważ mam przecucie że przyda nam się wszelka możliwa pomoc.

– Nawet niewykwalifikowana?

– Nie zawsze można wybierać – oświadczył Mallory. – Znajdź mi kogoś o odpowiednich kwalifikacjach, to porozmawiamy, jak się pozbyć Feliny. – Ty jesteś szefem – ustąpił Mürgenstürm wzruszając ramionami. – I lepiej będzie, jeśli to sobie zapamiętasz – zakończył Mallory, po czym wszedł sam do sklepu.

Było tam sporo klientów oglądających najrozmaitszą broń. Trio mężczyzn w mundurach wojskowych wymieniało poglądy na temat szybkostrzelnych karabinów automatycznych; potężny, brodaty wojownik odziany w futra i płaski metalowy hełm na głowie wypróbowywał wojenne topory; kredowo blada kobieta o długich, czarnych włosach i wysokich łukach brwi przybierała przed lustrem wyszukane, dramatyczne pozy z ozdobnym sztyletem w rękę; inna kobieta, głośno narzekając na swego męża, kazała ekspedientowi przynieść coraz to większe rewolwery; jakiś Gnom Metra, co chwilę

rzucając lękliwe spojrzenia na drzwi, porównywał rozmaite typy amunicji; a tuzin innych klientów wszelkich ras i rozmiarów po prostu kręciło się tu i tam bez wyraźnego celu. Mallory przystanął przy gablocie z pistoletami, potem obejrzał prymitywne włócznie zawieszane na ścianie w małych metalowych uchwytach i krążąc po sklepie odkrywał coraz to nowe rodzaje broni, które wydawały mu „się absolutnie bezużyteczne. Wreszcie podszedł do głównego kontuaru.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał drobny, łysiejący człowieczek z obwisłym wąsem.

– Poradą – odparł Mallory. – Jaki rodzaj broni unieszkodliwia skrzata? – Skrzata? – powtórzył człowieczek z radosnym uśmiechem. – Ach, nie ma to jak polowanie na skrzaty w deszczową pogodę! Ilu tych mikrusów zamierza pan ustrzelić?

– Tylko jednego.

Człowieczek współczująco pokiwał głową.

– Z każdym rokiem coraz trudniej ich wytropić. Nie tak bywało w starych dobrych czasach, co?

– Chyba nie.

– Jakie sportowe szansę chce mu pan zapewnić?

– Żadnych.

– Całkiem słusznie, proszę pana – zgodził się sprzedawca, daremnie usiłując ukryć dezaprobatę. – Zakładam, że pańskie zezwolenie jest w porządku? – Zezwolenie?

– Na odstrzał skrzatów – wyjaśnił cierpliwie sprzedawca.

– Nie wiedziałem, że będzie mi potrzebne.

– Na pewno zostawił je pan w domu.

– Nie mam zezwolenia.

– Na pewno pan ma – perswadował sprzedawca. – Bez zezwolenia nie mógłby pan kupić broni, żeby zabić tego ma-

łego drania, prawda? – Zostawiłem zezwolenie w domu – powiedział Mallory. – Wygląda pan na uczciwego człowieka – oświadczył sprzedawca. – Nie widzę przeszkód, żeby nie uwierzyć panu na słowo. – Sięgnął pod ladę i wyjął mały pistolet. – Pierwszorzędny towar, proszę pana. Dziesięć naboí, jeden w komorze i dziewięć w magazynku, celny na dystans do dwustu stóp. – Położył pistolet na ladzie i postawił obok pudełko z amunicją. – Życzy pan sobie coś jeszcze? – Owszem – potwierdził Mallory. – Jak zabić demona? – To zależy. Posiadamy pełny asortyment amuletów i talizmanów. – Sprzedawca sięgnął do następnej gabloty i wyciągnął długą kryształową różdżkę. – Albo może pan użyć tego maleństwa! Najładniejsza broń, jaką pan widział. Gwarantuję, że załatwi każdego demona poniżej poziomu Piątego Kręgu.

– Nie jestem przyzwyczajony do magii – wyznał Mallory.  
– Jaka sztuczka się w tym kryje?

– Żadna. I byłbym panu wdzięczny, gdyby nie używał pan słowa magia – oznajmił wyniośle sprzedawca. – Ta różdżka działa według ściśle naukowych zasad, dokładnie tak samo, jak wszystkie nasze amulety i talizmany: ugina światło, żeby zapewnić panu niewidzialność, jonizuje powietrze wokół pańskiego przeciwnika pozbawiając go w ten sposób tlenu, zagęszcza chmury w celu wywołania piorunów i błyskawic, ponadto...

– No dobrze – przerwał Mallory – biorę ją. – Podniósł różdżkę i obejrzał ją. – Jak to włączyć?

– Zaklęcia są dołączone do instrukcji obsługi.

– Zaklęcia?

– Są to pewne kluczowe słowa, które uruchamiają określone reakcje za pośrednictwem mikroprocesora umieszczonego w uchwycie – wyjaśnił sprzedawca. – Reszta została do-

dana po prostu dla efektu.

– I to rzeczywiście podziela na każdego demona, którego zaatakuję? – upewnił się Mallory.

Sprzedawca potrząsnął głową.

– Tylko na te poniżej Piątego Kręgu. Z jakim rodzajem demona zamierza pan walczyć?

– Nie wiem. Ale nazywają go Grundy, jeśli to coś panu mówi.

– Chce pan zabić Grundy’ego? – zachłysnął się sprzedawca.

– Tylko w razie konieczności.

– Pan przypadkiem nie nazywa się Mallory?

– Owszem.

Sprzedawca wyrwał mu różdżkę.

– Proszę odejść!

– Nie znajdzie pan nic dla mnie?

– Trafił pan w niewłaściwe miejsce! – zaskamlał sprzedawca przykucając za kontuarem. – Panu jest potrzebna wyłącznie Biblia. – Biblia podziela na Grundy’ego?

– Nie, ale może pan spróbuje nauczyć się szybko jakiejś modlitwy, zanim on pana dopadnie.

– Ile jestem winien za pistolet? – zapytał Mallory.

– Sto siedemdziesiąt pięć dolarów.

– Mam tylko setki – oznajmił Mallory. – Będzie pan musiał wstać, żeby wydać mi resztę.

– Niech pan tylko położy setkę na ladzie i odejdzie! Mallory, zdając sobie sprawę, że wszyscy w sklepie przyglądają mu się z mieszaniną strachu i współczucia, wziął pistolet i pudełko z nabojami, wsadził je do kieszeni i wyszedł na ulicę, gdzie znalazł czekających na niego Feline i Mürgenstürma. – Co teraz, Johnie Justinie?

– Teraz idziemy do muzeum. – Mallory zawahał się. – Nie mają tam przypadkiem wypchanego skrzata?

– Na pewno nie! – oburzył się Mürgenstürm, urażony w swej godności. – Równie dobrze mógłbyś zapytać, czy nie mają tam na wystawie osiodłanego elfa! Droga do muzeum, metrem i na słońcu, zajęła im piętnaście minut. Muzeum stanowiło potężną, starożytną budowlę składającą się z kamiennych murów, schodów i wieżyczek.

– Znakomity przykład gotyckiej architektury baptystycznej – zauważył Mürgenstürm z zachwytem, kiedy zbliżali się do głównego wejścia. – Nie wiedziałem, że w ogóle istnieją jakieś okazy gotyckiej architektury baptystycznej – zdziwił się Mallory.

– Tutaj istnieją – odparł Mürgenstürm wstępując na szerokie schody. Kiedy dotarli na podest, elf podszedł do niewielkich drzwi umieszczonych jakieś pięćdziesiąt stóp na prawo od głównego wejścia i zapukał energicznie.

– Zaraz, nie pali się! – odpowiedział jakiś głos. – Idę! W chwilę później drzwi się otwały i wysunęła się przez nie głowa starszego mężczyzny o przerzedzonych, rozczochranych włosach. – Ach, to znowu ty – powiedział mężczyzna na widok małego zielonego elfa. – Wiesz co, Mürgenstürm, naprawdę powinienes coś zrobić z tym twoim libido. – Dokładnie tak samo uważam – odezwał się Mallory. Staruszek przyglądał mu się przez chwilę, potem skrzywił się i odwrócił się do Mürgenstürma. – Z godziny na godzinę przejawiasz coraz bardziej zboczone gusty – zauważył.

– Źle zrozumiałeś sytuację – zaprotestował Mürgenstürm.

– Jeśli nawet, to nie bez powodu – odparł staruszek.

– Johnie Justinie, przedstawiam ci mojego przyjaciela,



Jebediaha – oznajmił elf. – Jebediahu, to jest detektyw o światowej sławie, John Justin Mallory.

Jebediah zerknął z ukosa na Mallory’ego i pokiwał głową.

– Światowa sława, co? Ano, wchodźcie... ale kota musicie zostawić.

– Chodzi ci o” Felinę? – upewnił się Mürgenstürm.

– Widzisz tu jakiegoś innego kota?

– Ale ona nie jest kotem. Ona należy do ludzi-kotów.

– Wszystko jedno – burknął Jebediah wzruszając ramionami. – Nastraszy eksponaty.

– Myślałem, że to jest muzeum? – wtrącił Mallory.

– Owszem.

– I wszystkie eksponaty są martwe?

– Oczywiście.

– Więc jak mogą się jej przestraszyć? – nalegał detektyw.

– Słuchajcie – oświadczył Jebediah – jest zimno i pada deszcz, więc nie mam zamiaru sterczeć w drzwiach i odpowiadać na głupie pytania. Jeśli chcecie wejść, zostawcie ją na zewnątrz.

Mallory odwrócił się do Feliny.

– Zaczekaj tutaj – rozkazał. – Wrócimy za parę minut. Nie odpowiedziała, tylko zwyczajnie przysiadła i zapatrzyła się w przestrzeń nieruchomym wzrokiem, jakby widziała tam coś niedostrzegalnego dla innych. W półmroku Mallory miał wrażenie, że jej źrenice rozszerzyły się i całkowicie pochłonięły tęczę, Wyciągnął rękę, żeby poklepać ją uspokajająco po ramieniu, ale wywinęła się, pozornie nie wykonując żadnego ruchu. Mallory wzruszył ramionami i wszedł za Jebediahem i Mürgenstürmem do wnętrza muzeum.

– Imponujące, nieprawdaż? – odezwał się elf.

Mallory rozejrzał się po ogromnym głównym westybulu, wyłożonym marmurową posadzką. Łukowe sklepienie znajdowało się dobre czterdzieści stóp w górze, a pod nim para zrekonstruowanych pterodaktyli wydawała się swobodnie unosić w powietrzu, zawieszona na niemal niewidocznych drutach. Dominujący akcent stanowił szkielet ogromnego tyranozaura, którego paszczę wypełniały niezliczone rzędy długich, wyszczerbionych kłów. – Kawał bydlaka – zauważył Mallory.

– Czy przedtem nie stał tu słoń? – zagadnął Mürgenstürm wskazując miejsce, gdzie dinozaur gotował się do skoku. – Wielki słoń z ogromnymi kłami? Jebediah przytaknął.

– Jest nadal u nas, ale teraz stoi razem z resztą afrykańskich zwierząt. Taksówkarze zaczęli na niego kręcić nosem, więc przenieśliśmy tu starego Rexa z piwnicy. – Jebediah przerwał na chwilę, żeby strzepnąć jakąś nitkę ze swojego granatowego uniformu. – No i dobrze. Tam na dole smutno mu było samemu; tutaj przynajmniej ma ptaszki do towarzystwa.

– Ptaszki? – zdziwił się Mallory.

– Pterodaktyle – wyjaśnił Jebediah. Odwrócił się do Mürgenstürma. – No, skoro nie przyszedłeś tu w sprawie sercowej, to czego właściwie chcesz? – Potrzebuję paru informacji – wtrącił Mallory.

Jebediah westchnął.

– Wcale nie liczyłem, że odwiedziliście mnie tylko po to, żeby dotrzymać towarzystwa staremu, samotnemu człowiekowi w wieczór sylwestrowy. – Po to również – szybko powiedział Mallory. – Ale przede wszystkim musimy się czegoś dowiedzieć o jednorożcach.

– Więc jednak ukradli ci tego jednorożca? – stwierdził ubawiony Jebediah. – Wiedziałem, że tak będzie.

– Nie twój interes! – zachnął się Mürgenstürm.

Jebediah zwrócił się do Mallory'ego.

– Cały czas go ostrzegałem. Mürgenstürm, ty paskudny mały korniszonie, mówiłem, nie możesz ciągle pozwalać, żeby twoim życiem rządziły twoje gonady. Mürgenstürm, mówiłem, w tym muzeum pełno jest okazów gatunków, które wymarły, ponieważ nigdy nie nauczyły się panować nad swoimi najniższymi popędami. Mürgenstürm, mówiłem, rozumiem, że trzeba od czasu do czasu pobaraszkować na sianku, ale w życiu nie widziałem, żeby takie małe zero było takie pobudliwe...

– Wystarczy, dziękuję bardzo! – warknął Mürgenstürm.

– Wynajął pana, żeby pan mu znalazł tego jednorożca? – zagadnął Jebediah ignorując wściekłe spojrzenie Mürgenstürma.

Mallory kiwnął głową.

– No cóż, panie Mallory, gwarantuję panu, że tu go nie ma. – Jestem tego pewien – zgodził się Mallory. – Ale nigdy jeszcze nie widziałem jednorożca. Mürgenstürm mówił, że macie tu jednego w gablocie. Jebediah spojrział na zegarek.

– Zdążycie przez piętnaście minut?

– Do cholery, a ile czasu trzeba, żeby popatrzeć na wypchanego jednorożca? – Okay – mruknął Jebediah ruszając w stronę jednego z tuzina korytarzy, które zbiegały się w westybulu. – Chodźcie za mną.

Mallory i Mürgenstürm zagłębili się w korytarz. Po lewej mieli dioramę przedstawiającą nosorożca, trzy zebry, parę antylop gnu oraz rodzinę czterech żyraf na sawannie przy wodopoju. Po prawej lampart gotował się do skoku z gałęzi drzewa na niczego niepodejrzewającą antylopę impała. Korytarz ciągnął się przez jakieś czterdzieści jardów i znajdowało się w nim co najmniej tuzin dioram. Mallory przystanął i przez

chwile przyglądał się lampartowi. Widział mięśnie napięte do skoku, niemal falujące pod martwą skórą. Oczy zwierza zdawały się czujnie błyszczeć i detektyw podświadomie spodziewał się zobaczyć nerwowe drganie ogona, które z reguły poprzedza atak.

– Musimy się pospieszyć, panie Mallory – zawołał Jebediah zawracając parę kroków w stronę detektywa.

Mallory czym prędzej ruszył dalej.

– One są całkiem jak żywe – zauważył, kiedy zrównał się ze staruszką. – Ja myślę – potwierdził Jebediah. Minęli rodzinę goryli i obeszlą dookoła słońca, który został przeniesiony z westybulu.

– Jak daleko jeszcze? – zapytał Mürgenstürm podbiegając na swoich krótkich, grubych nogach, żeby dotrzymać kroku dwóm mężczyznom.

– Zaraz za bongo i okapi – odparł Jebediah. – Wydajesz się wyczerpany. – Wyszczrzył zęby. – Podobno seks fatalnie działa na kondycję. – Nie uprawiałem seksu od wielu godzin – wysapał Mürgenstürm. – Widocznie to są skutki celibatu.

– Widocznie – przyznał zgryźliwie Mallory.

Korytarz rozgałęział się. Skręcili w lewo i w chwilę później, minawszy jakąś wielką antylopę, weszli do małego pomieszczenia, gdzie w zwykłych oszklonych gablotach umieszczono trzy stwory. Po prawej znajdowała się banshee\*,[\* Banshee – w mitologii irlandzkiej i szkockiej upiór kobiety, który przeraźliwym zawodzeniem zwiastuje śmierć w domu (przyp. tłum.)] po lewej satyr z fujarką, a dokładnie na wprost – duży, biały jednorożec.

Jego wypukłe brązowe oczy patrzyły prosto przed siebie, róg na czule przypominał Mallory’emu spiralną laseczkę lukrecji, tułów był smuklejszy niż u większości roślinożerców,

a ogon niemal sięgał ziemi. Właściwie jednorożec nie wyglądał jak koń – nawet zebry czy doszczętnie wytępione kwaggi znacznie go pod tym względem przewyższały – ale ponieważ wykazywał jeszcze mniej podobieństwa do innych zwierząt, w oczach Mallory’ego kojarzył się z koniem.

Podchodząc do gabloty Mallory zastanawiał się, czy warto sobie zawracać głowę, skoro ktoś, kto raz zobaczył jednoroźca, nie mógłby go pomylić z niczym innym. Potem spostrzegł plaketkę, która zawierała nieco informacji.

### **JEDNOROŻEC PÓŁNOCNOAMERYKAŃSKI**

Jednorożce występują na wszystkich kontynentach i wyspach z wyjątkiem Antarktydy, chociaż w Peru, Tybecie i na Riwierze Włoskiej zostały już praktycznie wytępione.

Jednorożce są na ogół roślinożerne, wiadomo jednak, że mogą żywić się wszystkim, od małych gryzoni po liczniki na parkingach. Przeważnie prowadzą nocny tryb życia i przejawiają tendencję do gromadzenia się w prawym rogu pola widzenia. Jednorożec północnoamerykański – *Unicornis n. americanus* – różni się od wszystkich innych przedstawicieli rodziny jednorożców tym, że żyje w Ameryce Północnej.

Ten okaz został zastrzelony przez płk. W. Carruthers podczas safari na terenach Sioux City, Iowa.

– Już się napatrzyłeś? – zapytał Jebediah.

– Za chwilę – odparł Mallory, jeszcze raz spoglądając na jednoroźca.

– Pospiesz się.

Mallory odwrócił się do Mürgenstürma.

– Czy Larkspur wygląda tak samo?

Elf przytaknął.

– Mógłby być jego bliźniaczym bratem.

– Muszę wiedzieć coś więcej o jego zwyczajach – mruk-

nał Mallory. – Ta plakietka niewiele mi pomogła.

– Czas minął – oznajmił Jebediah. – Idziemy.

– Gesundheit – powiedział Mürgenstürm.

– Ja nie kichnąłem – zaprotestował staruszek.

– Ale ktoś kichnął – stwierdził Mürgenstürm.

– Nie ja – zapewnił Mallory.

– Przecież dobrze słyszałem – upierał się Mürgenstürm.

– Ktoś...

Do ich uszu dobiegło gardłowe kasznięcie.

– Właśnie coś takiego zrobił – dokończył elf z zakłopotaniem.

– Cholera! – warknął Jebediah. – Mówiłem wam, żebyście się pospieszyli!

Nagle Mallory poczuł ostrą, zwierzęcą woń.

– Co tu się wyprawia, u diabła? – zapytał.

– Szszsz! – szepnął Jebediah kładąc palec na ustach. Odczekał chwilę, potem kiwnął głową i zawrócił w ten sam korytarz, którym przyszli.

– Teraz szybko! – wyszeptał.

Mallory i Mürgenstürm pośpieszyli za nim i wszyscy razem pobiegli korytarzem, mijając okapi i bongo.

– Zaraz, chwileczkę! – zawołał nagle Mallory, zatrzymując się przy dioramie przedstawiającej dwa lwy nad zdobyczą.

– O co chodzi? – zapytał Mürgenstürm wpadając na niego z rozpędu.

– Przysięgnę, że jeden z tych lwów właśnie podniósł wzrok – oznajmił detektyw.

Przyjrzał się im jeszcze raz, po czym wzruszył ramionami. – Pobudzona wyobraźnia – stwierdził.

– Pospieszcie się! – ponaglił Jebediah.

Mallory ruszył dalej i wkrótce znalazł się na skrzyżowa-

niu korytarzy, gdzie stał wypchany słoń. Był to potężny zwierz, mierzący w kłębie pełne dwadzieścia stóp, i kiedy nagle pojawił się przed detektywem z rozłożonymi uszami i wzniesioną trąbą, ten w pierwszej chwili aż się przestraszył. Szybko jednak odzyskał zimną krew i obszedł słońa dookoła.

Jebediah czekał przy wylocie następnego korytarza. – Zaczekaj – powiedział Mallory, kiedy przeszli jakieś dwadzieścia pięć stóp. – Gdzie jest Mürgenstürm?

– Myślałem, że idzie za tobą – odparł Jebediah.

Mallory zawrócił do wylotu korytarza.

– Niech to szlag! – zaklął. – Mürgenstürm, co ty tam robisz, do cholery... – ostatnie słowa uwięzły mu w gardle, ponieważ stwierdził, że patrzy prosto w małe, nabiegłe krwią oczka słońa, który stał naprzeciw niego z rozłożonymi uszami i wzniesioną trąbą.

– Tutaj jestem – odezwał się Mürgenstürm podchodząc do detektywa. – Skręciłem w niewłaściwy korytarz. – Przyjrzał się Mallory’emu. – Co się stało, Johnie Justinie? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Niecałe dwadzieścia sekund wcześniej ten słoń był odwrócony w drugą stronę – oznajmił Mallory, ciągle wpatrując się w słońa. – Chyba wszystko ci się pokręciło – sprzeciwił się elf. – Wypchane zwierzęta nie mogą się poruszać.

Nagle usłyszeli przeraźliwy ryk, rozlegający się echem w pustych, pełnych przeciągów korytarzach.

– A czy wypchane zwierzęta ryczą? – zagadnął Mallory.

– O ile wiem, to nie – odparł zmieszany elf.

– Zabierajmy się stąd w diabły – zaproponował Mallory i ruszył pospiesznie do miejsca, gdzie rozstał się z Jebediahem. Po staruszkę nie zostało ani śladu. – Może skręciłeś w niewłaściwy korytarz – zasugerował Mürgenstürm.

– W tym miejscu go zostawiłem – oświadczył stanowczo Mallory.

– Więc może on poszedł dalej.

– Zobaczymy – rzucił Mallory podejmując przerwana wędrowkę.

Dotarli do słońca, obeszlą go szerokim łukiem i zapuścili się w następny korytarz, a w tej samej chwili za ich plecami zaskrzeczał jakiś ptak. Po jakichś pięćdziesięciu stopach obaj przystanęli.

– Nie ma go tutaj – stwierdził Mallory.

– Co teraz zrobimy? – nerwowo zapytał Mürgenstürm.

– Wrócimy tą samą drogą.

– Zgubiłem się – wyznał elf.

– Wrócimy do słońca, a stamtąd skróćmy w drugi korytarz na lewo.

– Zaczekaj! – wykrzyknął nagle Mürgenstürm.

– O co chodzi?

– Chyba go słyszałem.

– Ja nic nie słyszę.

– Tędy – i oświadczył elf ruszając dalej korytarzem. – Jebediah! – wrzasnął.

Nie było odpowiedzi.

– Zdawało ci się – stwierdził Mallory.

– W każdym razie coś słyszałem – upierał się nerwowo elf.

– Ja nic nie słyszałem – powtórzył Mallory.

– TO brzmiało jak odgłos kroków.

Rozmawiając szli dalej i wkrótce zbliżyli się do następnego rozgałęzienia korytarzy.

– Z której strony dochodziły te odgłosy? – zapytał Mallory.



– Chyba z prawej – odparł Mürgenstürm.

Mallory wszedł na skrzyżowanie, odwrócił się w prawo...

I znalazł się twarzą w twarz z warczącym, szczerzącym kły gorylem. – Jezusie! – jęknął. Człowiek i goryl na mgnienie zamarli w bezruchu. Potem Mallory obrócił się na pięcie i popędził z powrotem, po drodze omal nie tratując Mürgenstürma. Goryl ryknął, zabębnił w pierś włóchatymi pięściami i powoli, ociężale podążył za nimi.

Mallory z Mürgenstürmem depczącym mu po piętach dobiegł do słonia i skręcił w prawo. Kiedy nurkował w następny korytarz, usłyszał za plecami przenikliwe, gniewne trąbienie. Dotarł do połowy korytarza, zanim zaryzykował szybkie spojrzenie do tyłu.

– Jesteśmy bezpieczni! – zasapał pod adresem Mürgenstürma. – On nie może tędy przejść. Korytarz jest dla niego za wąski.

– Ale nie dla niego – pisnął elf wskazując w przeciwną stronę, gdzie czarnogrzywy lew podkradał się ku nim szorując brzuchem po marmurowej posadzce. Nagle włączył się system głośników. Hałas zakłóceń natychmiast wystraszył lwa, który skoczył w najbliższy korytarz.

– Zakładając, że jeszcze żyjecie, pewnie chcielibyście usłyszeć wyjaśnienie – odezwał się głos Jebediaha.

– Z przyjemnością – burknął pod nosem Mallory.

– Wcale nie chciałem tak pana zostawić, panie Mallory, ale po prostu nie mogłem dłużej czekać. Widzi pan, zwierzęta w tym muzeum zostały wypchane i ustawione przez Akima Ramblatta.

– Kim, u diabła, jest ten Akim Ramblatt? – wyszeptał Mürgenstürm. – Na pewno się zastanawiacie, kim, u diabła,

jest ten Ramblatt – ciągnął głos. – Odpowiedź brzmi: był to najlepszy dermoplasta, jaki kiedykolwiek uprawiał tę sztukę. Zanim zaczął u nas pracować, był już znany pod przydomkiem Cudotwórcą. – Nastąpiła krótka przerwa. – Ramblatt nadaje swoim zwierzętom tak przekonujące pozory życia, że one po prostu nie wiedzą o własnej śmierci. Przez cały dzień siedzą w swoich szklanych gablotach rozmyślając o tym, a co noc około jedenastej dochodzą do wniosku, że nie zaszkodziłoby przejść się trochę i rozprostować nogi.

Kolejne zdanie zagłuszył ryk jakiejś nie zidentyfikowanej bestii. – W każdym razie zwykle pozostają aktywne tylko przez godzinę czy dwie, dopóki sobie nie przypomną, że w rzeczywistości są martwe. Ramblatt był co prawda Cudotwórcą, ale jednak nie był Bogiem. – Jebediah zachichotał. – A więc zakładając, że słyszycie mój głos, musicie tylko ukryć się w jakimś bezpiecznym miejscu na parę godzin i wszystko będzie dobrze. Raz, kiedy nie zdążyłem wrócić do biura, zanurkowałem pod wodę i oddychałem przez rurkę... ale to oczywiście zdarzyło się wcześniej, zanim Ramblatt dostarczył nosorożca.

Nie żeby ten okaz był szczególnie złośliwy – przynajmniej jak na nosorożca – ale on uwielbia tarzać się w błocie, a kałuża jest bardzo mała. – Westchnął. – No dobra, coś tam wymyślicie.

A teraz przepraszam was, ale muszę się zdrzemnąć. Jeśli uda wam się przeżyć to doświadczenie, wpadnijcie do mnie do biura; będę miał kawę na kuchence. – Kolejna przerwa. – Naprawdę nie wiem, co wam jeszcze doradzić. Trzymajcie się. System głośników wyłączył się.

– Ile już jest po jedenastej? – zapytał Mürgenstürm słabym głosem.

Mallory sprawdził czas na zegarku.

– Siedem minut.

– Dopiero?

Detektyw przytaknął. Do ich uszu dobiegł głos stąpania.

– Nie możemy tu zostać – oświadczył Mallory. – Jesteśmy dokładnie w środku ekspozycji zwierząt afrykańskich.

Szmery i odgłosy stąpanięc przybrały na sile.

– Co jest na pierwszym piętrze? – zapytał Mallory.

Mürgenstürm wzruszył ramionami.

– Chyba tylko szkielety i skamieliny.

– Na pewno tam nie jest bardziej niebezpiecznie niż tutaj – orzekł detektyw. – Poszukajmy jakichś schodów.

Ruszył na lewo i zamarł, kiedy ujrzał nadchodzącego powoli goryla.

– W drugą stronę! Szybko!

Zawrócili do skrzyżowania, gdzie znajdował się słoń. Obecnie zwierz badał wylot jednego z korytarzy. Mallory i Mürgenstürm, przytuleni plecami do ściany, zaczęli ostrożnie obchodzić go dookoła, rozglądając się za jakąś tabliczką oznaczającą schody albo wyjście.

Nagle słoń odwrócił się gwałtownie, położył uszy po sobie i bezgłośnie zaszarżował w ich stronę. Mürgenstürm cofnął się w głąb korytarza, podczas gdy Mallory rozpaczliwie szukał jakiejś drogi ucieczki. W ostatniej chwili padł na podłogę, przeturlał się pod wzniesioną trąbą zaskoczonego gruboskórca, zerwał się i wbiegł w następny korytarz. Słoń natychmiast ruszył za nim i Mallory z zamierającym sercem spostrzegł, że wybrał jedyny korytarz, w którym zwierz mógł się z łatwością zmieścić. Na następnym skrzyżowaniu skręcił ostro w prawo, cudem uniknąwszy słoniowej trąby, i zatrzymał się jak wryty znalazłszy się ledwie o dwadzieścia stóp od noso-

rożca, który chrząkał i przednią nogą skrobał marmurowe płyty posadzki. Usłyszał trąbienie słonia, a potem budynek niemal się zatrząsł, kiedy zwierz runął na niego łomocząc nogami z nieprawdopodobną siłą. Detektyw rzucił szybkie spojrzenie do tyłu, stwierdził, że całe jego pole widzenia wypełnia słoń, i wskoczył do dioramy opuszczonej przez nosorożca.

Spodziewał się, że za chwilę zostanie pochwycony przez słoniową trąbę, uniesiony wysoko i ciśnięty o ścianę albo przynajmniej nabity na długie słoniowe kły:– ale chociaż słyszał ohydny odgłos uderzających o siebie ciał, w pół minuty później nadal był cały i zdrowy. Wreszcie zmusił się, żeby otworzyć jedno przerażone oko. Nosorożec uciekał korytarzem z otwartą raną ziejącą na lewym barku, ścigany przez rozwścieczonego słonia.

Mallory zastanowił się, czy nie zostać w tym miejscu, gdzie zakrywały go zielska i trawa, potem jednak przypomniał sobie, że prędzej czy później nosorożec wróci do swej dioramy – prawdopodobnie nieco nadwerężony, ale za to w znacznie gorszym humorze.

Detektyw ostrożnie wstał, podkradł się do krawędzi dioramy i wysunął głowę na korytarz. Korytarz był pusty. Mallory natychmiast pospieszył w kierunku przeciwnym do tego, w którym oddalili się nosorożec i słoń. Minął dwa następne zakręty, usłyszał paplaninę małp, doszedł do wniosku, że ich wrzaski ostrzegą go przed każdym nadchodzącym drapieżnikiem, i skręcił w małpi korytarz. Paplanina i piski przybrały na sile, kilka małp obrzuciło go orzechami i owocami, ale żadna nie opuściła swojej dioramy. Wreszcie na końcu korytarza Mallory ujrzał niewielką klatkę schodową. Puścił się truchtem w jej kierunku i prawie już jej dopadł, kiedy odkrył, że drogę zastąpił mu goryl. Mallory nagle przypomniał sobie o

kupionym wcześniej pistolecie. Pogrzebał w zakamarkach płaszcza, wyciągnął broń i szybko wpakował cztery kule w pierś goryl.

– Nie można zabić tego, co już jest martwe – wymamrotał goryl ochryplym, gardłowym głosem.

Mallory gwałtownie zamrugął.

– Ostrzegałem cię, żebyś nie chodził do muzeum – ciągnął goryl przeszywając detektywa złowrogim spojrzeniem.

– Czy ty jesteś Grundy? – zapytał Mallory.

– W tej chwili tak – zawarczał goryl zbliżając się powoli.

– A ta chwila jest twoją chwilą ostatnią, Johnie Justinie Mallory!

Mallory cofnął się rzucając wokół rozpaczliwe spojrzenia. Wreszcie jego wzrok padł na zeschnięte zielska w jakiejś dioramie. Wyrwał je, podpalił kieszonkową zapalniczką i przytknął do suchej, szorstkiej sierści goryla. Goryl natychmiast stanął w płomieniach. Zimny blask inteligencji Grundy'ego zniknął z jego oczu i zwierz rycząc popędził korytarzem. Mallory patrzył za nim przez chwilę, potem szybko dotarł do schodów i zaczął się wspinać na pierwsze piętro – i zderzył się z Mürgenstürmem, który właśnie zbiegał po schodach. – Gdzieś ty był, u diabła? – wysapał mały elf z twarzą pozieleniałą od wysiłku.

– Na dole – odparł Mallory. – A myślisz, że gdzie, u diabła, byłem? – Skąd mam wiedzieć? Cały czas byłeś ze mną i nagle zostałem sam! – Mürgensturm bez powodzenia próbował go odepchnąć na bok. – Przepuść mnie! – Idziesz w złą stronę.

– Idź. dokąd chcesz, tylko mnie przepuść! – rozpaczliwie zawołał elf. – Ale na górze niczego nie ma! – zaprotestował Mallory. – Wszystkie wypchane zwierzęta są na parterze!

– Możesz w to wierzyć i ja mogę w to wierzyć, ale wytłumacz to jemu!

– Komu? – nie zrozumiał Mallory.

– Jemu! – pisnął Mürgenstürm wskazując drżącą ręką w górę.

– Zaczekaj tu – polecił Mallory i ostrożnie wspiął się na pozostałe stopnie. Dotarłszy do wejścia na pierwsze piętro stanął przed ogromną zieloną płaszczyzną, która całkowicie zatarasowała mu drogę. Kiedy próbował odgadnąć, co to może być, nagle uświadomił sobie z niepokojem, że owa płaszczyzna się porusza, a w chwilę później zrozumiał, że ma przed sobą ogon brontozaura.

– Jak to możliwe. Johnie Justinie? – wyszeptał Mürgenstürm, który wszedł za nim na górę. – Przecież nikt nigdy nie wypychał dinozaurów. To są tylko szkielety! – To robota Grundy’ego – oznajmił ponuro Mallory.

– Grundy wypycha dinozaury? – zdumiał się zbity z tropu Mürgenstürm.

Mallory przytaknął.

– A także popełnia błędy.

– Nie słyszałem o żadnych błędach Grundy’ego – zaprzeczył gorąco Mürgenstürm. – Zrobił jeden błąd parę minut temu – oświadczył detektyw. – A teraz zrobił następny.

Ten cholerny zwierzak jest wegetarianinem: nie zwróci na nas uwagi.

– Słonie też są wegetarianami – przypomniał mu Mürgenstürm. – Jeden zero dla ciebie – przyznał Mallory. Jego poczucie triumfu zaczęło się rozwiewać. – W każdym razie tutaj na pewno nie możemy zostać. – Dlaczego? – zapytał elf.

– Patrz – powiedział Mallory pokazując na lamparta, który powoli wspinał się po schodach w ich kierunku. Kiedy

zauważył, że potencjalne ofiary odkryły jego obecność, spojrzął detektywowi prosto w oczy i zawarczał. – Zastrzel go! – krzyknął elf spostrzegłszy nagle, że Mallory trzyma w ręku pistolet.

– To nic nie da. On już jest martwy.

Mürgenstürm wyminął detektywa i wpadł do ogromnej sali. Mallory ruszył za nim ubezpieczając tyły.

Na drugim końcu sali, w odległości około dwustu stóp, brontozaur niedbale rozglądał się za czymś do jedzenia.

– Tutaj nie ma innych drzwi – oznajmił Mürgenstürm – tylko te i drugie od głównych schodów... prowadzących do westybulu. O co chcesz się założyć, że Rex i jego latający przyjaciele czekają tam na nas?

– A windy?

– Nie widziałem żadnych wind.

– Wspaniale – mruknął Mallory. Nagle odwrócił się do małego elfa. – Czy możesz zatrzymać dla nich czas tak samo, jak dla tych dwóch bandziorów u mnie w biurze? – To najlepszy pomysł, na jaki wpadłeś przez cały wieczór, Johnie Justynie! – zawołał Mürgenstürm. – Naprawdę fenomenalne rozwiązanie! Wiedziałem, że wybrałem właściwego człowieka!

– Dlaczego nie możesz? – zapytał ze znużeniem Mallory. – Ponieważ to działa tylko na stworzenia, które uświadamiają sobie upływ czasu – wyjaśnił Mürgenstürm. – A dinozaur wędrujący się po dwudziestym wieku na pewno nie ma najmniejszego wyobrażenia o tym, co to jest czas. – Zakładam, że nawet nie chcesz spróbować?

– Już próbowałem.

– Znasz jakieś inne sztuczki?

– Na przykład?

– Nie wiem... lewitacja, teleportacja, coś w tym guście.

Mürgenstürm ze smutkiem potrząsnął głową.

– Zatrzymywanie czasu to moje piece de resistance. – Umilkł na chwilę. – Zresztą i tak działa tylko przez jakieś pięć minut – dodał przepraszającym tonem. Mallory nie odpowiedział, tylko wpatrzył się intensywnie w brontozaura, który stał pomiędzy nimi a główną klatką schodową. Mürgenstürm złapał detektywa za rękaw i potrząsnął nim.

– Johnie Justinie, co ci jest?

– Zamknij się! – rzucił Mallory. – Myślę.

– O czym?

Mallory milczał jeszcze przez chwilę. Potem spojrzał na elfa. – Czy musisz znajdować się w tym samym pokoju co osoba, dla której zatrzymujesz czas?

– To pomaga.

– Ale nie jest absolutnie konieczne?

Mürgenstürm nagle zrobił się bladozielony.

– O nie! – zawołał. – Chyba nie mówisz poważnie, Johnie Justinie!

– Dlaczego nie?

– On mnie zabije!

– W razie gdyby to umknęło twojej uwagi, pragnę ci przypomnieć, że on już dawno próbuje cię zabić.

– Ale to jest Grundy!

– To jest facet, który ożywia te zwierzęta. Jeśli zatrzymasz dla niego czas, może one też z powrotem zasną.

– Ale on posiada moc!

– Chcesz znaleźć tego cholernego jednorożca do jutra rano czy nie? – zezłościł się Mallory.

– On jest za daleko!

– Spróbuj!

– On jest silniejszy ode mnie.



– Nie potrzebujemy całych pięciu minut – tłumaczył Mallory. – Wystarczy sześćdziesiąt sekund. Zbiegniemy na dół głównymi schodami i wyjdziemy przez frontowe drzwi.

– Ale...

Brontozaur nagle zauważył ich i zaczął się zbliżać.

– Dobrze! – pisnął elf.

– No i? – zagadnął Mallory, kiedy brontozaur zbliżył się jeszcze bardziej.

– Zrobiłem to.

– Nie działa.

– Mówiłem, że tak będzie! – jęknął Mürgenstürm pędząc z powrotem na schody.

A wówczas, pomiędzy jednym a drugim krokiem, brontozaur znieruchomiał.

– Mürgenstürm! – wrzasnął Mallory.

– Nie bij mnie! – zaskamlał elf. – To nie moja wina!

– Podziałało! – krzyknął Mallory. – Wynośmy się stąd do wszystkich diabłów! Przebiegł przez salę, dotarł do szczytu głównych schodów, zjechał na dół po długiej, wygiętej poręczy i dopadł frontowych drzwi.

– Co się stało? – zapytał Mürgenstürm przyłączywszy się do niego w parę sekund później.

– Zamknięte!

– Naturalnie, że zamknięte.

– Myślałem, że to są takie drzwi, które można otworzyć od środka! – Mallory rozejrzał się rozpaczliwie. – Gdzie są drzwi, którymi weszliśmy? – Tędy! – zawołał Mürgenstürm biegnąc przodem.

Mallory pospieszył za nim. Nagle usłyszał głośny syk.

– Szybciej! – wrzasnął. – Rex się budzi!

Elf dotarł do wyjścia wyprzedzając Mallory'ego o dzie-

się kroków i uderzył w drzwi całym ciałem. Mallory skoczył za nim dokładnie w chwili, kiedy pazury małych przednich łapek Rexa rozdarły mu spodnie od kostki do kolana, a potem drzwi z hukiem zatrzasnęły się za nimi.

– Udało się! – wycharczał Mürgenstürm. Leżał na plecach i dyszał, kompletnie nie zwracając uwagi na lodowaty deszcz.

Mallory pochylony do przodu, z rękami opartymi na kolanach, był zbyt zajęty łapaniem oddechu, żeby odpowiedzieć od razu. Wreszcie zachrypiął:

– Cholernie mało brakowało!

– Mieliliśmy szczęście, Johnie Justinie – oświadczył elf. – Ale ta sztuczka więcej nie podziała. Następnym razem on będzie na to przygotowany. – Ten Grundy to nie byle kto – przyznał Mallory. – Tylko czekam, aż zjawi się tu wiedźma na miotle i zacznie pisać na niebie wielkimi literami: PODDAJ SIĘ, DOROTHY!

– Kto to jest Dorothy? – zaciekawiał się elf.

– Nieważne. – Detektyw rozejrzał się. – Ale, ale, gdzie jest Felina?

– Tutaj – nadeszła odpowiedź z góry.

Mallory podniósł wzrok i ujrzał Felinę usadowioną na występie muru tuż przy oknie.

– Co ty tam robisz?

– Przyglądałam się, jak uciekacie przed dinozaurem – wyjaśniła. – Nie za dobrze biegasz.

– Mam nadzieję, że się znakomicie bawiłaś – stwierdził oschle Mallory.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Przypuszczam, że nawet ci nie przyszło do głowy nam pomóc.

Uśmiechała się dalej i powoli pokręciła głową.

– Domyślam się, że twoja sympatia jest raczej po stronie drapieżnika, a nie ofiary.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Co teraz, Johnie Justinie? – wtrącił Mürgenstürm. – Nie możemy wrócić do muzeum, a trop Larkspura już ostygł.

– Teraz znajdziemy książkę telefoniczną.

– I poszukamy pod „J”? – zgryźliwie zapytał elf.

Mallory potrząsnął głową.

– Pod „C”.

– Ce? – powtórzył elf. – Kto to jest?

– Pułkownik W. Carruthers.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– To ten facet, który upolował jednorożca dla muzeum. – Więc ciągle się upierasz, żeby szukać informacji o jednorożcach? – zmartwił się elf.

Wskazał na zegarek Mallory’ego. – Jest osiemnaście po jedenastej, a my ciągle tkwimy w punkcie wyjścia. Zanim zdążysz dowiedzieć się czegoś pożytecznego o jednorożcach, wszędzie słońce!

– Alternatywą jest zdobywanie informacji o Grundym – odparł Mallory – a ja wiem już o nim więcej, niż chciałbym wiedzieć. Poza tym moglibyśmy wynająć tego Carruthersa, żeby nam pomógł. – Podniósł wzrok na Felinę. – Idziesz czy nie? W odpowiedzi podniosła się i przygotowała do skoku z parapetu okna.

– Stój! – wrzasnęła Mallory. – To jest dwadzieścia stóp! Zaśmiała się i skoczyła. Mallory zamknął oczy, odwrócił się i czekał na dźwięczne płask! ciała roztrzaskującego się o bruk.

Zamiast tego usłyszał ciche mruczenie, a w chwilę później Felina ocierała się grzbietem o jego biodro.

– Jestem głodna – oznajmiła.

– Czy ty zawsze myślisz tylko o jedzeniu? – burknął Mallory.

– Jedzenie ma więcej sensu, niż uganianie się po deszczu za jednoroźcem w wieczór sylwestrowy – odparta.

Mallory zagapił się na nią.

– To wszystko zaczynało już mi się wydawać całkiem logiczne, dopóki tego nie powiedziałaś. – Potrząsnął głową. – Wiesz, za każdym razem, kiedy już myślę, że zacznę rozumieć to miasto, natrafiam na coś takiego.

– Jak co? – wtrącił elf.

– Jak ożywające zwierzęta w muzeum. – Detektyw zaklął. – Cholera, a już myślałem, że go mam!

– Kogo?

– Grundy’ego. Rozmawiał ze mną przez goryla, a ja go podpaliłem. Powinienem był wiedzieć, że to nie będzie takie łatwe.

– Naprawdę podpaliłeś Grundy’ego? – zapytał Mürgenstürm z rozszerzonymi oczami.

Mallory potrząsnął głową.

– Podpaliłem goryla. – Umilkł na chwilę. – Następnym razem go dostanę.

– Nie wiesz, co mówisz, Johnie Justinie – zaprotestował elf ze strachem. – On miał do dyspozycji setki zwierząt i dinozaurów, a jednak wyszliśmy stamtąd cało. Ukradł jednoroźca, ale zostawił świadka. Próbował mnie zabić, ale pozwolił mi podejść dostatecznie blisko, żebym mógł go podpalić. – Mallory urwał i zamyślił się. – Może jest potężny, ale nie jest doskonały.

Nagle Felina zasyczała i zanurkowała w trawę. Po chwili podniosła się cała ubłocona, dumnie ściskając w rękę małego

gryzonia.

– Chyba go nie zjesz, prawda? – zaniepokoił się Mallory  
– Oczywiście, że nie.

– To dobrze – odetchnął z ulgą detektyw.

– Najpierw się z nim zabawię – oznajmiła Felina uśmiechając się drapieźnie.

– Nie w mojej obecności, wypraszam sobie! – warknął Mallory. – Nie powinienesz jej zbyt surowo sądzić, Johnie Justynie – odezwał się elf. – To leży w jej naturze, podobnie jak w twojej naturze leży rozwiązywanie tajemnic. – Zgodnie z tym założeniem w naturze Grundy’ego leży wykradanie jednorożców i zabijanie przeerotyzowanych elfów, więc nie należy mieć do niego pretensji. – Nie naciągajmy tego rozumowania do granic śmieszności – uciął wyniośle Mürgenstürm.

Felina, która dotąd wpatrywała się w dal, odwróciła się do Mallory’ego.

– Jeśli nie przestaniecie mnie obgadywać, nie powiem wam, co widzę.

Mallory spojrzał w ciemność.

– Ja nic nie widzę.

– To oczywiste. Jesteś tylko człowiekiem.

– No dobrze – poddał się Mallory – co tam widzisz?

– Czy przepraszasz, że mnie krytykowałeś? – zapytała z chytrym uśmieszkiem.

Mallory wpatrywał się w nią przez chwilę.

– W porządku... przepraszam.

– I już nigdy, nigdy tego nie zrobisz, bez względu na okoliczności?

– Powiedziałem, że przepraszam. To wystarczy.

– Ale czy przeprosiłeś szczerze? – zamruczała.

– Tak! – wrzasnął Mallory. – Więc co tam widzisz, do

ciężkiej cholery?

– Jednorożca.

## **Rozdział piąty**

### **23.20 – północ**

– Gdzie on jest? – dopytywał się Mallory.

– Tam, na ścieżce do konnej jazdy. Teraz już go widzisz?

Mallory otarł krople deszczu z rzęs i wytężył wzrok. – Nie widzę nawet ścieżki do konnej jazdy. Czy on biegnie luzem, czy ktoś go prowadzi?

– Nie mogę zobaczyć.

– Możesz zobaczyć, czy to jest Larkspur? – indagował Mallory.

Felina wzruszyła ramionami.

– Wszystkie jednorożce wyglądają tak samo.

– Jak daleko jest od nas? – nalegał detektyw, wciąż bez powodzenia usiłując wypatrzeć znajomą sylwetkę.

– Niezbyt daleko – odparła Felina kierując uwagę z powrotem na gryzonia, którego trzymała w ręku. – Cześć, małeńka przekąseczko – zamruczała. – Idziemy! – zawołał Mallory.

Felina usiadła na trawie ze skrzyżowanymi nogami.

– Moja śliczna, smaczna przystawko – zanuciła – chyba zrobię z ciebie kanapkę.

– Felina, wstawaj! – rozkazał Mallory.

– Jestem zajęta – oświadczyła dziewczyna-kot. Uwolniła gryzonia, a potem złapała go w ostatniej chwili, zanim zdążył umknąć z zasięgu jej rąk. – Niech to szlag! Potrzebujemy twojej pomocy!

– Idźcie ścieżką do konnej jazdy, a wtedy prędzej czy później go dogonicie.

– A gdzie jest ta ścieżka?

– Tam – odpowiedziała pokazując na wschód ręką, w której trzymała gryzonia.

Mallory odwrócił się do Mürgenstürma.

– Chodźmy.

– Możemy jej potrzebować – zaprotestował elf.

– Jeśli będziemy tu sterczeć, dopóki ona nie przestanie się znęcać nad swoim obiadem, nigdy nie dogonimy tego cholernego jednorożca – oświadczył Mallory ruszając po wilgotnej trawie w kierunku wskazanym przez Felinę. Mürgenstürm otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po namyśle zrezygnował i poszedł za nim. Maszerowali przez prawie trzysta jardów, zanim dotarli do żwirowanej ścieżki.

– Teraz w prawo czy w lewo? – zastanawiał się Mallory spoglądając po kolei w obie strony.

Mürgenstürm wzruszył ramionami.

– Mam wrócić i zapytać?

Mallory potrząsnął głową.

– Stracimy za dużo czasu. – Jeszcze raz rozejrzał się w obie strony, a potem ruszył na północ.

– Dlaczego postanowiłeś wybrać ten kierunek, Johnie Justinie? – zagadnął elf po kilku minutach milczącej wędrówki.

– Tu jest mniejszy tłok – wyjaśnił Mallory. – Jeśli ktoś ma przy sobie kradzionego jednorożca, należy przypuszczać, że nie zaprowadzi go między ludzi. A na moim Manhattanie po południowej stronie parku jest Plaza, Park Lane i te wszystkie sklepy. – Tak samo jest na tym Manhattanie – przyznał elf. Po chwili odezwał się: – Więc mówisz, że jeśli ten jednorożec poszedł na południe, to pewnie nie był Larkspur? – Właśnie – potwierdził Mallory. – Mam nadzieję. Zimny wiatr powiał przez park, a deszcz nagle zamienił się w rzadki śnieg. Po pię-

ciu minutach śnieg już sypał gęsto. Mallory przystanął. – Mam przeczucie, że idziemy w niewłaściwą stronę – oznajmił.

– O? Dlaczego?

– Ponieważ Grundy dotąd nie próbował mnie ostrzec.

– Może on wie, że tego się po nim spodziewasz, wobec czego z jego punktu widzenia najlepszą strategią będzie powstrzymanie się od działania. – Mürgenstürm z namysłem zmarszczył brwi. – Oczywiście o ile nic przewidział, że możesz się spodziewać właśnie takiej taktyki, wobec czego...

– Wystarczy – przerwał Mallory.

– Próbowałem tylko ci pomóc – odparł urażony elf.

– Dlaczego nie spróbujesz dla odmiany siedzieć cicho? – zaproponował Mallory.

Harpia siedząca opodal na drzewie nagle wzbiła się w powietrze i zatoczyła koło nad ich głowami.

– Wracaj, Johnie Justinie Mallory!

Mallory odwrócił się do Mürgenstürma.

– Serdeczne dzięki, ty mały zielony draniu!

– Co ja takiego zrobiłem?

– Cholera jasna, dwie minuty wcześniej wiedziałbym, co to znaczy! – Nie słuchaj jej! – wrzasnęła wielka sowa, która dygocząc z zimna przysiadła na ogołoconym z liści drzewie. – Naprzód, Mallory! Naprzód! – Wspaniale – wymamrotał detektyw.

– Co zamierzasz zrobić, Johnie Justinie? – zagadnął elf.

– Iść dalej.

– Jaki czynnik wpłynął na tę decyzję? – indagował elf. – Jest za zimno, żeby tu sterczeć i zastanawiać się, co dalej – odparł Mallory przypominając sobie ponieważ, że powinien zapiąć pas na drugą dziurkę: Poczł się trochę lepiej, kiedy płaszcz zaczął wydzielać ciepło. Przeszli następne piętnaście



jardów i mały elf pociągnął detektywa za rękaw.

– Co tam znowu? – rzucił Mallory.

– Jak myślisz, dasz sobie radę beze mnie przez jakieś, ee, piętnaście minut? – zapytał Mürgenstürm.

– Dlaczego?

– Widzisz ten dom naprzeciwko? – Mürgenstürm wskazał rozpadającą się konstrukcję ze stromym dachem i wieżyczką, która zdaniem Mallory’ego absolutnie nie mogłaby istnieć na jego Manhattanie.

– Wygląda tak, jakby jakiś obłąkany naukowiec hodował tam potwory w piwnicy – zauważył detektyw.

– Nie wiem, co się dzieje w piwnicy, chociaż wszystko jest możliwe – odparł Mürgenstürm.

– Do rzeczy.

– Jestem obecnie... hm... zaprzyjaźniony z właścicielką, jeśli mnie rozumiesz. – Za siedem godzin staniesz w obliczu śmierci, o ile nie odnajdziesz jednorożca, i w takiej sytuacji chcesz tracić czas na obłapki? – z niedowierzaniem zapytał Mallory.

Mürgenstürm westchnął.

– Rozumiem twój punkt widzenia, Johnie Justinie – przyznał. – Postąpiłbym bezmyślnie i egoistycznie, gdybym cię opuścił. – Nagle jego mała, pospolita twarz rozjaśniła się. – Mogę się dowiedzieć, czy ona ma przyjaciółkę. – Daj sobie spokój.

– Masz absolutną rację, Johnie Justinie – zapewnił ze skruchą elf. – Muszę nauczyć się panować nad swoimi popędami. Zmarnowanie piętnastu minut z naszego ograniczonego czasu świadczyłoby tylko o moim uporze. – Zerknął na Mallory’ego spod oka. – A dziesięć minut? – zapytał bardzo cichutko.

Mallory odwrócił się do niego.

– A może kopa w jaja, żebyś zaczął znowu myśleć rozsądnie? – Oooh! – jęknął Mürgenstürm jakby z bólu, zwierając kolana i obiema rękami chwytając się za wzmiankowaną część ciała. – Nawet o tym nie wspominaj! Co za potwór z ciebie!

– Bardzo zmarznięty potwór – odparł Mallory żałując, że jego płaszcz nie ma kaptura. – No i jak, może skończymy to przedstawienie po drodze? – Zgoda – ustąpił elf, ciągle ze zbolowaną miną. – Ale żadnego kopania.

– I żadnego dezercerowania – ostrzegł detektyw.

– To nie była dezercja – oburzył się Mürgenstürm. – Chodziło mi tylko o możliwość fizycznego i psychicznego odprężenia. Czy jesteś absolutnie i do końca pewien, że nie możemy poświęcić nawet pięciu minut?

Mallory chwycił elfa za chudy kark.

– Słuchaj no... – zaczął groźnie.

– Z drogi! – wrzasnął jakiś głos. – Droga wolna! Mallory rozluźnił uścisk i uskoczył na bok. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak z Mürgenstürmem zderza się jakiś szczupły mężczyzna, ubrany tylko w trampki z kolcami, szorty i podkoszulek z numerem 897 na piersi. Mały elf poleciał w śnieg nagromadzony po bokach ścieżki, ale mężczyzna zdołał zachować równowagę i zaczął przebierać nogami w miejscu.

– Strasznie przepraszam – zwrócił się do Mürgenstürma, który powoli się podnosił. – Ale ja naprawdę miałem pierwszeństwo.

– Nie wiedziałem, że na ścieżce do konnej jazdy obowiązuje pierwszeństwo przejazdu – zauważył Mallory.

– Na ścieżce do konnej jazdy? – powtórzył zmieszany mężczyzna. – Więc to nie jest autostrada A-98?

Mallory potrząsnął głową.

– Wobec tego przypuszczam, że to, co tam błyszczy w

oddali, to nie są światła Via Veneto? – powiedział zmartwiony mężczyzna pokazując na Piątą Aleję i nie wypadając z tempa.

– To są światła Manhattanu – wyjaśnił Mallory.

– Manhattanu? – powtórzył mężczyzna ze zdumieniem.

– Jest pan całkiem pewien?

– Nie tak bardzo, jak wczoraj – przyznał Mallory. – Ale wystarczająco. – Hmm – zamyślił się mężczyzna. – Zdaje się, że zboczyłem z drogi bardziej, niż przypuszczałem.

– Dokąd pan zmierza? – zagadnął Mallory.

– Oczywiście do Rzymu.

– Oczywiście – powtórzył Mallory z poważną miną. – Ale zapominam o dobrym wychowaniu. – Mężczyzna wyciągnął rękę nie wypadając z rytmu. – Nazywam się Ian Wilton-Smythe.

– Anglik? – upewnił się Mallory ściskając jego dłoń.

Wilton-Smythe przytaknął.

– Z krwi i kości. Zabić Irlandczyków! Splądrować kolonie! Boże, chroń królową! – Urwał. – Jeszcze jest królowa, prawda? A może mamy teraz króla? – Jeszcze jest królowa – uspokoił go Mallory. – Domyślam się, że przez jakiś czas nie było pana w kraju?

– Od wiosny 1960 roku – przyznał Wilton-Smythe. – Wyruszyłem do Rzymu na letnie Igrzyska Olimpijskie.

– Jako kibic?

– Jako maratończyk. Prawdę mówiąc jeszcze nie ukończyłem biegu. Musiałem gdzieś po drodze skręcić w niewłaściwą stronę.

– Nie wiem, jak to panu oględnie powiedzieć – zaczął Mallory – ale od tamtej pory było już kilka Olimpiad. Wyścig się skończył.

– Wyścig trwa, dopóki nie przekroczę linii mety –

oświadczył twardo Wilton-Smythe.

– Dlaczego pan się po prostu nie zatrzyma?

– Tego się nie robi – oburzył się Wilton-Smythe. – Wie pan, trzeba mieć zasady. – Nie ma takich zasad, które kazałyby panu biec dalej przez dziesiątki lat, kiedy wszyscy inni już dawno dotarli do mety – oznajmił Mallory. – Wytrwałość zwycięża – zacytował Wilton-Smythe. – Nie tym razem – sprzeciwił się Mallory. – Nie może pan zwyciężyć, skoro bieg się skończył.

– To już nie moja wina – stwierdził Wilton-Smythe. – Ja muszę wypełnić swoje zadanie najlepiej, jak potrafię. – Po chwili dodał: – Nie widział pan w okolicy żadnych fotografów?

– Nie.

– Szkoda.

– Dlaczego? – zdziwił się Mallory. – Czy pan się ich spodziewał?

– No cóż, jestem przecież największą sensacją sportową – wyjaśnił Wilton-Smythe.

– Z

każdym krokiem poprawiam swój rekord.

– Jaki rekord? Pan przegrał!

– Rekord najdłuższego czasu, w jakim ukończono maraton olimpijski, to oczywiste – odparł Wilton-Smythe. Wydawał się zakłopotany. – Ciągłe czekam, żeby ludzie od Guinnessa zrobili ze mną wywiad albo zmierzili moje tempo czy co innego do książki rekordów, ale dotąd się nie pokazali. Ciekawe dlaczego?

– Może nie wiedzą, że pan jeszcze biegnie – poddał Mallory. – Niemożliwe! – zaśmiał się Wilton-Smythe. – Pewnie czekają na mnie pięć albo dziesięć mil dalej.

– Być może – mruknął Mallory bez przekonania.

Wilton-Smythe ziewnął.

– Spać mi się chce. Chyba lepiej utnę sobie małą drzemkę, zanim się z nimi spotkam.

Chciałbym prezentować się możliwie jak najlepiej podczas udzielania wywiadów i pozowania do zdjęć.

– Wątpię, czy uda się panu znaleźć wolny pokój – zauważył Mallory. – Jest sylwester.

– Po co mam szukać pokoju?

– Przecież pan mówił, że jest pan śpiący.

– Sypiam na prostych odcinkach drogi i budzę się na zakrętach – wyjaśnił Wilton-Smythe. – Nie chcę, żeby potem mówiono, że oszukiwałem. – Posiłki również jada pan w biegu?

– Oczywiście.

– Wybaczy pan moją ciekawość – powiedział Mallory – ale jak, u diabła, zabłądził pan na ścieżkę do konnej jazdy w Central Parku?

– Sam chciałbym wiedzieć – przyznał Wilton-Smythe. – Chyba powinienem był skręcić na lewo w Melbourne.

– Melbourne w Australii?

Biegacz przytaknął).

– Zagadkowe, nieprawdaż?

– Co najmniej – zgodził się Mallory.

– No – zakończył Wilton-Smythe – przyjemnie się z panem gawędzi, ale naprawdę muszę już lecieć.

– Na, pana miejscu wziąłbym ze sobą mapę dróg – zawołał za nim Mallory.

– Po co?! – odkrzyknął biegacz. – Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu!

Potem oddalił się poza zasięg głosu, a Mallory odwrócił się do Mürgenstürma.

– Co o nim myślisz? – zagadnął.

– To głupiec – odpowiedział natychmiast elf. Zmarszczył brwi i podrapał się po głowic. – Z drugiej strony ma stałe zajęcie od przeszło ćwierć wieku, podczas gdy większość znanych mi, naprawdę inteligentnych ludzi nie potrafi utrzymać się na żadnej posadzie. Moim zdaniem to jest niezwykle zagadkowe.

– Wcale nie – zaprzeczył Mallory. – Bardzo podobnie jest na moim Manhattanie.

– Naprawdę?

Mallory kiwnął głową.

– Wybitne umysły potrafią rozwiązać większość problemów na skalę światową... ale nałożenie pary jednakowych skarpetek albo wymiana opony w samochodzie wydaje się przerastać ich możliwości.

– Bardzo pocieszające – stwierdził elf. – Obawiałem się, że jest to wyjątkowe zjawisko.

– Niestety nie – odparł Mallory. Ruszył znowu na północ.

– Chodźmy. Cholernie zimno na dworze, z płaszczem czy bez płaszcza.

– Może śnieg nam się przyda – zauważył z nadzieją Mürgenstürm. – Będziemy mogli odnaleźć tropy jednorożca.

– Jeśli nie pozaciera ich nasz maratończyk – dokończył Mallory. Przez następne pół mili maszerowali pochylając głowy i kuląc ramiona na przenikliwym wietrze. Potem Mürgenstürm nagle usiadł ciężko na ziemi. – Już nie mogę – oświadczył. – Zmarzłem, przemokłem i jestem zupełnie wyczerpany.

– Uważasz, że siedząc na śniegu wyschniesz, rozgrzejesz się i nabierzesz sił? – rzucił ironicznie Mallory.

– Wszystko mi jedno – jęknął Mürgenstürm. – Niech po mnie przyjdą jutro o wschodzie słońca. Znajdą tylko zamarznęte szczątki małego, szlachetnego elfa, który nigdy nikomu

nie wyrządził żadnej krzywdy.

– Nie możesz pomyśleć o czymś pokrzepiającym?

– Absolutnie o niczym – odparł z emfazą elf.

– Nawet o przyjaciółce?

– No... może.

– Słuchaj – zaczął Mallory – jeśli pozwolę ci pójść na dziwki, czy przyrzekniesz mi, że później skupisz się wyłącznie na naszym zadaniu? – Och, bezwzględnie. Johnie Justinie! – wykrzyknął elf z zapalem. – Teraz wszystko rozumiem. To wcale nie przez pogodę. To przez mój metabolizm. – Przestań się ślinić, bo sobie odmrożisz brodę – ostrzegł Mallory z niesmakiem. – Wrócę za dziesięć minut – przyrzekł Mürgenstürm zrywając się na równe nogi. – Najpóźniej za piętnaście. – Zaważał się. – Może za dwadzieścia. – Powiedzmy za trzydzieści i spróbuj się czegoś dowiedzieć o Lepie Gillespie’em.

– Zgoda – oświadczył Mürgenstürm. – Spotkamy się tutaj za pół godziny. – Chyba nie myślisz, że będę sterczał tutaj na śniegu i czekał, aż opróżnisz zbiorniki.

– A co będziesz robił?

– Jestem detektywem – odparł Mallory. – Będę szukał tego cholernego jednorożca.

– Na twoim Manhattanie nigdy nie byłeś taki zasadniczy – zauważył Mürgenstürm. – Na moim Manhattanie nigdy nie było tak wyraźnego podziału na czarne i białe – oświadczył Mallory. – Tam zawsze znalazły się jakieś prawnicze kruczki, okoliczności łagodzące i wątpliwości natury moralnej. Tu wszystko jest o wiele prostsze: jakiś łajdak ukradł jednorożca, a mnie zapłacono, żebym go odzyskał. – Ale przecież mówiłeś, że wolisz swój Manhattan – przypomniał elf.

– Mówiłem, że rozumiem swój Manhattan – sprostował Mallory. – To nie to samo.

– Jak możesz wyżej stawiać coś, czego nie rozumiesz?  
– Nie rozumiem formy. Treść jest dostatecznie jasna.  
– Nie wiem, o czym ty mówisz – poddał się Mürgenstürm.

– Więc będziesz miał się nad czym zastanawiać podczas polowania na kolejną wielką miłość.

– Jak cię później znajdę?

– Tak samo, jak ja próbuję znaleźć Larkspura. Idź po moich śladach. – A jeśli śnieg stopnieje albo jeśli wejdiesz do jakiegoś budynku? – nalegał Mürgenstürm.

– Wynajmij detektywa – poradził mu Mallory ruszając dalej ścieżką do konnej jazdy.

– To nie było bardzo dowcipne, Johnie Justinie.

– Jeśli martwisz się, jak mnie znaleźć, odłóż na bok romanse i chodź ze mną. – Znajdę cię po śladach – rzucił pośpiesznie mały elf i pobiegł kłusem przez park w stronę jasnych świateł Piątej Alei.

Mallory przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, po czym wrócił na ścieżkę do konnej jazdy i zaczął maszerować dalej.

Przeszedłszy najwyżej pięćdziesiąt jardów natknął się na niewielką drewnianą szopę, zajęta przez pulchnego mężczyznę w jaskrawej sportowej marynarce w złoto-zieloną kratę.

– Dobry wieczór, sąsiedzie – powiedział mężczyzna z przyjacielskim uśmiechem.

– Cześć – odparł Mallory.

– Okropna noc, prawda?

Mallory przytaknął.

– Czy mógłbym ci zaproponować trochę olejku do opalania, przyjacielu? – zagadnął mężczyzna.



– Żartujesz, no nie? – upewnił się Mallory.

– Przyjacielu, nigdy nie robię sobie żartów z trzech rzeczy: z religii, blondynek imieniem Suzette oraz interesów. To jest interes. Mogę ci sprzedać skrzynkę za pięćdziesiąt procent ceny detalicznej.

– Po cholere mi olejek do opalania?

– Jedź na Jamajkę. Wybierz się na safari do Afryki. Możesz go trzymać w garażu aż do lata. Mieszać z wódką i tonikiem. Czyścić nim podłogi. Przyjacielu, skrzynkę olejku do opalania po obniżonej cenie możesz wykorzystać na mnóstwo sposobów. – Wybij to sobie z głowy – rzucił Mallory ruszając w dalszą drogę. – Jak dla ciebie sześćdziesiąt procent obniżki – nalegał mężczyzna biegnąc za nim.

– Przecież to Nowy Rok!

– Szczęśliwego Nowego Roku! – zawołał mężczyzna. Wyciągnął z kieszeni kazoo i dmuchnął w nie wydobywając parę nut. – Sześćdziesiąt pięć procent zniżki. To moje ostatnie słowo.

– Chyba się nie spodziewasz, że uda ci się sprzedać olejek do opalania w samym środku zimy – oświadczył Mallory.

– Właśnie teraz jest najlepszy czas – odparł mężczyzna usiłując dotrzymać kroku detektywowi.

– Jak to sobie wyliczyłeś?

– A ile sklepów jest teraz otwartych? Najwyżej pięćset – odpowiedział sam sobie. – W ilu z nich sprzedają olejek do opalania? W żadnym! Jeśli potrzebujesz olejku do opalania, musisz przyjść do mnie.

– Ale ja nie potrzebuję olejku – zirytował się Mallory. – Przyjacielu, trudno się z tobą dogadać. Opuszczę ci siedemdziesiąt procent, jeśli mi obiecasz, że nigdy w życiu, nie wygadasz się przed moim księgowym. – Nic z tego.

– Dobra! – warknął mężczyzna. – Siedemdziesiąt pięć procent, chociaż rano będę sobie pluł w brodę.

– Nie ty jeden, jeśli się nie odczepisz.

– Dorzucę piłkę plażową.

– Właśnie tego potrzebowałem w noc sylwestrową w Central Parku – burknął Mallory.

– Świetnie! – krzyknął mężczyzna. – Umowa stoi?

– Nie.

– Co z ciebie za człowiek? – jęknął handlarz. – Ja mam żonę, dwoje dzieci i hipotekę na domu. Dopiero co kupiłem nowy telewizor, zalegam z ratami za samochód, a moja córeczka musi nosić aparat dentystyczny. Gdzie się podziało twoje współczucie? – Widocznie zostawiłem je w domu – odparł Mallory. Przystanął i odwrócił się do mężczyzny. – Nie masz przypadkiem do sprzedania rękawiczek albo nauszników, co?

– Pozbyłem się ich jeszcze w lipcu – wyjaśnił mężczyzna.

– Dziewięćdziesiąt procent i zapłacę podatek od sprzedaży.

Mallory potrząsnął głową i ruszył dalej.

– Nie jestem zainteresowany.

– Co ma do tego zainteresowanie? – obruszył się mężczyzna. – Ja jestem sprzedawcą, a ty jesteś konsumentem. Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Czy nie czujesz się za mnie moralnie odpowiedzialny?

– A czy ty czujesz się za mnie moralnie odpowiedzialny? – zareplikował Mallory.

– Naturalnie.

– Dobrze. Jestem detektywem i szukam pewnego jednorożca. Czy ostatnio nie przechodził tędy jakiś jednorożec?

– Owszem – odparł mężczyzna.

– Kiedy?

– Może z pięć minut temu.  
– Czy był z nim jakiś skrzat?  
– Naprawdę nie zwróciłem uwagi – oświadczył mężczyzna. – A teraz podliczmy, ile mi jesteś winien za olejek do opalania.

– Nie kupię żadnego olejku do opalania.  
– Ale ja ci powiedziałem o jednorożcu!  
– Za co jestem ci wdzięczny.  
– Więc wypełnij swój obowiązek i kup ode mnie olejek do opalania.

– Nie.  
– Dziewięćdziesiąt pięć procent obniżki.  
Mallory potrząsnął głową.  
– No dobrze – powiedział mężczyzna z westchnieniem rezygnacji. – Ile chcesz?

– Za co? – nie zrozumiał Mallory.  
– Żeby zabrać ode mnie to draństwo.  
– Jeszcze raz ci mówię, że nie potrzebuję olejku. – Nie możesz mi tego zrobić! Dziś jest sylwester! Mam prawo być w domu, na łonie rodziny! Zapłacę ci dwadzieścia procent ceny detalicznej, żeby się tego pozbyć. – Miło mi było cię poznać – rzucił Mallory przyspieszając kroku.

– Trzydzieści procent – zaproponował mężczyzna zatrzymując się wreszcie. – To moje ostatnie słowo.

Mallory szedł dalej.

– Pięćdziesiąt i to jest moja absolutnie przedostatnia propozycja! Zanim Mallory oddalił się poza zasięg głosu, mężczyzna zdążył prawie podwoić cenę sprzedaży.

Po następnych stu jardach detektyw natknął się na wysokiego, zaniedbanego mężczyznę w deszczowym płaszczu, który trzymał w ręku tekturowe pudełko. – Dobry wieczór

panu – odezwał się mężczyzna podchodząc do detektywa.

Mallory tylko kiwnął głową i maszerował dalej.

– Z przyjemnością widzę, że zdołał pan się wymknąć nie kupując olejku do opalania. – Mężczyzna zachichotał. – Pomyśleć, że ktoś może być tak głupi, żeby sprzedawać olejek do opalania podczas śnieżycy!

– A co pan sprzedaje? – zagadnął Mallory.

– Sprzedaje? Mój drogi panie, pan mnie obraził! Czy ja wyglądam na handlarza?

– Mnie proszę nie pytać.

– Ja właściwie daję coś za darmo.

– Nie mam czasu.

Mężczyzna zaczął iść szybciej.

– Niech pan zajrzy do środka – powiedział wpychając Mallory’emu do ręki pudełko.

Mallory wziął pudełko i otworzył je nie zwalniając kroku. Skrzywił się.

– Wygląda jak garść robaków – stwierdził.

– To nie są zwykłe robaki – oznajmił mężczyzna tonem urażonej godności. – To są dżdżownice!

– Co za różnica?

– A jaka jest różnica pomiędzy deskorolką a rolls-royce’em? – odparł mężczyzna.

– To są rasowe dżdżownice, proszę pana wszystkie z rodowodem od pięciu pokoleń, wszystkie zarejestrowane w AZR.

– AZR? – powtórzył Mallory oddając mu pudełko.

– Amerykański Związek Robactwa – wyjaśnił mężczyzna. – To jest nasz zarząd od 1893 roku.

– Po cholere mi dżdżownice?

– Do łowienia ryb.

- Przecież pada śnieg, jeśli dotąd pan nie zauważył.
- To w najmniejszym stopniu nie zaszkodzi tym małym, futrzastym zwierzątkom.
- Wydają się raczej oślizłe niż futrzaste.
- Ma pan rację, proszę pana – zgodził się mężczyzna zagładając do pudełka. – To w najmniejszym stopniu nie zaszkodzi tym małym, oślizłym zwierzątkom. – Chciałem powiedzieć, że nikt nie jest takim wariatem, żeby łowić ryby podczas śnieżnej zamieci.
- No właśnie, proszę pana. Niech pan tylko pomyśli: żadnej konkurencji! – Przecież jesteśmy w Central Parku, na ścieżce do konnej jazdy. Tutaj nie ma żadnych ryb.
- Ach, ale jeśli pan jakąś znajdzie, proszę sobie wyobrazić, jaka ona będzie głodna!
- Niech pan prehandluje swoje robaki na olejek do opalania – zaproponował Mallory.
- 7- Prowadzę również wyprzedaż nagrobków – nie ustępował mężczyzna.
- Wyprzedaż nagrobków? – powtórzył Mallory.
- Jeśli przypadkiem pana nazwisko brzmi Jessica Ann Milford i utonął pan w sierpniu 1974 roku – uściślił mężczyzna.
- Ani jedno, ani drugie.
- To prawdziwa okazja – gorąco zachwalał mężczyzna. – Marmur, ornament z puszek po piwie i igieł do strzykawek. Bardzo gustowne. – Zastanowię się – obiecał Mallory ruszając w drogę.
- Poczekam tutaj, aż pan się zdecyduje – zawołał za nim mężczyzna. Mallory potrząsnął głową i przyspieszył kroku. Śnieg padał ciągle i zerwał się tak silny wiatr, że widoczność w parku spadła niemal do zera. Po paru minutach Mallory był

pewien, że zszedł ze ścieżki do konnej jazdy, ale kiedy chciał zawrócić, odkrył, że śnieg przysypał już ślady jego stóp. Poszukał wzrokiem światła Piątej Alei, ale nie mógł ich dojrzeć przez zasłonę śniegu. Z mdlącym uczuciem w żołądku zrozumiał, że zabłądził. Zaklął półgłosem pod adresem Mürgenstürma, po czym zaczął się rozglądać za jakimś schronieniem. Wokół rozpościerał się bezkresny dywan śniegu, ale Mallory'emu zdawało się, że po lewej majaczy niewyraźnie jakiś budynek. Pochylając głowę pod wiatr powlókł się powoli w tym kierunku.

Był już przekonany, że się pomylił, ale dokładnie w tym momencie wiatr ucichł, a wówczas okazało się, że zaledwie parę kroków dalej stoi wielka kamienna budowla. Była nieoświetlona, ale dwa kominy wyrzucały w mroźne nocne powietrze kłęby dymu. Mallory biegiem pokonał dzielącą go od budynku odległość i załomotał do drzwi. Nie doczekawszy się odpowiedzi pchnął drzwi i wszedł do środka dysząc ciężko. Strzepnął śnieg z płaszcza, pomacał ścianę szukając kontaktu, nie znalazł go i wyciągnął zapalniczkę. W jej nikłym, ale wystarczająco jasnym świetle odkrył, że znajduje się w stajni z dwoma rzędami boksów. Panowała tu silna woń koni, od czasu do czasu rozlegał się tupot kopyt po słomie.

Wreszcie Mallory spostrzegł gołą żarówkę podwieszoną u krokwi i pociągnął za wystrzępiony sznurek, który od niej odchodził. Nagle znalazł się w kręgu ostrego białego światła otoczonym przez chybotliwe cienie, płaszące w rytm poruszeń rozkołysanej żarówki.

– Jest tu kto?! – zawołał i podskoczył ze zdumienia, kiedy usłyszał odpowiedź.

– Tak.

– Gdzie jesteś? – zapytał rozglądając się podejrzliwie.

- Tutaj.
- Gdzie tutaj?
- Popatrz w dół.

Mallory spojrział w dół i zobaczył miniaturowego konia, mierzącego w kłębie najwyżej dziewięć cali, który stał tuż obok.

- Czy to ty mówiłeś? - upewnił się przykucając, żeby dokładniej obejrzeć małe, eleganckie zwierzątko.

- Owszem - potwierdził koń. - Tam wisi taki mały ręczniczek - dodał wskazując łbem na krawędź najbliższego boksu. - Bądź tak dobry, zdejmij go i zarzuć mi na grzbiet.

Mallory wstał, wziął ręcznik i ostrożnie okrył nim grzbiet i zad konika. - Dziękuję - powiedział konik, nie zdołał jednak całkiem opanować gwałtownego dreszczu. - Dosyć zimno się tutaj robi.

Mallory wpatrywał się w maleńkie zwierzątko.

- Nie wiedziałem, że konie potrafią mówić - odezwał się w końcu.

- Oczywiście, że potrafią.
- Nigdy nie słyszałem mówiących koni.
- Może nie miały ci nic do powiedzenia.
- Możliwe - zgodził się Mallory. - Skoro o tym mowa, ty jesteś koniem, prawda?

- Naturalnie.

- I to jest stajnia?

- Zgadza się.

- Nie macie tutaj przypadkiem jednorożców? - zagadnął Mallory.

- Obawiam się, że nie. Dlaczego?

- Szedłem za pewnym jednorożcem po ścieżce do konnej jazdy. Myślałem, że może wstąpił tutaj, żeby się schronić

przed zimnem.

– Żałuję, ale nie mogę ci pomóc – odparł koń. – Nic mieliśmy tutaj żadnych jednorożców od ponad miesiąca. – Mały zwierzaczek zawahał się: – Wiesz, one są dosyć rzadkie. Myślę, że na całym Manhattanie jest ich najwyżej ze dwa tuziny. W którą stronę poszedł ten twój?

– Chyba na północ. Byłem za daleko, żeby widzieć dokładnie. Mallory otworzył drzwi, wystawił głowę na zewnątrz, stwierdził, że widoczność w dalszym ciągu była niemal zero-wa, i postanowił poczekać parę minut, zanim ponownie stawi czoło śnieżycy.

– Nigdy jeszcze nie widziałem takiego małego konia jak ty.

– Nie zawsze byłem taki mały – odpowiedział koń.

– Nie zawsze?

Konik ze smutkiem potrząsnął głową.

– A co się stało? – zapytał Mallory.

– Chociaż tego po mnie nie widać, dawniej byłem koniem wyścigowym. – Może kiedyś widziałem cię na torze – wtrącił Mallory. – Jeżdżę do Belmont i na Akwedukt trzy lub cztery razy w tygodniu.

– Nie byłem wystarczająco dobry. Pokładano we mnie wielkie nadzieje, kiedy się urodziłem, ale na ogół startowałem tylko w takich miejscowościach, jak Thistledown, Latonia czy Finger Lakes.

– Jak ci na imię?

– Chcesz poznać moje prawdziwe imię czy imię nadane przez właściciela?

– Chyba twoje prawdziwe imię.

– Eohippus.

– Nigdy o tobie nie słyszałem.



– Startowałem pod innym imieniem – wyjaśnił Eohippus. – To imię wybrałem sobie sam, odkąd zrozumiałem swoje przeznaczenie.

Konik parsknął, po czym kontynuował:

– Jak mówiłem, nie byłem najlepszym koniem wyścigowym. – Zdaje się, że właśnie na takie jak ty zawsze stawiałem – zauważył zgryźliwie Mallory.

– Mój właściciel i trener robili wszystko, co w ich mocy, żeby doprowadzić mnie do lepszej formy – oświadczył Eohippus.

– Na przykład co?

– Najpierw mnie wykastrowali.

– I dzięki temu biegalesz szybciej? – zapytał niedowierzająco Mallory. – Uciekałem szybciej za każdym razem, kiedy widziałem weterynarza, tyle ci mogę powiedzieć – odparł z goryczą Eohippus. Zarżał cicho: w ogromnym wnętrzu stajni ten dźwięk zabrzmiał jak westchnienie. – Kiedy tylko wyzdrowiałem, wróciłem na tor. – Może trzeba było ci założyć końskie okulary – podsunął Mallory.

– Próbowali.

– Pomogło?

– Końskie okulary są dla koni, które ciągle się rozglądają, które nie potrafią się skupić.

To nie ja. Ja zawsze, przy każdym kroku starałem się ze wszystkich sił. Końskie okulary tylko przesłoniły mi dwie trzecie świata. – Urwał. – Potem były pigułki. – Nielegalne?

Eohippus potrząsnął głową.

– Całkowicie legalne. Mój trener myślał, że mam bóle mięśni, więc przepisano mi pigułki przeciwbólowe. – Ponownie zarżał. – W ten sposób okaleczyli moją siostrę, która nie wiedziała, że ma chorą kostkę u nogi, dopóki noga się nie zła-

mała, ale ja byłem idealnie zdrowy.

– Tylko powolny.

Konik smutno kiwnął głową.

– Po prostu powolny – przyznał z nieszczęśliwą miną.

– No cóż, nie każdy może być Postrachem Seattle.

– To był mój wujek – oznajmił Eohippus.

– Naprawdę? – zdziwił się Mallory. – Prawie zbankrutowałem szukając koni, które by go pokonały.

– Kiedy pędził po torze, drzewa się kołysały – wspominał Eohippus przejęty grozą. – A

ja tak strasznie chciałem być do niego podobny! Do tego się urodziłem – żeby mknąć z wiatrem w zawody, żeby frunąć jak ptak, ledwie tykając ziemi kopytami. Ach, tak bardzo się starałem! Wypruwałem z siebie ostatni dech – urwał dramatycznie – ale po prostu brakowało mi talentu.

– I co dalej?

– Pewnego dnia startowałem w podrzędnej gonitwie w Nowym Meksyku i jak zwykle gdzieś po pół mili zacząłem odstawać od czołówki, i mój dżokej walił mnie szpicrutą... Nagle siodło się obsunęło i dżokej spadł.

– Trener nie zaciągnął porządnie popręgu.

– Ja też tak myślałem – przyznał Eohippus. – Ale tego wieczoru zauważyłem, że muszę podnosić głowę wyżej niż zwykle, żeby dosięgnąć do owsa. A kiedy następnego dnia moja trenerka kopnęła mnie podczas treningu, znowu zsunęło mi się siodło. Wtedy zrozumiałem, że zaczynam się kurczyć. Za każdym razem, kiedy ktoś mnie uderzył, robiłem się trochę mniejszy. – Przerwał. – W końcu zrobiłem się za mały, żeby biegać, i wycofali mnie... ale kurczyłem się dalej. Wreszcie objawiła mi się cała prawda: za każdym razem, kiedy jakiś koń został wybatożony albo zwymyślany z powodu przegranej, ja

robiłem się mniejszy.

To wtedy zmieniłem imię na Eohippus – pierwszy koń. Wszystkie konie wyścigowe mają coś ze mnie, a ja mam coś z nich.

– Od jak dawna to trwa? – zagadnął Mallory.

– Od jakichś dziesięciu lat – odparł Eohippus.

– Mam wrażenie, że nie skurczyłeś się w trakcie naszej rozmowy – zauważył Mallory – a przecież gdzieś na świecie na pewno właśnie odbywają się wyścigi i batożenie koni.

– Owszem – przyznał Eohippus – ale teraz, kiedy jestem taki mały, zachodząca we mnie zmiana jest również proporcjonalnie nieduża, toteż trudno ją zauważyć nawet w tygodniowych odstępach.

– Jak to się stało, że wylądowałeś w Central Parku? – To jest stajnia dla starych, wycofanych z obiegu koni wyścigowych, które uniknęły fabryki kleju – wyjaśnił Eohippus. – Większość z nich chodzi w zaprzęgu, a kilka wozi tłuste bachory po ścieżkach do konnej jazdy.

– Nie wmawiaj mi, że ty też chodzisz w zaprzęgu – sprzeciwił się Mallory.

– Nie – przyznał Eohippus. – Ale przyjemnie tu mieszkać.

Dokładnie za sobą Mallory usłyszał bardzo wyraźny koński śmiech.

Odwrócił się i ujrzał ciemne końskie oblicze, które mu się przyglądało. – Nie ma w tym nic przyjemnego – odezwał się czarnogłowy koń. – Jesteśmy zbieraniną wyeksploatowanych wraków, które czeka tylko wędrówka na cmentarz albo do fabryki pokarmu dla psów.

– Wydajesz się rozgoryczony – zauważył Mallory. – To chyba zrozumiałe – odparł koń. – Nie wszyscy myślimy jak ten tu Eohippus, który ma z nami równie mało wspólnego, co

Torpeda albo Sekretarz. – Bardzo niewiele koni przypomina Torpedę albo Sekretarza – przyznał Mallory. – Bo bardzo niewiele koni jest zdrowych! – parsknął karosz. – Byłem koniem wyścigowym przez sześć lat i każdy krok wymagał ode mnie wysiłku, każdy dzień przynosił nową porcję bólu. Nogi mi spuchły, kostki paliły żywym ogniem, bat dżokeja chłostał mnie bez litości i nie mogłem zrozumieć, co ja takiego zrobiłem, że Bóg mnie tak nienawidzi.

– Przykro mi to słyszeć – bąknął Mallory.

– Nie było ci przykro tego dnia, kiedy cisnąłeś mi bilety w twarz i powiedziałeś mojemu trenerowi, żeby posiekał mnie na przynętę dla ryb. – Ja tak powiedziałem? – zdumiał się Mallory.

– Nigdy nie zapominam twarzy.

– Wobec tego przepraszam.

– Dużo mi to pomoże – odparł z goryczą koń.

– Za bardzo się podniecam na wyścigach – tłumaczył zawstydzony Mallory.

– Ludzie podniecają się na wyścigach. Konie nigdy.

– Niezupełnie masz rację – zaprzeczył łagodnie Eohippus. – Istnieją wyjątki.

– Wymień chociaż jeden – zażądał koń.

– Pamiętam Ruffian – zaczął Eohippus, a jego drobna twarz rozjaśniła się na to wspomnienie. – Ona uwielbiała wyścigi. – Odwrócił się do Mallory'ego. – Widziałeś ją kiedyś?

– Nie, ale słyszałem, że była naprawdę dobra.

– Najlepsza klacz wszechczasów, nie ma dwóch zdań – oświadczył stanowczo Eohippus. – Prowadziła od pierwszego kroku aż do końca wyścigu. – I w sześć godzin później już nie żyła – wtrącił karosz. – Przy ostatnim kroku złamała nogę.

– To prawda – przyznał Eohippus ze smutkiem. – Tej

nocy straciłem cały cal wzrostu. – Potrzęsnał głową. – Zupełnie jakby Grundy przeciwko niej postawił. – Grundy? – powtórzył i ożywieniem Mallory. – Co o nim wiesz?

– To najpotężniejszy demon w Nowym Jorku – odparł Eohippus.

– W jakim celu Grundy mógłby ukraść jednorożca? – ciągnął Mallory.

– Chodzi ci o zwykłe powody czy jakieś inne?

– Nie wiem. Jakie mogą być zwykłe powody?

– Na przykład okup.

Mallory potrząsnął głową.

– Nie. Dotąd nie wysunął żadnych żądań.

– No, pozostaje jeszcze róg. Wart jest fortunę na czarnym rynku.

– Czy Grundy potrzebuje fortuny?

– Nie.

– Do czego jeszcze się nadaje jednorożec?

– Właściwie do niczego – odparł pogardliwie kary koń. – W jakich okolicznościach ten jednorożec został ukradziony? – zainteresował się Eohippus:

– Był pod opieką elfa nazwiskiem Mürgenstürm i został ukradziony mniej więcej dziesięć godzin temu przez Grundy’ego oraz skrzata zwanego Lep Gillespie. – Słyszałem o nim – mruknął w zamyśleniu Eohippus. – Na swój sposób to nietuzinkowa osobistość.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie go mogę znaleźć? – zapytał Mallory. – Nie. Ale nie zgadzam się na maltretowanie żadnych zwierząt. Jeśli poczekaś do rana, dopóki śnieg nie przestanie padać, chętnie się do ciebie przyłączę. – Nie mogę czekać – sprzeciwił się Mallory. – I tak za długo tutaj zostałem. Mam określony limit czasu.

- Jaki limit czasu? – zaciekał się Eohippus.
- Gildia Mürgenstürma zabije go, jeśli nie znajdzie Larkspura do świtu. – Larkspura? – zarżał wstrząśnięty Eohippus, a wszystkie konie w całej stajni powtórzyły to imię z przestraszeniem.
- Czy on jest jakiś wyjątkowy? – zapytał Mallory.
- Tak, jeśli ukradł go Grundy! – oznajmił Eohippus.
- Chyba nie bardzo rozumiem.
- Raz na każde tysiąc lat rodzi się jednorożec, w którego czasce tuż poniżej rogu znajduje się niemal doskonały rubin – wyjaśnił Eohippus. – To tak jak znamię. – Domyślam się, że Larkspur ma taki rubin.
- Ma – potwierdził mały konik.
- I dzięki temu wart jest tyle pieniędzy, żeby zainteresować nawet Grundy’ego? – Pieniądze nie mają nic do rzeczy – oświadczył Eohippus. – Rubin otwiera przejście pomiędzy światami... i sam stanowi źródło ogromnej potęgi. Grundy ma już dwa takie klejnoty i to dlatego stał się Grundym. Kto wie, czym się stanie, kiedy zdobędzie trzeci rubin?
- Wszyscy tutaj mi powtarzają, że magia nie istnieje – poskarżył się Mallory – a jednak zdaje się, że jest to jedyna, siła, która rządzi tym światem. – Kamienie nie są magiczne – zaprzeczył Eohippus. – Mają określone właściwości, całkowicie zgodne z prawami rządzącymi fizycznym wszechświatem, za pomocą których tworzą przepuszczalną błonę pomiędzy światami i umożliwiają swemu posiadaczowi wykorzystanie elektromagnetycznych fal mózgu w sposób bardziej efektywny niż u innych ludzi.
- A jak by działały, gdyby były magiczne? – zapytał zdezorientowany Mallory.
- Tak samo – odparł Eohippus.

- Więc różnica jest tylko semantyczna.
- Różnica jest scjentryczna – poprawił go maleńki konik.
- Ale rezultat jest ten sam.
- W zasadzie tak.
- Jak myślisz, do czego Grundy zamierza wykorzystać tę potęgę? – W tym świecie zdobył już wszystko, czego chciał – oznajmił Eohippus. – Przypuszczam, że w następnej kolejności zapagnie sięgnąć po twój świat. Wybacz, że może zbyt pochopnie wyciągam wnioski, ale ty jesteś z tego drugiego Manhattanu, prawda?
- Tak.”
- Myślałem, że przybyłeś tutaj nie tylko po to, żeby stawić na konie.
- O co ci chodzi? – spytał Mallory.
- Ciągłe głędzisz o magii, jakby środki były ważniejsze od celu. Liczy się tylko to, co Grundy robi z kamieniem Larkspura, a nie jak on to robi. – Skłonny jestem przyznać ci rację – zgodził się Mallory podchodząc do drzwi. – Lepiej już pójdę.
- Dokąd chcesz iść? – zagadnął Eohippus. – Nawet jeśli jednorożec, którego gonisz, to Larkspur, i tak w tej zadymce nigdy nie odnajdziesz jego śladów. – Wiem. Chyba jedyne, co mi pozostało, to znaleźć książkę telefoniczną.
- Po co?
- Muszę odszukać pułkownika Carruthersa, jeżeli on mieszka na Manhattanie.
- Co ma Carruthers do Larkspura? – zdziwił się Eohippus. – Nic. Ale jest jedynym w okolicy ekspertem od jednorożców, w każdym razie jedynym, którego znam. – Przerwał. – Jeśli Mürgenstürm tu się pokaże, powiedz mu, żeby znalazł adres Carruthersa i tam się ze mną spotkał. – Idę z tobą – oznajmił zdecydowanie Eohippus. – Jesteś tu obcy: stracisz

wiele godzin na samo szukanie książki telefonicznej, nie mówiąc już o pułkowniku Carruthersie.

– Będę musiał cię nieść – stwierdził Mallory pochylając się, żeby wziąć na ręce małe zwierzątko. – Inaczej śnieg zakryje cię z głową. – Ale mnie śnieg nie zakryje! – zawołał wielki kasztan z drugiego końca stajni.

– Mogę ponieść was obu.

– Nie – sprzeciwił się dereszowaty wałach. – Ja ich poniosę. – Cisza! – huknął kary koń. Pochylił łeb i otworzył zębami skobel w drzwiach swojego boksu. – Ja ich poniosę.

– Myślałem, że mnie nienawidzisz – rzucił Mallory, kiedy koń podszedł do niego.

– Owszem – chłodno odpowiedział koń.

– Więc dlaczego...?

– Żeby podsycać w sobie nienawiść. Gniew to wszystko, co mi pozostało... ale gniew, podobnie jak miłość, trzeba wciąż rozpalać od nowa. – Aha. No, kiedy zaczniesz się ślizgać i potykać, spróbuj tylko powtarzać sobie przez cały czas, że bardziej nienawidzisz Grundy'ego. Mallory otworzył drzwi, zaniósł Eohippusa do kamienia służącego za stopień przy wsianianiu i ostrożnie dosiadł karego konia.

– No, tak czy owak jedziemy – stwierdził, kiedy zanurzyli się w oślepiającą zamieć.

– Trzymaj się mojej grzywy – poradził koń.

– Chyba nie masz zamiaru galopować przez to świństwo? – zaniepokoił się Mallory.

– Czas jest najważniejszy, prawda?

– Zachowanie życia i zdrowia jest co najmniej równie ważne, a ja jeszcze nigdy nie jechałem na oklep.

– Więc chyba będziesz musiał się nauczyć – odparł koń z odzieniem satysfakcji.



– Grunt jest oblodzony. Znowu sobie pokaleczysz nogi.  
– Zniosę ten ból z radością. Będzie mi przypominał o tobie.

– Czy ty przypadkiem nie masz na imię Odlot? – ironicznie zagadnął Mallory.

– Imię moje – odparł koń – jest legion.

Puścił się galopem, a Mallory przytrzymując Eohippusa pod pachą rozpaczliwie wczepił się palcami w ośnieżoną grzywę, podczas gdy jego czarny płaszcz łopotał na wietrze niczym olbrzymie skrzydła jakiegoś nocnego stwora.

## **Rozdział szósty**

### **północ - 0.27**

Eohippus dygotał na śniegu, a Mallory oparty o ścianę budki telefonicznej wertował stronicę książki.

– Czy Carruthers jest w spisie? – zapytał konik. – Pułkownik W. Carruthers – przeczytał Mallory. – Nie przypuszczam, żeby było ich dwóch.

Wyjął z kieszeni monetę, włożył ją do automatu i wykręcił numer.

– Nie odpowiada – oznajmił w chwilę później.

– Pewnie świętuje Nowy Rok – podsunął Eohippus. – Co z adresem?

Mallory jeszcze raz zajrzał do książki.

– Ulica Ponura 124 – stwierdził marszcząc brwi. – Nigdy o takiej nie słyszałem.

– To pomiędzy Gnuśną a Rozpaczliwą – wyjaśnił kary koń.

– To są nazwy ulic? – upewnił się Mallory.

– Owszem, na tym Manhattanie.

– I ty byłeś na ulicy Ponurej?

Kary koń przytaknął.

– Zaprzęgli mnie do karawanu po kolejnej zarazie zesłanej przez Grundy’ego.

– Do karawanu?

– Grundy pogrywa ostro – odparł posepnie Eohippus. – Też mi się tak zdaje – przyznał Mallory. Położył Eohippusa na zadzie karego konia i niezręcznie wdrapał się na grzbiet swojego wierzchowca. Potem kurczowo przycisnął Eohippusa do piersi i wplótł palce prawej dłoni w grzywę karosza. – W porządku – oznajmił. – Jedziemy. Kary koń ruszył truchtem przez tonący w śnieżnej bieli Central Park. W widmowym świetle wszystko wokół zdawało się iskrzyć i migotać. Kiedy przejechali ćwierć mili, Mallory zauważył, że płaski krajobraz zakłócają tu i tam jakieś niesamowite kształty.

– Co to jest, u diabła? – spytał wskazując na największy z nich.

– Bałwan ze śniegu – wyjaśnił Eohippus.

– Moim zdaniem to wcale nie przypomina bałwana – oświadczył Mallory.

– No, właściwie to jest gorgona ze śniegu.

– Jakiś dzieciak ma cholernie rozwiniętą wyobraźnię – stwierdził detektyw.

– Masz rację – zgodził się mały konik. – Stopy powinny być o wiele większe.

– Chcesz powiedzieć, że coś takiego naprawdę istnieje w tym świecie? – zdumiał się Mallory.

– Oczywiście – odpowiedział Eohippus.

Śnieżne konstrukcje były coraz bardziej skomplikowane, a ich ukoronowaniem okazał się zamek, który mógł swobodnie pomieścić niewielki batalion żołnierzy. – Piękna robota – skomentował Eohippus. – Zwróć uwagę, że wszystkie cegły

są zrobione z lodu... i założę się, że most zwodzony naprawdę działa. – Kto mógł to zbudować? – zagadnął Mallory rozglądając się w poszukiwaniu jakichś śladów życia. – Przecież śnieg pada dopiero od trzydziestu czy czterdziestu minut.

– Kto wie? – odparł mały konik. – Dlaczego po prostu nie podziwiasz tego, zanim się nie roztopi?

– Denerwuje mnie, jeśli czegoś nie wiem – wyznał Mallory. – Chyba właśnie dlatego zostałem detektywem.

– Piękna rzecz pozostaje piękna bez względu na to, czy wiesz, kto ją stworzył – oświadczył Eohippus.

– Ale nie dla mnie – powtórzył z uporem Mallory.

– Filister! – mruknął kary koń.

Mallory postanowił nie roztrząsać dłużej tej kwestii i ponownie zaczął oglądać śnieżne rzeźby, niektóre przejrzyste i delikatne, inne rodem prosto z najgorszych koszmarów. Tu i ówdzie jacyś przedsiębiorczy agenci reklamowi wylegli gromadnie na śnieg i pofolgowali swoim twórczym skłonnościom: drobiazgowo wypracowane postacie kobiet i mężczyzn ze śniegu prezentowały smokingi, suknie, pantofelki i biustonosze o wspaniale oddanej fakturze tkanin, każde z umieszczoną w widocznym miejscu ceną i adresem sklepu, pewien zaś właściciel antykwariatu ze starymi samochodami wyrzeźbił nawet duesenberga i tuckera łącznie z kierowcami w strojach z epoki.

– No, co o tym myślisz? – zagadnął Eohippus, kiedy minęli następny zamek. – Sam jeszcze nie wiem – odparł Mallory.

– Do pewnego stopnia uważam to za fascynujące. – Zrobił przerwę. – A jednocześnie jako detektyw zdaję sobie sprawę, że wśród tych rzeźb mogą się ukrywać całe chmary zboczeńców. – My nie mamy zboczeńców w Central Parku – zaprotestował Eohippus.

– Lepiej na to nie licz – ostrzegł Mallory. – Właśnie widziałem, jak coś się poruszyło za tym śniegowym sfinksem.

Eohippus popatrzył we wskazanym kierunku.

– To tylko teatrzyk kukielkowy – oznajmił po chwili.

– Na dworze, o północy, podczas zamieci? – powątpiewał Mallory. – Najlepszy czas i miejsce – wyjaśnił Eohippus. – Dzisiaj dzieciakom pozwolono nie kłaść się do łóżek, żeby mogły powitać Nowy Rok. Rodzice wydają przyjęcia, więc wysłali dzieci na przedstawienie, żeby nie plątały im się pod nogami. Kiedy podjechali bliżej, Mallory zobaczył grupkę małych dzieci poubieranych w płaszcze przypominające jego własny płaszcz, które siedziały po turecku na ziemi i śmiały się radośnie, patrząc, jak dwoje całkowicie oblepionych śniegiem ludzi odgrywa znane perypetie Puncha i Judy. Przyjrząwszy się dzieciom dokładniej, Mallory spostrzegł, że prawie połowa miała pokryte futrem lub łuskami ogonki wystające spod płaszczy. Dwie nastolatki, widocznie wyznaczone do pilnowania dzieci – jedna całkowicie humanoidalna, druga wyposażona w parę olbrzymich skórzastych skrzydeł – stały po obu stronach grupy z minami wyrażającymi najwyższe znużenie.

– Czy im nie za zimno? – zatroskał się Mallory.

– Mają ochronne płaszcze z kapturami – uspokoił go Eohippus.

– Chodzi mi o aktorów.

– A niby dlaczego?

– Są oblepieni śniegiem – zauważył Mallory.

– Oczywiście. Są ze śniegu z wierzchu i od środka. – Próbujesz mi wmówić, że pod tym śniegiem nie ma prawdziwych ludzi? – obruszył się Mallory.

– Właśnie – potwierdził Eohippus.

– Nie wierzę ci!

– To prawda – zapewnił mały konik. – Zawsze, kiedy napada więcej śniegu, dzieciaki przybiegają na to miejsce, żeby obejrzeć przedstawienie z Puncem i Judy. Nie wiem, jak to się dzieje, ale bałwany z roku na rok pamiętają tekst. W tejże chwili Judy walnęła Puncem w głowę ulepionym ze śniegu wałkiem do ciasta, a Punc jęcząc i płacząc upadł na ziemię, nagrodzony śmiechem i oklaskami dzieci.

– Widzisz? – powiedział Eohippus. – Taki cios mógłby zabić prawdziwego człowieka.

– Zgadza się – przyznał Mallory. Milczał przez chwilę. – Chyba po prostu jestem przyzwyczajony do mojego Central Parku.

– To wcale nie znaczy, że na tym Manhattanie nie ma żadnych niebezpieczeństw – ciągnął konik. – Tylko że tutaj niebezpieczeństwa są spowodowane czym innym. – Na przykład działalnością Grundy’ego?

Eohippus skinął głową.

Potem dzieci zostały z tyłu, a przed detektywem rozpostarło się ponure, niegościnne pustkowie, jedynie od czasu do czasu urozmaicone przez śniegowe rzeźby. Wreszcie kary koń dotarł do końca parku i skręcił w wąską, niedawno oczyszczoną ze śniegu uliczkę. – Gdzie teraz jesteśmy? – zapytał Mallory.

– Na ulicy Smutnej – odparł Eohippus.

– Nigdy o takiej nie słyszałem – oświadczył Mallory.

– To mała uliczka, tylko na jeden ciąg domów – wyjaśnił Eohippus. – Ciągnie się od Żarłocznej do Lubieżnej.

– Takich ulic nie ma na moim Manhattanie.

– Ależ są – zapewnił Eohippus. – Mają tylko inne nazwy. Dotarli do skrzyżowania i kary koń zatrzymał się na czerwonym świetle. Mallory skorzystał z okazji, żeby zerknąć w głąb

przecznicy. Przed każdym domem stał odźwierny, jeden bardziej egzotycznie ubrany od drugiego.

Wnętrza domów były nastrojowo oświetlone i wyłożone pluszem, a w chłodnym nocnym powietrzu rozbrzmiewały piskliwe śmiechy. Odźwierny przed najbliższym narożnym budynkiem, wysoki, brązowoskóry mężczyzna odziany w turban, metalicznie połyskujący złoty kaftan, aksamitne szarawary i pantofle z wywiniętymi do góry nosami, wychwalał dostępne w jego zakładzie rozkosze przed wytwornym dżentelmenem, który wyglądałby zupełnie normalnie, gdyby nie para wielkich białych skrzydeł sterczących mu z tyłu pod płaszczem. Na koniec dżentelmen kiwnął głową, wręczył odźwiernemu pieniądze i wszedł do budynku, gdzie jakaś przejrzyście ubrana młoda kobieta o aerodynamicznych kształtach natychmiast wzięła go pod rękę i wprowadziła w głąb pomieszczenia. – Ulica Lubieżna? – powtórzył Mallory.

Eohippus przytaknął.

– Dlaczego sąsiaduje z ulicą Smutną? – zaciekał się detektyw. – Czy oni tylko zdzierają skórę z klientów?

– Nie – zaprzeczył mały konik. – Tutaj dostarczają klientowi dokładnie to, co obiecują: nieokiełznaną zmysłowość i absolutny brak niewygodnych komplikacji uczuciowych. – Wygląda na to, że każdy dostaje to, co mu się należy za jego pieniądze – skomentował Mallory.

– Owszem – potwierdził Eohippus. – A jednak prędzej czy później prawie wszyscy trafiają na ulicę Smutną.

– Domyślam się, że na ulicy Żarłocznej są same restauracje – ciągnął Mallory.

– Wyłącznie czterogwiazdkowe.

– Tam również klient otrzymuje wszystko, czego zapragnie?

– Więcej – oświadczył ponuro Eohippus.

Światło zmieniło się na zielone. Przejechali kawałek prosto, skręcili na lewo, dotarli do następnego skrzyżowania i skręcili na prawo. Jeszcze raz wygląd otoczenia uległ zmianie.

Czynszowe kamienice z piaskowca wyglądały brudno i niechlujnie nawet pod warstwą śniegu, wzdłuż krawężników stały szeregi zardzewiałych nashów, studebakerów i packardów, którymi od lat nikt nie jeździł, pod każdą latarnią kulił się wychudzony żebrak, a większość sklepów miała przybite na drzwiach ogłoszenia: NIECZYNNE. – Ulica Ponura? – odgadł Mallory.

Eohippus kiwnął głową. Kary koń przystanął.

Mallory popatrzył na okna z czarnymi draperiami, pod którymi się zatrzymali.

– Na pewno to jakaś pomyłka – stwierdził.

– Ulica Ponura 124 – oświadczył koń.

– Ale tu jest zakład pogrzebowy!

– To już nie moja wina.

Mallory zsiadł i postawił Eohippusa na chodniku. – Zaczekaj tutaj – zwrócił się do karosza. – Podejrzewam, że w książce telefonicznej był błąd.

– Potrzebowałeś transportu na ulicę Ponurą. Przywiozłem cię tu. Nie mam więcej wobec ciebie żadnych zobowiązań.

Koń zawrócił i oddalił się truchtem.

– Ładnego przyjaciela sobie znalazłeś – rzucił zgryźliwie Mallory. – Niezwykle lojalny.

– On strasznie cierpi – wyjaśnił Eohippus. – Ma chore nogi, musiał nas dźwigać i jeszcze ten śnieg...

– Wiem – przyznał Mallory. – Po prostu wydaje mi się, że on ma do mnie osobistą pretensję o wszystkie nieszczęścia,

które go spotkały. – On ma pretensję do wszystkich ludzi – odparł Eohippus. – No, moim zdaniem, świetnie by mu zrobiło na usposobienie, gdyby trochę pocierpiał w milczeniu – oświadczył Mallory i odwrócił się w stronę budynku. Przez chwilę przyglądał mu się uważnie, potem podszedł do frontowych drzwi i nacisnął klamkę. – Dziwne – mruknął.

– Co takiego? – spytał Eohippus.

– Drzwi są otwarte.

Detektyw wszedł do środka prowadząc za sobą Eohippusa i znalazł się w okrągłej sali oświetlonej świecami. Na ścianie naprzeciwko ujrzał troje drzwi udekorowanych pogrzebowymi wieńcami. Po lewej stało eleganckie mahoniowe biurko, a przed nim cztery połączane krzeselka.

Za biurkiem siedział starszy mężczyzna w ciemnym dwurzędowym garniturze w prążki i ciemnym krawacie i gęsim piórem pisał coś w księdze oprawionej w czarną skórę.

Był straszliwie wychudzony, miał zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy. Kosmyk stalowosiwych włosów sterczał mu nad rzadkimi brwiami jak jęczyczek wdowiego czepca.

– Czy przyszedł pan po ciało? – zapytał mężczyzna niskim, grobowym głosem.

– Nie – powiedział Mallory. – Szukam pułkownika Caruthersa.

Starzec uśmiechnął się demonstrując rząd krzywych, żółtych zębów.

– Ach! Więc pan szuka Koszmarni!

– Naprawdę?

– Tak – oświadczył starzec. Zerknął w dół, na Eohippusa.

– Przykro mi, ale nie wpuszczamy psów.

– To jest koń – sprostował Mallory.

Starzec wstał, zrobił krok w ich kierunku, pochylił się i



dokładnie obejrzał Eohippusa.

– Rzeczywiście – powiedział w końcu. Wyprostował się.  
– Żadne przepisy nie zabraniają wprowadzania koni, ale to jest wbrew wszelkim zasadom. – Jeszcze raz popatrzył na małego konika i wzruszył wąskimi ramionami. – Chyba jedno więcej naruszenie zasad nie robi różnicy. Proszę za mną.

Wszedł w najbliższe drzwi, a Mallory i Eohippus ruszyli za nim. Minęli wąski korytarz, oświetlony przez regularnie rozmieszczone świece w cynowych lichtarzach przytwierdzonych do ścian, dotarli do spiralnych schodów i zaczęli schodzić w dół.

– Co to jest właściwie ta Koszmarnia? – zagadnął Mallory biorąc Eohippusa na rękę.

– To magazyn należący do kostnicy na piętrze – wyjaśnił staruszek.

– Tam na dole trzymacie ciało?

– Trumny.

– I tam mieszka Carruthers? – wypytywał podejrzliwie Mallory.

– Zgadza się.

– Może to głupie pytanie – ciągnął Mallory – ale czy pułkownik jest żywy?

– Oczywiście.

– I pan razem z pułkownikiem pracujecie w tej Koszmarni?

Stary człowiek roześmiał się.

– My tutaj mieszkamy.

– W kostnicy? – niedowierzająco zapytał Mallory.

– Nie każdy ma tyle szczęścia, żeby odłożyć sobie trochę grosza na starość, proszę pana – odparł staruszek. Dotarli już do końca schodów. – Kostnica zapewnia nam ciepłe, suche

pomieszczenie mieszkalne oraz mnóstwo naprawdę luksusowych trumien... a my w zamian wykonujemy rozmaite prace pomocnicze.

– I zostawiają wam tutaj te trumny na stałe?

– Na litość boską, skądże znowu! – zaprzeczył staruszek.

– Przecież prowadzą interes.

Każda trumna jest na sprzedaż. Ale przez cały czas muszą uzupełniać zapas; gdyby się okazało, że ciał jest więcej niż trumien, byłoby w wielkim kłopotcie. – Urwał. – Właściwie to jest tak, jakby się zmieniało łóżka co parę dni; to pomaga przełamać monotonię. – Ale chyba jest niewygodne.

– O nie, proszę pana – sprzeciwił się staruszek. – Nowoczesne trumny są bardzo przestronne i zbytkownie wyposażone. Uczciwie panu powiem, że jeszcze nigdy nie miałem nawet w połowie tak wygodnego łóżka.

Poprowadził ich dalej korytarzem.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana – oznajmił. – Zawiadomię pułkownika, że pan przyszedł.

Na drugim końcu pomieszczenia zgromadzono ze czterdzieści trumien, na ogół dość eleganckich, chociaż niektóre miały nieco zbyt światowy wygląd. Każda stała na oddzielnej płycie. Kilka wyposażono w koce i poduszki; przyjrząwszy się dokładniej Mallory odkrył, że spoczywa w nich pół tuzina pograżonych we śnie mężczyzn i kobiet w podeszłym wieku.

Jeden staruszek miał na głowie słuchawki od walkmana i wystukiwał palcami rytm na ścianie swojej trumny.

Reszta pomieszczenia przypominała salon staroświeckiego hotelu, wprawdzie w dobrym stanie, ale stanowczo wymagający odnowienia. Krzesła i kanapy, chociaż głębokie i wygodne, były rozpaczliwie przestarzałe, wzór dywanu wyszedł z mody jeszcze przed drugą wojną światową, popiel-

niczki wydawały się bardziej eleganckie niż funkcjonalne, a wiszące na ścianach sztychy w połączonych ramach były dziełem od dawna nieżyjących i jeszcze dłużej zapomnianych artystów malarzy. Gramofon na siedemdziesiąt osiem obrotów ozdobiony wizerunkiem psa słuchającego głosu swego pana – His Master’s Voice – odtwarzał jedną z mniej znanych miłosnych ballad Rudy’ego Vallee. Na krzesłach i kanapach siedzieli mężczyźni i kobiety, wszyscy raczej nie pierwszej młodości. Kilku panów ubranych było po domowemu w białe kostiumy do tenisa, jeden miał na sobie sportową koszulę, sweter bez rękawów, skórzaną golfową czapkę, pumpy i spiczaste buty, pozostali jednak nosili ciemne garnitury, białe koszule ze sztywnymi kołnierzykami i uroczyste krawaty. Wszystkie kobiety były we wzorzystych sukniach albo praktycznych kostiumach i prawie wszystkie miały kapelusze z woalkami; niektóre nałożyły giemzowe rękawiczki, pewna zaś sędziwa, siwowłosa dama o królewskiej postawie otuliła się w futro pozszywane z lisich łap, łebków i ogonów, przy czym każdy łeb w gryzał się zażarcie w poprzedzający go ogon. Prawie wszyscy mężczyźni i kobiety trzymali w dłoniach filigranowe filiżaneczki z kawą i prawie wszyscy pogryzali ciasteczka lub paszteciki.

Na samym końcu, obok trumien, siedziała krępa, tryskająca energią kobieta. Miała kasztanowate włosy, zwinięte w ciasny węzeł i nietknięte siwizną, chociaż Mallory ocenił jej wiek na sześćdziesiąt do sześćdziesięciu pięciu lat. Ubrana była w brązowy tweedowy żakiet, wełnianą spódnicę, brązową bluzkę o bardzo surowym kroju i jedwabny krawat. – To ona – oznajmił stary człowiek.

- Kto taki? – nie zrozumiał Mallory.
- Pułkownik.

– Chce pan powiedzieć, że pułkownik jest kobietą?  
– Ma pan coś przeciwko kobietom?  
– Ależ nie – pospiesznie zapewnił Mallory. – Po prostu się zdziwiłem.

Pani pułkownik dostrzegła staruszkę, wstała i szybko przeszła przez pokój.

– Jest tu ktoś do pani, pułkowniku – rzekł staruszek.  
Pułkownik popatrzyła na Mallory’ego.  
– Czy ja pana znam?  
– Jeszcze nie – odparł detektyw wyciągając rękę. – Nazywam się John Justin Mallory.

Energicznie potrząsnęła jego dłonią.

– Miło mi pana poznać, panie Mallory. Możesz mi mówić Winnifred. – Spojrzała na Eohippusa, którego Mallory ciągle trzymał pod pachą. – Co my tu mamy? – Konia – wyjaśnił Mallory.

– Dosyć mały – stwierdziła pani pułkownik bez zdziwienia. – Czy on ma jakieś imię?

– Eohippus – odezwał się maleńki konik.

– Bardzo mi przyjemnie, Eohippusie – oświadczyła pułkownik. Wyciągnęła rękę i delikatnie poczochnęła go po grzywie, aż się zwinął z rozkoszy. – Masz bardzo miły, męski głosik.

– Dziękuję – odrzekł Eohippus.

Ponownie zwróciła się do Mallory’ego.

– Mogę cię poczęstować filiżanką herbaty albo placuszkiem z bitą śmietaną? – Zawahała się. – Prawdę mówiąc nie są najlepsze, ale każdy robi, co może.

– Nie, dziękuję – odparł Mallory. – Chciałbym raczej otrzymać parę informacji, a może również niewielką pomoc.

Pani pułkownik zachichotała.

– W tej chwili mam dosyć kłopotów z pomaganiem sobie samej, ponieważ przez całe życie badałam zwyczajnie bestii z dżungli zamiast bestii z Wall Street. – Wzruszyła ramionami.

– Ale to nie ma nic do rzeczy. Jakich informacji potrzebujesz?

– Podobno wiesz coś o jednorożcach.

– Pomyłka! Wiem wszystko o jednorożcach. Badam je od blisko czterdziestu lat. – Rzuciła mu ostre spojrzenie. – Dlaczego się nimi interesujesz? – Poluję na pewnego jednorożca.

– Wspaniale! – wykrzyknęła uszczęśliwiona pani pułkownik. – Zawsze chętnie pogadam z kolegą sportsmenem, Mallory. Nic tak nie dodaje animuszu, jak kiedy się spogląda prosto w małe, nabiegłe krwią oczy byka jednorożca gotującego się do ataku!

– Mam wrażenie, że ten mój jest oswojony – wtrącił Mallory. – Co za hańba! – zawołała Winnifred. – Dzikie jednorożce to taka szlachetna zwierzyna! Ach, to jest dopiero życie, Mallory – słońce nad głową, wiatr dmuchający w twarz, drużyna wiernych trolli i świeży, jeszcze ciepły trop jednorożca z rekordowym rogiem! Och, ten zapach befsztyka z jednorożca piekącego się nad ogniskiem! Na samą myśl o tym serce bije mi szybciej! Tam powinienesz być, Mallory – polować wśród dzikich pustkowi, a nie ścigać jakieś nieszczęsne bydło, ujarzmione do tego stopnia, że pewnie chodzi w uprzęży! – Umilkła na chwilę. – Wiesz co, gdybym była chociaż o dziesięć lat młodsza i gdybym miała jeszcze mój wierny nitro express.550, z przyjemnością pokazałabym ci prawdziwe polowanie na jednorożca.

– Byłbym zaszczycony, gdybyś wzięła udział w moim polowaniu – oznajmił Mallory. Uśmiechnęła się tęsknie, potem westchnęła głęboko. – Taka stara, gruba baba z zadyszka, któ-

ra większość czasu poświęca na wspominki, tylko będzie zawadzała.

Nie jestem ci potrzebna, Mallory.

– Właśnie ty jesteś mi potrzebna – oświadczył Mallory. – Ja nie jestem myśliwym; jestem detektywem.

– Detektywem?

Przytaknął.

– Poszukuję jednoroźca, który został skradziony dziś po południu. Muszę go odnaleźć przed świtem.

– Chcesz powiedzieć, że on jest tutaj, na ulicach Manhattanu?

– No, na ulicy raczej go nie ma – odparł Mallory. – Ale jest gdzieś w mieście.

Ja zaś – dodał – nie mam pojęcia, jak go odnaleźć.

– Niełatwe zadanie – zamyśliła się pułkownik, daremnie usiłując ukryć ciekawość. – Mówisz, że twój pracodawca chce go odzyskać przed świtem?

– Takie były warunki umowy.

– Hmm. To nam daje... przepraszam: tobie daje niewiele czasu. – Odwróciła się do niego. – Jak myślisz, kto go ukradł?

– Ja wiem, kto go ukradł: Grundy oraz skrzat zwany Lep Gillespie.

Winnifred zmarszczyła brwi.

– Po co Grundy miałby kraść jednoroźca?

– To był Larkspur – wtrącił Eohippus.

– Larkspur! – wykrzyknęła. – To rzuca nowe światło na całą sprawę! Oczywiście pomogę ci, Mallory. – Spochmurniała. – Sęk w tym, że moja pomoc nie wystarczy. – Myślałem, że wiesz wszystko o jednoroźcach – przypomniał jej Mallory. – Tak, wiem wszystko o ich zwyczajach i sposobach tropienia

ich śladów – wyjaśniła Winnifred. – Ale niewiele wiem o rubinie w głowie Larkspura ani o tym, do czego Grundy może go użyć. Będziemy musieli zapewnić sobie pomoc eksperta. – Od jednorożców? – zdziwił się Mallory.

– Od magii.

– Więc ten rubin jednak posiada magiczną moc?

– Magiczna czy nie, jego moc jest tak bliska magii, że to nie robi żadnej różnicy.

– Czy nie powinniśmy najpierw sprawdzić, w jakim stopniu jego moc jest magiczna? – zauważył Mallory. – Może będziemy musieli podjąć jakieś środki ostrożności.

– Właśnie dlatego złożymy wizytę Wielkiemu Mefisto – oświadczyła stanowczo Winnifred. – On będzie wiedział... a jeśli kamień jest magiczny, on nam powie, co trzeba zrobić.

– On jest magiem?

– Najlepszym.

– Gdzie go można znaleźć? – zagadnął Mallory.

– On ma swój ulubiony mały bar przy następnej przecznicy – wyjaśniła Winnifred.

– Ale czy przyjdzie tam w wieczór sylwestrowy? – powątpiewał Mallory. – Dlaczego nie? – odparła Winnifred. – I tak nie miałyby dokąd pójść. – Spojrzała na zegarek. – Najprawdopodobniej zjawi się tam za dwadzieścia czy trzydzieści minut.

– Lepiej, żeby się zjawił – mruknął Mallory. – Pozostaje jeszcze ten limit czasu. Mój klient zostanie skazany na śmierć o wschodzie słońca, jeśli wcześniej nie odzyskam jednorożca.

– O? Dla kogo pracujesz, Mallory?

– Dla elfa nazwiskiem Mürgenstürm. Słyszałaś o nim kiedyś?

Potrząsnęła głową.

– Nazwisko nic mi nie mówi. Co on ma wspólnego z Larkspurem?

– Miał pilnować Larkspura, ale Grundy go ukradł.

– To bardzo dziwne – oświadczyła Winnifred.

– Co takiego?

– Żeby zostawić tak cenne zwierzę pod opieką tylko jednego elfa. Ten Mürgenstürm to musi być nie byle kto.

Mallory uśmiechnął się zimno. – Rzeczywiście nigdy jeszcze nie spotkałem takiego tchórza, łajdaka, postrzeleńca i erotomana.

– Coś tu nie pasuje – oznajmiła stanowczo Winnifred. – Coś tu jest bardzo nie w porządku, Mallory.

– Hę?

Kiwnęła głową.

– Dlaczego gildia elfów powierzyła Larkspura komuś takiemu? Mają reputację najlepszej miejscowej służby bezpieczeństwa. Dlaczego oddali pod opiekę takiemu elfowi najcenniejszą rzecz, jakiej kiedykolwiek musieli pilnować? Mallory zmarszczył brwi.

– To trochę bez sensu, prawda?

– Niewątpliwie – przyświadczyła Winnifred. – Czy on mógł cię okłamać, Mallory?

Czy to mogło być ukartowane od początku do końca?

– Wątpię.

– Dlaczego?

– Z trzech powodów – odparł Mallory. – Po pierwsze wynajął mnie, żebym oczyścił go z podejrzeń przed gildią. Po drugie był naprawdę przerażony, kiedy odkrył, że to Grundy zabrał Larkspura. A po trzecie Grundy przez cały czas próbuje mnie zastraszyć i raz już usiłował mnie zabić. – Potrząsnął głową. – Nie, to Grundy ukradł jednorożca; jestem tego pe-



wien. Ale nagle zacząłem mieć wątpliwości co do tego zielonego kurdupła. – Chodzi ci o Mürgenstürma? – upewnił się Eohippus.

Mallory przytaknął.

– Na przykład? – zagadnęła Winnifred.

– Wiem, że macie własnych detektywów na tym Manhattanie. Dlaczego on zaangażował detektywa z mojego Manhattanu?

– Odpowiedź jest całkiem prosta – stwierdziła Winnifred. – Każdy detektyw z tego Manhattanu od razu dostrzegłby luki w jego historyjce. Nikt, kto zna prawdziwą wartość Larkspura, nie dałby się nabrać na takie mętne, nieudolne kłamstwa. – Skrzywiła się. – Ale dlaczego w ogóle chciał wynająć detektywa i po co ciągnie dalej to przedstawienie... – Wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia.

– Ani ja – mruknął Mallory. – I jest jeszcze Felina.

– Felina?

– Dziewczyna-kot. Zjawiła się półgodziny po tym, jak tu przybyłem, i od tamtej pory włóczy się za nami. Ciekaw jestem, czy ona też jest w to zamieszana. – Ludźmi-kotami nie musisz się przejmować – pouczyła go Winnifred. – Ich lojalność, jeśli w ogóle jakąś mają, nie jest na sprzedaż i żadnemu z nich z pewnością nie powierzyłabym sekretu. – Umilkła i posłała mu twarde spojrzenie. – Najlepiej wracaj do domu, Mallory. Skoro Mürgenstürm najwyraźniej cię okłamał, nic cię tutaj nie zatrzymuje.

– Moi klienci z reguły okłamują mnie na początku – odparł Mallory. – To ryzyko zawodowe. A Mürgenstürm płaci mi dostatecznie dużo, żebym formalnie był zobowiązany wierzyć mu aż do świtu. – Nagle wstał. – Ubieraj się. Nie możemy tu zostać.

– Ale Mefisto prawie nigdy nie pokazuje się przed pierwszą w nocy – zaprotestowała Winnifred.

– Więc zaczekamy na niego.

– O co ci chodzi, Mallory?

– Zostawiłem wiadomość dla Mürgenstürma, żeby tutaj mnie szukał. A chociaż formalnie muszę mu wierzyć, nie ufam mu ani trochę. Winnifred natychmiast podeszła do szafy, wyjęła biały, długi do kostek futrzany płaszcz i botki obszyte takim samym futrem, po czym wyprowadziła detektywa i Eohippusa z pokoju. Razem weszli po długich schodach.

Śnieg przestał padać, kiedy znaleźli się na ulicy. Winnifred skierowała się w prawo.

– Cześć, Johnie Justinie Mallory – zamruczał znajomy głos. – Masz tutaj apetyczne zwierzątko.

Mallory podniósł wzrok i ujrzał Felinę przycupniętą na latarni.

– Co ty tam robisz? – zapytał.

– Siedzę – odparła, nie spuszczając oczu z Eohippusa, którego Mallory postawił na ziemi.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Nie wiem.

– Jak mnie znalazłaś? – indagował Mallory.

Uśmiechnęła się i lekko zeskoczyła na ziemię.

– O wiele łatwiej wytropić ciebie niż jednorożca. – Przykucnęła obok Eohippusa. – Malutki, tłuściutki, słodziutki, smacznutki kąsku – zanuciła śpiewnym głosem.

– Ee... Mallory? – rzucił nerwowo Eohippus.

– To jest Felina? – upewniła się Winnifred.

Mallory kiwnął głową.

– Pomagała mi tropić jednorożca w parku, ale przeszkodziły jej kwestie związane z odżywianiem.

Felina wyciągnęła rękę, żeby dotknąć Eohippusa, ale Winnifred dała jej klapsa.

Dziewczyna-kot błyskawicznie odskoczyła, sycząc i plu-  
jąc.

– Zostaw go w spokoju – powiedziała stanowczo Winnifred. – Rozumiesz?

Felina prychnęła na nią.

– Młoda damo, jeśli jeszcze raz to zrobisz, wezmę cię na smycz – ostrzegła Winnifred.

Felina” dotąd agresywna, nagle przybrała służalczą postawę. – Wojownicza rasa – tłumaczyła Mallory’emu Winnifred. – Trzeba od samego początku narzucić im pewne reguły zachowania i pokazać, kto jest panem, bo inaczej człowiek sam sobie ściąga kłopoty na głowę. – Popatrzyła na Felinę. – No i co, nie będziesz już więcej napastowała naszego konika, prawda?

Felina uśmiechnęła się i pokręciła głową. Mallory uznał, że w tym uśmiechu widać trochę za dużo zębów, i postanowił na wszelki wypadek nieść Eohippusa pod pachą. – Bar jest zaraz przy następnej przecznicy – oznajmiła Winnifred. – To całkiem przyjemny lokal. Duże drinki, małe ceny.

– Więc chodźmy – zaproponował detektyw.

– Dobrze – przytaknęła i ruszyła energicznym krokiem. – Nagle znowu czuję, że żyję.

Wyrwałam się z tej zapleśniałej kostnicy i zaczyna się zabawa! – Odetchnęła głęboko. – Ach, czujesz to orzeźwiające powietrze, Mallory? Przypominają mi się czasy, kiedy polowałam na yeti w Himalajach.

– Nie wiedziałem, że yeti naprawdę istnieje – zdziwił się detektyw.

Winnifred parsknęła śmiechem i okręciła się dookoła,

żeby lepiej zaprezentować swój biały futrzany płaszcz.

– A z czego to jest, jak myślisz?

– Cieszę się, że jesteś po naszej stronie – zauważył Mallory. – A ja się cieszę, że oszczędziłeś mi następnego sylwestra w towarzystwie ludzi, którzy tylko siedzą i czekają na własną śmierć – odpowiedziała szczerze. – Swoją drogą co, u diabła, tam robiła taka energiczna osoba jak ty? – zagadnął Mallory.

– Sama nie wiem – wyznała. – Po prostu trafiłam do tych ludzi i było mi tam tak wygodnie, że wkrótce odejście okazało się zbyt trudne. – Z tych samych powodów zostałem na moim Manhattanie – zgodził się Mallory. – Może to nie nadzwyczajne miejsce, może wszędzie śmierdzi i na ulicach jest niebezpiecznie, ale jakoś zawsze łatwiej jest przetrwać kolejny dzień, niż zdobyć się na przeprowadzkę.

Winnifred nagle przystanąła i podniosła twarz do zachmurzonego nieba.

– Strzeż się. Grundy! – wrzasnęła. – Może nie wyglądamy nadzwyczajnie, może nie używamy żadnych ciemnych mocy ani nie mamy żadnych sojuszników... ale nielecho się z nami uszarpiesz, to ci obiecuję!

## **Rozdział siódmy**

### **0.27-0.45**

– Lubisz ragtime? – zapytała Winnifred, kiedy zbliżyli się do knajpy – Ragtime bije na głowę wszystko, co w naszych czasach uchodzi za muzykę – oświadczył Mallory. – Jednak moim zdaniem schodzi na psy, odkąd Andrews Sisters przestały nagrywać płyty. – Świetnie – stwierdziła Winnifred. – Myślę, że polubisz ten lokal.

Mallory zatrzymał się przed budynkiem.

– Jesteś pewna, że dobrze trafiliśmy? – zagadnął. – To

wygląda jak chińska pralnia.

Pułkownik roześmiała się serdecznie i otworzyła drzwi, a wówczas ze słabo oświetlonego wnętrza buchnęła szaleńcza melodia ragtime'u. – Idź za mną – poleciła. Winnifred.

Mallory ruszył za nią niosąc Eohippusa i prowadząc Felinę. Winnifred energicznie utorowała sobie drogę do wolnego stolika po drugiej stronie zatłoczonej sali. Pary, czwórki oraz większe grupki ludzi obsiadły stoliki i długi mahoniowy bar. Wszyscy najwyraźniej dobrze się bawili. Kelnerzy w białych marynarkach roznosili drinki na srebrnych tacach.

Większość mężczyzn miała na sobie staromodne smokingi, a Mallory zauważył, że kilku nosiło kamasze. Kobiety, wszystkie z krótko obciętymi włosami i w jeszcze krótszych sukienkach, wydawały się współzawodniczyć między sobą o to, która zdoła najbardziej się upodobnić do Clary Bow.

– Mefisto jeszcze nie przyszedł – oznajmiła Winnifred rozglądając się po niskiej, zadymionej salce. Kiedy wreszcie dotarli do stolika i usiedli, zwróciła się do Mallory'ego: – Czyż to nie urocze małe bistro?

– Pełno tu przedwojennych dżentelmenów i wampów salonowych – stwierdził oschle detektyw. Pianista właśnie przerzucił się na nową melodię i pół tuzina gości zaczęło tańczyć charlestona. – Czy to są aktorzy z jakiejś rewii na Broadwayu? – Nie, to tacy sami klienci jak ty i ja.

– Może i klienci – odparł Mallory – ale na pewno nie tacy sami jak my. A w ogóle co to za lokal?

– Zapomniana Melina – poinformowała go Winnifred.

– Melina? – powtórzył detektyw.

Przytaknęła, ubawiona jego reakcją.

– Działa bez przerwy od 1925 roku. – Poufnie zniżyła głos. – Prawdę mówiąc ciągle jeszcze sami pędzą tu dżin w

wannie na piętrze. Jest całkiem niezły. – Czy klienci nie wiedzą, że prohibicja się skończyła? – zapytał Mallory obserwując rozbawionych gości. – A może się mylę?

– Och, skończyła się, masz rację – zapewniła Winnifred. – Nie da się ukryć, że niektórzy pewnie o tym nie wiedzą. Ten lokal ma takie powodzenie, że w ogóle nie wracają do domu. Wspominają Lindy’ego Szczęściarza i Wielkiego Ala, dyskutują o przemijającej modzie na filmy dźwiękowe i wierzą, że nigdy nie dojdzie do kryzysu. – Nieznacznie pokazała mu wysokiego mężczyznę, który stał w kącie oparty plecami o ścianę, z wykałaczką w zębach, i podrzucał w prawym ręku srebrnego dolara. – Widzisz go? Mallory przytaknął.

– Ten facet został wynajęty, żeby zamordować słynnego przemytnika alkoholu – szepnęła. – Nikt nie ma serca mu powiedzieć, że przemytnik umarł ponad czterdzieści lat temu.

Podszedł do nich kelner i Mallory zauważył, że kelner, podobnie jak wszyscy mężczyźni w lokalu, ma włosy nasmarowane brylantyną. – Co państwu podać?

– Wezmę gorący grog – zdecydowała Winnifred. Odwróciła się do Mallory’ego. – Naprawdę powinieneś tego spróbować. Od razu nabierzesz animuszu. – Mogę spróbować, jeśli od tego nie oślepnę – zgodził się detektyw. – Dwa grogi – poleciła kelnerowi Winnifred. – A kiedy przyjdzie Mefisto, powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć.

– Czy ta... hm... młoda dama coś zamawia? – spytał kelner wskazując na Felinę.

– Mleko – odpowiedziała dziewczyna-kot.

Kelner skrzywił się.

– Mleka nie mamy.

– Potrafisz przygotować koktajl Alexander? – zapytał Mallory.

Kelner skinął głową.

– Dobrze. Podaj jej to – ale nie dodawaj niczego oprócz śmietanki. Kelner popatrzył na Mallory’ego jak na wariata, w końcu jednak wzruszył ramionami, jeszcze raz kiwnął głową i oddalił się w stronę baru. – Ojej! – zawołała nagle Winnifred. – Zapomnieliśmy o Eohippusie! – Nic nie szkodzi – odezwał się Eohippus, który leżał na kolanach Mallory’ego. – Ja nie piję.

– Na pewno tam ci niewygodnie – zatroskała się Winnifred. – Postawię cię na stole, dobrze?

Podniosła Eohippusa i postawiła go obok miseczki z orzeszkami. Felina zerknęła na małego zwierzaczka i lekko pochyliła się do przodu. – Jeśli to zrobisz, przetrzepię ci skórę, aż pogubisz wszystkie pchły – ostrzegła poważnie Winnifred.

Felina – wcielenie niewinności – pochyliła się jeszcze bardziej, poprawiła obrus, po czym zaczęła się bujać na krześle z nadąsaną miną. Nagle do knajpy wszedł wysoki mężczyzna w bardzo grubych okularach w rogowej oprawie. Podszedł do baru, przywitał się z barmanem i skierował się do ich stolika. Miał na sobie modny smoking, czerwono-czarną aksamitową pelerynę, która znakomicie nadawałaby się do filmu o Drakuli, oraz spiczasty kapelusz ozdobiony haftem przedstawiającym wszystkie znaki zodiaku.

– Cześć, Winnie – powiedział. Przyniósł sobie wolne krzesło i usiadł. – Chciałaś ze mną pomówić?

– Tak – potwierdziła Winnifred. – Mefisto, to jest John Justin Mallory. A to są – dodała wskazując po kolei na swoich towarzyszy – Eohippus i Felina. – Wielki Mefisto, do usług – przedstawił się mag podając rękę detektywowi. – Bardzo mi przyjemnie – odparł Mallory. Wyciągnął rękę, ale naraz spostrzegł, że w dłoni maga pojawił się malutki króliczek. Mefisto wsadził go do kieszeni, zanim Felina zdążyła się na niego rzu-

cić.

– Pułkownik Carruthers mówiła mi, że jesteś najlepszym czarodziejem w Nowym Jorku – ciągnął Mallory.

– Na świecie – poprawił go Mefisto. – Chcesz dowodu? – Wyciągnął z powietrza talię kart i rozłożył je jak wachlarz. – Wybierz kartę. Wszystko jedno jaką. – Nie interesują mnie sztuczki z kartami – oświadczył Mallory. – A powinny – stwierdził Mefisto. – To jest ostatni krzyk mody na przyjęciach w tym sezonie. – Machnął ręką i karty znikły.

– Czy tylko robisz sztuczki, czy jesteś prawdziwym czarodziejem? – zapytał Mallory.

– Co za różnica? – odparł Mefisto.

– W tym przypadku kwestia życia i śmierci – oznajmił Mallory. – O? – rzucił Mefisto, nagle zainteresowany. – Wobec tego jestem prawdziwym czarodziejem, biegłym w stwarzaniu, przepowiadaniu i rzucaniu zaklęć. Co mogę dla ciebie zrobić, mój przyjacielu?

– Opowiedz mi o rubinie tkwiącym w głowie Larkspura. Mefisto odwrócił się do Winnifred.

– Larkspur? – powtórzył ze złością. – Myślałem, że proponujesz mi pracę! – Przestań sklamrzeć! – warknęła. – Zachowuj się przyzwoicie i odpowiedz na jego pytanie.

– W tym mieście czarodziej może umrzeć z głodu – burknął Mefisto. – Każdy chce darmowej porady, zupełnie jakbym był lekarzem!

– Odpowiedz, Mefisto – ponagliła Winnifred. – A może jednak jesteś tylko zwykłym kuglarzem?

– O wy, ludzie małej wiary! – westchnął Mefisto i odwrócił się do Mallory'ego. – Co chcesz wiedzieć o drogocennym klejnocie Larkspura? – Wszystko – oświadczył detektyw.

Mefisto gapił się na niego przez chwilę, po czym nagle



triumfalnie strzelił palcami.

– Teraz rozumiem! Ty jesteś ten facet, na którego poluje Grundy!

Mallory przytaknęła.

– Ha! – Mefisto wyszczerzył zęby. – Więc on próbuje ukraść ten kamień!

– On już go ukradł – wtrącił Eohippus.

– Na razie ukradł jednorożca, a nie kamień – poprawił Mefisto.

– To jakaś różnica? – zainteresował się detektyw.

Czarodziej przytaknęła.

– Pewien mój przyjaciel właśnie świętował Nowy Rok w tym, co wy nazywacie „domem o złej sławie”. Ponieważ żona mojego przyjaciela zna wszystkie jego ulubione lokale na Manhattanie, on poszedł się zabawić na twój Manhattan. – Mefisto przerwał. – Nie mógłby tego zrobić, gdyby Grundy wszedł w posiadanie rubinu. – Dlaczego?

– Ponieważ rubin oprócz innych swoich właściwości umożliwia przechodzenie do twojego świata.

– Trudno mi w to uwierzyć – oświadczył Mallory. – Tutaj jest całe mnóstwo ludzi z mojego Manhattanu i żaden z nich nie potrzebował rubinu, żeby tu się dostać. Do diabła, ja sam po prostu przyjechałem tu windą.

– Niemniej sprawił to rubin.

– Jak?

– Trudno to wytłumaczyć – powiedział Mefisto. – Wiesz, pomiędzy naszymi dwoma światami znajduje się błona.

– Coś takiego jak skóra? – wtrącił Mallory.

Czarodziej zachichotał.

– Nie jest aż tak namacalna; przypomina raczej bardzo specyficzną strefę, która łączy twój świat z moim. W każdym

razie dopóki Larkspur żyje, błona jest przepuszczalna i możliwe jest przechodzenie z jednego świata do drugiego. Kiedy Larkspur się urodził, otwarło się przejście pomiędzy światami. Kiedy umrze – a jeśli nie zdechnie ze starości, można go zabić jedynie wyjmując mu kamień z głowy – błona stwardnieje w ciągu paru godzin i nasze światy zostaną od siebie odcięte. – Dopóki za tysiąc lat nie urodzi się następny jednorożec z rubinem – podsunął Mallory.

– Na zawsze – sprostował Mefisto.

– Myślałem, że w każdym tysiącleciu rodzi się jednorożec z rubinem – zaznaczył Mallory.

– To prawda – przyznał Mefisto. – Ale każdy rubin otwiera nam dostęp do innego świata. Po śmierci Larkspura – obojętne, z jakiego powodu – wasz świat stanie się dla nas niedostępny na wieczność. Następny rubin otworzy drzwi do innego świata, tak samo jak dwa poprzednie.

– Jak długo będzie żył Larkspur? – chciał wiedzieć Mallory. – Trzeba się zastanowić – mruknął Mefisto pocierając kościstą szczękę. – Ma już pewnie koło sześćdziesiątki. – Odwrócił się do Winnifred. – Jaka jest przeciętna długość życia jednorożca?

– Od stu do stu dwudziestu lat – odpowiedziała. – Ale to dotyczy zwykłych jednorożców. Z takim jak Larkspur nic nie wiadomo.

– Ale on nie powinien umrzeć z przyczyn naturalnych w ciągu najbliższych paru lat? – nalegał Mallory.

– Nie.

Mallory zmarszczył brwi.

– Więc nie rozumiem, po co Grundy’emu ten rubin. Kiedy go wyjmie. Larkspur natychmiast umrze, a kiedy Larkspur umrze, ten świat natychmiast zostanie zamrożony na następne

tysiąc lat. To po prostu nie ma sensu, bo przecież należałoby się spodziewać, że demon będzie wolał grasować w obu światach.

Mefisto uśmiechnął się i przechylił przez stół, zezując na Mallory'ego spoza grubych szkielec.

– Nic nie jest takie proste, jak się wydaje – oznajmił wyciągając z powietrza zapalonego papierosa. Zaciągnął się dymem, a zaskoczona Felina zasyczała i wskoczyła na oparcie krzesła. – Zwłaszcza jeśli chodzi o mistrzów magii, takich jak ja i Grundy. Przede wszystkim posiadacz klejnotu zawsze może swobodnie przechodzić pomiędzy światami. Po drugie, otwieranie przejścia przez błonę stanowi tylko jedną spośród licznych właściwości rubinu.

– Jakie są te inne? – zapytał Mallory podnosząc głos, żeby przekrzyczeć gości, którzy zaczęli teraz śpiewać „Liii Marlene” pod akompaniament pianisty. – Grundy posiada pewne zdolności – wyznał niechętnie Mefisto. – Niewiele warte i dyletanckie w porównaniu z talentami czarodzieja takiego jak ja, sam rozumiesz – urwał i zachmurzył się – ale dzięki nim jest bogaty i potężny, podczas gdy moje umiejętności cieszą się powodzeniem jedynie na przyjęciach i przynoszą mi tak niewiele dochodu, że ledwie mogę wyżywić swoje króliki. – Westchnął. – W każdym razie ten rubin zwiększa możliwości swojego właściciela... no i oczywiście Grundy ma już dwa pozostałe rubiny. – A co mu da ten rubin, czego nie dały dwa poprzednie? – Nie rozumiesz – tłumaczył cierpliwie Mefisto. – Ten konkretny rubin nie posiada żadnych właściwości, których tamte również nie mają. Ale dodając jego moc do mocy tamtych dwóch Grundy zdobędzie jeszcze większą potęgę. To jak silnik z trzema cylindrami zamiast dwóch... a porównanie staje się tym bardziej obrazowe, jeśli wziąć pod uwagę, że nikt

inny nie ma żadnych cylindrów. Grundy stanie się praktycznie niepokonany; będzie mógł kierować nie tylko ludźmi, ale i wydarzeniami posługując się jedynie siłą woli; może nawet będzie mógł przyspieszyć narodziny następnego jednorożca z rubinem. – Wróćmy do początku – zaproponował Mallory. – Powiedziałeś, że rubin Larkspura dodany do tamtych dwóch sprawi, że Grundy stanie się niepokonany. – Praktycznie tak – przyświadczył czarodziej.

– Więc teraz nie jest niepokonany – stwierdził detektyw.  
– Jak mam się do niego zabrać? Jakiej broni użyć?

– No, na pewno nie możesz użyć siły fizycznej – odparł Mefisto. – Grundy potrafi zabić gorgone gołymi rękami. Żadna broń również nie wchodzi w grę... te dwa rubiny zapewniają mu aż nadto wystarczającą ochronę. – Urwał. – Według mnie jedynym sposobem, żeby się do niego dostać, są czary.

– W porządku. Jak mógłbym go załatwić?

– Nie mógłbyś – wyjaśnił Mefisto. – Nie jesteś czarodziejem.

– Możesz mnie nauczyć?

– Przez jeden wieczór? – roześmiał się Mefisto. – Wiesz, ile mi zabrało opanowanie tylko tej jednej sztuczki z kartami, którą chciałem ci pokazać? – Więc pomożesz nam? – zapytała Winnifred.

Mefisto zmarszczył brwi i wyprostował się na krześle.

– Nie wiem – powiedział. – Chciałbym, naprawdę chciałbym... ale to jest GRUNDY! – Myślałam, że jesteś największym czarodziejem na świecie – wtrąciła Felina mrużąc jak kot.

– Owszem – przyznał Mefisto. Zawahał się. – Ale on jako czarodziej ma najlepsze wyniki, chociaż nie bardzo rozumiem, dlaczego tak jest. – Będzie miał jeszcze lepsze wyniki, jeśli do-

stanie do rąk ten trzeci rubin – zaznaczył Eohippus.

– Muszę to przemyśleć – oznajmił Mefisto. Zwrócił się do Mallory’ego. – Potrzebuję więcej szczegółów.

– Pytaj – zgodził się detektyw.

– Przede wszystkim co ty tu robisz? Nawet nie jesteś z tego Manhattanu. Mallory odczekał chwilę, ponieważ zbliżał się kelner, i dopiero kiedy się upewnił, że drinki były przeznaczone dla sąsiedniego stolika, odpowiedział: – Wynajął mnie elf nazwiskiem Mürgenstürm.

– Co on ma z tym wspólnego?

– Jeszcze dokładnie nie wiem – przyznał Mallory. – Rzekomo został wynajęty do pilnowania jednorożca, którego ukradł mu skrzat zwany Lep Gillespie. Ten skrzat pracuje dla Grundy’ego.

– Więc Grundy mógł jeszcze nie otrzymać jednorożca? – upewnił się Mefisto.

– Istnieje taka możliwość.

Mefisto wstał.

– No i co? – zagadnęła Winnifred.

– Z taką decyzją nie wolno się spieszyć – odparł mag. – Idę do baru na medytację...

Prześliznął się między parami tancerzy, które znudziwszy się charlestonem ustawiały się w szereg do hopaka.

– On nam pomoże – oświadczyła Winnifred z przekonaniem.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – mruknął Eohippus.

– Na pewno nie. To kwestia dumy.

– Czy on wierzy, że zdoła pokonać Grundy’ego? – zainteresował się Mallory.

Zachichotała.

– Właściwie nie. Ale umarłby ze wstydu, gdybyśmy zwy-

ciężyli bez jego pomocy. – Poza tym – dodał Eohippus poważnym tonem – na pewno sam chciałby sobie przywłaszczyć jeden czy dwa rubiny.

– Nie należy się martwić o kilka rzeczy na raz – uciął Mallory.

– Zgadzam się – powiedziała Winnifred. – Mamy ważniejsze problemy.

– Na przykład moją śmietankę – nadąsała się Felina.

– Na pewno zaraz ci przyniosą – uspokoiła ją Winnifred.

– Dzisiaj mają najgorętszą noc w roku.

Felina prychnęła i odwróciła się.

– Wspomniałaś o jakichś poważnych problemach – zagadną! Mallory.

Winnifred przytaknęła.

– Musimy zdecydować, jak najlepiej wykorzystać nasze siły.

– Czekam na propozycje – odparł detektyw.

– Myślę, że powinieneś wrócić do Koszmarni.

– Po co?

– Bo jeśli Mürgenstürm tam się pokaże, potrzebny będzie ktoś, kto go rozpozna.

Potrząsnął głową.

– Niekoniecznie.

– O? Dlaczego?

– Ponieważ jeśli brał udział w kradzieży, to nie przyjdzie. A jeśli przyjdzie, sam się przedstawi. Myślę, że lepiej po prostu zadzwonić do Koszmarni za jakąś godzinę i sprawdzić, czy już się zjawił.

– To ma sporo sensu, Mallory – zgodziła się Winnifred. – Dobrze; w takim razie jesteś wolny i możesz, nam pomóc odnaleźć Lepa Gillespie’ego. – Oraz Grundy’ego – dodał Mallory.

– Nie chcemy walczyć bezpośrednio z Grundym, dopóki to nie będzie absolutnie konieczne – oświadczyła twardo Winnifred. – Niech Mefisto dowie się, czy Grundy już otrzymał jednorożca. On używa bardziej subtelnych metod niżmy. – Nie zauważyłem, żeby był specjalnie wyrafinowany – burknął Mallory. – Może nie jest duszą towarzystwa, ale to świetny czarodziej – pocieszyła go Winnifred. – W tej sprawie musisz mi wierzyć na słowo. – Więc uważasz, że my powinniśmy zająć się tropieniem Gillespie’ego? – zapytał Mallory.

– On ostatni widział Larkspura, a poza tym jest o wiele mniej potężny od Grundy’ego.

– Przerwała i zamyśliła się. – Jeżeli się rozdzielimy, będziemy mogli przeszukać dwa razy większy teren.

– Nie mam zielonego pojęcia, od czego należy zacząć. – Gillespie jest kryminalistą – przypomniała Winnifred. – Poszukaj w przestępczym świecie. Ja zamierzam tak zrobić.

– Nawet nie wiem, gdzie znaleźć ten przestępczy świat – odparł z przekąsem Mallory.

– Spróbuj śledzić jakiegoś ciemnego typu. Przekupić parę osób. Spytać policjanta. – Winnifred zmierzyła go surowym spojrzeniem. – Jesteś detektywem, Mallory.

Znajdziesz jakiś sposób.

– Będziemy potrzebować skrzynki kontaktowej – zauważył Mallory.

– Daj mi się zastanowić – mruknęła. – Koszmarnia jest trochę nie po drodze.

Times Square jest za bardzo zatłoczony w Sylwestra. Tak samo hotele i dzielnica teatrów. – Nagle twarz jej się rozjaśniła. – Mam! Spotkamy się w budynku nowojorskiej giełdy! – Gdzie to jest? – zapytał Mallory.

– Na Wall Street.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy adres jest ten sam, co w moim świecie – wyjaśnił Mallory. Zawahał się. – A tak przez ciekawość, dlaczego wybrałaś akurat giełdę? – Bo znajduje się w centrum i o tej porze będzie zupełnie pusta. W dzień Nowego Roku nikt nie robi interesów.

Mallory wzruszył ramionami.

– Okay. O której mamy się spotkać?

Winnifred spojrzała na zegarek.

– Dochodzi za kwadrans pierwsza. Może piętnaście po drugiej?

– To tylko półtorej godziny – zaprotestował detektyw. – Jestem optymistką – odparła. – I wcale nie tak łatwo jest ukryć jednorożca na Manhattanie. Poza tym – dodała – do tego czasu będziemy chcieli wymienić informacje.

Podniosła wzrok, ponieważ wreszcie nadszedł kelner niosąc zamówione napoje.

– Dziękuję – powiedział Mallory. – Ile płacę?

– Sześćdziesiąt centów – odparł kelner.

Mallory wręczył mu trzy ćwierćdolarówki i kelner odszedł. – Ta knajpa to całkiem niezły lokal – zauważył detektyw. – Chyba nikt im jeszcze nie powiedział o inflacji.

– To chyba jest dla ciebie – stwierdziła Winnifred stawiając śmietankę przed Feliną.

Dziewczyna-kot popatrzyła na nią ponuro, sięgnęła po kieliszek, jednym haustem połknęła jego zawartość i odwróciła twarz do ściany.

– Niezłe – mruknął Mallory pociągając grog. – Nawiasem mówiąc ciekawi mnie, jak to się stało, że zaczęłaś polować na grubego zwierza?

– Może mój Manhattan wydaje ci się nowy i interesujący – wyjaśniła Winnifred – ale ja tu wyrosłam. Zawsze chciałam



zobaczyć, co kryje się za następnym wzgórzem, zwiedzić dzie-  
kie pustkowia, zanim dotrze do nich cywilizacja, ujrzeć rozle-  
gły horyzont, którego nie ograniczają żadne budynki.

– Więc zostałaś myśliwym?

Przytaknęła.

– Wyruszyłam, żeby walczyć ze zwierzętami, jakich ni-  
gdy jeszcze nie oglądało ludzkie oko, żeby zdobywać szczyty  
niezaznaczone na żadnych mapach i, przekraczać nieprzebyte  
rzeki, żeby badać krainy, gdzie nie postąpiła stopa cywilizowa-  
nego człowieka. – Urwała. – I dokonałam tego. Dwadzieścia  
siedem lat spędziłam w buszu, a muzea i ogrody zoologiczne  
pełne są moich trofeów.

– Czy to wtedy wstąpiłaś do wojska?

– Nigdy nie wstąpiłam do wojska – zaprzeczyła. – Nie  
przepadam za dyscypliną.

– Ale jesteś pułkownikiem – przypomniał jej Mallory. –  
Ach, to – powiedziała wzruszając ramionami. – Mianowali  
mnie pułkownikiem, kiedy pomogłam zdławić powstanie trolli  
w buszu. Mallory dopił do końca swój grog.

– Na pewno miałaś wiele fascynujących przygód – zau-  
ważył leniwie. – Jakie było twoje największe przeżycie?

– Moje największe przeżycie? – powtórzyła przymykając  
oczy. Po jej twarzy przemknął wyraz nostalgii. – Pamiętam  
srebrny księżyc nad tropikalną laguną, dotyk silnej dłoni na  
mojej ręce i szept słów zmieszany ze szmerem wody. Najlepiej  
pamiętam zapach jaśminu, słodki i drażniący w chłodnym po-  
wiewie wieczornej bryzy. – To brzmi bardzo romantycznie –  
odezwał się Eohippus. – Prawda? – zgodziła się z nim Winni-  
fred. Uśmiechnęła się gorzko. – A najzabawniejsze, że to nigdy  
się nie wydarzyło, przynajmniej nie mnie. – Słucham? – zapy-  
tał zmieszany Eohippus.

Winnifred westchnęła.

– Wyruszyłam do buszu jako tęga, niezgrabna młoda dziewczyna, a wróciłam jako tęga, pomarszczona starsza pani.  
– Zawahała się. – A jednak wciąż wszystko pamiętam, jakby to było wczoraj. Powiadają, że serce płata dziwne figle, ale nie wierzcie temu: to pamięć zawodzi. To wspomnienie jest dla mnie bardziej rzeczywiste od wszystkich prawdziwych wydarzeń. Ciągle jeszcze czuję ten przejmujący zapach jaśminu. Twarze się zacierają – moja wygląda ładniej niż w rzeczywistości, a twarzą mojego kochanka nie mogę sobie przypomnieć – ale zapach i odczucia są rzeczywiste, tak rzeczywiste, jakby to się naprawdę wydarzyło. – Przerwała. – Czy to nie zabawne, że takie jest moje najważniejsze wspomnienie z życia spędzonego w dziczy?

– Wcale nie uważam tego za zabawne – zapewnił ją szczerze Mallory.

– Nie uważasz?

Potrząsnął głową.

– No – oznajmiła nagle zawstydzona Winnifred – dość tych sentymentalnych bredni. – Wyprostowała się na krześle.  
– Czekaj na nas robota. Czy wszyscy gotowi do wymarszu?

– Chyba tak – odparł Mallory. – Jak chcesz podzielić nasze siły? – Ja idę z Mallorym – wtrąciła niespodziewanie Felina biorąc go za rękę i ocierając się policzkiem o jego dłoń.

– Więc ja zabiorę Eohippusa – zdecydowała Winnifred. – Jestem szczęśliwy mogąc towarzyszyć tak sławnej łowczyni – oświadczył mały konik. – Ale muszę cię uprzedzić, że niewiele wiem o skrzatach. – Nie dlatego cię zabieram – oznajmiła Winnifred.

– O? – zdziwił się mały konik.

– Naprawdę chcesz zostać sam na sam z Feliną, kiedy

Mallory będzie zajęty szukaniem kontaktów w świecie przestępczym?

Eohippus podreptał przez stół w stronę Winnifred.

– Rozumiem twój punkt widzenia – powiedział poważnie. – Więc chodźmy – rzuciła Winnifred. Wzięła Eohippusa na rękę i energicznie podeszła do drzwi.

Mallory wstał i odwrócił się do Feliny, która nie ruszyła się z miejsca.

– Idziesz?

– Nie lubię jej – zasyczała dziewczyna-kot.

– Ona też cię nie lubi – odparł sucho detektyw.

– Ale lubię ciebie – dokończyła uśmiechając się po kciemu.

– Więc chodźmy.

Felina namyślała się przez chwilę, a potem zerwała się tak gwałtownie, że przechodzący obok kelner podskoczył i upuścił tacę zastawioną napojami. – Będę cię bronić, Johnie Justinie Mallory – zamruczała Felina.

– To mnie bardzo podniosło na duchu – stwierdził Mallory.

– Jeśli ona spróbuje cię tknąć...

– Pułkownik Carruthers nie jest wrogiem – powiedział ze znużeniem Mallory.

– Ty wybierasz swoich wrogów, a ja wybieram moich – oświadczyła Felina.

Kiedy dogonili Winnifred przy drzwiach, ta odwróciła się w stronę baru.

– No i jak, Mefisto? – zawołała donośnym głosem.

Chudy, tykowaty czarodziej podniósł się niechętnie.

– Zgoda – powiedział z nieszczęśliwą miną. – Chociaż rano na pewno będę pluł sobie w brodę, jeśli w ogóle dożyję

do rana.

Dołączył do nich i razem wyszli w mroźną noc.

– Przypuszczam, że przydzieliliście mi Grundy’ego – odezwał się mag.

Winnifred przytaknęła.

– Nie próbuj z nim walczyć, dowiedz się tylko, czy on ma Larkspura. – Przerwała. – Spotkamy się w budynku nowojorskiej giełdy o drugiej piętnaście. – Dalej nie jestem przekonana, czy dziewięćdziesiąt minut wystarczy, żeby zebrać jakieś przyteczne informacje – zaznaczył Mallory.

– Będzie musiało ci wystarczyć – oświadczyła Winnifred.  
– Możliwe, że masz jeszcze mniej czasu od Mürgenstürma.

– O co chodzi? – zaniepokoił się detektyw.

– Właśnie przyszło mi do głowy, że jeśli Grundy zdobędzie ten kamień teraz, kiedy tu przebywasz, możesz zostać na zawsze uwięziony na tym Manhattanie.

## **Rozdział ósmy**

### **0.45 - 1.08**

Deszcz znowu zaczął padać, kiedy Mallory dotarł na Times Square. Wyglądało tam bardzo podobnie jak na Times Square w jego własnym świecie; kiosk, gdzie sprzedawano bilety do teatru po obniżonej cenie, para buchająca z metra przez kraty w jezdni, sklepy z pamiątkami, uliczni sprzedawcy, handlarze narkotyków, stręczyciele i prostytutki obojga płci.

Ogromna reklama cameli, zainstalowana niedawno również na tamtym drugim Manhattanie, przedstawiała zadowoloną twarz wydmuchującą w powietrze wielkie kłęby dymu. Mallory przystanął wśród jasnych świateł Broadwayu i zajrzał w Czterdziestą Drugą Ulicę. Większość noworocznych gości udała się już na przyjęcia i pozostali tylko zwykli bywal-

cy tej okolicy! Przez kilka minut detektyw przyglądał się bawczo przechodniom, którzy pospiesznie mijali sklepy z nowościami i salony masażu, obserwował ludzi i nieludzi, którzy wykonywali zapraszające gesty przed wejściami do obskurnych kin, oraz spoglądał na pijaków i narkomanów snujących się po zaśmieconym chochliku. – Chryste! – wymamrotał. – Oni wszyscy wyglądają na przestępców.

Westchnął i odwrócił się do Feliny, która pożądliwie wpatrywała się w pojemnik na śmieci.

– Chodź – powiedział.

Felina po raz ostatni tęsknie popatrzyła na śmietnik, po czym ruszyła za nim.

Razem skręcili w Czterdziestą Drugą Ulicę.

– Siemasz, sssąsiedzie – przemówił syczący głos, kiedy mijali jakiś budynek pogrążony w ciemnościach.

Mallory przystanął, odwrócił się i ujrzał przed sobą wysokiego mężczyznę o zielonej skórze i zimnych, pozbawionych wyrazu oczach.

– Szukasz czegoś sspecjalnego? – zasyczał mężczyzna. Mallory zauważył, że jego rozmówca ma wyjątkowo długi, rozdwojony na końcu język. – Właściwie tak – przyznał. – Gdzie mogę znaleźć jakiegoś skrzata?

Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem.

– Niepotrzebny ci ssskrzat, kolego; z nimi są sssame kłopoty. – Uśmiechnął się.

– Ale mogę ci załatwić bardzo miłą panienkę z łussskami. Jeśśli nie robięś tego z jaszczurką, to jakbyśś nigdy tego nie robił!

– Nie, dziękuję – odparł Mallory.

– Zajmiemy się również twoją przyjaciółką – nalegał mężczyzna. – Dziewczyny-koty szszszaleją za jaszszszczurka-

mi.

Mallory potrząsnął głową.

– Szukam skrzatów – w tym miejscu przerwał i machnął zwitkiem banknotów otrzymanych od Mürgenstürma – a właściwie jednego skrzata, zwanego Lep Gillespie.

– Jeśśli twoja przyjaciółka założy sssmycz i obrozę, może się fajnie zabawić z moim bratem Izzym – ciągnął mężczyzna ignorując pytanie Mallory’ego. – Jeśli nie wiesz, gdzie znaleźć Gillespie’ego, to kto może wiedzieć? – indagował detektyw.

– Jessteśś chory – syknął mężczyzna. – Proponuję ci niezapomnianą noc ślissskiej rozpusssty, a ty upieraszszz się przy ssskrzatach! Rozpłynął się wśród cieni. Mallory czekał chwilę na wypadek jego powrotu, po czym wzruszył ramionami i poszedł dalej. Minął rząd sex-shopów, gdzie na wystawach leżały najrozmaitsze dziwacznie wyglądające przybory, w większości absolutnie nienadające się do użytku dla ludzi.

– Dziewczynki-goblinki! – zaszeptał następny głos. – Młodziutki dziewczynki-goblinki!

Mallory nawet się nie obejrzał, żeby zobaczyć, kto do niego mówi, tylko złapał Felinę za rękę i przyspieszył kroku. Przeciął Ósmą Aleję, minął kolejny rząd obskurnych kin i sklepów z pornografią – w tym jeden, gdzie obiecywano całkowity zwrot kosztów, o ile klient potrafi zaproponować którejś z zatrudnionych tam wykwalifikowanych masażystek coś, co wywoła rumieniec na jej twarzy – i dotarłszy do Dziewiątej Alei skręcił na północ.

Nie było tu błyskających neonów i ulice, choć nie tak jasno oświetlone, wyglądały bezpieczniej i czystiej. Idąc szybkim krokiem minęli grecką restaurację, gdzie występowały ludzkie i nieludzkie tancerki wykonujące taniec brzucha, an-

gielską herbaciarnię odwiedzaną przez, siwowłosych dżentelmenów w typie wojskowych, z których każdy trzymał pod pachą szpicrutę, knajpę stanowiącą miejsce spotkań elfów oraz samoobsługową jadłodajnię, gdzie podobno podawano najświeższe mięsiwa w mieście, pękającą w szwach od trolli i goblinów, które powarkiwały i wydawały obrzydliwe odgłosy przy jedzeniu. Wreszcie trafili na pub „Pod Szmaragdową Wyspą”, a wówczas Mallory nagle przystanął. Felina zajrzała przez okno.

– Tam nie ma żadnych skrzatów – oznajmiła.

– Ale tam są Irlandczycy – odparł Mallory. – A jeśli oni mi nie powiedzą, gdzie szukać skrzatów, to nikt mi nie pomoże. – Popatrzył na nią surowo. – Będziesz się zachowywać przyzwoicie, czy mam cię tutaj zostawić na deszczu? – Albo jedno, albo drugie – odpowiedziała z nieprzeniknionym uśmiechem.

– Więc zostaniesz na dworze – oświadczył stanowczo detektyw.

– Czekaj! – zawołała, kiedy ruszył do drzwi.

– Będziesz siedzieć spokojnie i cichutko?

– Prawdopodobnie.

– No dobrze – ustąpił. – Ale jak tylko zaczniesz rozrabiać, wyrzucę cię od razu.

W odpowiedzi otarła się o niego i zamruczała, akurat kiedy otwierał drzwi.

– Nie przy ludziach! – szepnął z zakłopotaniem. Uśmiechnęła się i odsunęła, a on przygładził ręką mokre od deszczu włosy i rozejrzał się po lokalu.

Było to niewielkie pomieszczenie wyposażone w bar i pół tuzina stolików, ale nie wydawało się ciasne i przegrzane, tylko przytulne i zaciszne. Stoliki były okrągłe i ładnie nakryte,

krzesła solidne i funkcjonalne, podłoga goła i niepolakierowana, a na ścianach wisały oprawione sztychy przedstawiające krajobrazy Irlandii oraz kilka opatrzonych autografami fotografii irlandzkich aktorów, sportowców i pisarzy. Za barem wystawiono na pokaz zapasy trunków, Mallory zauważył jednak, że chociaż stały tam dosłownie setki butelek whisky, nie było wcale wina ani żadnej czystej wódki albo dżinu, zupełnie jakby kierownictwo dobrze znało gusty klienteli i nie widziało powodu, żeby wystawiać alkohole, na które nic było popytu.

Potężny, rudowłosy, piegowaty barman przyglądał się ciekawie Mallory'emu, podobnie jak trio staruszków zajmujących mały stolik w kącie. Dwaj mężczyźni ubrani w tweedy i swetry z golfem stali na środku sali rzucając strzałkami do portretów królowej Elżbiety I i Elżbiety II. Tuzin innych rozproszyło się po całym pomieszczeniu w dwu- i trzyosobowych grupkach; większość nosiła berety z pomponami, a blisko połowa miała długie szaliki owinięte wokół szyi z wystudiowaną nonszalancją. Szafa grająca rozbrzmiewała niekończącą się serią skocznych irlandzkich melodii, a większość piosenek opowiadała o dziewczętach imieniem Kathleen lub Molly. – Dobry wieczór panu – odezwał się barman z bardzo silnym akcentem irlandzkim. Gracze w strzałki podliczyli punkty i usiedli, żeby wreszcie porządnie się napić. – Czy mogę panu podać kieliszek dobrej irlandzkiej whisky? – Czemu nie? – zgodził się Mallory podchodząc do baru, podczas gdy Felina lekko wskoczyła na stołek i bez mrugnięcia wpatrzyła się w graczy. – Nigdy tu pana nie widziałem – zauważył barman.

– Nic dziwnego – przyznał Mallory. – Nigdy jeszcze tu nie byłem.



– Przypadkiem nie jest pan Irlandczykiem? – zapytał barman przyglądając się uważnie detektywowi.

– John J. O'Mallory – przedstawił się Mallory.

– Wobec tego pierwszy kieliszek jest na koszt zakładu – oznajmił barman z radosnym uśmiechem człowieka, który właśnie znalazł nowe źródło dochodu. – To bardzo uprzejmie z pana strony.

– A czego się napije pańska przyjaciółka?

– Niczego – odparł Mallory patrząc, jak barman nalewa mu whisky. – Mam wrażenie, że panu” nie przeszkadza jej obecność.

– Dlaczego miałyby przeszkadzać? Wie pan, koty pochodzą z Irlandii.

– Nie wiedziałem..

Barman kiwnął głową.

– Koty, whisky, irlandzkie płótno i rewolucja to cztery rzeczy, które daliśmy światu.

– A skrzaty? – zagadnął Mallory.

– Mali Ludzie? – rzucił pogardliwie barman. – Może pochodzą z Irlandii, ale na pewno nie jest to powód do dumy. Złośliwa, podstępna rasa, jeśli chce pan znać moje zdanie.

– Czy przychodzą tu czasami?

– Nie wpuściłbym żadnego do lokalu! – huknął barman.  
– Mówicie o Anglikach? – wtrącił jeden ze staruszków siedzących w kącie. – Kula w łeb to dla nich za mało!

– Nie – zaprzeczył barman. – Rozmawiamy o Małych Ludziach. – Ach... oni – mruknął staruszek. – Kula w łeb to jedno, na co zasługują. – Popatrzył na Mallory'ego. – A co pan myśli o Anglikach?

– Prosiłem Synów Irlandii, żeby mi nie prowokowali klientów – ostrzegł złowrogo barman.

– Ja tylko zacząłem małą, przyjacielską pogawędkę – obruszył się staruszek. – A ty uważaj, co mówisz. Synowie Irlandii pamiętają, kto jest ich przyjacielem. – Za to o wiele gorzej pamiętają, kto jest ich wierzycielem – odciął się zjadliwie barman. – A może chcielibyście uregulować swój rachunek? – Chyba powinieneś wrócić do starego kraju – zareplikował staruszek. – Ameryka zrobiła z ciebie kapitalistycznego krwiopijcę.

– W starym kraju zostało tylko dużo skał i garstka starych ludzi, którzy przesiadują po knajpach i spiskują, żeby wywołać rewolucję – odezwał się rumiany mężczyzna w średnim wieku od następnego stolika.

– Słyszałem cię, Fitzpatrick – oświadczył pierwszy staruszek – i powiem ci tylko tyle, że gdyby Rycerze Białej Koniczyzny trochę mniej gadali, a trochę więcej walczyli, wszyscy moglibyśmy powrócić do starego kraju.

– Ha! – wykrzyknął Fitzpatrick. – A kiedy to Synowie Irlandii pokonali w uczciwej walce cokolwiek poza butelką whisky?

– Walczymy słowem! – wrzasnął staruszek gramoląc się na nogi. – Jeśli tak, to lepiej powiem Anglikom, żeby użyli na was tych słów! – warknął Fitzpatrick i również się podniósł.

– Zechcesz wyjść ze mną na dwór i tam mi to powtórzyć? – zaproponował staruszek. – W każdej chwili – oświadczył Fitzpatrick. Zrzucił płaszcz, podwinął rękawy, popluł w garści i ruszył do drzwi. – Reguły markiza Queensberry? – Jak najbardziej – potwierdził staruszek biorąc swoją dębową laskę i wychodząc za nim na ulicę.

Trzech czy czterech klientów wyszło za nimi, ale reszta nie zwróciła na zajście żadnej uwagi – z wyjątkiem Feliny, która wiedziona ciekawością podeszła do okna i przycisnęła

twarz do szyby.

– CZY to się często zdarza? – zagadnął Mallory zwracając się do barmana. – Nie częściej niż trzy lub cztery razy na wieczór – zapewnił barman, który wyraźnie nie przejął się całym zajściem.

– Może powinniśmy ich rozdzielić – podsunął detektyw.

– Nie ma pośpiechu.

– Ten staruszek nie ma wielkich szans, z laską czy bez laski.

Barman uśmiechnął się.

– Oni tam tylko będą obrzucać się obelgami, żeby należycie rozgrzać w sobie krew przed bójką – ale zanim do tego dojdzie, obaj zmarzną Wystarczająco, żeby tu wrócić.

– Myśli pan, że oni będą tylko gadać? – zdumiał się Mallory. – Istnieje wielka różnica pomiędzy gadaną rewolucją a prawdziwą rewolucją. Gdyby oni lubili walkę, to zamiast siedzieć tutaj, podkładaliby bomby w Belfaście. – I tak jest co wieczór?

Barman przytaknął.

– Z wyjątkiem niedziel.

– Dlaczego z wyjątkiem niedziel? – zaciekawiał się Mallory.

– W niedzielę lokal jest zamknięty.

Felina wróciła do baru i przysiadła na stołku obok Mallory'ego.

– Myślałem, że chciałaś oglądać walkę – zauważył Mallory.

– Oni tylko na siebie wrzeszczą – odpowiedziała wzruszając ramionami. Potem nagle zainteresowała się miseczką orzeszków ziemnych i zaczęła się nimi bawić, układając z nich prościutkie wzory na kontuarze.

Barman spostrzegł pusty kieliszek Mallory'ego.

– Mogę panu dolać, panie O'Mallory?

– Czemu nie? – zgodził się Mallory i przysunął swój kieliszek w stronę butelki.

Zerknął na barmana. – Chciałbym również otrzymać parę informacji.

– Jeśli to w mojej mocy, służę panu.

– Dziękuję. Chciałbym się dowiedzieć, gdzie mogę znaleźć skrzata zwanego Lep Gillespie.

– Lepiej niech pan go nie szuka – ostrzegł barman. – To kawał łajdaka, ten Gillespie.

– Wiem – odparł Mallory. Wyciągnął portfel i mignął tamtemu przed oczami swoją licencją detektywa. – On zabrał coś, co do niego nie należy. Wynajęto mnie, żebym to odzyskał.

– No, niech mnie! – wykrzyknął barman z zachwytem. – Prawdziwy łaps, tutaj w moim pubie!

– Może pan mi pomóc?

– Ja nic, ale mogę pana zapoznać z kimś, kto panu pomoże. Finnegan! – ryknął. Szczupły, brodaty mężczyzna o kasztanowych włosach, w wygniecionym sztruksowym garniturze, wstał i podszedł do baru, trzymając w ręku mały notesik. – O'Mallory – powiedział barman – to jest Finnegan, nasz miejscowy poeta. Finnegan, przywitaj się z detektywem Johnem J. O'Mallorym. – Miło mi pana poznać – odezwał się Finnegan.

– Mnie również – odparł Mallory. – Chyba jeszcze nigdy nie spotkałem poety. Czy wydał pan jakieś książki?

– Jestem miejscowym nie publikowanym poetą – oświadczył surowo Finnegan. – Lista rynków, których jeszcze nie zdobyłem, jest naprawdę imponująca. Moje utwory odrzuciły wszystkie wydawnictwa, począwszy od „Playboya” i

„Atlantic Monthly”, a skończywszy na gazetkach szkolnych, które zamiast honorariów dają darmowe egzemplarze. – Finnegan zamilkł i potrząsnął głową. – Czasami zdumiewa mnie własna konsekwencja. – O czym pan pisze? – zagadnął Mallory.

– A o czym pisze każdy irlandzki poeta? – odparł oschle Finnegan. – Twierdzą, że całkowitą winę za moje zapoznanie ponosi tajne konsorcjum wpływowych i wysoko postawionych brytyjskich wydawców.

– On napisał mnóstwo wierszy o Małych Ludziach – wtrącił barman. Zwrócił się do Finnegana. – Pan O’Mallory szuka Lepa Gillespie’ego, więc pomyślałem sobie, że taki ekspert od Małych Ludzi pewnie będzie wiedział, gdzie się chowa ten przebiegły mały drań.

– Co on znowu narozrabiał? – zapytał Finnegan zapalając cuchnącą fajkę.

– Popełnił rabunek.

– Czy ta rzecz była większa od pojemnika na pieczywo? – spytał Finnegan.

– Słucham?

– Ja nie żartuję, panie O’Mallory – zapewnił Irlandczyk. – Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– O wiele większa, – odparł Mallory. – Dlaczego pan pyta? – Skrzaty trzymają złoto w garnkach – wyjaśnił Finnegan. – Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą. Och, oczywiście nie chowają tych garnków na końcu tęczy... prawdę mówiąc najczęściej zakopują je w Central Parku albo w Grammercy Parku... ale jeśli ten łup nie wejdzie do garnka, przynajmniej nie będzie pan musiał machać łopatą. W tejże chwili Fitzpatrick i starszek otoczeni przez swoich stronników wrócili do pubu, objęci ramionami na znak przyjaźni.

– Kolejka dla wszystkich – zażądał Fitzpatrick. – Właśnie – przyświadczył staruszek. – Przed chwilą zaciągnęliśmy nowe więzy braterstwa pomiędzy Synami Irlandii a Rycerzami Białej Koniczyny i trzeba to oblać, dlatego ja stawiam.

– Diabła tam stawiasz! – oburzył się Fitzpatrick. – To była moja wina. Ja płacę.

Rzucił pieniądze na kontuar, ale staruszek jednym ruchem zmiotł je na podłogę.

– Synowie Irlandii płacą i koniec.

– Jeśli jesteś choć w połowie taki, za jakiego się uważasz, trzymaj gębę na kłódkę i pozwól zapłacić prawdziwemu Irlandczykowi! – ryknął Fitzpatrick, cisnął staruszkowi jego pieniądze i położył na ladzie następny banknot. Staruszek splunął na banknot, odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Fitzpatrick podążył za nim mamrocząc przekleństwa i groźby. Felina zerknęła na nich, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Chyba będą musieli walczyć jeszcze raz, żeby ustalić, kto wygrał poprzednią rundę – stwierdził barman. Odwrócił się do Mallory'ego. – Nalać panu jeszcze? Mallory potrząsnął głową.

– Nie, muszę być przytomny. Właśnie chciałbym przeemyć sobie twarz zimną wodą i trochę się odświeżyć.

Barman pokazał mu drzwi na końcu sali i Mallory wszedł tam, upewniwszy się najpierw, że Felina nadal jest zajęta orzeszkami. Znalazł się w maleńkim korytarzyku, skąd prowadziło troje drzwi: jedno dla panów, jedno dla pań i jedno dla personelu.

Wybrał pierwsze drzwi i wszedł.

W toalecie były trzy pisuary, jeden umieszczony najwyższej stopę nad podłogą, drugi normalnych rozmiarów i trzeci, sporo przewyższający wzrost normalnego człowieka. Mallory

stanął przy środkowym i usiłował nie myśleć o tym, co za stworzenie mogło korzystać z pisuaru po prawej. Potem podszedł do trzech umywalek wykonanych w tych samych proporcjach, odkręcił zimną wodę w środkowej i kilka razy ochlapał sobie twarz. Po omacku sięgnął po papierowy ręcznik, znalazł go i wytarł twarz do sucha. Potem, odświeżony, wrócił do baru, gdzie Felina ciągle układała orzeszki w geometryczne wzory.

– Ach, panie O'Mallory! – zawołał Finnegan podnosząc wzrok znad notesika. – Napisałem dwuwiersz, kiedy pana nie było. Zechce pan posłuchać? Mallory wzruszył ramionami.

– Czemu nie?

Poeta odchrząknął, zerknął na notes i odczytał głębokim głosem:

– „Rewolucja, – dewolucja, osiągalna, namacalna, rozszczepialna: republika, muzyka płomyka pomyka, rozbrzmiewająca, zasmucająca, ulgę niosąca” – Spojrzał na Mallory'ego. – Co pan o tym myśli?

– Co to znaczy? – zapytał Mallory.

– Znaczy? – powtórzył Finnegan. – Mój drogi O'Mallory, poezja nic nie znaczy:

poezja po prostu jest!

– No, nie wiem – mruknął Mallory dochodząc do wniosku, że wzory z orzeszków ułożone przez Felinę mają więcej sensu niż wiersze Finnegana. – Wydaje mi się, że jeśli nawołuje pan do wypędzenia Brytyjczyków, koniecznie powinien pan z góry uprzedzić o tym swoją publiczność.

– „Powiedziane, jak przystało na prawdziwego detektywa – rzucił z rozdrażnieniem Finnegan. – – Fakty, proszę pana. Co się wydarzyło w piątek wieczorem o ósmej trzynastcie? – Wychylił do dna swój kieliszek i spojrzał na Mallory'ego. – Ten

dwuwiersz jest dźwięcznym wezwaniem do broni, obietnicą lepszego życia, potępieniem wszystkiego, co brytyjskie, nawoływaniem do przekreślenia ideałów protestanckich oraz zrećnie ukrytą podwójną erotyczną przenośnią, a wszystko to genialnie sprowadzone do najsubtelniejszego symbolizmu.

– Przypomina zbitkę słów połączonych bez użycia czasowników – oświadczył Mallory.

– Czy dla pana wszystko musi brzmieć jak „Czerwone róże”, panie O’Mallory? – zdenerwował się Finnegan. – Gdzie pańska irlandzka dusza? „Rozbrzmiewająca, zasmucająca, ulgę niosąca” – zaintonował. – Mój Boże, to genialne! – No, przynajmniej się rymuje – przyznał Mallory.

– Rymuje się, naprawdę? – Finnegan sposepniał. – Będę musiał nad tym popracować. – Zaczął gwałtownie bazgrać w notesiku.

– Jedną chwileczkę – powstrzymał go Mallory. – Zanim pan się pograży w pracy, chciałbym zadać jeszcze parę pytań.

– O czym była mowa? – zapytał Finnegan.

– O Lepie Gillespie’em.

– Ach, tak. Obrzydliwy mały nudziarz. Kompletnie amoralny, podobnie jak wszystkie skrzaty, ale posiada pewien zwierzęcy spryt, którego skrzaty na ogół nie przejawiają. – Umilkł i pokiwał głową. – Tak, nie ma dwóch zdań – Gillespie jest najgorszy z nich wszystkich.

– Powiedz mu o wierszu – podsunął barman.

W oczach Finnegana nagle zapłonęła nienawiść.

– Wie pan, co ten brudny mały śmierdziel zrobił w zeszłym miesiącu?

– Napisał wiersz? – domyślił się Mallory.

– Napisał to mało! – ryknął Finnegan tak głośno, że przestraszona Felina odskoczyła od baru” – On go w dodatku



sprzedał tylko po to, żeby mnie upokorzyć! Co więcej, zlekceważył stopę metryczną, użył całkowicie świeckich porównań i nawet nie wspomniał o Irlandii!

– Nie wie pan, gdzie go mogę znaleźć? – zapytał Mallory.  
– Pewnie ma wieczór autorski na jakimś uniwersytecie i podpisuje egzemplarze swojego przekłętego wiersza! – stwierdził rozgoryczony poeta. – O pierwszej w nocy? – zdziwił się Mallory.

– No nie – przyznał Finnegan. – Pewnie jest w domu, przelicza swoje nieuczciwie zarobione pieniądze i oprawia w ramki odbitki swojego Wiersza. – Trzasnął pięścią w kontuar.  
– Na pewno przekupił kogoś w redakcji „Timesa”. Ten wiersz nie mógł się spodobać żadnemu krytykowi obdarzonemu jakim takim smakiem! – Może recenzent też był skrzatem – wtrącił pojednawczo barman. – To musi być to! – wykrzyknął Finnegan. – Powinienen był się domyślić! – Przewrócił kartkę w notesiku i zaczął pisać list z protestem do „Timesa”. – Przepraszam pana – powiedział Mallory. – Zaraz sobie pójdę, jeśli tylko pan mi powie, gdzie on mieszka.

– Nikt tego nie wie – odparł Finnegan. – Przynajmniej nikt, kto nie należy do Małych Ludzi. Najlepiej złapać jakiegoś i wycisnąć z niego tę informację. – Gdzie mam ich szukać?

– No cóż, z tym jest pewien problem – przyznał Finnegan. – Potrafią się znakomicie maskować; wystarczy, że taki odwróci się do pana bokiem i od razu znika... nawet w biały dzień na pustej ulicy. – Finnegan zawahał się. – Chyba najlepiej odwiedzić jakąś knajpę, gdzie zwykle się zbierają, i czekać tam, aż pan któregoś złapie – a jak już pan go capnie, niech pan go nie wypuszcza z rąk, dopóki nie znajdzie Gillespie’ego. Te stworzenia są podstępne i zdradliwe do szpiku kości, kłamią i oszukują z czystego zamiłowania do kłamstwa i oszustwa.

– Więc po co w ogóle je pytać?

– Ponieważ tylko one wiedzą, gdzie znaleźć Gillespie’ego... i ma pan nad nimi jedną przewagę; każdy z nich, od pierwszego do ostatniego, jest tchórzem.

– Więc jeśli porządnie któregoś – nastraszę, może powiedzieć mi prawdę? – upewnił się Mallory.

– Owszem.

– A ponieważ nie będę wiedział, czy to prawda, dopóki nie znajdę się w mieszkaniu Gillespie’ego, powinienem na wszelki wypadek nie wypuszczać z rąk mojego informatora.

– Otóż to – oświadczył Finnegan z emfazą.

Fitzpatrick i jego antagonistą jeszcze raz weszli do pubu, bez słowa ruszyli prosto do swoich stolików i usiedli wymieniając wściekłe spojrzenia. Felina podeszła i przyjrzała się im dokładnie, szukając nieistniejących siniaków. Dwaj gracze w strzałki wstali i ponownie rozpoczęli grę.

– Ostatnie pytanie – odezwał się Mallory. – Gdzie się zbierają skrzaty? – Chyba najbliższe miejsce to Teatrzyk Burleski „Rialto” – odpowiedział Finnegan. – Zawsze siadają na balkonach, wrzeszczą, gwizdzą, tupią i w ogóle zachowują się okropnie, zwłaszcza kiedy striptizerka ma rude włosy albo jest szmaragdowozieloną jaszczurką.

– Jak to daleko?

– Musi pan dojść Dziewiątą Aleją do Czterdziestej Ósmej Ulicy i skręcić w lewo – wyjaśnił Finnegan. – Na pewno pan trafi.

– Dziękuję – powiedział Mallory.

– Może strzemiennego? – zaproponował barman.

– Lepiej nie – odmówił Mallory. Położył pieniądze na kontuarze. – To powinno wystarczyć na...

Nagle za jego plecami wybuchło zamieszanie, więc od-

wrócił się, żeby poznać przyczynę.

– Cholera jasna! – wrzasnął jeden z graczy w strzałki, przeszywając Mallory’ego rozwścieczonym wzrokiem. – Jeśli pan nie potrafi jej upilnować, nie trzeba było jej tu przyprowadzać!

– Co się stało? – zapytał Mallory rozglądając się za Feliną. Dziewczyna-kot przykucnęła na stole obok portretów królowych Elżbiet. W zębach trzymała zakończoną piórami strzałkę.

– Felina, co ty wyprawiasz, do cholery? – rzucił Mallory. – To wyglądało jak ptak – wyjaśniła, wzruszyła ramionami i wypluła strzałkę na podłogę.

– Wyjdź – rozkazał detektyw.

Polizała sobie ramię nie zwracając na niego uwagi.

– Słyszalas! – warknął Mallory.

Dalej wylizywała ramię.

Detektyw zrobił krok w jej kierunku.

– Jeśli będę musiał własnoręcznie cię wyrzucić, zrobię to.

Felina zeskoczyła lekko na podłogę, zadarła nos do góry i wymaszerowała za drzwi z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć.

– Przepraszam – zwrócił się Mallory do gracza.

– No, tyle chyba mi się należy! – wybuchnął rozzłoszczony mężczyzna. – Do czego to dochodzi, żeby człowiek nie mógł spokojnie wybić oka królowej! Mallory wrócił do baru, wyjął z portfela banknot dolarowy i podał go barmanowi.

– Postaw mu kielicha ode mnie – poprosił.

– Załatwione – przyrzekł potężny rudzielec. Sięgnął pod kontuar, wyjął białą koniczynkę – godło Irlandii – i przypiął ją szpilką do płaszcza Mallory’ego. – Na szczęście – powiedział.

– Dziękuję – odparł Mallory. – Mam przeczucie, że będę potrzebował szczęcia. – Panie O'Mallory! – odezwał się nagle Finnegan, kiedy Mallory podchodził do drzwi.

– Tak?

– Jeśli pan znajdzie Gillespie'ego, niech pan się od niego dowie nazwiska wydawcy, który kupił ten wiersz.

## **Rozdział dziewiąty**

### **1.08-1.31**

Mallory wyszedł na dwór i zobaczył, że Felina siedzi na ziemi opierając się plecami o ścianę budynku, tuż poza zasięgiem deszczu.

– Chodź – powiedział. – Mamy dużo pracy.

Zapatrzyła się w przestrzeń i nic nie odpowiedziała. – Dlaczego masz do mnie pretensję? – zapytał zirytowany detektyw. – To ty źle się zachowałeś.

Wzruszyła ramionami.

– Nudziłam się.

– To nie jest żadna wymówka. Czeka nas ważne zadanie.

Felina wstała.

– Może ci wybaczę – oznajmiła.

– Ty wybaczysz mnie? – powtórzył Mallory.

Dziewczyna-kot nagle spostrzegła koniczynkę i zanim zdążył ją powstrzymać, złapała kwiatek i wpakowała sobie do ust.

– Obrzydliwe! – stwierdziła po chwili i wypluła przeżute resztki. – Nikt ci nie kazał tego jeść – burknął Mallory. – Właśnie o takim zachowaniu mówiłem.

Spojrzała na niego oczami o źrenicach jak dwie czarne szparki, po czym bardzo powoli odwróciła się do niego plecami.

– No, jeśli przybierasz taką postawę, odeślę cię z pułkownik Carruthers, kiedy się spotkamy za godzinę – ostrzegł Mallory.

Ruszył przed siebie, a ona nagle wskoczyła mu na plecy, objęła go w pasie nogami i zacisnęła mu ręce na szyi.

– Zostanę z tobą – oświadczyła mruczając tak zawzięcie, że całe jej ciało wibrowało. – Przebaczyłam ci.

– Zdjęłaś mi kamień z serca – stwierdził Mallory krzywiąc się z bólu, bo jej pazury wpijały mu się w kark. – No, złaż już.

Felina prosto z jego pleców przeskoczyła na latarnię, okręciła się raz dookoła słupa, wyprysnęła w powietrze i ku zdziwieniu detektywa wylądowała lekko na pewnych nogach.

Przeszli obok kilku podrzędnych nocnych klubów, z reguły odwiedzanych jedynie przez elfy i gobliny, po czym minęli szereg podupadłych hotelików – na dwóch wywieszki głosiły. „Tylko dla ludzi”, a inny przeznaczony był wyłącznie dla samic wszelkich gatunków.

Dalej zaczynał się cały rząd knajp, większość z zespołami grającymi na żywo;

Felinę zafascynowało zwłaszcza pewne jazzowe trio, w skład którego wchodziły trzy kudłate, podobne do małp stwory w wysokich kapeluszach wygrywające prymitywny rytm na ogromnym bębnie, zrobionym ze skóry jakiegoś zwierzęcia niezwyklej rozmiarów. Dotarli do Czterdziestej Ósmej Ulicy, skręcili w lewo i wkrótce stanęli przed Teatrykiem Burleski „Rialto”, zabytkowym budynkiem, gdzie niegdyś wystawiano Szekspira i Shawa, obecnie jednak ograniczono się do prezentowania nieskończonej liczby striptizerek. W oszklonych gablotach, gdzie dawniej wisiały zdjęcia Barrymore’ów i Luntów, umieszczono fotografie artystek. Mallory nie

oglądał striptizu od wielu lat, toteż zdumiał się bogactwem trików reklamowych, które rozwinęły się od czasów jego młodości. Były tam dzikie, nieoswojone striptizerki z dżungli i wytworne striptizerki z wyższych sfer. Były striptizerki podające się za nazistki i striptizerki, które twierdziły, że przeteleportowały się tu z Andromedy. Były striptizerki, które pyszniły się swymi licznymi tytułami naukowymi i wychodziły na scenę ubrane w uniwersyteckie togi i birety, były takie, które potrafiły jedynie wydawać nieartykułowane piski i skowyty, a na scenę wychodziły zawinięte w pieluszki i beciki, były striptizerki żonglujące batutą, striptizerki-akrobatki i stepujące striptizerki. Była nawet striptizerka-wampirzyca, która kończyła swój występ w trumnie. – Czy żadna już się po prostu nie rozbiera? – mruknął Mallory przyglądając się fotografiom.

Miał już podejść do kasy, kiedy drzwi teatru otwarły się gwałtownie i omal nie został stratowany przez tabun rozhułkanych marynarzy, za którymi podążało trzech łysych grubasów w płaszczach przeciwdeszczowych.

– Czy przedstawienie się skończyło? – zaczepił Mallory jednego z łysków.

– To ma być przedstawienie? – odparł rozgoryczony mężczyzna. – Kiedy wrzeszczałem: „Zdejmij wszystko!”, to przecież nie chodziło mi o jej skórę, do cholery! – Wstrząsnął się mimowolnie na to wspomnienie.

– Ale skończyło się? – nalegał Mallory.

Mężczyzna mruknął potwierdzająco i pospieszył na drugą stronę ulicy, gdzie w „Follies” występowała Tańcząca Tessie Trzpiotka, która ponoć miała okrągłości w miejscach, gdzie większość dziewcząt w ogóle nie ma miejsca. Mallory podszedł do kasy.

W brudnej, oszklonej budce siedziała znudzona kobieta

żując ogromną porcję gumy i czytając wyświechtany magazyn z kroniką towarzyską.. – Taak? – odezwała się, kiedy usłyszała o obecności Mallory'ego.

– Kiedy zaczynacie następne przedstawienie?

– O trzeciej w nocy.

Mallory podziękował jej i wrócił do gabloty ze zdjęciami, które Felina oglądała z napiętą uwagą. Wiedział, że nie może czekać na przedstawienie, ponieważ wówczas nie zdąży na umówione spotkanie z Winnifred Carruthers i Wielkim Mefisto. Zastanawiał się właśnie, czy nie wrócić do pubu „Pod Szmaragdową Wyspą” i zapytać Finnegana, gdzie jeszcze mógłby spotkać skrzaty, kiedy zauważył dobrze ubranego, dystyngowanego mężczyznę, który podszedł do kasy, nabył bilet i wszedł do teatru. W chwilę później to samo zrobiły dwie kobiety w średnim wieku, obwieszane futrami i biżuterią. Mallory zbliżył się do kasy.

– Znowu pan wrócił? – odezwała się kobieta tym samym znudzonym głosem.

– Pani chyba mówiła, że przedstawienie zaczyna się o trzeciej.

– Zgadza się.

– Więc dlaczego tych troje ludzi kupiło bilety i weszło do środka? – zapytał. – Dopiero dochodzi dwadzieścia po pierwszej.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Ja tylko sprzedaję bilety. To wy, zboczeńcy, oglądacie te występy.

Zmieszany Mallory zerknął na drzwi teatru.

– Blokuje pan przejście – skarciła go kobieta. – Chce pan bilet czy nie?

Sięgnął do kieszeni.

– Dwa poproszę – powiedział wsuwając banknot w nie-

wielki otwór w szkłe. Popchnęła w jego stronę dwa bilety i resztę, po czym na powrót zagłębiła się w czasopiśmie.

– Chodź – zawołał Feline. – Wchodzimy do środka.

– Ja chcę to mieć – zażądała dziewczyna-kot.

– Co takiego?

Zaprowadziła go przed zdjęcie striptizerki.

– To – oznajmiła wskazując na naszywane srebrnymi cekinami trójkątne majteczki.

– Nie bądź głupia – odparł Mallory biorąc ją za ramię i prowadząc do wejścia. – To jest ładne! – zaprotestowała, wykręciła się z jego uścisku i biegiem wróciła pod gablotę, żeby dalej wpatrywać się w majteczki.

– Zawrzyjmy umowę – zaproponował Mallory. – Jeśli pomożesz mi znaleźć Lepa Gillespie’ego, kupię ci takie.

Entuzjastycznie skinęła głową i razem ruszyli do wejścia. Weszli do wielkiego westybulu, który niegdyś, za szczęśliwych dni swej młodości, był wytworny i nieskalany. Teraz był stary i podniszczony, zaśmiecony puszkami po piwie i papierkami od cukierków porozrzucanymi po dawniej eleganckim dywanie. Zgrzybiały bileter w przepisowym uniformie podszedł, żeby ich przywitać.

– Pańskie bilety, proszę pana?

Mallory podał mu bilety, które tamten obejrzał, przedał na pół i zwrócił odcinki detektywowi.

– Pozwoli pan za mną, proszę pana – rzekł i wprowadził ich na zaciemnioną salę.

Środkowym przejściem doszli do piątego rzędu i tam się zatrzymali.

– Czwarte i piąte miejsce, proszę pana – szepnął bileter.

– Dziękuję – powiedział Mallory.

Oboje z Felineą usiedli. Kiedy oczy przywykły mu do



ciemności, detektyw spostrzegł trzech pozostałych widzów siedzących w rzędzie przed nimi. Po lewej bileter prowadził cztery pary do trzeciego rzędu.

Dobrze ubrany mężczyzna spojrział na zegarek i potrząsnął głową.

– Spóźniają się – mruknął do siebie.

– Przepraszam pana – zagadnął go Mallory pochylając się do przodu.

– Tak?

– Myślałem, że przedstawienie nie zacznie się przed trzecią.

– Śmieszne! – parsknął mężczyzna. – Przecież wtedy pokazują burleskę. Nie, powinni podnieść kurtynę już pięć minut temu.

– Co zobaczymy? – zapytał Mallory.

– Pan jest nowy w „Rialto”, prawda? – upewnił się mężczyzna odwracając się do niego i mierząc Felinę pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Mallory przytaknął.

– To nasz pierwszy raz.

– Nigdy nie wiemy, jaką sztukę będziemy oglądać, dopóki nie podniosą kurtyny, chociaż oczywiście na pewno w sztuce będą duchy. – Naprawdę?

Mężczyzna zdecydowanie kiwnął głową.

– W zeszłym tygodniu był „Makbet”, tydzień wcześniej „Nawiedzony dom” i tak dalej.

– Lubię duchy! – zawołała Felina.

Dwie kobiety odwróciły się do niej i przyłożyły palce do ust. Felina zasyczała na nie i ponownie skierowała uwagę na scenę.

– Dlaczego duchy? – zaciekawił się Mallory.

– „Rialto” ma prawie dwieście lat – wyjaśnił mężczyzna

– toteż co noc, zaraz po pokazie striptizu o północy, duchy starych aktorów powracają, aby grać w zapomnianych sztukach. Dlaczego nie mieliby wybierać sztuk, w których pojawiają się duchy? – „Makbet” nie jest zapomnianą sztuką – zauważył Mallory.

– Na pewno chodzi panu o wersję Szekspira – odparł mężczyzna z lekką wyższością. – My oglądaliśmy oryginalną wersję Rogera Bacona.

– Kto tu występuje? – zagadnął Mallory. – Sarah Bernhardt i Edmund Kean? – Niestety nie, chociaż bardzo tego żałuję – przyznał szczerze mężczyzna. – Ale oczywiście dobija się o nich tyle innych teatrów, że rzadko pojawiają się w „Rialto”. Nie, na ogół są to aktorzy całkowicie zapomniani, podobnie jak sztuki. – Czy w tych sztukach występują czasem skrzaty?

– Nigdy! – oświadczył z mocą mężczyzna. – Zepsułyby całe przedstawienie!

– A wśród publiczności? – nie ustępował Mallory.

– Niech pan nie będzie śmieszny! – warknął mężczyzna i odwrócił się do sceny. Kurtyna właśnie poszła w górę i cztery mgliste, przezroczyście postacie odziane w klasyczne greckie szaty zaczęły recytować tekst głębokimi, wibrującym głosem. – To są duchy! – zawołała Felina stając na krześle i pokazując palcem.

– Jeśli pan jej nie uciszy, złożę skargę do dyrekcji! – syknęła jedna z pań.

Mallory szarpnął Felinę za rękę, żeby przyciągnąć jej uwagę.

– Siadaj – szepnął. – Nie interesują nas żadne duchy. Szukamy skrzatów.

– One są tutaj.

– Tutaj?

Przytaknęła.

Mallory wstał i rozejrzał się po teatrze.

– Gdzie?

– Na balkonie.

– Nikogo tam nie widzę, tylko puste siedzenia.

– To dlatego, że jesteś człowiekiem – odparła zadowolona z siebie Felina. – Koty widzą rzeczy, których ludzie nie dostrzegają.

– Ilu ich tam jest? – spytał Mallory.

Policzyła na palcach.

– Siedmiu – oznajmiła głośno.

– Proszę pana, pan i pańska towarzyszka zakłóćacie porządek! – odezwał się z irytacją dobrze ubrany mężczyzna.

– Przepraszam – powiedział Mallory. – Chodźmy – skinął na Felinę i ruszył do wyjścia akurat wtedy, kiedy grecki chór eterycznych postaci rozpoczął jakąś pieśń. – Cholerni turyści! – mruknął dobrze ubrany mężczyzna. Kiedy znaleźli się w westybulu, Mallory podszedł do szerokich kręconych schodów prowadzących na balkon.

– Lepiej szybko jakiegoś złapmy, zanim stąd wyjdą – zwrócił się do Feliny.

Uśmiechnęła się.

– Jeden właśnie przeszedł obok ciebie.

– Łap go! – wrzasnął Mallory.

Felina skoczyła do drzwi i w chwilę później zobaczył, jak podnosi z podłogi małego, wyrywającego się, wierzgającego i przeklinającego skrzata. Skrzat miał jakieś dwie stopy wzrostu, był rudy, żylasty i dość podobny do człowieka z wyjątkiem spiczastych uszu i ostrego, zakrzywionego nosa. Miał na sobie najbrudniejsze ubranie, jakie Mallory kiedykolwiek widział.

– Postaw mnie na ziemi! – zażądał skrzat.

– Za chwilę – oświadczył Mallory, podszedł do skrzata i chwycił go za ramię. – Możesz go już puścić – poleciał Felinie.

– Trzymam go. – Rozluźniła chwyt, a on obrócił skrzata twarzą do siebie. – Jak się nazywasz?

– Nie twój interes! – prychnął skrzat.

Mallory wykręcił mu ramię.

– Spróbujmy jeszcze raz – zaproponował. – Jak się nazywasz?

– Śmieciuch Paskudek! – zaskamlał skrzat. – Złamiesz mi rękę! – Zabij go! – zakrzyknął chór rozradowanych głosów. Podniósłszy Wzrok Mallory ujrzał trzy następne skrzaty stojące na schodach. – Krwi! – wrzasnął jeden z nich. – Chcemy krwi!

Mallory odwrócił się do nich nie wypuszczając Paskudka.

– Gdzie mogę znaleźć Lepa Gillespie’ego?

– Właśnie go trzymasz – zachichotał któryś skrzat. Mallory popatrzył pytająco na Felinę, która potrząsnęła głową. Po raz drugi wykręcił Paskudkowi ramię. – Gdzie jest Gillespie?

– Ja jestem Gillespie! – zawołał któryś skrzat.

– Nie, ja jestem Gillespie! – krzyknął inny.

Felina ponownie potrząsnęła głową i Mallory zwiększył nacisk na ramię Paskudka. – Nigdy o nim nie słyszałem! – wrzasnął skrzat wymierzając detektywowi kopniaka w goleń, którego ten ledwie uniknął.

– Kłamiesz – oświadczył Mallory. – Nawet ja o nim słyszałem, chociaż nie jestem z tego świata.

Paskudek potrząsnął głową.

– Nigdy, nigdy – zapewnił szczerze. – Nigdy nigdy nigdy.

– Wykręć mu rękę! – wrzasnął jakiś skrzat. – On kłamie!  
– On jest milutki – odezwała się Felina z drapieżnym uśmie-

chem. Zakrzywiła palce przed samą twarzą Paskudka demonstrując pazury, które nagle jakby urosły. – Mogę się nim pobawić?

– Jeśli nie odpowie, nie widzę przeszkód – odparł Mallory. Zwrócił się do Śmieciucha Paskudka. – Pytam po raz ostatni: gdzie mogę znaleźć skrzata zwanego Lep Gillespie?

– Och, chodzi ci o skrzata Gillespie’ego! – zawołał Śmieciuch Paskudek uchylając się z przerażeniem przed pazurami Feliny. – To zupełnie co innego. Oczywiście, że go znam!

Jeden z moich najbliższych, najstarszych przyjaciół, poczciwy Lep. – Zerknął na Mallory’ego kątem oka i zniżył głos. – Kogo on zabił?

– Gdzie on jest? – powtórzył Mallory.

– Na ostatnim piętrze Empire State Building – szybko powiedział Paskudek. – Mamy się tam spotkać za pół godziny.

– Wcale nie! – zaśmiał się głupawo jakiś inny skrzat. – W porządku – Mallory postawił Paskudka na podłodze i dał mu klapsa, ponieważ mały skrzat próbował go ugryźć w rękę. – Idziemy. – Nigdzie nie idę! – zaprotestował Śmieciuch Paskudek.

– Idziesz z nami.

– Ale wtedy nie zobaczę panny Kuleczki Malone i jej Tresowanego Węża! – zajęczał skrzat.

– Los nikomu nie oszczędza rozczarowań – stwierdził sucho Mallory. – Miejże litość! – błagał Paskudek. – Przecież jej małe, bezbronne serduszko pęknie z żalu, jeśli nie będzie mnie na balkonie, żeby tupać i wrzeszczeć: „Zdejmij to z przodu!”

– Jakoś to przeżyje.

– Wszystko w porządku, Śmieciuch – wtrącił któryś skrzat. – Dotrzymam jej towarzystwa i nie zauważy żadnej różnicy, najwyżej zmianę na lepsze. – Chichocząc histerycznie

podniósł puszkę po piwie i rzucił w głowę Paskudka. – Przecież ci powiedziałem, gdzie jest Lep Gillespie! – wrzasnął zrozpaczony Paskudek. – On będzie za pół godziny na ostatnim piętrze World Trade Center! – Przedtem mówiłeś, że na Empire State Building.

– Naprawdę? Musiałem się przejęzyczyć. Nie, spotkam się z nim na dachu World Trade Center. Nigdy nie wiadomo, czy jakaś przerośnięta małpa akurat nie wlezie na Empire State Building.

– Dobra – powiedział Mallory. – Idziemy.

– Ale przecież już wiesz, gdzie go znaleźć!

– Owszem – przyznał Mallory. – Gdyby jednak przypadkiem tam go nie było, zamierzam cię zrzucić z dachu.

– Chwileczkę! – krzyknął Paskudek. – Chwileczkę – powtórzył. – Zastanowiłem się i właśnie przypomniałem sobie, że mieliśmy się tam spotkać jutro wieczorem. – No, no, nieźle przedstawienie! – zachichotał jakiś skrzat.

Mallory znowu wykręcił Paskudkowi rękę.

– Moja cierpliwość się kończy – oznajmił. – Pytam po raz ostatni: gdzie go mogę znaleźć?

– Zabijesz mnie! – wrzasnął Paskudek.

– Na razie nie – zaprzeczył Mallory. – Dopiero później).

– Dobra! – pisnął skrzat.

– Gdzie on jest? – powtórzył Mallory zmniejszając nacisk.

– A co ja z tego będę miał? – zapytał Paskudek z przebiegłym uśmiechem. – Zostaniesz przy życiu dostatecznie długo, żeby zobaczyć Kuleczkę Malone – odparł detektyw. – Mani wrażenie, że w twojej sytuacji taki układ jest całkiem korzystny.

– I dwadzieścia dolców – zażądał Paskudek.

- Ani centa.

- Powiedziałem dwadzieścia, a ty powiedziałaś zero. Podzielmy różnicę - zaproponował rozsądnie Paskudek. - Piętnaście dolców. - Ja ci powiem za dziesięć - zaofiarował się jakiś skrzat.

- Za pięć! - wrzasnął inny.

Mallory odwrócił się do dziewczyny-kota.

- Felina, masz wolną rękę.

- Zabij go! Zabij go! - zaintonowała para skrzatów. - Nie! - ryknął Paskudek czepiając się Mallory'ego i usiłując się nim zasłonić jak tarczą. - Nie możesz mi tego zrobić! Jestem tylko niewinnym przechodniem! Na pomoc!

- Uratujemy cię, Śmieciuch! - zakrzyknął jeden ze skrzatów i nagle westybul zapełnił się pół tuzinem Małych Ludzi, którzy biegali we wszystkie strony pozornie bez celu. Jeden przemknął obok Mallory'ego i wbił mu w kostkę szpilkę do kapeluszy. Podczas gdy detektyw wywrzaskiwał przekleństwa i usiłował kopnąć swego napastnika, dwa inne skrzaty chwyciły Paskudka za wolną rękę i zaczęły ciągnąć, a trzeci, stojący nieco dalej, cisnął popielniczką w głowę Mallory'ego chybiając najwyżej o cal. Po czym wszystko uspokoiło się równie nagle, jak się rozpoczęło, i skrzaty wróciły na schody. - No, Śmieciuch, zrobiliśmy, co w naszej mocy - wydyszał jeden. - Nawet przyjaźń ma swoje granice - zgodził się z nim inny. Zwrócił się do Mallory'ego. - Okay, teraz możesz go zabić. Im wolniej, tym lepiej. Felina skradała się w kierunku schodów i nagle skoczyła na jednego ze skrzatów. - Co ty wyprawiasz, do cholery? - zdziwił się Mallory, kiedy dziewczyna-kot podniosła rozwścieczonego, przeklinającego skrzata, obróciła go do góry nogami i zaczęła nim potrząsać. W chwilę później na podłogę upadł portfel Mallory'ego. Felina niedbałym ruchem

odrzucała od siebie skrzata, który wylądował w połowie wysokości schodów, podniosła portfel i wręczyła go detektywowi.

– Dziękuję ci – powiedział. – Teraz przepędź stąd ich wszystkich. Uśmiechnęła się, przysiadła i zaczęła się do nich podkradać. Wszystkie skrzaty nagle rzuciły się do drzwi i wybiegły na ulicę.

– Trzy dolary i powiem wszystko! – oświadczył Paskudek, wciąż usiłując się wyrwać z uścisku detektywa. – To moja ostatnia propozycja. Nigdzie nie kupisz informacji tak tanio!

– Skończyliśmy z układami – uciął Mallory. – Felina?

Dziewczyna-kot zbliżyła się do skrzata z łakomym wyrazem twarzy. – Poddaję się! – zaskowytał Paskudek. – Powiem wszystko, co wiem, ale odwołaj ją!

– Felina, stop – rozkazał Mallory.

Zasyczała na niego, ale przystanęła wpatrując się pożądliwie w małego skrzata.

– W porządku – rzucił Mallory. – Gadaj.

– Lep Gillespie ukradł Larkspura i odtąd nikt go nie widział – oznajmił Paskudek.

– Gdzie jest jednorożec?

–.: Nie wiadomo.

– Gdzie mieszka Gillespie?

– Mogę ci dać adres.

– Zrobisz coś więcej – oświadczył Mallory zdejmując skrzatowi pasek i wiążąc mu ręce za plecami. – Zaprowadzisz nas tam.

– Ale ja nie chcę się spotykać z Gillespie’em! Ja go wcale nie lubię!

Mallory wyciągnął pasek z własnych spodni i obwiązał nim nogi Paskudka.



– Felina, poniesiesz go.

Felina doskoczyła do skrzata, przewróciła go, podniosła i przerzuciła sobie przez ramię.

– Okay – powiedział Mallory ruszając do drzwi. – Chyba możemy iść.

– Ty mnie ponieś! – poprosił Paskudek. – Nie mam do niej zaufania!

– Nie wątpię – odparł Mallory.

– Cała krew napływa mi do głowy! Mam religijne wizje!

– Widocznie przeżywasz mistyczną ekstazę – stwierdził ironicznie detektyw.

Przytrzymał drzwi otwarte, żeby przepuścić Felinę z jej brzemieniem. Nagle dziewczyna-kot pisnęła i złapała się za lewy pośladek, a po chwili skrzat zawył z bólu, kiedy przejechała mu pazurami po nodze. – Masz za to, że ją ugryzłeś – wyjaśnił Mallory.

– Ale to było przyjacielskie ugryzienie!

– Ona pewnie też cię z przyjaźni podrapała.

– Zapamiętam to sobie! – zagroził skrzat. – Kiedy wyłupię ci oczy i obetnę nos, kiedy będziesz mnie błagał o litość, zapamiętam to sobie! – Postaraj się tylko zapamiętać, gdzie mieszka Lep Gillespie – przerwał Mallory. – Ponieważ jeśli podasz nam zły adres, podaruję cię Felinie. – Bardzo chętnie – zamruczała Felina i razem rozpoczęli wędrówkę przez śliskie od deszczu ulice Manhattanu, po których hulał wiatr.

## **Rozdział dziesiąty**

### **1.31-2.12**

Deszcz się wzmaczał.

Przeszli ponad milę. Śmieciuch Paskudek kierował ich w boczne uliczki i alejki, które według Mallory'ego na pewno nie

istniały na jego własnym Manhattanie. W pewnej chwili detektyw zaczął podejrzewać, że mały skrzat każe im kręcić się w kółko. Skręcili w lewo cztery razy z rzędu, kiedy jednak dotarli do punktu, skąd zdaniem Mallory'ego wyruszyli, żaden z budynków nie wyglądał znajomo i detektyw stwierdził, że tę ulicę widzi po raz pierwszy w życiu.

Otoczenie zaczęło się zmieniać niemal niedostrzegalnie. Po jakimś czasie Mallory zauważył, że wokół wznoszą się podniszczone domy czynszowe z piaskowca i hotele pamiętające lepsze czasy. Wreszcie zatrzymali się przed wysokim, wąskim budynkiem z cegły. Fasada wymagała gruntowego oczyszczenia, a ten fragment wnętrza, który Mallory dojrzał przez dwa brudne okna, przedstawiał się niewiele lepiej. Kamienne stopnie prowadzące do frontowych drzwi były popękane, w neonowym zaś napisie WOLNE MIEJSCA nie paliły się trzy litery.

– To tu – oznajmił Paskudek. – Teraz mnie puść. – Dopiero kiedy sprawdzę, czy tutaj mieszka Gillespie – odparł Mallory wstępując na schody. Zwrócił się do Feliny. – Zaczekaj z nim tutaj. – Hej! – zaprotestował skrzat. – Umowa jest umową! – Właśnie – potwierdził Mallory. – I cholernie pożałujesz, jeśli jej nie dotrzymasz.

– Mam nadzieję, że nie dotrzyma – zamruczała łakomie Felina.

Mallory wszedł do budynku i znalazł się w małym, zatęchłym holu. Meble – dwa krzesła i sofa, wszystkie z obiciami powycieranymi na krawędziach – najwyraźniej zostały nabyte na wyprzedaży i dawno już przekroczyły wiek emerytalny.

Ściany, na wysokości talii poznaczone śladami od opierania krzesel, były szare, a ich barwa przybrała w poszczególnych miejscach rozmaite odcienie na skutek nierównomiernego osadzania się brudu. Chodnik, przetarty do samej osno-

wy, na próżno usiłował zachować swój wzór, dzieło wcześniejszych pokoleń. Plastikowa choinka o gałązkach wyblakłych ze starości, na której brakowało wielu żaróweczek, stała statecznie w kącie uwieńczona zmatowiałą srebrną gwiazdą posiadającą niegdyś pięć promieni, ale obecnie tylko dwa.

Łysiejący mężczyzna w średnim wieku siedział za poobijanym biurkiem portiera zaznaczając coś flamastrem w egzemplarzu „Przeglądu Wyścigów”. Podobnie jak reszta budynku, on też pamiętał lepsze czasy. Marynarkę miał wyświeconą na łokciach, brakowało mu guzika u koszuli, motylek lekko się przekrzywił. Pod małym, wytwornym wąsem z kąćka ust sterczała mu wykałaczką. Kiedy wreszcie zdał sobie sprawę z obecności Mallory’ego, westchnął, odłożył „Przegląd” i podniósł się ze znużeniem. – Ho ho ho – powiedział znużonym głosem.

Mallory rozejrzył się.

– Do mnie mówisz? – zapytał w końcu.

– Zgadłeś, bracie – odparł portier. – Ho ho ho, witamy w „Azylu Mikołaja”, najlepszym pensjonacie w Nowym Jorku. Na dworze ciągle pada? Mallory kiwnął głową.

– Gównno! – Mężczyzna wziął „Przegląd” i długą krechą przekreślił imię konia. – To nam załatwia trzecią gonitwę, ho ho ho.

– Co to za bzdura z tym ho ho ho? – zapytał Mallory. – To należy do moich obowiązków – oznajmił mężczyzna. – Wyleją mnie, jeśli nie będę tego mówił.

– Dlaczego?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał mężczyzna. – Myślę, że to ma coś wspólnego z pracą w „Azylu Mikołaja”.

– Nigdy dotąd nie słyszałem o „Azylu Mikołaja”. – Nic dziwnego. Nasz pensjonat jest bardzo wyspecjalizowany, je-

dyny w swoim rodzaju. – Wskazał na staruszkę z siwą brodą, który wyszedł z zabytkowej windy i powędrował w noc. – Wiesz tego starego pryka? Mallory przytaknął.

– No więc mamy takich dwustu sześćdziesięciu czterech.

– Prowadzicie dom starców?

Mężczyzna zaśmiał się niewesoło.

– Prowadzimy dom dla bezrobotnych Świętych Mikołajów. Pensjonat zapełnia się zaraz po świętach Bożego Narodzenia i mamy komplet aż do listopada. – Skrzywił się. – Szlag mnie trafia, jak sobie pomyślę, że większość tych starych pierdzieli nawet nie płaci komornego.

– Dlaczego nie bankrutujecie?

– Właścicielem jest jeden stary dureń, który mieszka na północ stąd. Prowadzi pensjonat jak zakład dobroczynny. – Wzruszył ramionami. – Chyba żal mu tych wszystkich starych Mikołajów. W każdym razie musi być niezłe nadziany, skoro stać go, żeby oddać za frajer tyle pokoiów.

– Jak on się nazywa?

– Nick.

– Przypadkiem nie Nick Grek?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nick Święty. Słyszałeś kiedyś o nim?

– Nie jestem pewien – wymijająco odpowiedział Mallory.

– No więc to ten facet wprowadził przepis, że trzeba się śmiać.

– Prychnął pogardliwie. – Tylko poczekaj, aż Kristem zacznie przynosić forszę. Dopiero wtedy się uśmieję... pęknę ze śmiechu, kiedy mu powiem, że rzucam tę parszywą posadę. – Co to jest Kristem?

Portier uśmiechnął się.

– Sam to wymyśliłem – wyznał konfidencjonalnie. – To całkiem nowa, rewolucyjna metoda analizy wyścigów. Żadne

tam przestarzałe bzdury, według których najważniejsi są faworyci, pochodzenie czy pozycja na starcie, nie, proszę pana. Ten system uwzględnia wszystko: pozycje Marsa i Wenus, dochód narodowy brutto, roczne opady w Butte w stanie Montana, bilans finansowy Zambii – wszystko!

– Dlaczego nazwałeś to Kristem? – zaciekał się Mallory. – Bo mam na imię Kris i ja to wymyśliłem. – Mrugnął do detektywa. – Taka gra słów.

Fajna, nie?

Mallory wzruszył ramionami.

– Taka sobie.

– A najlepsze, że to ci absolutnie gwarantuje sześćset procent zysku dziennie, jeśli tylko trzymasz się systemu.

– Nie cierpię zadawać oczywistych pytań, ale dlaczego ciągle tutaj pracujesz? – W systemie jeszcze są luki – przyznał niechętnie Kris. – Och, wszystko działa doskonale na papierze. Mogę wziąć „Przegląd” do ręki i podać ci siedmiu zwycięzców na dziewięć gonitw w jutrzejszych wyścigach.

– Naprawdę? – spytał z zainteresowaniem Mallory. – Jak w banku – zapewnił go Kris. – Sprawdza się za każdym razem. – Zasepił się głęboko. – To znaczy dopóki nie postawię. Nie wiem dlaczego, ale jak tylko wpłacam pieniądze, wszystkie wyliczenia natychmiast biorą w łeb. Dziwne, nie? – Jak długo pracujesz nad usunięciem luk?

– Och, jakieś piętnaście, dwadzieścia lat – odparł Kris. – Ale odbiję sobie, jak już będę miał wszystko dopięte na ostatni guzik. Może nawet sam zacznę to sprzedawać. – Spojrzał ostro na Mallory’ego. – Nie przysłał cię przypadkiem Benny Księgowy? – zapytał nagle. – Mówiłem mu, że będę miał pieniądze do wtorku.

Mallory potrząsnął głową.

– Po prostu kogoś szukam.

Kris wyraźnie się odprężył.

– Ale mi ulżyło! A kogo szukasz?

– Skrzata zwanego Lep Gillespie – wyjaśnił Mallory. – Czy on tu mieszka?

– A skąd, u diabła, ja mam wiedzieć?

– Przecież jesteś portierem – zauważył Mallory. – Sprawdź na liście lokatorów. – Nie wynajmujemy pokoi skrzatom – oświadczył Kris. – Co ty sobie wyobrażasz? To jest przyzwoity pensjonat.

– Więc nie ma go tutaj?

– Tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że nie wiem, czy on tutaj mieszka.

– Ale jeśli nie wynajmujecie pokoi skrzatom... – zaczął Mallory.

– Posłuchaj, bracie – przerwał mu Kris – jest wielka różnica pomiędzy wynajmowaniem pokoi skrzatom a dopuszczeniem do tego, żeby skrzaty załęgły się w budynku. Nie wynajmujemy również myszom.

– Więc załęgły się u was skrzaty?

– Przynajmniej jeden – przyznał Kris. – Już prawie od roku zastawiam na niego pułapki, ale jak dotąd to nic nie pomogło.

– Jakie pułapki?

– Och, zwyczajne... puszki piwa, czasopisma z gołymi panienkami, takie małe buteleczki z alkoholem, które dają w samolotach, i tym podobne. – Przerwał. – Rano zawsze przyneęta znika, ale ten mały drań jest cwany. Raz nawet znalazłem w pułapce jego podartą tweedową marynarkę, ale samego skrzata nie było. – Kris spochmurniał. – Powiniennem łajdakowi skrócić kark. To były moje własne czasopisma! – Skąd

wiesz, że jest tylko jeden skrzat?

– Bo zawsze wystawiam tylko jedną puszkę piwa.

– Nie rozumiem.

– Gdyby ich było dwóch, rano znalazłbym obok pułapki martwego skrzata. One nie lubią się niczym dzielić.

– Wiem, że to głupie pytanie – zaczął Mallory – ale czy dziś wieczorem nie widziałeś gdzieś tutaj jednorożca?

Kris potrząsnął głową.

– Czego ty właściwie szukasz, skrzatów czy jednorożców? – Jednego i drugiego – odparł Mallory. – Nic będzie ci przeszkadzało, jeśli się tu trochę rozejrzę?

– To wbrew hotelowym przepisom – oświadczył Kris z wyczekującym uśmiechem, jaki Mallory widywał setki razy w swojej karierze detektywa. – Ile powinienem wpłacić na Kristem, żeby być w porządku wobec przepisów? – zagadnął.

– Och, pięćdziesiąt dolarów wystarczy.

– Nie przepuść wszystkiego na jednego konia – ostrzegł Mallory podając mu banknot.

– Jeszcze czego – obruszył się Kris. – Ten papierek przeznaczam na obstawienie podwójnej kombinacji. – Zniżył głos. – Fryzjer wuja mojej żony twierdzi, że to pewniak.

– A Kristem?

– Kristem jest oczywiście doskonały – przyznał Kris chowając pieniądze do kieszeni. – Ale kiedy dostajesz pewne informacje z absolutnie wiarygodnego źródła... Mallory podszedł do drzwi i kiwnął na Feline, żeby wniosła Paskudka do środka. – No, niech mnie! – wykrzyknął Kris, kiedy dziewczyna-kot weszła do holu ze swoim ładunkiem. – Twoja współpracniczka już go złapała!

– To nie jest Gillespie – wyjaśnił Mallory. Odwrócił się do skrzata. – Ale on mnie zaprowadzi do pokoju Gillespie'ego,

prawda?

- Tego nie było w umowie! – warknął Paskudek.
- Umawialiśmy się, że pokażesz mi miejsce, gdzie mieszka Gillespie – odparł Mallory.
- Pokazałem! Mieszka właśnie tutaj!
- Nie widzę go.
- To jest ten budynek. Tak się umawialiśmy!
- Obecny tu dżentelmen – oświadczył Mallory wskazując Krisa – przeszukuje ten budynek od ponad roku i dotąd nie znalazł Gillespie’ego. – To już nie moja wina!
- Owszem, ale twój pech – stwierdził spokojnie Mallory.
- To znaczy, że będziesz musiał zaprowadzić mnie do jego pokoju, zanim cię wypuszczę. – Możesz mnie bić, głodzić, torturować, wyłupić mi oczy, wbijać bambusowe drzazgi pod paznokcie, ale nic ci to nie pomoże! – oświadczył wyzywająco Paskudek. – Nigdy nie zdradzę przyjaciela!
- Felina? – zagadnął Mallory. – Masz ochotę go bić, głodzić, torturować, wyłupić mu oczy i wbijać drzazgi pod paznokcie?

Dziewczyna-kot oblizwała wargi i wydała niecierpliwy pomruk. – Z drugiej strony – dodał pospiesznie Paskudek – Lep właściwie nie jest moim przyjacielem. Skoro on ukradł jakiegoś cholernego jednorożca, to dlaczego ja mam cierpieć?

- Rozsądna decyzja – zgodził się Mallory.
- Co za bezczelny typ z tego Gillespie’ego, żeby mnie wpakować w taką sytuację! – ciągnął Paskudek podniecając się własnymi słowami. – Mnie, takiego słodkiego, niewinnego, uczciwego, spokojnego, bogobojnego skrzata, który nigdy w życiu nikogo nie skrzywdził!
- Wystarczy – uciał Mallory i Paskudek posłusznie zamilkł. – Gdzie jest jego pokój?



– Na trzynastym piętrze – odparł skrzat.  
– On kłamie – wtrącił Kris. – Nie mamy trzynastego piętra.

– A ile pięter macie?

– Szesnaście – odparł Kris. – Ale nie znam żadnego budynku w Nowym Jorku, który ma trzynaste piętro. W „Azylu Mikołaja” czternaste piętro jest bezpośrednio nad dwunastym, tak samo jak wszędzie.

Mallory odwrócił się do skrzata.

– Paskudek, pytam cię po raz ostatni: gdzie on mieszka?

– Już ci powiedziałem: na trzynastym piętrze – powtórzył uparcie skrzat. – Przypadkiem mam przy sobie pięćdziesiąt dolarów i założę się o całą sumę, że w tym budynku nie ma trzynastego piętra – oświadczył Kris wyjmując z kieszeni banknot, który Mallory dał mu przed chwilą.

– Przyjąłem! – zawołał Paskudek. – Zaprowadźcie mnie do windy! – Felina, idziesz z nami – polecił Mallory biorąc skrzata na rękę. – Jeśli Gillespie rzeczywiście jest na górze, będziesz mi potrzebna, żeby go wypatrzyć. Dziewczyna-kot weszła do windy za dwoma mężczyznami.

– Naciśnij piętnaste piętro – powiedział skrzat. Mallory wykonał polecenie. Zabytkowa winda zgrzytając ruszyła. do góry w ślimaczym tempie i po paru minutach cała czwórka wysiadła, omal nie wpadając na jakiegoś dżentelmena pokazanej tuszy z białą brodą, który chciał zjechać na dół. – Szczęśliwego Nowego Roku życzę! – zawołał brodaty dżentelmen z radosnym błyskiem w oku. – I dobrej nocy wszystkim!

– Nie cierpię tych starych pryków! – mamrotał Kris, kiedy staruszek wsiadał do windy.

– Zawsze są tacy cholernie zadowoleni! Czy nie rozumieją, że do jutra Akwedukt całkiem rozmięknie?

Mallory zatrzymał się, żeby obejrzeć otoczenie. Dywan, a właściwie zwykły chodnik rozłożony wzdłuż korytarza, był wyblakły i zaczynał się strzępić po brzegach, tapety odpadały ze ścian łazienki na końcu korytarza dochodziło bezustanne kapanie wody. Na drzwiach prawie wszystkich pokoiów wisiły zakurzone choinkowe ozdoby, a mała tabliczka na ścianie obok windy głosiła: „Tylko 358 dni na świąteczne zakupy!” – Co teraz? – zwrócił się Mallory do Paskudka.

– Mógłbym ci pokazać o wiele łatwiej, gdybyś mi rozwiązał nogi – zaproponował skrzat.

– Tego jestem pewien – zgodził się Mallory. – Co dalej?

– Schody.

Mallory rozejrzał się i zobaczył drzwi oznaczone napisem: WYJŚCIE.

– Tędy? – zapytał Krisa.

Portier kiwnął głową. Detektyw podszedł do drzwi i otworzył je.

– Teraz zejdziemy dwie kondygnacje w dół.

Mallory poprowadził i po paru chwilach znaleźli się przed drzwiami oznaczonymi liczbą 12.

– Pięćdziesiąt dolarów dla mnie! – zawołał triumfalnie Kris.

– Odwał się! – burknął Paskudek. – Jeszcze nie koniec.

– Lepiej nie próbuj sobie robić żartów! – ostrzegł groźnie detektyw. – Wcale nie żartuję! – oświadczył Paskudek. – Teraz wchodzimy na czternaste piętro.

– Po co?

– Jeśli chcesz zobaczyć, gdzie mieszka Gillespie, to rób, co ci mówię! – fuknął skrzat.

– A jeśli ty chcesz jeszcze zobaczyć wschód słońca, lepiej nie próbuj nas wykołować! – warknął Mallory, który zaczynał

się pocić z wysiłku. – Wcale nie zaliczasz się do wagi piórkowej i cholernie dobrze o tym wiesz!

Wspięli się na czternaste piętro.

– Teraz jedno piętro w dół i jesteśmy na miejscu – obiecał skrzat.

Znowu zeszli na dół – ale kiedy dotarli do drzwi, zobaczyli liczbę 13.

– Co to znaczy? – Kris zmarszczył brwi. – My nie mamy trzynastego piętra! – Każdy budynek ma trzynaste piętro – oznajmił zadowolony z siebie Paskudek. – Trzeba tylko wiedzieć, jak się tam dostać. – Wyszczrzył zęby. – Pięćdziesiąt dolarów dla mnie.

– Byłem tu z tysiąc razy i nigdy przedtem nie widziałem tych drzwi! – upierał się Kris.

– To już nie moja wina – odparł skrzat. – No dobra, twardzielu, dotrzyмай swojej części umowy.

– Za parę minut – mruknął Mallory oglądając uważnie drzwi.

– Co to znaczy? – zawołał skrzat. – Umowa jest umową! – Nie zamierzam cię wypuścić wewnątrz budynku, a jeśli wyniosę cię na zewnątrz, nie jestem pewien, czy trafiłbym tu z powrotem.

– Ale jeśli Gillespie jest w domu, on mnie zabije! – zaprotestował skrzat.

– Skoro tak mówisz... – Mallory otworzył drzwi. – Czy przypadkiem nie masz na sumieniu krwi jakichś skrzatów? – wymamrotał Paskudek.

Mallory przeszedł przez drzwi i znalazł się nie na korytarzu, ale w małym, zaśmieconym, pozbawionym okien pokoiku.

– Felina? – szepnął detektyw. – Czy on tu jest?

Dziewczyna-kot potrząsnęła głową.

– Nie, pokój jest pusty.

Mallory zapalił światło i rozejrzył się.

W kącie stało niezaścielone łóżeczko dla lalek z prześcieradłami niezmiennymi od lat, sądząc po ich wyglądzie. Obok na małym stoliku znajdował się telewizor, radio z UKF-em i kasety wideo z odcinkami serialu „Debbie kontra Dallas”, ale nigdzie w pokoju nie było magnetowidu. Podłogę zaśmiecały czasopisma z gołymi dziewczynami, większość pootwierana na rozkładówkach w środku. Była tam również stara komoda, w której brakowało wszystkich szuflad, krzesło z nogami obciętymi w połowie długości i elektryczna maszyna, na której grzał się dzbanek ze słabą kawą. Na małym stoliku leżało pół tuzina komiksów z Flash Gordonem, ze dwa tuziny haczyków na ryby i broszura z biblioteki traktująca o anatomii jednorożców, z dawno przekroczonym terminem zwrotu. Co najmniej dwieście sztuk jojo, każde z przyklejoną etykietką zabazgraną słowami w nieznanym języku, wałało się po podłodze i na półkach. Wielkie tekturowe pudło w nogach łóżka zawierało diamenty, marmurki, jeszcze trochę haczyków na ryby oraz czerwoną piłeczkę golfową.

– Tyle w kwestii garnków ze złotem – zakonkludował Mallory. – Potrzebowałyby z pięćdziesięciu garnków, żeby pomieścić te wszystkie rupiecie. Felina podniosła jojo i usiadła w drzwiach, żeby się nim pobawić, podczas gdy dwaj mężczyźni przeszukiwali pokój.

– Niewiele się z nim rozminęliśmy – zauważył Kris. – Zostawił pół filiżanki kawy.

Jeszcze ciepła.

Mallory postawił Paskudka na podłodze i zbliżył się, żeby popatrzeć.

– Skurwysyn! – wykrzyknął oglądając kubek.  
– O co chodzi? – zapytał Kris.  
– Ten mały drań okradł nawet mnie! To jest mój własny kubek z emblematem drużyny New York Mets!

Kris spojrział na kubek i wzruszył ramionami.

– Jesteś pewien? Wszystkie te kubki z emblematami drużyn sportowych wyglądają tak samo. Można je kupić w każdym supermarkecie.

– Jestem pewien – oświadczył Mallory. – Parę tygodni temu odłamałem uszko i przykleiłem je z powrotem.

– Nie tylko ty mogłeś skleić kubek.

– Ale brakowało mi jednego kawałka, więc zamiast niego użyłem strzępka filtru z papierosa – odparł Mallory pokazując na wspomniany strzępek. – Niech to szlag!

Ciekaw jestem, co jeszcze mi podwędził.

– Miałeś coś, co warto było ukraść?

– Niewiele – przyznał Mallory. Zaczął obchodzić pokój dookoła. – Szukaj czegoś w rodzaju planu miasta albo kartki papieru z zapisanym adresem. – Pospieszcie się, chłopaki! – ryknął Paskudek. – Muszę wrócić do Kuleczki Malone!

– Zamknij się – rzucił Mallory. Przystanął przed starym biurkiem zarzuconym wysyłkowymi katalogami damskiej bielizny i zaczął wyciągać szuflady. Jedną wypełniały błyszczące spinki do krawatów i koszul oraz zapalniczki, niektóre dość kosztowne, wszystkie na pewno kradzione; w drugiej spoczywało jeszcze dziesięć sztuk jojo; w trzeciej znajdowały się dwa pierścionki z szafirami, jajko ugotowane na twardo i pęknięta kostka Rubika; a czwarta i piąta zawierały czyste koperty i papier listowy z dwudziestu najlepszych hoteli na Manhattanie oraz garść skasowanych trzycentowych znaczków. Następnie Mallory otworzył małą walizeczkę, gdzie znalazł co najmniej

pięćdziesiąt ręcznie robionych na drutach skarpetek w szkocką kratę, o wiele za dużych dla skrzatów.

Ponieważ nie było wśród nich dwóch identycznych, najwyraźniej zostały ukradzione z pięćdziesięciu różnych par.

– Znalazłem notes z adresami, jeśli to cię interesuje – oznajmił Kris, który grzebał pod łóżkiem.

– Świetnie! – zawołał Mallory podchodząc do niego. – Daj mi zobaczyć. Otworzył notes i zaczął przewracać strony. Było tam tylko sześć imion – Kuleczka, Kluseczka, Pieszczoszka, Pieguska i dwie Velmy. Do każdego imienia dołączono obrazową notatkę; przy dwóch dopisano: „Wielkie cyce!”, przy trzech następnych „Wspaniałe przody!”, a jedna z Velm miała „Fantastyczne bufory!”, co pozostawiło Mallory’ego w niepewności, który opis liczył się najwyżej na dziesięciopunktowej skali Gillespie’ego. Nie było nazwisk, adresów ani numerów telefonów. Mallory przekartkował notes jeszcze raz, strona po stronie, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczył, po czym rzucił go na łóżko. – Kiepsko, co? – zagadnął Kris podnosząc wzrok znad sterty czasopism z dziewczynami, które wreszcie odzyskał. Nagle pochylił się. – A to co? – Co tam masz? – zainteresował się Mallory.

Portier wyprostował się i pokazał mu pasek skóry.

– Moim zdaniem to wygląda na smycz dla psa.

Mallory odebrał mu smycz i przyjrzał się jej marszcząc brwi.

– Felina? – odezwał się w końcu.

Dziewczyna-kot podniosła wzrok znad joja.

– Tak?

– Czy były tu ostatnio jakieś psy?

Wciągnęła nosem powietrze i potrząsnęła głową.

– Cholera! – mruknął Mallory.

– Wydajesz się zdenerwowany – zauważył Kris.

– Jeśli to jest to, co myślę, jestem zdenerwowany. – Mallory włożył smycz do kieszeni „i obrzucił pokój pożegnalnym spojrzeniem. – Dobra – oświadczył. – Obejrzałem wszystko, co było do obejrzenia.

Podniósł Paskudka i ruszył do drzwi.

– Zaraz, chwileczkę! – zawołał Kris. Wziął swoje czasopisma, potem podszedł do kartonowego pudła i wybrał kilka diamentów. – Na Kristem – wyjaśnił z uśmiechem. – Nie zgłaszam sprzeciwu – zapewnił Mallory.

Wrócili na schody, zeszli na dwunaste piętro, a stamtąd zjechali windą do holu.

– Dziękuję za pomoc – powiedział Mallory kierując się do frontowych drzwi.

– A moje pięćdziesiąt dolarów? – upomniał się Paskudek.

– Nie przecięliśmy zakładu – bronił się Kris.

– Jak mogłem to zrobić? Miałem związane ręce!

Kris wzruszył ramionami.

– A co tam. Skoro wiem, jak się dostać do pokoju Gillespie’ego, co to jest pięćdziesiąt dolarów? – Wyjął banknot i wsadził go do kieszeni małego skrzata. – Jesteś pewien, że potrafisz znaleźć drogę powrotną? – zapytał Mallory. – Z łatwością – odpowiedział portier. – Piętnaste, dwunaste, czternaste, trzynaste. – Zmarszczył brwi. – Czy może dwunaste, piętnaste, czternaste i trzynaste? – Zależy, jaka jest pogoda i jaki dzień tygodnia – oznajmił Paskudek rechocząc z zadowoleniem.

Mallory wyniósł skrzata na zewnątrz, po czym rozwiązał mu ręce i nogi.

– Masz trzydzieści sekund, mój mały – poinformował go.

– Na co? – zapytał skrzat podskakując w miejscu i rozcierając

ramiona, żeby przywrócić obieg krwi w rękach i nogach.

– Na to, żeby wynieść się stąd do diabła, zanim spuszczę Felinę. – O czym ty mówisz? – zdenerwował się Paskudek. – Przecież dostałeś, czego chciałeś!

– Nie lubię skrzatów.

– Jesteś maniakiem religijnym czy co? – pisał Paskudek i zaczął się cofać. – Wszyscy wiedzą, że skrzaty są wybranym narodem Boga!

– A także ulubioną przekąską ludzi-kotów – dodał złowróźnie Mallory. Śmieciuch Paskudek po raz ostatni spojrzął na Felinę i oddalił się z najwyższą szybkością, przeklinając bez przerwy.

– Zaczekaj tutaj przez chwilę – polecił Felinie Mallory. – Muszę zadzwonić. Wrócił do „Azylu Mikołaja” i zatelefonował do Koszmarni, żeby sprawdzić, czy nie zjawił się tam Mürgenstürm. Nie było go.

– No cóż – stwierdził Mallory powróciwszy do Feliny – chyba już czas zajrzeć na giełdę.

– Wydajesz się zaintrygowany – zauważyła Felina, która siedziała na trotuarze bawiąc się jej zabranym z pokoju Gillespie’ego.

– Bo tak jest.

– Dlaczego?

– Dzieje się coś bardzo dziwnego – oświadczył detektyw marszcząc brwi.

– Wiem. Grundy ukradł jednorożca.

Mallory potrząsnął głową.

– To coś więcej. Czuję, że zdobyłem już dostatecznie dużo kawałków łamigłówki, żeby zacząć układać całość, ale te kawałki ciągle do siebie nie pasują. – Urwał.

– Wiem, co się dzieje, ale nie wiem dlaczego!



– Nie rozumiem, o czym ty mówisz – oznajmiła Felina. Nagle uśmiechnęła się. – Ale wiem jedno.

– O? Co takiego?

– Obiecałeś mi taką srebrną rzecz.

– Jaką srebrną rzecz? – zapytał kompletnie zaskoczony Mallory.

– Obiecałeś, że mi to kupisz, jeśli znajdziemy pokój Gillespie’ego. – Ach, to! Owszem, obiecałem – westchnął. – Dobrze, przejdziemy się na południe po Broadwayu. Jeśli to jest tanie i tandetne, na pewno będzie tam wystawione na sprzedaż.

Zaczął się rozsiadać za jakąś znajomą ulicą. Kiedy już zorientował się w otoczeniu, w ciągu niecałych pięciu minut oboje z Felina dotarli do jaskrawych neonowych świateł Wielkiej Białej Drogi; tam detektyw wszedł do sklepu z upominkami i wkrótce wrócił niosąc naszywane srebrnymi cekinami, trójkątne majteczki striptizerki, które Felina natychmiast zawiązała sobie na ramieniu.

– To się nosi nie w tym miejscu – zwrócił jej uwagę Mallory. – Chcę na nie patrzeć – odparła unosząc je do światła. Dumnie zaprezentowała je Mallory’emu, który nie okazał żadnego zainteresowania. – Ciągle masz niezadowoloną minę – stwierdziła.

– Ciągle usiłuję rozgryźć tę sprawę – odparł w rozтарnieniu.

– Mogę ci pomóc?

– Nie sądzę. – Zaklął cicho. – Cholera! Jestem tak blisko rozwiązania, że prawie czuję je na końcu języka!

Spojrzał na zegarek i westchnął głęboko.

– Lepiej chodźmy już na giełdę. Zobaczymy, czy Winnifred i Mefisto mieli więcej szczęścia od nas.

Ale nawet wypowiadając te słowa był przekonany, że wysiłki jego towarzyszy nie dały żadnych rezultatów. W głębi duszy miał absolutną pewność, że dowiedział się już wszystkiego, czego mu potrzeba, i gdyby tylko potrafił odpowiednio ułożyć i dopasować do siebie posiadane ułamki informacji, mógłby wreszcie ujrzeć cały obraz wydarzeń we właściwym świetle.

Wciąż jeszcze bez powodzenia obracał w głowie kawałki łamigłówek, kiedy znaleźli się na Wall Street.

## **Rozdział jedenasty**

### **2.12 – 2.38**

Deszcz przestał padać, kiedy Mallory i Felina dotarli do giełdy, a jego miejsce zajął zimny wiatr, przenikający do szpiku kości. Nikt na nich nie czekał. Detektyw popatrzył w obie strony ulicy; po jezdni toczyło się kilka zapomnianych strzępków papieru, stary pies kuśtykał środkiem chodnika przy następnej przecznicy, ale nigdzie nie było ani śladu Winnifred i Mefista.

– Ano, przyszedliśmy parę minut za wcześnie – stwierdził spoglądając na zegarek. – Możesz sobie poszukać jakiegoś schronienia. Wygląda na to, że będziemy musieli parę minut poczekać.

Nagle usłyszał upiorne zawodzenie.

– Co to było? – zapytał.

Felina zeszywniała i rozejrzała się dookoła.

– Coś umiera – oświadczyła z przekonaniem.

Detektyw potrząsnął głową.

– To pewnie tylko wiatr.

– To jest stare i słabe – zamruczała, jej nozdrza drgały łowiąc zapachy niesione wiatrem.

– Żadne stare i słabe zwierzę nie robi takiego hałasu – zaprotestował Mallory, kiedy zawodzący dźwięk ponownie dotarł do jego uszu. Zdawał się wyrażać bezbrzeżny smutek i zakończył się niskim, żalobnym jękiem.

– Coś jest stare i chore, i słabe, i smaczne – zanuciła dziewczyna-kot. – Według mnie jest po prostu słabe i nic więcej – zapewnił ją – pospiesznie Mallory.

Niesiony wiatrem arkusz papieru przeleciał obok i Mallory złapał go w powietrzu.

Była to gazeta datowana 29 października 1929 roku.

CZARNY WTOREK!, oznajmiał nagłówek. KRACH NA GIEŁDZIE! Zaciekawiony Mallory zaczął czytać artykuł wstępny, potem stracił zainteresowanie i przejrzał felieton wyjaśniający, dlaczego filmy dźwiękowe doprowadzą Hollywood do katastrofy finansowej. Wreszcie przerzucił strony i zaczął czytać notatkę o obiecującym dwulatku imieniem Waleczny Lis.

Kiedy skończył, rzucił gazetę na ziemię i jeszcze raz popatrzył w głąb ulicy. – Dalej ani śladu naszych przyjaciół – stwierdził. Usłyszał następny żaloszny jęk. – Ciekawe, co to, u diabła, może być? – zapytał niespokojnie. Dopiero wtedy spostrzegł, że jest sam.

– Felina! – wrzasnął, ale nie otrzymał odpowiedzi. Pobiegł na skrzyżowanie i rozejrzał się w obie strony, znowu wykrzykując jej imię, ale nie zobaczył po Felinie ani śladu. Wobec tego wrócił przed budynek. Potem usłyszał hałas, jaki wydawały linki objijające się o metal na wietrze, więc zaczął oglądać wystające ze ściany maszty do zawieszania flag, pełen nadziei, że Felina usiadła na którymś z nich. Nie było jej.

– Nasza wytworna mała grupka robi się coraz mniejsza i coraz bardziej wytworna – mruknął, wsadził ręce do kieszeni i

zaczął spacerować tam i z powrotem przed frontem budynku. Po chwili postanowił zapalić papierosa i odwrócił się plecami do ulicy, żeby osłonić od wiatru płomyk zapalniczki. Kiedy znowu się odwrócił, znalazł się twarzą w twarz z Wielkim Mefisto, który ciasno owinął się swoją peleryną. – Przepraszam za spóźnienie – powiedział mag. – Gdzie jest Winnifred i ten mały konik?

– Jeszcze się nie pokazali.

– A dziewczyna-kot?

– Jeszcze przed chwilą tu była – odparł Mallory z irytacją.

Mefisto schował się we wnęce drzwi.

– Ta cholerna peleryna! – zaczął narzekać. – Jest świetna na deszcz i śnieg, ale w ogóle nie osłania od wiatru. – Skrzywił się. – W każdym razie nieźle mi służy jak na masową konfekcję.

– Czego się dowiedziałeś? – zagadnął Mallory.

– Ciągle nie wiem, gdzie jest Larkspur – przyznał Mefisto – ale za to wiem, że Grundy jeszcze go nie ma.

– Gdzie jest teraz Grundy?

Mefisto wzruszył ramionami.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Mallory zmarszczył brwi.

– Chwileczkę. Myślałem, że dopiero co go widziałeś.

– Nigdy tego nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że on nie ma Larkspura.

– Skąd możesz wiedzieć, jeśli nie wiesz, gdzie on jest?

Mefisto uśmiechnął się.

– Kota można obdrzeć ze skóry na wiele sposobów... przepraszam ze względu na twoją przyjaciółkę. Grundy ma tak dobrą ochronę, że nikt, nawet największy czarodziej na świe-

cie – skłonił się – nie może po prostu wejść do jego kwatery głównej i sprawdzić, co się tam dzieje. – Przerwał. – Poważnie zastanawiałem się, czy nie użyć mojej kryształowej kuli, ale ona przypomina telewizor działający w obie strony: jeżeli ja go widzę, on może zobaczyć mnie. Niezbyt mi to odpowiadało; prawdę mówiąc absolutnie nie miałem na to ochoty.

– Więc co zrobiłeś?

– Jego pomagierzy – głównie trolle i gobliny – zbierają się zwykle w małym pubie niedaleko stąd, żeby się napić i zagrać w karty. Więc poszedłem tam, postawiłem wszystkim kolejkę, zagrałem parę rozdań i dobrze nadstawiałem uszu. – Uśmiechnął się triumfalnie. – Nawet wygrałem dwanaście dolarów.

– I co oni mówili? – zapytał Mallory zdeptując papierosa. Próbował zapalić następnego, ale wiatr ciągle gasił płomyk zapalniczki, więc detektyw w końcu zrezygnował i włożył papierosa z powrotem do kieszeni.

– No, prawie żadnego z nich nie było – wyznał Mefisto – ale spotkałem dwóch i oni mi powiedzieli, że Grundy z jakiegoś powodu wpadł w absolutną furję. Nagle Mallory zachichotał.

– Założę się, że jest wściekły.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Mefisto.

– Właśnie dopasowałem ostatni kawałek – oznajmił Mallory.

– Jaki kawałek?

– Ostatni kawałek łamigłówki – wyjaśnił detektyw. – Wiedziałem już prawie wszystko, kiedy wychodziłem z „Azylu Mikołaja”; ty tylko dostarczyłeś mi resztę. – Co to jest „Azyl Mikołaja”?

– Tam mieszka Gillespie.

– Znalazłeś go w końcu? – wykrzyknął Mefisto.

– Nie.

– Ale w każdym razie czegoś się dowiedziałeś? – nalegał mag. – Prawie wszystkiego – odparł Mallory. – Ale jedno mnie niepokoi: jeśli Grundy jest taki cholernie potężny, to dlaczego Mürgensturm i ja jeszcze żyjemy? Może on na razie nie wie o tobie i o Winnifred, ale to oczywiste, że... – Na razie? – zakrztusił się Mefisto poruszony do tego stopnia, że aż rozchyliły mu się poły peleryny. – Co to znaczy na razie?

– Przecież prędzej czy później musi się o was dowiedzieć – tłumaczył rozsądnie Mallory.

– No, lepiej dopilnuj, żeby się nie dowiedział! Tego nie było w umowie! – To nie ma znaczenia – uspokajał go Mallory. – W tej chwili nikomu z nas nie grozi niebezpieczeństwo.

– Powiedz mi, dlaczego tak uważasz, to sam zdecyduję, czy masz rację – nadąsał się czarodziej. Nagle zauważył, że zęby mu szczękają, i z powrotem owinął się peleryną.

Szczekanie nie ustawało.

– Dobrze – ustąpił Mallory. – Czy wiesz, gdzie są pomagierzy Grundy’ego?

– Pewnie popełniają przestępstwa – odparł Mefisto. – Albo polują na jego wrogów – dodał ponuro.

Mallory potrząsnął głową.

– Szukają Larkspura. – Urwał dramatycznie. – Powiem ci coś więcej.

– Co?

– Oni go nie znajdują.

– Dlaczego tak myślisz? – zaciekał się Mefisto.

– Ponieważ on nie żyje.

– Skąd wiesz? – zapytał zaskoczony czarodziej. – Widziałeś ciało?

– Nie.:

– Więc dlaczego myślisz, że on nie żyje?

Mallory wyjął skórzany pasek.

– Portier znalazł to w pokoju Gillespie’ego. Myślał, że to smycz dla psa. – Mallory zrobił przerwę. – Ale Felina twierdzi, że w tym pokoju nie było żadnych psów i żaden pies nie był wcześniej uwiązany na tej smyczy. Felina ma dobry węch. – Rzucił smycz Mefistowi. – Tu jest sprzączka. Przypina się ją do uzdy, żeby prowadzić zwierzę. – Co świadczy jedynie o tym, że Gillespie ukradł Larkspura – zaprotestował Mefisto. – Już to wiemy.

– Świadczy o czymś więcej – zaznaczył Mallory. – Gillespie nigdy nie zostawiłby smyczy w swoim pokoju, gdyby przypuszczał, że będzie mu jeszcze potrzebna. – Chyba że przekazał już Larkspura Grundy’emu – zauważył mag.

– Więc dlaczego Grundy wpadł w furję? Gdzie są wszyscy jego podwładni? – Grundy zawsze jest wściekły – bronił się Mefisto. – A co do jego pomagierów, noc sylwestrowa jest dla nich wymarzoną okazją do rozróbny. Wiesz, ile sklepów mogą okraść i ilu pijaków obrobić do rana?

– Grundy jest wściekły, ponieważ Gillespie go przechytrył, a jego pomagierzy szukają jednorożca – powtórzył Mallory z przekonaniem. – Skąd ta pewność? – podejrzliwie zapytał Mefisto. – Ponieważ jeszcze żyjemy – odparł detektyw. – On wie, że szukamy Larkspura. Sam nie miał szczęścia, więc po co zabijać kogoś, kto może go doprowadzić do przedmiotu jego poszukiwań?

– Przestań mówić: my! – zdenerwował się Mefisto. – On nic o mnie nie wie!

– To bez różnicy. Jesteś bezpieczny jak u Pana Boga za piecem, dopóki on nie znajdzie rubinu. Tylko ja mam kłopoty.

– Ty?

Mallory przytaknął.

– Jak długo ta błona pozostanie otwarta po śmierci Larkspura?

Mefisto w zamyśleniu potarł szczękę.

– Trudno powiedzieć. Wszystko zależy od tego, kiedy został zabity. Przypuszczam, że pozostało ci od trzech do pięciu godzin. – Nagle wzniósł oczy do nieba. – Mój Boże, co za tragedia!

– Dziękuję za współczucie – powiedział Mallory zaskoczony poważnym tonem maga.

– Nie chodziło mi o ciebie – odparł Mefisto.

– Serdeczne dzięki.

– Chodzi o miasto! – gorączkowo zawołał Mefisto. – Czy wiesz, co się z nim stanie?

– Nic.

– Mylisz się! Miasto zaleje fala zbrodni! Zaczną się gwałty, rabunki i morderstwa! Nie będzie można bezpiecznie chodzić po ulicach!

– O czym ty mówisz?

– Jak myślisz, kto popełnia większość przestępstw na twoim Manhattanie? – zapytał Mefisto. – Ludzie stąd! Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego tak niewielu groźnych przestępców trafia za kratki? To dlatego, że oni przechodzą do twojego świata, żeby popełniać zbrodnie, a potem wracają tutaj, żeby umknąć przed pościgiem! A teraz oni wszyscy zostaną tu zamknięci jak w pułapce! Życie stanie się nie do zniesienia!

Będzie całkiem tak samo, jak na twoim Manhattanie!

– Przyzwyczaisz się – oświadczył Mallory. – My przywykliśmy.



– Jak można przywyknąć do aktów bezmyślnej przemocy? Mallory otworzył usta, żeby odpowiedzieć, nagle jednak zorientował się, że zabrakło mu argumentów. Jakiś hałas z tyłu oszczędził mu konieczności przyznania się do tego przed Mefistem.

Detektyw i czarodziej odwrócili się i zobaczyli nocnego portiera w mundurze, który kluczem otwierał od środka drzwi giełdy.

– Pan! – powiedział nocny stróż wskazując na Mallory'ego.

– Ja? – zapytał zmieszany detektyw.

– Pan tu przyszedłeś z człowiekiem-kotem, prawda?

– Tak.

– No właśnie. Zobaczyłem was przez okno.

– Co z nią?

– Lepiej chodź pan ze mną – powiedział stróż. – Ona jakimś cudem wlaźła do środka i nie mogę jej złapać.

– Może mógłbym w czymś pomóc – zaproponował Mefisto. – Jestem czarodziejem. – Mnie tam wszystko jedno, panowie, tylko zabierzcie ją stąd do diabła – odparł stróż z irytacją. – Zadzwońm po gliny, ale dziś jest sylwester i podobno są cholernie zajęci. – Umilkł. – Dranie powiedzieli mi, żebym sam ją wygonił! – Odwrócił się na pięcie.

– Chodźcie, panowie, za mną.

Mefisto i Mallory ruszyli za stróżem, który poprowadził ich przez sień o marmurowej posadzce do ogromnych dwuskrzydłowych drzwi wychodzących na salę giełdy. – Ona jest tam – oznajmił stróż odstępując od drzwi.

– Nie wchodzi pan z nami? – zdziwił się Mallory.

Stróż energicznie potrząsnął głową.

– Nie zaciągniecie mnie tam nawet za milion dolarów! –

Dlaczego? – zapytał podejrzliwie Mefisto. – Przecież to tylko sala giełdy, prawda?

– Zgadza się.

– Więc dlaczego pan się boi tam wejść? – naciskał czarodziej. – Tysiące ludzi codziennie tam pracują.

– Gdyby to było w dzień, proszę bardzo – powiedział stróż. – Ale w nocy to co innego.

– Na czym polega różnica? – zapytał Mallory.

– Duchy! – wyszeptał stróż.

– Duchy?

Stróż przytaknął.

– Zawsze o północy zaczynają jęczeć i lamentować, i przestają dopiero jakąś godzinę przed świtem. Cały ten cholerny dom jest nawiedzony. – Jeśli pan tam nie wszedł, to skąd pan wie, że tam jest dziewczyna-kot? – zapytał Mefisto.

– Widziałem ją – wyjaśnił stróż. – Musiała się wdrapać po murze od zewnątrz i wejść przez otwarte okno. W każdym razie widziałem na ekranie monitora, że weszła po głównych schodach i przekradła się na piętro.

– I ona ciągle tutaj jest? – upewnił się Mallory.

– No, nigdzie nie wyszła. Oczywiście nie dam gwarancji, czy jeszcze żyje.

Mallory podszedł do drzwi i otworzył je, a stróż odsunął się nieznacznie.

– Chodźmy – zwrócił się detektyw do Mefista.

– Zastanawiam się nad wyborem metod postępowania – odparł z wahaniem czarodziej.

Mallory rozejrzał się po sali giełdy.

– Tu nikogo nie ma.

– Ha! – wykrzyknął stróż.

– Jesteś pewien? – zagadnął Mefisto.

Mallory bez słowa wszedł do olbrzymiego pomieszczenia, w którym dominował umieszczony wysoko ekran podający bieżące notowania. Pod sterylnie czystymi ścianami piętrzyły się dosłownie setki terminali komputerowych, monitorów i telefonów, na lśniącej, wypolerowanej podłodze porostawiane były jeszcze bardziej wymyślne urządzenia do przetwarzania i przesyłania informacji. Mallory przeszedł pomiędzy zgromadzonymi tu cudami techniki, a Mefisto po krótkim wahaniu przyłączył się do niego. Nagle drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

– Felina! – krzyknął Mallory.

– Tutaj – odezwał się żaloszny głos. Mallory podniósł wzrok i zobaczył dziewczynę-kota, która przycupnęła na szczycie potężnego systemu komputerowego. – Co ty tam robisz? – zapytał detektyw.

– Mówiłam ci... coś umierało.

– I ty to zjadłaś – wywnioskował Mallory.

– Ono oszukiwało! – oświadczyła z głębokim oburzeniem.

– Oszukiwało? W jaki sposób?

Wzruszyła ramionami.

– Znikło.

– Rozpłynęło się w powietrzu – poprawił ją jakiś ponury, głucho brzmiący głos.

– Kto tu? – zawołał Mallory odwracając się gwałtownie.

– Nie macie się czego bać – oznajmił głos. – Nie zrobię wam krzywdy.

– Gdzie ty jesteś?

Jakieś pięćdziesiąt stóp dalej, tuż nad obudową komputera, w powietrzu zaczął się formować przezroczysty niebieskawy kształt. Zniknął, po czym pojawił się ponownie na

środku pustego przejścia – wydłużona sylwetka z parą ciemnych, pustych, wytrzeszczonych oczu i ustami o nieokreślonych proporcjach. Jej kontury były niewyraźne i jakby rozmywały się przy podstawie.

– Wybaczcie mi, jeśli was zaskoczyłem lub przestraszyłem, pojawiając się tak nagle – powiedziała postać. – Kiedyś potrafiłem to robić o wiele lepiej. – Kim jesteś? – zapytał Mallory.

– Jestem Dżinnem Rynku. – Postać zawahała się. – Właściwie jestem ostatnim ze wszystkich Dżinnów Rynku.

– Czy to ty tak jęczałeś i lamentowałeś?

Kontury Dżinna zafalowały i jego postać jakby straciła trochę koloru.

– To był mój ostatni towarzysz, który wypłakiwał swój żal i rozpacz, zanim umarł – wyjaśnił żałobnym tonem.

– On zniknął! – wtrąciła nadąsana Felina.

– Co prawda nie wiem dokładnie, jak powinien wyglądać Dżinn – powiedział Mallory – ale ty sam też nie wyglądasz zdrowo.

– Ja umieram – westchnął Dżinn i zrobił się bladoszary.

– Dlaczego?

– Z braku pożywieni. Umieram z głodu w świecie obfitości.

– Czym się żywią Dżinny Rynku? – zaciekał się Mallory. – Podnieceniem. Strachem. Nadzieją. Triumfem. – Dżinn zaczął znikać, ale widocznym wysiłkiem woli wziął się w garść. – Ach, wy nie wiecie, jak tu się żyło za dawnych czasów! Widzieliśmy, jak ludzie zarabiają i tracą miliardy w ciągu jednej godziny, przeżyliśmy Czarny Wtorek, byliśmy świadkami tego, jak rekiny finansowe staczają ze sobą boje, a potem służą sprawiedliwą i okrutną zemstę! – Ale przecież ludzie na-

dal zarabiają i tracą miliardy w ciągu godziny – zauważył Mallory.

– To nie to samo – odparł Dżinn. – Rozejrzyjcie się dookoła – ciągnął formując z powietrza ramię i wskazując na niekończące się rzędy ekranów i terminali. – Gdzie są ci ludzie, gdzie ich ożywiona działalność? Niegdyś całe to pomieszczenie tonęło w zwałach papieru; czy teraz widzicie tu chociaż jeden kosz na śmieci? Wszystko robią komputery.

Nadchodzą rozkazy, zawierane są transakcje, imperia finansowe powstają i upadają – ale nie towarzyszą temu żadne emocje, żadne podniecenie. Gdzie się podział nieposkromiony pęd do budowania osobistej fortuny, gdzie pragnienie, żeby zniszczyć swego przeciwnika i wdeptać go w pył Wall Street, gdzie dreszcz triumfu i gorycz porażki? Wszystko przeminęło, uleciało z wiatrem, całkiem jak mój towarzysz.

– Na pewno zostało jeszcze trochę emocji – sprzeciwił się Mallory. – Przecież przy komputerach pracują setki ludzi. Oni muszą przeżywać wzloty i upadki.

– To już nie to samo – stwierdził Dżinn z westchnieniem, które rozległo się echem w zimnym, pustym pomieszczeniu. – Oni nie są osobiście zainteresowani tym, co tu się dzieje; większość pieniędzy należy do fundacji emerytalnych czy innych instytucji. Poza tym to maszyny podejmują decyzje; mężczyźni i kobiety są tylko dobrze opłacanymi urzędnikami, wypełniającymi rozkazy swych mechanicznych władców. Te słabe emocje, które oni przeżywają, mogą nam dostarczyć za ledwie głodowych racji. John D. rozumiał to, dlatego wybrał śmierć.

– John D.?

– Mój poległy towarzysz – wyjaśnił Dżinn. – Ja jestem J.P.

– Od J.P. Morgana? – domyślił się Mallory.

– Właśnie – potwierdził J.P. – To dopiero był tyran targany wielkimi namiętnościami, który naprawdę potrafił kochać i nienawidzić! – Dżinn rozbłysł jaskrawą purpurą, kiedy zaczął opowiadać o swym dawno nieżyjącym imienniku. – W tym tygodniu, kiedy nastąpił krach na rynku, on wydał dwieście milionów dolarów z własnych pieniędzy usiłując w pojedynkę przywrócić równowagę. Sam jeden mógł na pewno wyżywić z pięćdziesiąt Dżinnów! – Dżinn rozbłysnąwszy jeszcze mocniej pograżył się we wspomnieniach. – A kiedy przychodził tutaj po stoczeniu batalii z Teddym Rooseveltem, powietrze aż trzaskało, tak było naładowane energią! Wicie, prawie codziennie mieliśmy tu bójki na pięści. – Czasy się zmieniają – zauważył Mallory.

– Wiem – westchnął J.P. i zaczął przygasać. – Jesteśmy skazani na wymarcie jak wcześniej dinozaury, giniemy nie z hukiem, a ze skowytem. I nawet się tym nie przejmuję.

Jako ostatni przedstawiciel mojego gatunku czuję się bardzo samotny. Jeszcze dzień, tydzień, miesiąc i przyłączę się do moich utraconych towarzyszy. – Przykro mi – powiedział Mallory.

– Nie ma potrzeby – odparł J.P, znowu matowoszary. – To samo czeka wszystkie gatunki... nie wyłączając człowieka. – Jego krawędzie Zrobiły się jeszcze bardziej niematerialne. – Johnie D, Cyrusie, Auguście – wkrótce was zobaczę, przyjaciele! A potem zniknął.

– Smutne -. stwierdził Mallory.

– On oszukiwał – prychnęła Felina.

– Na pewno sam miał uczucie, że został oszukany – melancholijnie odrzekł Mallory – nawet jeśli nie całkiem rozumiał, jak i dlaczego. – Lepiej już chodźmy – ponaglił Mefisto. – Winnifred powinna już czekać na zewnątrz.

Mallory kiwnął głową. – Chodź, Felina.

Dziewczyna-kot lekko zeskoczyła na podłogę i wyprzedzając ich pobiegła do drzwi. – No, zabierajcie ją stąd – warknął stróż, kiedy cała trójka wyszła z sali giełdy.

– Właśnie wychodzimy – odparł Mallory. – I myślę, że te duchy nie będą więcej pana niepokoić.

– Chwała Bogu! – wykrzyknął stróż. – Cholerne duchy! Co za bezczelność, żeby straszyć porządnego człowieka, który tylko chce uczciwie zarobić na życie! Mallory pozostawił to bez komentarza. W chwilę później on, Mefisto i Felina stanęli na chodniku przed budynkiem giełdy. Zaczął padać deszcz ze śniegiem, obrzydliwa plucha przejawiająca najgorsze cechy obu tych elementów. – Która godzina? – zapytał Mefisto, daremnie usiłując osłonić ręką okulary przed zamoknięciem.

Mallory spojrzał na zegarek.

– Druga trzydzieści, z dokładnością do jednej minuty.

Mefisto zmarszczył brwi.

– Cholera! Coś się stało z Winnifred!

– Nie spóźnia się tak bardzo – uspokajał go Mallory. – Znam ją prawie od piętnastu lat – oświadczył czarodziej – i jeszcze nigdy nie spóźniła się na umówione spotkanie.

– Dlaczego nie sprawdzisz za rogiem? – zaproponował Mallory. – Tam też jest wejście.

Może ona czeka w innym miejscu.

Mefisto kiwnął głową, ostrożnie ruszył chodnikiem, który był zdecydowanie śliski, i skręcił za rogiem w prawo. Wrócił po paru minutach podkasując pelerynę, żeby nie wlokła się po rozmiękłym śniegu, po czym ponownie się w nią zawinął, kiedy dotarł do Mallory'ego.

– Nie miałem szczęścia – oznajmił ponuro. Nagle rozejrzał się. – Gdzie jest Felina?

Jeżeli znowu wróciła do budynku, moim zdaniem powinniśmy ją tam zwyczajnie zostawić.

– Odesłałem ją do Koszmarni, żeby zaczekała na Winnifred i Eohippusa, gdyby tam się pokazali, tak na wszelki wypadek – wyjaśnił Mallory. – Niezły pomysł – stwierdził mag. – I tak nigdy nie lubiłem kotów.

– No więc zostajemy jeszcze my – oświadczył detektyw.

– Co masz na myśli?

– Że naszym następnym logicznym krokiem powinno być sprawdzenie, co się stało z Winnifred i Eohippusem.

– Wiadomo, co się z nimi stało – odparł Mefisto. – Wpadli w tarapaty.

– Więc lepiej wyciągnijmy ich z tego.

– Słuchaj – powiedział Mefisto obronnym tonem – ja tylko zgodziłem się przeprowadzić niewielkie śledztwo. Nie zamierzam porywać się na Grundy’ego. – Myślałem, że Winnifred jest twoją przyjaciółką. – Owszem, ale nie walczyłbym z Grundym, nawet gdyby chodziło o życie mojej matki!

– Nie będziesz musiał – uspokoił go detektyw. – On pewnie nawet nie wie, że jesteś po naszej stronie.

– Po twojej stronie. Nie po naszej stronie.

– Postaram się poprawić – obiecał Mallory. – Niemniej jednak nikt ci nie każe walczyć z Grundym.

– Właśnie że ty mi każesz! – zawołał Mefisto piskliwym, załamującym się głosem.

Mallory potrząsnął głową.

– Jesteś czarodziejem. Ja tylko erę proszę, żebyś użył swoich mocy i dowiedział się, co się stało z Winnifred i Eohippusem. – Przerwał. – Nie będziesz musiał nawet wychodzić z domu. Po prostu użyj swojej kryształowej kuli.

– Ale jeśli wpadli w ręce Grundy’ego, on się dowie, że ich



szukam! – rzucił Mefisto.

– To wcale nie znaczy, że jesteś wrogiem Grundy’ego, po prostu niepokoisz się o Winnifred jako jej przyjaciel – perswadował Mallory. – On będzie wiedział! – zaskamlał Mefisto.

– Popatrzy na mnie tylko raz i będzie wiedział!

– Możesz użyć czegoś innego oprócz kryształowej kuli?

Brwi Mefista pofałdowały się w zamyśleniu.

– No – powiedział niechętnie – mam jeszcze czarodziej-skie zwierciadło.

– Co ono potrafi?

– Niewiele – przyznał mag z irytacją. – Ono mnie nie lu-bi.

– Czy ono może odnaleźć Winnifred i Eohippusa?

– Chyba tak. Ono łączy się z innymi zwierciadłami.

– Więc możesz użyć zwierciadła zamiast kryształowej kuli?

– Sam nie wiem...

– Nic więcej nie będziesz musiał robić – zapewnił go Mallory. – Jeśli mi powiesz, gdzie ona jest, wyciągnę ją stamtąd.

– Mówisz poważnie? – zapytał zdziwiony Mefisto.

Mallory kiwnął głową.

– To niezwykle uprzejmie z twojej strony! – oświadczył mag.

– Dziękuję. Teraz powiedz mi, gdzie mieszkasz.

– Po co? – zapytał podejrzliwie Mefisto.

– Jak inaczej cię znajdę, żeby sprawdzić, czego się do-wiedziałeś? – zirytował się Mallory. Odsunął się od brzegu chodnika, ponieważ zza rogu wytoczył się ogromny żółty słoń i pobrnął pełną błota ulicą dźwigając ładunek rozbawionych pasażerów. – No? – powtórzył detektyw, kiedy słoń ich minął.

– Plac Tajemnicy 7. – Mefisto wydawał się zakłopotany.  
– Zejdiesz po schodkach. To jest apartament w suterenie. –  
Urwał. – Nie widzę powodu, żeby płacić dwa razy tyle pieniędzy  
za przywilej męczącego wchodzenia po schodach. – Plac  
Tajemnicy – powtórzył Mallory. Oparł ręce na biodrach i ro-  
zejrzał się dookoła. – No, zajmij się tym, a ja w tym czasie  
sprawdzę na policji i w szpitalach. – Zawahał się. – Właściwie  
najlepiej zacznę od policji. Jeśli gliny jeszcze nic nie wiedzą,  
mogę przynajmniej zgłosić zaginięcie Winnifred i Eohippusa.  
Gdzie jest najbliższy posterunek? – Jakies pół mili stąd – wy-  
jaśnił Mefisto. – Ale oni odeślą cię tylko do Biura Osób Zagi-  
nionych. Oszczędzisz sobie czasu – jeśli pójdziesz prosto do  
biura. – Gdzie to jest?

– Dwie przecznice dalej – odparł czarodziej. – Skręcisz w  
lewo na następnym skrzyżowaniu i potem prosto. Na pewno  
trafisz.

– Dziękuję. Lepiej już pójdę. Skontaktuję się z tobą póź-  
niej.

– Wiesz – powiedział Mefisto – może ja wrócę z tobą.

– Do Biura Osób Zaginionych? – zdziwił się Mallory.

– Do twojego świata – wyjaśnił mag.

Mallory popatrzył na niego z zaciekawieniem:

– Ty?

– W Las Vegas jest stałe zapotrzebowanie na dobrych  
magików. Może nawet dostanę tyle samo forsy, co Wayne Ne-  
wton!

– Najpierw trzeba się dowiedzieć, co się stało z Winni-  
fred.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknął Mefisto nie potra-  
fiąc opanować entuzjazmu. – Ale potem baczność, Las Vegas,  
nadchodzi Wielki Mefisto! Posuń no się, Barbro Streisand!

Z drogi. Szczurza Bando!

– Szczurza Banda już nie istnieje – zwrócił mu uwagę Mallory. – Wszyscy się dawno zestarzelili.

– Więc będzie następna Szczurza Banda. Zawsze tak jest, sam wiesz.

– Tak, tak. Ale zanim nadejdą te szczęśliwe czasy, czeka nas robota. – I to terminowa – przypomniał mu Mefisto. – Jeśli miałeś rację w sprawie Larkspura, błona już zaczęła twardnieć.

– Więc nie mamy czasu do stracenia, prawda? – oświadczył Mallory przechodząc na drugą stronę pokrytej rozmiękłym śniegiem ulicy.

## **Rozdział dwunasty**

### **2.38-3.10**

Biuro Osób Zaginionych mieściło się w potężnym gmachu, sięgającym od przecznicy do przecznicy. Podobnie jak większość budynków w sąsiedztwie pokryte było brudem i sadzą, a okna stanowczo wymagały umycia. Mallory, który spodziewał się znaleźć pojedynczy pokoik zagubiony wśród typowej biurowej dżungli, zdumiony był nie tylko rozmiarami gmazyska, ale również nieprzerwanym strumieniem wchodzących i wychodzących z biura ludzi.

Detektyw wszedł do budynku frontowymi drzwiami i znalazł się w odpowiednio dużej poczekalni. Na ścianach w widocznych miejscach rozmieszczono portrety Jimmy'ego Hoffy.

Amelii Earhart, sędziego. Josepha Cratera oraz innych słynnych zaginionych osób. Mallory rozejrzał się, dostrzegł biurko z napisem: INFORMACJA i podszedł do niego.

– Czym mogę panu służyć? – odezwał się stojący za

kontuarem mężczyzna w uniformie..

– Mam prośbę – powiedział Mallory. – Moja przyjaciółka spóźniła się na spotkanie; obawiam się, że wpadła w jakieś tarapaty.

– Rozumiem – odparł współczująco mężczyzna.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy nie macie o niej jakichś informacji, a jeśli nie, to chciałbym zgłosić jej zaginięcie.

– No cóż, po to właśnie jesteśmy, proszę pana – rzekł urzędnik. – Prawdę mówiąc to jest dla nas najgorętsza noc w roku. – Wyjął ołówek i mały notesik. – Pozwoli pan, że zadam parę pytań, a potem skieruję pana do właściwego wydziału. – Świetnie – zgodził się Mallory.

– Ta pańska przyjaciółka... jak się nazywa?

– Winnifred Carruthers.

– Znaki szczególne?

– Chyba żadne – odparł Mallory. – Ma ze sobą małego konika, jeśli to panu coś pomoże.

– Małego konika, mówi pan? – powtórzył urzędnik. – Czy pan sprawdził w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami?

– Nie.

– Nie należy wykluczać tej możliwości – zauważył urzędnik bazgrząc gorliwie w notesie. – Może przypadkiem zna pan kolor jej oczu? – Zdaje się niebieskie.

– Wzrost?

– Nie wiem. Jakies pięć stóp trzy lub cztery cale.

– Numer obuwia?

– Nie mam pojęcia – rzucił zniecierpliwiony Mallory. – Pod jakim znakiem się urodziła? – ciągnął urzędnik.

– Chodzi o znak zodiaku?

– Właśnie, proszę pana.

– Nie wiem.

- Ostatnie pytanie: czy jest poszukiwana?
- To znaczy przez policję? – upewnił się Mallory.
- Przez kogokolwiek.
- O ile wiem, to nie.

- Dobrze – oświadczył energicznie urzędnik odkładając notes i ołówek. – Pójdzie pan na pierwsze piętro, czwarte drzwi na lewo od windy. Powodzenia. – To wszystko? – zapytał Mallory.

- To wszystko – powtórzył urzędnik pokrzepiającym tonem.

- No to dziękuję..

Mallory podszedł do szeregu wind, które wskazał mu urzędnik, za czekał, aż drzwi się rozsunęły, wszedł do kabiny i wjechał na pierwsze piętro. Wysiadł z windy i skierował się w lewo mijając trzy zatłoczone biura pełne zrozpaczonych rodziców, zdenerwowanych żon i mężów oraz rozwścieczonych komorników, którzy zadręczali swoimi problemami znękanymi urzędników.

Mallory zatrzymał się dopiero przy czwartych drzwiach. Nic było tam żadnej gorączkowej aktywności, żadnych stert papierów zasłaniających urzędników, żadnych natrętnie dzwoniących telefonów, żadnych niekończących się kolejek interesantów poszukujących zaginionych osób. W biurze była tylko jedna kobieta, która siedziała za kompletnie pustym biurkiem czytała romans w tanim wydaniu. – Halo? – odezwał się na próbę Mallory.

Podniosła wzrok znad książki.

- Czym mogę panu służyć?
- Szukam kobiety nazwiskiem. Winnifred Carruthers.
- Ona nie jest przez nikogo poszukiwana?
- Tylko przeze mnie – wyznał Mallory.

– Tędy proszę – powiedziała kobieta wskazując drzwi na drugim końcu biura. Mallory podziękował jej, przeszedł przez pokój, otworzył drzwi i wszedł do wielkiej sali zastawionej krzesłami i kanapami, każde od innego kompletu. Tapety drażniły absolutnie obrzydliwą kakofonią barw, nie zjadliwej zieleni i czerwieni, lampy wydawałyby się zbyt krzykliwe nawet w nowoorlańskim burdelu, chodniki zaś – trzy jasnoniebieskie, stałe w odcieniach zmieniających się od różowego po purpurowy – ciągle miały przymocowane etykiety z napisami: RESZTKA i ZNIŻKA CENY.

W sali siedzieli mężczyźni i kobiety; niektórzy oglądali w telewizji obchody noworocznych uroczystości nadawane z Denver, inni czytali, a kilkoro po prostu drzemało.

Jeden mężczyzna siedział za biurkiem z piórem w ręku i pisał coś gorliwie; zapełniwszy kartkę papieru natychmiast odkładał ją na mały, schludny stosik i zaczynał następną.

Nagle Mallory uświadomił sobie czyjąś obecność. Odwrócił się i znalazł się twarzą w twarz z najdziwniejszą istotą ludzką, jaką zdarzyło mu się widzieć. Mężczyzna ten miał około sześciu stóp wzrostu, i miał trzy ręce, w tym dwie z lewego boku. Jego twarz pozbawiona była wszelkich proporcji: troje oczu, wszystkie po prawej stronie nosa wyposażonego tylko w jedno nozdrze, usta przekrzywione pod kątem czterdziestu pięciu stopni i para uszu wyrastających jedno nad drugim z lewej strony głowy.

Jaskrawo-pomarańczowe włosy przechodziły na skroniach w odcień różowy.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał mężczyzna.

Mallory nie odpowiadał.

– Proszę pana, co mogę dla pana zrobić? – nalegał mężczyzna.

Mallory nagle zamrugął.

– Przepraszam, że się na pana gapiłem – powiedział. – Zaskoczył mnie pan. – Nic nie szkodzi – odparł mężczyzna ze znużeniem. – Każdemu się zdarzy. Pozwoli pan, że się przedstawię: jestem Thelonius Dziwak. – John J. Mallory – powiedział detektyw. – Szukam kobiety nazwiskiem Winnifred Caruthers.

– Bardzo żałuję, ale przyszedł pan w niewłaściwe miejsce.

– Przecież tutaj mnie skierowano – wyjaśnił Mallory.

Dziwak smutno potrząsnął głową.

– Sam takt, że pan jej szuka, oznacza, że tutaj jej nie ma. Nikt pana nie pytał, czy ona jest poszukiwana?

Chyba chodziło im o to, czy jest poszukiwana przez policję?

Przez kogokolwiek – sprostował Dziwak. – My jesteśmy Niepotrzebnymi Ludźmi.

– A kim są Niepotrzebni Ludzie?

– To mężczyźni i kobiety, którzy przestali już być pożyteczni albo którzy od początku do niczego się nie nadawali. – Dziwak umilkł. – Ja na przykład jestem Odrzuconym, o którym tyle pan słyszał. – Westchnął. – W szkole moi nauczyciele nigdy nie mogli skupić się na wykładach. Zaczynali mówić, a potem zagapiali się na mnie i zapominali, o czym mówili. To samo powtarzało się za każdym razem, kiedy składałem podania o pracę: podczas rozmowy wstępnej kierownik personalny nagle milkł i gapił się na mnie. Jeśli zebrało się dziewiętnastu chłopców, żeby zagrać w baseball, albo dwudziestu trzech, żeby grać w piłkę nożną, albo jedenastu, żeby grać w koszykówkę, ja zawsze byłem odrzucony. Doszło do tego, że nikt sobie nie życzył mojej obecności, więc schroniłem się tutaj. –

Przykro mi – powiedział Mallory.

– W końcu człowiek się przyzwyczaja.

– Niektórzy z tych ludzi wyglądają całkiem normalnie – zauważył Mallory rozglądając się po pokoju. – Dlaczego tutaj są?

– Każdy ma swoje powody.

– Weźmy na przykład jego – zaproponował Mallory wskazując potężnie zbudowanego młodzieńca, który siedział na kanapie z rękawicą baseballową na lewej ręce, mechanicznie podrzucając i łapiąc z powrotem baseballową piłeczkę. – Wydaje się w całkiem niezłej formie.

Co on tu robi?– Dziwak wyciągnął z kieszeni talię małych, kolorowych kart, wybrał jedną i pokazał ją detektywowi.

– To on – oznajmił. – Jason McGee.

– To chyba karty z graczami w baseball – zauważył Mallory. – Takie, jakie dołączano do każdej paczki gumy do żucia.

– Zgadza się.

– Więc wyrzucili go z ligi – mruknął Mallory. – Zdarza się. Dlaczego z tego powodu zaliczono go do Niepotrzebnych Ludzi?

– Niech pan przeczyta tekst na odwrocie – polecił Dziwak.

Mallory odwrócił kartę.

– Jason McGee – odczytał. – Liczba sezonów sportowych, trzy. Rzuty, nie było.

Trafienia, nie było. Biegi, nie było. Błędy, nie było. – Podniósł wzrok. – Przez trzy lata ani razu nie wszedł do gry?

– Właśnie.

– Jak to się stało?

– Niech pan przeczyta, jakie miał stanowisko.

Mallory ponownie spojrzął na kartę.



– Stanowisko, piąta baza. – Oddał kartę Dziwakowi. – Co to, u diabła, jest piąta baza?

– To właśnie moje miejsce – odparł McGee oglądając się na detektywa. – Byłem jedynym graczem z piątej bazy na całym cholernym świecie i ani razu nie dali mi pokazać, co potrafię.

– Może dlatego, że w baseballu są tylko cztery bazy – zauważył Mallory.

– Ale gdyby istniała piąta baza, byłbym najlepszy! – zawołał zapalczywie McGee. – Grałem w drużynie przez trzy sezony z rzędu, a potem mnie skreślili. Przez parę lat objąłem się po podrzędnych klubach, upadłem nawet tak nisko, że grałem w lidze meksykańskiej. – Popatrzył na Mallory’ego udręczonymi oczami. – Sześć lat jako zawodowiec i ani razu nie wszedłem do gry! Cały trening na marne! – Ze smutkiem potrząsnął głową. – Wszystkie nadzieje i marzenia obrócone w proch!

– Więc w końcu wylądował pan tutaj? – zagadnął Mallory.

McGee przytaknął.

– Właśnie.

– Jak długo pan tu przebywa?

– Właściwie nie wiem. W tym miejscu łatwo traci się rachubę czasu.

– Dlaczego pan tu został?

– Komu jest potrzebny gracz z piątej bazy? – odpowiedział McGee.

– Na pewno mógłby pan robić coś innego.

– Po co? – odparł McGee z westchnieniem. – Jeśli nie pozwalają mi robić tego, w czym jestem najlepszy, po co się wysilać? – Pokazał na mężczyznę za biurkiem. – Za to ten facet

powinien wrócić do świata.

– Kto to jest?

– Sybly Purple – odpowiedział Dziwak, ponieważ McGee znowu zajął się podrzucaniem piłeczki. – On jest pisarzem.

– Co on pisze?

– Kryminały, westerny, w ogóle wszystko. Ma pełną półkę książek przez siebie napisanych.

– Moim zdaniem ktoś taki jest bardzo potrzebny – zauważył Mallory. – Co on tu robi?

– Tworzy swoje arcydzieło – oznajmił Dziwak. – Tylko że nikogo to nie interesuje.

– Wielką Powieść Amerykańską? – domyślił się Mallory. – Z pewną odmianą – oświadczył Dziwak. – On zamierza napisać wszystko, całe dwa tysiące stron, nie używając w ogóle litery „e”. Mallory przez chwilę rozważał słowa Dziwaka, po czym kiwnął głową.

– Tak, rozumiem, że coś takiego – raczej nie cieszy się specjalnym wzięciem. – Niemniej jednak on jest pisarzem – współczująco dodał Dziwak. – Odkąd zawładnęła nim ta obsesja, żaden z wydawców nie chce z nim więcej rozmawiać. Dlatego znalazł się tutaj.

– Od jak dawna nad tym pracuje? – zaciekał się Mallory.

– Od sześciu lat.

Nagle Sybly Purple jęknął i przedarł stronę, na której pisał.

– Pewnie niechcący użył litery „e” – wyjaśnił Dziwak. – Każdego dnia niszczy w ten sposób z pięćdziesiąt stron.

– Nigdy mu się nie uda – stwierdził Mallory.

– Prawdopodobnie – zgodził się Dziwak.

– Czy pisze pod własnym nazwiskiem? – zapytał detek-

tyw.

– Oczywiście. To jest jego arcydzieło.

– W słowie „Purple” jest litera „e”. Wszystko przepadnie, zanim jeszcze pierwszy czytelnik otworzy książkę.

Oczy Dziwaka rozszerzyły się ze zdumienia.

– Niech pan mu tego nie mówi! – poprosił szeptem. – Wstrząs mógłby go przyprawić o utratę zmysłów!

– Moim zdaniem on już dawno postradał zmysły – odparł oschle Mallory. – Błagam! – nalegał Dziwak. – Nie ma pan pojęcia, co to znaczy być Niepotrzebną Osobą! Niech pan mu tego jeszcze bardziej nie utrudnia! – Wcale nie zamierzałem mu o tym wspominać – zapewnił Mallory. – Ja tylko szukam mojej przyjaciółki.

– No, tutaj jej nie ma. Niech pan pójdzie na drugie piętro i sprawdzi w Składnicy.

– W Składnicy?

– To jest przechowalnia zaginionych osób.

Mallory zmarszczył brwi.

– Niech mi pan to wytłumaczy, z łaski swojej – poprosił. – Twierdzi pan, że tutaj na drugim piętrze przebywają zaginione osoby?

– Przecież to jest Biuro Osób Zaginionych – odparł Dziwak.

– Tam, skąd pochodzę, Biuro Osób Zaginionych szuka zaginionych osób! – Co za dziwaczny pomysł! – zawołał Dziwak. – Tutaj biuro zbiera te osoby i przechowuje je, dopóki ktoś się po nie nie zgłosi. Jeżeli pańska przyjaciółka jest tutaj, prawie na pewno znajdzie ją pan w Składnicy.

– Wobec tego lepiej pójść sprawdzić – oświadczył Mallory. – Dziękuję za pomoc. Dziwak ze zrozumieniem kiwnął głową. Mallory wrócił na korytarz, zaczekał na przyjazd windy

i wjechał na drugie piętro. Kiedy wyszedł z windy, znalazł się w bardzo zatłoczonym przejściu i po prostu szedł za tłumem, dopóki nie dotarł do Składnicy, czyli ogromnej przechowalni wypełnionej setkami ludzi, pijanych, zapłakanych lub pogrążonych we śnie, z których większość wyglądała na kompletnie zagubionych. Sporą przestrzeń zajmowała recepcja z długim kontuarem, który przypominał Mallory'emu dworzec lotniczy, tyle że zamiast wywieszek z numerami lotów umieszczono tam wywieszki z oznaczeniami dla tych, którzy odbierali zaginione osoby, dla tych, którzy poszukiwali zaginionych osób, i dla samych zaginionych osób. Mallory stanął we właściwej kolejce, a w chwilę później wzdłuż szeregu zaczęła iść jakaś kobieta w błękitnym uniformie, o szorstkich, energicznych ruchach. – Szuka pan zaginionej osoby? – zapytała zatrzymując się przy nim.

– Zgadza się – odpowiedział detektyw.

– Nazwisko zaginionej osoby?

– Właściwie jest ich dwoje – wyjaśnił Mallory. – Winnifred Carruthers oraz Eohippus.

– Eohippus jaki?

– Tylko Eohippus.

– Czy wymienione osoby wiedzą, że są poszukiwane?

– Nie rozumiem.

– Niektórzy ludzie wolą, żeby ich nie odnaleziono – oświadczyła kobieta – i w rzeczy samej nie uważają się za zaginionych. Na przykład przestępcy, którzy obrabowali bank, albo pary zbiegłych kochanków, albo...

– Jeśli oni tutaj są, jestem pewien, że chcą być odnalezieni – przerwał jej Mallory.

– Czy Carruthers i Eohippusowi jest wszystko jedno, kto ich odnajdzie?

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć? – zirytował się Mallory.  
– Ja tylko wypełniam swoje obowiązki, proszę pana – oznajmiła surowo kobieta. – Zadawanie tych pytań to moja praca.

– No, to było cholernie głupie pytanie!

– Niekoniecznie. Na przykład Winnifred Carruthers pragnie być może, żeby pan ją odnalazł, natomiast stanowczo nie życzy sobie, żeby odnalazł ją jej mąż. – Oboje chcą być odnalezieni przeze mnie – zapewnił Mallory.

– Wobec tego zechce pan podać swoje nazwisko.

– Mallory – powiedział detektyw. – John J. Mallory. – W porządku, panie Mallory – stwierdziła kobieta. – Jeśli zaczeka pan tutaj, zobaczę, co mogę dla pana zrobić.

Zakończywszy wypytywanie pozostałych ludzi kobieta weszła do Składnicy i zaczęła wywoływać nazwiska przez megafon. Pół tuzina mężczyzn i kobiet wystąpiło do przodu, żeby na powrót połączyć się z tymi, którzy ich szukali, ale Winnifred i Ehippusa nie było wśród nich.

Mallory zatrzymał kobietę, która mijająca go wracając na koniec kolejki, żeby przepytac następnymi poszukiwaczy.

– Nie zgłosili się – poinformował ją. – Co mam teraz zrobić?

– No cóż – powiedziała – może pan poczekać, dopóki się nie zjawią.

Potrząsnął głową.

– Nie mam czasu. Komu powinienem zgłosić ich zaginięcie?

– Mnie.

– Już to zrobiłem.

– Więc sprawa zakończona – oznajmiła odchodząc.

– Chwileczkę!

Odwróciła się do niego.

– Doprawdy, panie Mallory, przecież inni czekają w kolejce.

– Nie zamierza pani zawiadomić policji, żeby ich szukali?  
– nalegał Mallory. – Policja odstawia tu wszystkie zaginione osoby, jakie znajduje – wyjaśniła. – Taka jest normalna procedura.

– Chcę ogłosić komunikat specjalny o ich zaginięciu – upierał się Mallory. – Uważam, że mogą być w poważnym niebezpieczeństwie.

– W takim razie niech pan stanie w kolejce do Osób Zagrożonych. To tam na końcu. Zrezygnowany Mallory popatrzył na nią złym wzrokiem, po czym stanął w kolejce do Osób Zagrożonych i podał nazwisko Winnifred znużonemu urzędnikowi. Spojrzał na zegarek i postanowił pójść do apartamentu Mefista, żeby sprawdzić, czy czarodziej zdobył jakieś informacje o miejscu pobytu Winnifred.

Zjechał windą na parter i ruszając do drzwi omal nie zderzył się z Mürgenstürmem.

– Johnie Justinie! – wykrzyknął zasapany elf. – Dzięki niebiosom” że cię znalazłem!

– Co ty tu robisz? – podejrzliwie zapytał Mallory.

– Szukałem cię. Mamy dużo spraw do omówienia.

– Cholernie dużo – przyznał Mallory, złapał elfa za ramię i wywlókł go na zewnątrz.

– O co chodzi, Johnie Justinie? – zdziwił się Mürgenstürm.

– Zamknij się!

Mallory, osłaniając oczy od deszczu wolną ręką, rozejrzał się po ulicy, zobaczył po drugiej stronie kawiarnię czynną całą noc i ruszył w jej stronę ciągnąc za sobą elfa. Kiedy stanął w drzwiach, spostrzegł wolny stolik na końcu sali i zaprowa-

dził tam Mürgenstürma.

– Siadaj – rozkazał.

– Jesteś na mnie wściekły, co? – zagadnął Mürgenstürm wdrapując się na krzesło.

– Jak to odgadłeś? – odciął się Mallory.

Podeszła do nich goblinka w fartuszkach.

– Czego panowie sobie życzą?

– Ciszy i spokoju – odparł Mallory i wyjął jeden ze stu-dolarowych banknotów, które Mürgenstürm dał mu w sklepie z odzieżą.

Goblinka wyłuskała mu banknot z ręki.

– Do usług – oznajmiła i ulotniła się.

– Zrobiłeś się rozrzutny, Johnie Justinie – zauważył elf z dezaprobatą. – Musiałem bardzo ciężko pracować na te pieniądze.

– Ja też – burknął Mallory. – Poza tym nie zamierzam zostać na tym Manhattanie dostatecznie długo, żeby wydać wszystko. – Popatrzył ze złością na elfa ponad stołem. – No dobra, ty zielony łajdaku, gadaj!

– Johnie Justinie, mam wrażenie, że ktoś naopowiadał ci o mnie okropnych kłamstw – oświadczył Mürgenstürm.

– Zgadza się, ktoś mnie okłamał – stwierdził Mallory. – Każde słowo, jakie ode mnie usłyszałeś, było najświętszą prawdą! – zawołał elf unosząc prawą dłoń. – Mogę na to przysiąc!

– Również to, że nie wiedziałeś, dlaczego Larkspur jest tak cenny? – No, prawie każde słowo – przyznał Mürgenstürm z zakłopotaniem. – Może trochę uprościłem parę spraw dla twojej wygody.

– Ty mały draniu, kłamałeś od samego początku! – warknął Mallory. – Powiedziałeś mi, że mieszkamy na tym

samym Manhattanie.

– No, nasze Manhattany mają dużo wspólnego... budynki, parki, ulice...

– Mają też wspólną błonę, która w tej chwili twardnieje!

– Więc wiesz, że Larkspur nie żyje? – spytał zaskoczony Mürgenstürm.

– Naturalnie – odparł pogardliwie Mallory. – Twój wspólnik go zabił.

– Mój wspólnik? – zdziwił się niewinnie elf.

Mallory kiwnął głową.

– Lep Gillespie. On jest twoim wspólnikiem, prawda?... A przynajmniej był parę godzin temu.

– Oczywiście, że nie!

– Do niczego nie dojdziemy, jeśli nie zaczniesz mówić prawdy. Może zamieniłem z nim parę słów – bronił się Mürgenstürm – ale nigdy nie byliśmy wspólnikami.

– Ale wybrałeś jego, żeby ukraść jednorożca – naciskał Mallory.

Mürgenstürm przytaknął z nieszczęśliwą miną.

Nigdy nie spotkałem kogoś równie pozbawionego zasad! Mallory przyjrzał mu się z rozbawieniem.

– Wiesz, jesteś prawie tak samo głupi, jak udajesz.

– Wypraszam sobie!

– Możesz sobie wypraszać – wzruszył ramionami Mallory – ale pozostaje faktem, że popełniałeś błędy niemal na każdym kroku.

– Ha! – wykrzyknął zapalczywie elf. – To był genialny plan! Naprawdę genialny!

Doprowadzałem go do perfekcji przez wiele lat!

– Bzdura.

– No, w każdym razie przez wiele dni. Odkąd tylko mój



kuzyn został wybrany na prezesa naszej gildii.

– Co ma jedno do drugiego? – zdziwił się Mallory.

– Gildii powierzono opiekę nad Larkspurem – wyjaśnił Mürgenstürm. – Poprzedni prezes mieszkał w Kansas City, ale kiedy mój kuzyn wygrał wybory, przeniósł Larkspura do Nowego Jorku.

– Po co?

– To było nasze najpoważniejsze zlecenie, więc naturalnie prezes chciał mieć Larkspura w swojej kwaterze głównej.

– Więc w taki sposób wkręciłeś się do pilnowania Larkspura – stwierdził Mallory.

Wyjął papierosa i zapalił. – I nieprzypadkowo wybrałeś tę pustą parcelę, co? – Nie – przyznał elf. – To miejsce jest chronione przez wszelkie możliwe czary i zaklęcia.

– Wyłącznie z zaklęciem przeciw Grundy’emu? – domyślił się Mallory.

Mürgenstürm przytaknął.

– I bardzo słabym zaklęciem przeciw skrzatom.

– Które mogłeś jakoś wyłączyć albo zneutralizować?

– Tak.

– Więc chciałeś ukraść rubin – ciągnął Mallory. – Ale sam nie mogłeś tego zrobić, skoro Larkspur był pod twoją opieką... musiałbyś gęsto się tłumaczyć przed gildią. Poza tym pewnie rzucono na niego chroniący przed elfami. – Wyjątkowo wredny czar – potwierdził z goryczą Mürgenstürm. – Nie było absolutnie żadnego sposobu, żeby go przełamać.

– Więc dogadałeś się z Gillespie’em. Powiedziałeś mu, że znajdziesz kiś sposób, żeby zneutralizować zaklęcie przeciw skrzatom, i podzieliś i się z nim Zyskiem, jeśli ukradnie jednorożca.

– On nawet nie wiedział, ile był wart Larkspur –

oświadczył Mürgenstürm. – Miał mi go zwrócić w zamian za pięćdziesiąt sztuk jojo i kompletne wydanie „Playboya”. – A kiedy się nie zjawił, zrozumiałeś, że cię – wykołował.

– Ten parszywy skrzat!

– Potrzebowałeś pomocy, ale nie mogłeś zwrócić się do gildii i nie mogłeś wynająć miejscowego detektywa. Oni od razu odkryliby słabe punkty w twojej historyjce. – Mallory zmierzył elfa surowym spojrzeniem, – Więc przyszedłeś do mnie. Przygnębiony Mürgenstürm kiwnął głową.

– A potem spotkaliśmy Felinę i wtedy zrozumiałeś, co się stało. Gillespie nie wiedział, ile był wart jednorożec, ale zdawał sobie sprawę, że dla ciebie ten zwierzak musiał być bardzo cenny, skoro zaryzykowałeś życie. Poszedł więc do jedynej osoby, która według niego na pewno знаła wartość Larkspura... czyli do Grundy’ego. – Mallory umilkł na chwilę. – Grundy, podobnie jak ty, bardzo chciał mieć Larkspura, ale zakłęcie uniemożliwiało mu wstęp na podwórze, więc zawarł z Gillespie’em taki sam układ: skrzat miał ukraść jednorożca, a Grundy miał się z nim spotkać później. – Detektyw zapalił następnego papierosa. – Przypuszczam, że sam Larkspur też był chroniony zaklęciem przed Grundym, ale im bardziej oddalał się od podwórza, tym zakłęcie stawało się słabsze. I dlatego Grundy nie odebrał Gillespie’emu jednorożca natychmiast, jak tylko znaleźli się za furtką podwórza. Mam rację? – Masz rację – przyznał elf.

– A kiedy Grundy mógł nas zabić w muzeum i nie skorzystał z okazji, zrozumiałeś, że Gillespie przechytrzył również jego i dlatego on ma nadzieję, że zaprowadzimy go do rubinu.

– Naprawdę jesteś znakomitym detektywem, Johnie Justinie – powiedział z;– znużeniem Mürgenstürm.

– To mój zawód – odparł Mallory wzruszając ramionami.

– W rzeczywistości wcale nie poszedłeś odwiedzić swojej przyjaciółki, kiedy mnie zostawiłeś w Central Parku, zgadza się?

– Całkowicie – przyznał elf.

– Zamiast tego szukałeś Gillespie’ego w „Azylu Mikołaja”.

Mürgenstürm przytaknął.

– Nie było go tam.

– Zjawił się później.

– Znalazłeś go w końcu? – zainteresował się Mürgenstürm.

Mallory potrząsnął głową.

– Rozmawiałem się z nim o jakieś pięć minut.

– Skąd wiesz, że tylko o pięć minut?

– Kawa w jego filiżance była jeszcze ciepła. – Mallory umilkł. – W ten sposób dotarliśmy do chwili obecnej. Teraz co do przyszłości: kiedy odbędzie się aukcja?

– Skąd wiesz, że ma się odbyć aukcja?

– Gillespie nie potrafi się posługiwać tym klejnotem, a zatrzymanie go byłoby zbyt niebezpieczne, skoro i Grundy, i twoja gildia go szukają, więc domyślałem się, że zaprosił ciebie i Grundy’ego na licytację.

– Dlatego właśnie cię szukałem – wyznał Mürgenstürm.

– Chciałem się upewnić, że nie znalazłeś rubinu, zanim stracę pieniądze na licytacji próbując zdobyć coś, czego on już nie ma. – Sięgnął w powietrze i wyjął złożoną kartkę papieru. – Masz – powiedział wręczając ją detektywowi.

Mallory rozłożył kartkę i przeczytał:

### **AUKCJA**

Niżej podpisany serdecznie zaprasza do wzięcia udziału w aukcji na klejnot o rzadkich i cudownych właściwościach.

Czas: 3.30.

Miejsce: Wiesz gdzie.

Lep Gillespie Mallory zgniół kartkę i pozwolił, żeby stoczyła się z jego dłoni na stolik.

Potem spojrział na zegarek.

– Trzecia trzydzieści – mruknął. – Za dwadzieścia minut.  
– Popatrzył ponad stołem na Mürgenstürma. – Wiesz, gdzie to jest?

Mały elf przytaknął.

– Tam, gdzie miałem odebrać od niego Larkspura. – Spojrział prosząco na detektywa. – Boję się sam tam iść. Johnie Justinie. Czy pójdziesz ze mną? Mallory uśmiechnął się ponuro. – Nie zrezygnowałbym z tego za nic w świecie – oświadczył.

## **Rozdział trzynasty**

### **3.10-3.43**

Mallory i Mürgenstürm wędrowali opustoszałym nadbrzeżem mijając tereny doków. W oddali rozbrzmiał samotny dźwięk buczka. Gęsty tuman mgły kłębił się nad East River i przesłaniał im widok portowych spelunek stojących nad samą wodą. – To powinno być niedaleko – zauważył Mallory spoglądając przez mgłę na okręt handlowy z Lemurii, który ciągnęły dwa maleńkie holowniki. – Zostało ci tylko około siedmiu minut.

– To już blisko – zapewnił go Mürgenstürm. – Zaraz przy następnej przecznicy. – Podniósł oczy na Mallory'ego. – Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo jestem ci wdzięczny, Johnie Justinie.

– Nie robię tego dla ciebie – sprzeciwił się Mallory.

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi – oświadczył mały elf.

– Odwal się, ty zielony kurduplu – rzucił Mallory. – Od samego początku okłamywałeś mnie i próbowałeś mnie wykorzystać. Cholera, przecież tylko dlatego zabrałeś mnie ze sobą, że bałeś się sam spotkać z Grundym.

– To nieprawda! – zaprotestował Mürgenstürm.

– Czyżby?

– No, nie całkiem. Oprócz tego lubię twoje towarzystwo – Mürgenstürm umilkł i popatrzył w górę na Mallory’ego. – Jeśli nie robisz tego dla mnie, to dlaczego tu jesteś?

– Dwoje moich przyjaciół zaginęło – odparł Mallory. – Mam przecucie, że tu ich znajdę.

– Kim oni są?

– Nie znasz ich.

– Może znam – zauważył elf. – Mam mnóstwo znajomych. – Tak – mruknął detektyw – ale tych dwoje mówi prawdy. Ty pewnie obracasz się w innych sferach.

– To nie było uprzejme, Johnie Justinie – oświadczył Mürgenstürm.

– Możliwe – przyznał detektyw bez cienia skruchy.

Jeden z holowników zabuczał ostrzegawczo i statek pod graustarkiańską banderą, który wynurzył się z mgły, skrzył ostro na prawą burtę, żeby uniknąć zderzenia z lemuryjskim okrętem.

– Boisz się? – zagadnął Mürgenstürm.

– Czego?

– Grundy’ego oczywiście! – wykrzyknął elf z niedowierzaniem.

– On nikogo nie zabije, dopóki nie zdobędzie rubinu – odparł Mallory.

– Ale jeśli wygra aukcję, zdobędzie rubin!

– Nie twierdę, że nie będzie próbował zniechęcić cię do

licytacji – zgryźliwie odrzekł Mallory. – Natomiast co do rubinu, co innego jest go kupić, a co innego zdobyć. – Co masz na myśli?

– Chyba nie uważasz, że Gillespie będzie takim idiotą, żeby przynieść rubin na aukcję.

On postara się zabezpieczyć.

– Chyba tak – zgodził się Mürgenstürm. Nagle twarz mu się rozjaśniła. – Co byś powiedział, gdybyśmy połączyli nasze fundusze?

– Moje pieniądze są tutaj bezwartościowe poza paru setkami dolarów – przypomniał mu detektyw. – Ja nie mam żadnych funduszy.

– Jemu nie chodzi o pieniądze – wyjaśnił elf. – Mówiłem ci, jaka była nasza pierwotna umowa.

– Nie mam również jojo ani pornograficznych pism.

– Ale możesz mi pomóc je zdobyć!

Mallory zaśmiał się pogardliwie.

– Poważnie wierzysz, że on ci sprzeda rubin na kredyt, kiedy Grundy będzie siedział obok?

– Pewnie nie – przyznał Mürgenstürm. Rysy jego twarzy stwardniały. – Ale muszę spróbować! Przynajmniej jedna rzecz, którą ci powiedziałem, jest prawdziwa: moja gildia zabije mnie za to, że straciłem Larkspura. Muszę zdobyć ten rubin, żeby uciec na twój Manhattan.

– Dlaczego nie uciekniesz teraz, zanim błona stwardnieje? – Bo jeśli Grundy zdobędzie rubin, będzie mnie ścigał z zemsty za wszystkie kłopoty, jakich mu narobiłem.

– Ja tam nie mam mu tego za złe – oświadczył Mallory. – Ostatnio wielu ludziom zalazłeś za skórę.

– Wiem – westchnął Mürgenstürm. – Ale ty nie masz pojęcia, co to znaczy być elfem! – dodał płacząco. – Możesz

awansować tylko na określone stanowisko w gildii i na tym koniec.

– Jak twój kuzyn? – wtrącił Mallory z odcieniem ironii.

– To nieuczciwie!

– Ale to prawda. Dlaczego po prostu nie przyznasz, że szukałeś łatwiejszej drogi?

– Ja tylko próbowałem poprawić swoją pozycję społeczną!

– Dureń – stwierdził Mallory potrząsając głową. – Zwyczajny dureń.

– Wypraszam sobie!

– Zaprzeczasz? – rzucił Mallory. – A co, u diabła, począłbyś z tym klejnotem, gdyby twój plan całkowicie się powiódł? Używałbyś go, żeby wędrować pomiędzy moim i twoim Manhattanem? I tak możesz to robić.

– Sprzedałbym go – odparł szybko Mürgenstürm.

– Grundy’emu? Twoje życzenie może się spełnić.

– Jakiemuś jubilerowi w twoim świecie. To najdoskonalniejszy klejnot, jaki widziałem.

Wart jest miliony, Johnie Justinie!

– Jezu! – powiedział Mallory z niesmakiem. – Chciałeś zabrać rubin Larkspura, żeby jakaś tłusta nowojorska matrona nosiła go na szyi nie wiedząc nawet, co to jest? Na twarzy Mürgenstürma pojawił się wymuszony uśmiech.

– W twoich ustach to brzmi tak... tak głupio i okrutnie. – A co z tymi wszystkimi ludźmi, których zostawiłeś na lodzie? – ciągnął Mallory. – I nie chodzi tylko o ludzi. Ile Gnomów Metra umrze z głodu, ponieważ urwie się dopływ żetonów z mojego Manhattanu?

– Nie mów takich rzeczy! – zaskamlał elf. – Ja tylko chciałem sobie zapewnić wygodne życie!

– No, w każdym razie zapewniłeś sobie krótsze życie – oznajmił detektyw. – Mam nadzieję, że tego nie żałujesz.

Przeszli w milczeniu następne pięćdziesiąt jardów. Potem Mürgenstürm zatrzymał się przed wielkim budynkiem wzniesionym nad dokami. – No, niech mnie diabli! – zawołał z uśmiechem ubawiony Mallory. – Prawdziwy stary opuszczony magazyn!

– Słyszałeś już o nim? – zdziwił się Mürgenstürm.

– O czym?

– O Starym Opuszczonym Magazynie – wyjaśnił elf. – Właśnie przed nim stoimy. Mallory oparł ręce na biodrach i popatrzył na Stary Opuszczony Magazyn. Budynek zajmował prawie całą przecnicę i wydawał się skonstruowany w całości z szarej aluminiowej blachy. Detektyw dostrzegł tylko jedne drzwi, chociaż domyślał się, że za rogiem były liczne rampy dla ciężarówek. Na frontowej ścianie znajdowało się pięć nieregularnie rozmieszczonych okien; cztery były ciemne, ale z piątego sączyło się przez mgłę żółte, rozproszone światło.

– Przyszedłeś akurat na czas, Mürgenstürm – odezwał się jakiś głęboki głos. Odwróciwszy się Mallory ujrzał przed sobą ogromnego mężczyznę o niebieskawej skórze, ubranego w purpurowy garnitur ze skóry rekina, jasnobłękitną koszulę, fioletowy krawat oraz granatowe buty i skarpetki. Mężczyzna miał prawie siedem stóp wzrostu i na oko ważył jakieś pięćset funtów. – Kto to jest ten facet?

– Nazywa się Mallory – odparł elf. – On jest w porządku. Ręczę za niego.

– Kim jest twój przyjaciel? – zapytał Mürgenstürm Mallory.

– To Książę Waleni. Jest właścicielem magazynu.

– Myślałem, że miałeś przyjść sam – powiedział Książę



Waleni.

– On jest moją ochroną osobistą – wyjaśnił elf. Książę Waleni przyglądał się Mallory’emu przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Dużo ci on pomoże, jak będziecie mieli do czynienia z Grundym! Ale co tam, to nie moje zmartwienie. Wchodźcie.

– Dziękuję – powiedział Mürgenstürm.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Mallory wszedł za nim do wnętrza Starego Opuszczonego Magazynu. Pomieszczenie wypełniały rzędy za rzędami wolno stojących regałów, a wszystkie zawierały skarby ukradzione z Manhattanu detektywa: sztuczną biżuterię, stare sensacyjne czasopisma w plastikowych torbach, przybory kuchenne, opony samochodowe, puszkowany pokarm dla psów i kotów, aparaturę stereo i wideo, futra, a nawet wyroby z kamionki. Tam, gdzie półki się kończyły, piętrzyły się ogromne pudła zawierające wszystko od telewizorów po samobieżne kosiarki do trawników. Mürgenstürm skręcił w prawo i ruszył w stronę kantoru. Zastony były zaciągnięte, ale Mallory zauważył tam światło i domyślił się, że to samo światło widział z zewnątrz.

Mały elf ostrożnie uchylił drzwi.

– Cześć, współniku! – zawołał piskliwy, afektowany głos.  
– Tak się cieszę, że zdążyłeś na czas.

Mallory wszedł do środka i znalazł się w przestronnym biurze o powierzchni jakieś dwadzieścia na dwadzieścia stóp. Kilka krzeseł stało pod ścianą naprzeciwko biurka, które królowało po drugiej stronie pokoju. Za biurkiem siedział skrzat.  
– Pan Mallory, jak sądzę? – odezwał się z nieprzyjemnym uśmiechem.

– A ty na pewno jesteś Lep Gillespie – stwierdził Mallory.  
Gillespie skinął głową.

- Wreszcie się spotykamy.
  - Gdzie – są moi przyjaciele? – zapytał Mallory.
  - Nie wiem, o kim pan mówi – odparł Gillespie, wciąż się uśmiechając.
  - O Eohippusie i Winnifred Carruthers.
  - Nigdy o nich nie słyszałem.
- Mallory ruszył do drzwi.
- Dokąd pan idzie, panie Mallory? – zapytał skrzat.
  - Chcę się tutaj rozejrzeć.
  - I poszukać swoich przyjaciół?
  - Może ich przeoczyłeś – powiedział Mallory z ponurym uśmiechem.
  - Nie robiłbym tego na pana miejscu.
  - Dlaczego?
  - Bo wtedy będę nieszczęśliwy – oświadczył Gillespie. – A kiedy jestem nieszczęśliwy, bywam niegrzeczny.
  - Łamiesz mi serce – rzucił Mallory sięgając do klamki. – Mówię poważnie, panie Mallory – ostrzegł Gillespie otwierając szufladę. Wyjął z niej coś znajomego i postawił na biurku.
- Mallory przez chwilę wpatrywał się w małą figurkę.
- Eohippus? – wymówił w końcu.
- Mały konik wydał słaby jęk potwierdzenia.
- Ależ ty jesteś o dwa cale niższy niż przedtem! – wykrzyknął Mallory. – To dlatego, że przez cały czas go biję – zachichotał skrzat i mocno trzepnął konia po grzbiecie plastikową linijką. – Teraz odsuń się od drzwi... bo będę bił twojego pieszczołka, dopóki nie zrobi się taki malutki, że zniknie ci z oczu. Mallory spiorunował wzrokiem skrzata, po czym powoli przeszedł na drugą stronę pokoju.
  - Gdzie jest pułkownik Carruthers? – zapytał.
  - Tego ci nie powiem – oświadczył uszczęśliwiony Gil-

lespie. – Kiedy znudzi mi się bicie Eohippusa, zabiorę się do niej.

– O ile przedtem ja nie zabiorę się do ciebie – oznajmił złowróźnie Mallory. – Dotknij mnie tylko palcem, a nigdy więcej nie zobaczysz pułkownik Carruthers... i nikt nigdy nie zobaczy rubinu – odparł Gillespie z zarozumiałym uśmiechem. Odwrócił się do Mürgenstürma. – No, mój mały zielony wspólniku, jak tam twoje sprawy? – Jesteś obrzydliwą kreaturą! – wybuchnął elf.

– Jeszcze nie wiesz, do czego jestem zdolny – odparł skrzat. – Siadaj.

– Wolę stać – oświadczył elf.

– Ale ja wolę, żebyś usiadł – uciał Gillespie.

Mürgenstürm westchnął i wgramolił się na krzesło.

– Ty też – rozkazał skrzat Mallory’emu.

– Nie, dziękuję – odparł detektyw opierając się o ścianę.

– Zobaczymy! – warknął Gillespie i sięgnął po plastikową linijkę.

– Dotknij tylko tego konia, a wyrwę ci rękę – ostrzegł cicho Mallory.

– Ha! – zawołał Gillespie. – W twojej sytuacji nie możesz się stawiać.

Potrzebujesz rubinu najbardziej z nich wszystkich!

– To prawda – przyznał Mallory. – Ale jeśli tkniesz palcem Eohippusa, będziesz prowadził licytację z jedną ręką.

Gillespie przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem postawił małego konika z powrotem na biurku.

– Jeszcze tego pożałujesz! – syknął. – Obiecuję ci to!

– Skończ z tymi bzdurami i zaczynaj aukcję – burknął Mallory. – Nikt się ciebie nie boi.

– Zacznę, kiedy przyjdzie Grundy.

Mallory spojrział na zegarek.

– Jest trzecia trzydzieści dwie. Widocznie Grundy nie interesuje się tym, co masz do sprzedania.

– Pozwoli pan, że o tym ja będę decydował – odezwał się głęboki, dźwięczny głos po prawej.

Mürgenstürm zakwilił z przerażenia. Mallory odwrócił się i w odległości kilku stóp ujrzał dziwną postać. Stwór był wysoki, miał sześć stóp i kilka cali wzrostu, a z jego bezwłosej czaszki wyrastały dwa okazałe rogi. Oczy miał żółte i palące, nos ostry i zakrzywiony, zęby białe i błyszczące, skórę jasnoczerwoną. Ubrany był w koszulę i spodnie z wytłaczanego akсамitu oraz jedwabny płaszcz z kołnierzem i mankietami zrobionymi z futra jakiegoś białego polarnego zwierzęcia. Miał lśniące czarne buty i rękawiczki, a na szyi wisiał mu złoty łańcuch z dwoma rubinami. Kiedy oddychał, z jego ust i nosa wydobywały się małe obłoczki pary.

– No – zaczął Gillespie przerywając ciszę – chyba wszystkie zainteresowane strony są obecne. Mallory, czy poznałeś już Grundy’ego?

– Nie bezpośrednio – odparł Mallory przypominając sobie spotkanie z gorylem w muzeum.

Grundy zmierzył go spojrzeniem.

– Przychodząc tutaj popełnił pan poważny błąd, panie Mallory. Wplątał, się pan w sprawy, które pana nie dotyczą.

– Nie brałem w tym udziału – oświadczył Mallory. – Jeśli chcesz się na kogoś wściekać, wściekaj się na faceta, który cię przechytrył – dociał celując kciukiem w Gillespie’ego.

– Przyjdzie kolej i na niego, proszę się nie obawiać – zapewnił Grundy z przekonaniem.

– Ale dopiero kiedy dostaniesz rubin – wyszczerzył zęby Gillespie. – A nie dostaniesz nic, dopóki nie będę bezpiecznie

ukryty daleko od ciebie. Grundy nie zwrócił na niego uwagi, tylko popatrzył na Mürgenstürma – A po nim przyjdzie kolej na ciebie.

Mürgenstürm otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale trząśnięcie było tak gwałtowne, że nie mógł z siebie wydobyć ani słowa. Grundy ponownie zwrócił się do Gillespie'ego. – Wyczuwam jeszcze czyjąś obecność.

Gillespie wyjął Eohippusa z szuflady, podniósł go, żeby pokazać Grundy'emu, i włożył go z powrotem.

– Wszyscy obecni i przeliczeni – uśmiechnął się. – A teraz, panowie, chyba możemy zacząć aukcję.

– Dwieście sztuk jojo! – krzyknął Mürgenstürm.

– To nawet nie jest dobry początek licytacji – skrzywił się Gillespie. – To raczej wstęp do początku.

– Trzysta sztuk jojo oraz kompletne wydanie „Playboya” i „Penthouse'a”! – podwyższył Mürgenstürm.

– Grundy, jesteś strasznie milczący – zauważył skrzat. – Zrobiłeś taki kawał drogi i nawet nie zamierzasz licytować?

Grundy wbił spojrzenie w Gillespie'ego. Dwa cienkie pióropusze pary uniosły się z jego nozdrzy przesłaniając prawie całą twarz z wyjątkiem żółtych, świecących oczu.

– Ofiarowuję ci szybką, bezbolesną śmierć za twoje grzechy – powiedział w końcu.

– To niezbyt wiele – stwierdził Gillespie, najwyraźniej wcale nieprzestraszony.

– Sprzedajesz coś, co do ciebie nie należy.

Gillespie zachichotał.

– Jeśli to w ogóle do kogoś należało, to do jednorożca, a jemu to już niepotrzebne. – Spojrzał Grundy'emu prosto w oczy. – A ty przestań mi grozić. I tak nie dopuścisz, żeby chociaż jeden włoszek spadł z mojej pięknej głowy, dopóki nie do-

staniesz do rąk rubinu. – Przeniósł spojrzenie na detektywa. – Mallory, co z tobą? Chcesz przystąpić do licytacji?

Mallory potrząsnął głową.

– No, Grundy, jak będzie? A może mam oddać rubin temu elfowi? – Do mojej wstępnej oferty dodam sumę jednego miliona dolarów raz zostawię ci rozsądną ilość czasu, żebyś mógł się nią nacieszyć, zanim cię zabiję. – Ile to będzie w piwie i lodach na patyku?

– Sam sobie przelicz – odparł chłodno Grundy.

– Mürgenstürm?

– I żyrafę – zażądał Gillespie.

– Żyrafę? – powtórzył Mürgenstürm. – Dlaczego?

– Zawsze chciałem mieć żyrafę.

– I żyrafę – ustąpił elf z westchnieniem.

– To jeszcze za mało w porównaniu z milionem dolców – oznajmił Gillespie. – Co by tu dołożyć? – Nagle uśmiechnął się. – Już mam! Zabij la mnie Mallory’ego. – Nie mogę! – zaprotestował Mürgenstürm.

– Chcesz mieć rubin czy nie? – zagadnął skrzat.

– Ale...

– To jest mój nowy warunek wstępny! – wrzasnął Gillespie. – Jeśli się nie zgadzasz, wypadasz, z licytacji!

– Mam to zrobić zaraz?

– To byłoby przedwczesne – zarechotał Gillespie. – Będziesz musiał go zabić tylko wtedy, jeśli zwycięzysz.

Mürgenstürm zwrócił się do Mallory’ego.

– Przykro mi, Johnie Justinie – powiedział – ale ja muszę mieć ten rubin! – Ponownie odwrócił się do Gillespie’ego i kiwnął głową.

– No, wreszcie do czegoś dochodzimy! – zawołał radośnie skrzat. – Mallory, czy już nabrałeś ochoty, żeby się przy-

łączyć do licytacji? – Ani trochę – odparł detektyw.

– Może zmienisz zdanie, jeśli odejmę twojemu pieszczoszkowi jeszcze parę cali wzrostu.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu – ostrzegł Mallory. – Ohoho! – wyszczerzył zęby Gillespie. – Wszyscy chcą zabić biednego małego skrzata! – Uśmiech nagle znikł, zastąpiony przez grymas pogardy. – I żadnemu nie starcza odwagi! Co za rozkoszna sytuacja!

– Słyszałeś, co powiedziałem – stwierdził Mallory. – Nie zapominaj, kto ma rubin, pętaku! – warknął skrzat. Wyjął Eohippusa z szuflady i podniósł linijkę.

– Szybko! – krzyknął Mallory. – Czy ona jest w tym budynku?

– Tak! – odpowiedział Eohippus, podczas – gdy linijka opadała na jego grzbiet.

– Tylko to chciałem wiedzieć.

Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Mallory wyciągnął pistolet, wycelował w Gillespie’ego i nacisnął spust. Kula trafiła skrzata między oczy, a impet odrzucił go od biurka.

– NIE! – wrzasnął Grundy.

– Mój Boże, Johnie Justinie! – zawołał Mürgenstürm. – Coś ty zrobił? – Zlikwidowałem szkodliwego pasożyta – odparł chłodno Mallory chowając pistolet z powrotem do kieszeni. – Nic więcej.

– Głupcze! – ryknął Grundy miotając płomienie z ust. Wymierzył w Mallory’ego spiczasto zakończony palec. – Po co się wtrącałeś, ty głupcze! Miałem już rubin w rękę, a teraz wszystko stracone!

Wymówił czarnoksiężskie słowo i nagle w jego dłoniach pojawiła się wielka ognista kula.

– Gotujcie się na smród palonego ciała, na trzaskanie pękających kości, na straszliwe piekło cierpienia!

– Rzuć tym we mnie, a nigdy już nie zobaczysz rubinu – ostrzegł Mallory.

Demon zamarł.

– Mów szybko! – rozkazał.

– Gillespie nie miał rubinu. – Mallory stuknął kciukiem we własną pierś. – Ja go mam.

– On kłamie! – zawołał Mürgenstürm. – Znam każdy jego krok, odkąd się tu zjawił.

Grundy przeszył Mallory’ego nienawistnym spojrzeniem.

– Odpowiedz na jego zarzuty.

– Chętnie – odparł detektyw. – Gillespie nie orientował się w możliwościach rubinu, toteż należy przypuszczać, że zabił Larkspura, ponieważ łatwiej jest ukryć klejnot niż jednorożca. Wiedział, że wszyscy przewracamy miasto do góry nogami, żeby go znaleźć, więc wybrał jedyne miejsce, gdzie rubin byłby bezpieczny aż do zakończenia aukcji.

– Gdzie? – zapytał Grundy.

– W moim biurze – wyjaśnił Mallory. – To była idealna kryjówka, dopóki przebywałem tutaj, na tym Manhattanie. – Urwał. – W końcu domyśliłem się prawdy, kiedy znalazłem mój kubek do kawy w jego pokoju. Piłem z tego kubka tuż przedtem, zanim przeniosłem się tutaj... co oznacza, że Gillespie złożył wizytę w moim biurze później. Po co?

Mógł mieć tylko jeden powód: żeby ukryć rubin.

– W tym jest sporo sensu – przyznał Mürgenstürm. – Milcz, robaku! – warknął Grundy, a Mürgenstürm o mało nie zemdlął po tych słowach.

– Oczywiście – dodał Mallory zapalając papierosa – ru-



binu już tam nie ma.

Kazałem Felinie go zabrać, kiedy byłem w Biurze Osób Zaginionych. – Popatrzył na Grundy’ego. – I możesz mi wierzyć, że jeśli mimo całej twojej potęgi nie potrafiłeś znaleźć Gillespie’ego, jej na pewno nie znajdziesz.

– Spryciarz z ciebie, Mallory – przyznał Grundy. – Gdzie jest teraz rubin? – W bezpiecznym miejscu – uspokoił go Mallory. – A teraz, panowie – zakończył z uśmiechem – jeśli nadal chcecie mieć ten klejnot, będziecie musieli dobić targu ze mną.

## **Rozdział czternasty**

### **3.43-4.11**

– Co chcesz za niego? – zapytał Mürgenstürm.

– Moje życzenia są trochę inne niż Gillespie’ego – odparł Mallory – – Na początek chcę, żebyś uwolnił moich przyjaciół i odesłał ich w bezpieczne miejsce, zanim w ogóle zaczniemy rozmawiać.

– Zrobione – oświadczył Grundy. Znikł na jakieś dwadzieścia sekund, po czym ponownie się pojawił. – Jeśli wyjdiesz z kantoru, znajdziesz tę kobietę czekającą na ciebie.

Mallory wziął na ręce Eohippusa i wrócił do magazynu. Zgodnie z obietnicą demona, Winnifred czekała na niego w pobliżu. Na jej twarzy malowało się oszołomienie. – Dobrze się czujesz? – zapytał detektyw.

– Tak – odpowiedziała. – Ale to było strasznie denerwujące! Najpierw siedziałam w komórce związana i zakneblowana, a potem sam Grundy mnie uwolnił! – Podniosła oczy na Mallory’ego. – To była twoja robota, prawda?

Kiwnął głową.

– Co się z wami działo?

– Przekupiłam kilka skrzatów, żeby nam powiedziały,

gdzie jest Gillespie – wyznała Winnifred ze skrucą. – Widocznie natychmiast pobiegły przodem i ostrzegły go, ponieważ na nas czekał. – Potrząsnęła głową. – Chyba się starzeję, Mallory. Dwadzieścia lat temu nigdy nie popełniłabym takiego błędu.

– Nie przejmuj się – pocieszył ją Mallory. – Teraz jesteś bezpieczna i tylko to się liczy.

– Przerwał. – Chcę, żebyś zabrała Eohippusa z powrotem do Koszmarni i zaczekała tam.

– Nie idziesz z nami? – zapytała marszcząc brwi.

Potrząsnął głową.

– Mam tu jeszcze parę spraw do załatwienia – odparł wskazując w stronę kantoru.

– Z Grundym? – upewniła się.

– Tak.

– Więć my też zostajemy! – oznajmił twardo Eohippus. – Nie, nie zostajecie – sprzeciwił się Mallory. – Pierwsze, co wynegocjowałem, to gwarancja waszej wolności. Poza tym – dodał przesuwając ręką po zmaltretowanym grzbiecie małego konika – nie możesz mieć sześciu cali wzrostu. Nie chcę więcej narażać cię na ryzyko.

– Ale on cię zabije! – zaprotestował Eohippus.

– Nie robi tego, ponieważ ja wiem, jak znaleźć rubin.

– Wymusi to z ciebie torturami – ostrzegła Winnifred.

– Zabezpieczyłem się.

– Jesteś nadzwyczajnym człowiekiem, Johnie Justinie Mallory – powiedziała poważnie Winnifred. – Kiedy mamy się ciebie spodziewać w Koszmarni? – Nie na mnie będziecie czekać – sprostował Mallory. – Felina otrzymała polecenie, żeby tam przyjść, jeśli nie spotkam się z nią przed określonym terminem. – Czy to ona ma rubin?

– Zgadłaś.

- Co mamy robić, kiedy ona się zjawi?
- Domyślicie się – odparł Mallory podając jej Eohippusa.
- Załóż mu opatrunek i dobrze się nim opiekuj.
  - Zajmę się nim – obiecała, – i – Powodzenia, Mallory.
  - Dziękuję. – Mallory odprowadził ją do frontowych drzwi. – No, idźcie już. Zaczekał, aż wyszli, wyglądając przez okno upewnił się, że Książę Waleni pozwolił im przejść bez przeszkód, po czym wrócił do kantoru. – Dziękuję, że ich wypuściłeś, Grundy – powiedział. – Oni mnie nie interesują – odparł demon, z wyższością wzruszając ramionami. – To są tylko statyści w naszym małym dramacie.
    - On ich zabije, jak tylko dostanie rubin! – zawołał Mürgenstürm.
      - Daję ci słowo, że tego nie zrobię – oświadczył Grundy.
      - On kłamie, Johnie Justinie!
- Mallory odwrócił się do Mürgenstürma.
  - W tym biurze jest tylko jedna osoba, która mnie okłamała – rzucił szorstkim tonem. – I tylko jedna osoba, która o choczko zgodziła się mnie zabić. – Nie zrobiłbym tego! – zaklinał się elf. – Musiałem tak powiedzieć, bo inaczej Gillespie oddałby rubin Grundy’emu!
    - Wiesz, jesteś do tego stopnia załgany, że pewnie nawet sam w to wierzysz – stwierdził Mallory z niesmakiem.
      - Przecież wiesz, że to prawda!
      - O niczym takim nie wiem – uciął detektyw. – Mürgenstürm, jesteś równie czarujący jak wszyscy, których spotkałem na tym Manhattanie... ale wdzięk nie świadczy o wartości człowieka.
        - Jesteś bardzo spostrzegawczy.»Mallory – zauważył Grundy podchodząc do biurka i przysiadając na krawędzi. – Nie masz zamiaru oddać mu rubinu, prawda? – Nie – przyznał

Mallory.

– Johnie Justinie! – pisał Mürgenstürm.

– Prędzej czy później każdy musi ponieść konsekwencje swego postępowania – oświadczył Mallory. – Teraz przyszła kolej na ciebie. – Ale to niesprawiedliwe!

– Czy zamordowanie Larkspura i uwięzienie tysięcy ludzi na niewłaściwym Manhattanie było sprawiedliwe?

– Ale ja wcale tego nie chciałem! – zajęczał elf. – Pewnego dnia będę musiał ci przypomnieć, czym są wybrukowane drogi do piekła – mruknął Mallory. Odwrócił się do Grundy’ego. – On nam się na nic nie przyda.

Pozwól mu odejść.

– On musi umrzeć za to, co zrobił – surowo powiedział Grundy. – On umrze – zapewnił demona Mallory. – Jego własna gildia zabije go o wschodzie słońca.

– A jeżeli im ucieknie? – zaniepokoił się Grundy. – Wówczas przez resztę życia będzie dygotał na widok każdego cienia i wszędzie węszył zasadzki.

Okrutny uśmiech przemknął po twarzy Grundy’ego.

– To mi się podoba.

– Tak też myślałem.

Demon odwrócił się do Mürgenstürma.

– Idź precz!

– Ale...

– Jeśli przed świtem nie wyniesiesz się z moich włości, sam cię dopadnę – obiecał Grundy.

Mürgenstürm rzucił Mallory’emu nienawistne spojrzenie.

– Dziękuję ci serdecznie, przyjacielu! – powiedział z gorczycą. – Przyjaciele nie postępują tak jak ty – odparł detektyw. – A teraz zabieraj się stąd do diabła. Świt już niedaleko.

Mürgenstürm podszedł do drzwi, przystanął, jakby chciał coś powiedzieć, rozmyślił się i wyszedł.

– Zaczekaj – odezwał się Grundy. Zamknął na chwilę oczy, potem je otworzył. – W

porządku. Wyszedł z budynku. – Odwrócił się do Mallory’ego. – Pozostaje tylko wyznaczyć cenę. Jestem jedyną zainteresowaną osobą.

– Pomyłka – oświadczył Mallory.

Głęboko w gardle demona rozległo się warczenie, a dym wydobywający się z jego nozdrzy zrobił się jasnoniebieski.

– Kto jeszcze tu jest? – zapytał.

– Jestem ja.

– Ty?

Mallory przytaknął.

– Ten klejnot to mój bilet powrotny do domu.

– Zbadałem błonę – oznajmił Grundy. – Pozostanie przepuszczalna jeszcze przez dwie do trzech godzin. Zakończymy naszą transakcję i możesz wracać do domu, jak tylko przekażesz mi rubin.

– Ale ja jeszcze nie wiem, czy mam ci przekazać rubin – odparł Mallory.

– Co? – warknął demon, a jego oczy rozżarzyły się jeszcze mocniej. – Ty jesteś Grundy – powiedział detektyw. – Zabijasz żywe stworzenia. Zsyłasz zarazy.

Mordujesz jednorożce dla tych cholernych klejnotów. Przez ciebie nawet mój Manhattan stał się niebezpieczny. Dlaczego mam ci oddawać klucz do jeszcze większej potęgi? – Głupcze! – ryknął rozwścieczony Grundy zrywając się na nogi. – Nic nie rozumiesz!

– Wbił spojrzenie w Mallory’ego, jego oczy w rogatej głowie wyglądały jak wąskie szparki. – Myślisz, że chciałem

zabić Larkspura?

– Bynajmniej nie próbowałeś namówić Gillespie’ego, żeby go odprowadził na miejsce – zauważył Mallory.

– Wcale nie kazałem Gillespie’emu zabijać tego jednorożca! – warknął Grundy. – On miał go tylko dostarczyć mnie!

– A ty oczywiście zamierzałeś go zwrócić gildii Mürgenstürma – dokończył sardonicznie Mallory.

– Nigdy! – zaryczał Grundy. – Chciałem go zatrzymać dla siebie i dopiero później, kiedy zwierzak zdechnie ze starości, przejąć rubin jako prawowity właściciel. Ale nie chciałem, żeby Larkspur tak szybko zginął! Przy zamkniętej błonie moja praca będzie znacznie trudniejsza!

– Twoja praca polega na wyrabianiu różnych okropności – oświadczył Mallory. – Jakie znowu trudności mógłby spowodować zdechły jednorożec? Grundy gwałtownie potrząsnął głową.

– Głupcze! Moja praca to utrzymywanie równowagi, przeciwdziałanie najbardziej szkodliwym tendencjom występującym w obu światach. Mallory wytrzeszczył na niego oczy.

– O czym ty mówisz?

– Tłumaczę ci, dlaczego potrzebowałem rubinu!

– Co to za bzdury o jakichś tendencjach i utrzymywaniu równowagi? – Moim obowiązkiem jest utrzymanie równowagi w świecie wbrew szkodliwym tendencjom. Na tym Manhattanie, gdzie rządzi anarchia, a przyczyna nie zawsze wywołuje skutek, jestem przedstawicielem sił porządku.

– Zaprowadzasz porządek zabijając i rabując? – z niedowierzaniem zapytał Mallory.

– Jestem demonem. Z natury mam ograniczony wybór metod działania. Ja muszę zabijać, rabować i torturować! Do tego się urodziłem! – Te wszystkie wymysły są najnędniej-

szym usprawiedliwieniem zła, z jakim się dotąd zetknąłem.

– Nie rozumiesz? Tym społeczeństwem nikt nie kieruje! Ono potrzebuje wspólnego wroga, żeby jego istnienie nabrało jakiegoś sensu. – Grundy zrobił przerwę. – Ja jestem tym wrogiem.

– I tak oto szlachetny demon niechętnie zgadza się przyjąć ten ciężar na swoje barki – zadeklamował ironicznie Mallory.

– Mogę wziąć na siebie ten ciężar właśnie dlatego, że jestem demonem! – zagrzmiał Grundy. – Rozkoszuję się zabijaniem, pławię się w krzywdzie i niesprawiedliwości! – Jego twarz rozpłomieniła się piekielnym zachwytem. – Jest jakaś cudowna, matematyczna precyzja w zadawaniu cierpień, jakieś geometryczne piękno w nieszczęściu, jakaś dzika, pierwotna radość w wywoływaniu strachu. Ty tak samo nie potrafisz wypełniać moich funkcji we wszechświecie, jak ja nie mógłbym wypełniać twoich. – Więc zostałeś wrogiem publicznym. A co z innymi ewentualnymi wrogami społeczeństwa?

– Właśnie dlatego chciałem mieć żywego Larkspura.. Z samej natury nie jestem zdolny do reformowania przestępców; nie dopuszczę również do powstania konkurencji... ale mogę zaprowadzić porządek w tym świecie pozwalając moim ewentualnym rywalom, żeby popełniali zbrodnie na twoim Manhattanie.

– Za co mój Manhattan serdecznie ci dziękuje – zgryźliwie odparł Mallory. – Twój Manhattan powinien mi podziękować. Społeczeństwo nadmiernie uporządkowane potrzebuje przestępców, podobnie jak to społeczeństwo potrzebuje poczucia ładu. – Grundy wbił spojrzenie w Mallory'ego. – Czy ty w ogóle rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Staram się – przyznał Mallory. – A tak z ciekawości, co się stało z tamtymi dwoma światami?

– Z jakimi dwoma światami?

– Ze światami, do których dały ci dostęp twoje rubiny – wyjaśnił Mallory wskazując na naszyjnik.

– Byłem bardzo młody, kiedy zdobyłem swój pierwszy rubin – odparł demon. – Moje moce nie rozwinęły się jeszcze w pełni i nie umiałem nad nimi panować. – Zniszczyłeś cały świat?

– Dzięki temu doświadczeniu zdobyłem znaczną wiedzę.

– No to cieszę się, że ktoś na tym skorzystał. A co z drugim światem? – Był to świat racjonalny, wielbiący wszystko, co najlepsze w Człowieku – odpowiedział Grundy. – Zbliżał się już do stanu utopii, kiedy zdobyłem rubin. A teraz? – Nawiedziłem ten świat chaosem, zaszczepiłem nienawiść, fanatyzm i zazdrość w duszach jego mieszkańców, zniszczyłem ich pomniki Rozumu i zmusiłem ich, żeby wznosili pogańskie ołtarze na moją cześć.

– Dla ich własnego dobra? – ironicznie upewnił się Mallory. – Naturalnie – potwierdził Grundy. – Nie doceni utopii ten, kto nie doświadczył dystonii, podobnie jak nie doceni koncepcji Dobra ten, kto nie poznał koncepcji Zła.

– Ciągłe gadasz o równowadze, o dobrym i złym, o celu twojej działalności – wtrącił Mallory. – Ale ja zrozumiałem tylko, że niszczysz wszystko, czego się dotkniesz. – Humanisci powiedzą ci, że Dobro i Zło są pojęciami względnymi, że we wszechświecie nie istnieją prawdy absolutne – oświadczył Grundy. Warknął pogardliwie. – Humanisci to głupcy! Istnieje absolutne Dobro i absolutne Zło.

Oba są potrzebne we wszechświecie. Ja reprezentuję jedno z nich i moje zadanie poległ na zwalczaniu tego drugie-



go.

– Kto reprezentuje Dobro? – zaciekawiał się Mallory. – Mój Przeciwnik przybiera rozmaite postacie, podobnie jak ja. W niektórych wszechświatach jest Jezusem, w innych Mahometem: w jeszcze innych to jest tylko abstrakcyjny ideał, ogólne pojęcie tkwiące w świadomości ludzkiej lub ukryte w słowach.

– I próbujesz zlikwidować Dobro?

Grundy potrząsnął głową.

– Gdybym zabił mojego Przeciwnika, wytrąciłbym wszechświat z równowagi i to samo stałoby się, gdyby on zabił mnie. Wprawdzie usiłuję go pokonać i on też próbuje mnie pokonać, ale żaden z nas nigdy nie zwycięży. Ja zabijam człowieka, a on stwarza dziecko; on zasadza roślinę, która więdnie pod moim oddechem; ja zamieniam całą rasę w niewolników, a on zsyła im wizję wolności; on wznosi pomnik, a ja podam fundamenty. – Jeśli udało ci się osiągnąć stan równowagi, to do czego potrzebowałeś następnego rubinu? – zapytał Mallory.

– Żeby utrzymać równowagę w jeszcze jednym, świecie – wyjaśnił Mallory. – W twoim świecie – Jeżeli przez równowagę rozumiesz gwałty, morderstwa i wojny, to mój świat ma już tyle tej równowagi, że nie może sobie z nią poradzić – stwierdził sucho Mallory. Ja wyprowadzę chaos z porządku, nienawiść z miłości, brud ze sterylnej bieli... a mój Przeciwnik, pożywi się moją potęgą i sam urośnie w siłę. Mallory przez długą chwilę wpatrywał się w demona.

Popełniłeś już dosyć zbrodni jak na jedno pokolenie – powie w końcu. – Nie pozwolę ci dłużej nękać mojego świata.

– Nie oddasz mi rubinu? – zapytał Grundy.

Mallory potrząsnął głową.

– Mój świat i bez ciebie ma dosyć problemów. Nie pozwolę ci się wtrącać. – Ale ja już się wtrąciłem! – zaśmiał się Grundy. – Larkspur żył ponad pięćdziesiąt lat.

Jak myślisz, kto sączył sny o mocarstwie do uszu sfrustrowanego malarza pokojowego w Austrii? Kto włożył aparat mordy w ręce Stalina? Ja byłem w My Lai i w Oświęcimiu, w Phnom Penh i w Hiroszynie. To ja powiedziałem Idi Aminowi, jak ma wykorzystać swoją władzę, to ja zaplanowałem lochy Paragwaju, to ja przekonałem Neville'a Chamberlaina, żeby zaufał swemu towarzyszowi. – Umilkł i spojrzał Mallory'emu prosto w oczy. – A jednak przetrwaliście i rozwijacie się dalej, i prosperujecie, gdyż mój Przeciwnik nigdy nie spoczywa. Ja rozsiewałem zarazki polio, a on prowadził rękę Jonasa Salka; ja kroczyłem po polach bitew i dobijałem rannych, a on zmieniał pleśń na chlebie w cudowne lekarstwo. Ja zsyłałem śmierć na żarłoków, a on karmił tych, co przymierają głodem. Równowaga wciąż istnieje... ale żeby przetrwała, muszę mieć ten rubin. – Nie.

– Ale dlaczego? – zawołał Grundy, z rozpaczy waląc pięściami w ścianę i zostawiając wypalone ślady na popękany tynku. – Przecież wyjaśniłem ci sytuację! Na pewno sam rozumiesz, że to konieczne!

– Możesz to uważać za eksperyment społeczny – odparł Mallory. – Myślę, że przynajmniej jednemu światu należy się szansa przeżycia bez twoich szczególnych poglądów na równowagę.

Grundy westchnął i potrząsnął głową.

– Więc jakaś inna istota zajmie moje miejsce.

– Możliwe – przyznał Mallory. – Ale jakoś nie potrafię się tym przejąć. Mogę skupić się wyłącznie na sprawach, na które mam jakiś wpływ... czyli w tym przypadku na rubinie.

– Mam sposoby, żeby ci go odebrać – rzucił złowieszczo Grundy. – Tego jestem pewien – zgodził się Mallory. – Ale nic ci to nie da. Jeśli nie skontaktuję, się z Feliną o czwartej trzydziści i potem co godzinę, ani ty, ani ja nigdy już nie zobaczymy tego klejnotu.

– Poświęcisz własne życie, żeby pozbawić mnie rubinu?  
Mallory spokojnie popatrzył na demona.

– Nie zabijesz mnie, dopóki masz szansę zdobycia rubinu, więc lepiej przestań mi grozić..

– W ogóle nie chcę cię zabić – oznajmił Grundy. – Twoja śmierć nie pomoże mi utrzymać tutaj równowagi. W świecie, gdzie panuje bałagan, ty jeden potrafisz wydobyć jakiś sens z przypadkowo dobranych fragmentów. – Uśmiechnął się ironicznie. – Prawdę mówiąc, Mallory, moje potrzeby i twój charakter są tego rodzaju, że przynajmniej w tym świecie powinniśmy być sojusznikami. – Uśmiech znikł tak nagle, jak się pojawił. – Ale moja natura każe mi zdobyć klejnot, a jeśli zastąpisz mi drogę, zmiążdżę cię. – No cóż – mruknął Mallory – zdaje się, że lubisz paradoksy, więc zastanów się nad jednym: dopóki zastępuję ci drogę, istnieje szansa, że zdobędziesz rubin... a kiedy mnie załatwisz, stracisz tę szansę na zawsze.

– Więc nie spuszczę cię z oka ani na minutę – obiecał Grundy. – Moc ma zgubny, fatalny wpływ na wszystkie istoty, a ten rubin jest ucieleśnieniem mocy. Prędzej czy później przyciągnie i ciebie, a wtedy uderzę.

– Nie następuj mi za bardzo na pięty – rzucił z przekąsem Mallory. – Zostaw jakąś szansę pokusom.

– Udowodniłeś, że jesteś godnym przeciwnikiem – powiedział szczerze demon. – Przykro mi będzie cię zabić.

– Więc mnie nie zabijaj.

– Daj mi rubin, a odejdiesz bezpiecznie.

– Jeśli mój świat zmierza prosto do piekła, wolę, żeby to się stało bez twojej pomocy – oświadczył stanowczo Mallory. – Poza tym – dodał – jeśli oddam ci klejnot, wytropisz mnie i zabijesz na moim Manhattanie z tych samych powodów, które tutaj wzbudziły twój podziw.

Grundy uśmiechnął się demonstrując komplet prawdziwie imponujących kłów.

– Jesteś bardzo mądrym człowiekiem, Mallory. Chylę przed tobą czoło! – Jak wypadłem w porównaniu z twoim Przeciwnikiem z tego świata? – zagadnął Mallory odwzajemniając uśmiech.

– Nie jest mi dane znać tożsamość mojego Przeciwnika, ponieważ wówczas zabiłbym go. – Nagle demon spojrzał bacznie na detektywa. – To nawet możesz być ty. – Mało prawdopodobne – odparł Mallory. – Dopiero niedawno tutaj przybyłem. – Ale mój Przeciwnik stosuje dziwne metody. Mógł posłużyć się tobą tak samo, jak ja posługuję się rubinami.

– Nie liczyłbym na to. Jestem wolnym człowiekiem obdarzonym, wolną wolą i jeśli cię pokonam, zamierzam przypisać całą zasługę wyłącznie sobie. – Wyznaczono zatem już pole walki – zagrzemiał Grundy – a ty i ja stoczmy wojnę jako in i jang.

Wykonał w powietrzu szybki gest. Buchnął kłęb czerwonego dymu, rozległ się taki dźwięk, jakby ktoś wyciągał korek z butelki – i nagle Mallory został sam. Detektyw wrócił do magazynu, rozejrzał się, zapalił papierosa i otworzył frontowe drzwi. Książę Waleni czekał na niego.

– Załatwiliście swoje sprawy? – zapytał gburowatym tonem. – Raczej mam wrażenie, że dopiero zaczynamy – odparł Mallory wychodząc na zewnątrz, w zimny poranek Manhattanu.

## Rozdział piętnasty

### 4.11-4.48

Idąc nadbrzeżem Mallory zaczął dygotać i nagle przypomniał sobie, że nie włączył płaszcza. Szybko dopiął pas i w chwilę później poczuł ciepło rozchodzące się po tkaninie.

Po mniej więcej pół mili skręcił w lewo, zostawiając rzekę z tyłu. Wkrótce dotarł do drugstore'u czynnego całą noc. Lokal sprawiał wrażenie odwiedzanego wyłącznie przez gobliny oraz Gnomy Metra. Detektyw przekroczył próg i od razu spostrzegł, że stał się celem wielu niechętnych spojrzeń.

– Na twoim miejscu nie włąziłbym tutaj, kolego – odezwał się goblin urzędujący za kasą. – Do tego lokalu ludziom wstęp wzbroniony, kapujesz, o co mi chodzi? – Zaraz wyjdę – zapewnił go Mallory. – Potrzebuję tylko planu miasta.

Goblin wyjął plan spod lady.

– Trzymaj – powiedział. – Zabierz go do domu i obejrzyj dokładnie, to może się nauczysz, żeby nie wchodzić tam, gdzie cię nie zapraszają. – Ile płacę?

– Pięćdziesiąt centów.

Mallory sięgnął do kieszeni, wyjął dwie ćwierćdolarówki od Mürgenstürma, położył je na ladzie i ruszył do drzwi.

Jakiś wielki, podobny do małpy stwór zarośnięty tak bardzo, że spoza włosów nie było widać twarzy, zastąpił mu drogę.

– Zawędrowałeś daleko od domu, co? – powiedziała małpa gardłowym głosem. Mallory rzucił szybkie spojrzenie za siebie, żeby sprawdzić, czy jest tam drugie wyjście. Owszem, było – ale pomiędzy nim a Mallorym stało pół tuzina goblinów i każdy szczyrzył zęby w oczekiwaniu na zapowiadający się rozlew krwi. – Nie szukam kłopotów – zapewnił de-

tektyw.

– Nie musisz ich szukać! – warknęła małpa. – One tu na ciebie czekają!

– Okay – Mallory wzruszył ramionami. – Ale jeśli się spóźnię na spotkanie z Grundym, już on będzie wiedział, czyja to wina.

Małpa nagle straciła całą pewność siebie.

– Z Grundym?

– Jestem Mallory. Nigdy nie czytasz gazet?

– Nie wierzę ci – oświadczyła małpa.

– Twoja sprawa – odparł detektyw. – Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałem. Małpa zaczęła przechadzać się tam i z powrotem przed Mallorym, bębniąc pięściami w pierś i usiłując wprawić się w bitewny szal – ale jej oczy wciąż strzelały na boki wypatrując jakichś oznak obecności demona.

– Wynoś się! – warknęła w końcu. – Mogę cię rozedrzeć na strzępy, ale nie warto sobie robić tyle zachodu.

Mallory szybko podszedł do drzwi.

– I nie pokazuj się tu więcej! – wrzasnęła za nim małpa, coraz bardziej odzyskując bojowego ducha w miarę, jak Mallory się oddalał. Detektyw zatrzymał się dopiero w odległości paru przecznic od drugstore’u. Przystanął pod mrugającą latarnią i rozłożył plan miasta. Kiedy znalazł miejsce, o które mu chodziło, wyrył sobie w pamięci najkrótszą trasę, po czym wsadził plan do kieszeni i ruszył dalej.

Dziesięć minut później dotarł do placu Tajemnicy, skręcił za róg i stanął przed numerem 7. Właśnie zamierzał zejść po schodkach do apartamentu w suterenie, kiedy kątem oka dostrzegł zielony błysk.

Po chwili pukał już do drzwi, a Wielki Mefisto wyglądał zza firanki.

– To ja – oznajmił Mallory. – Wpuść mnie.

– Jesteś sam? – upewnił się Mefisto.

– Mniej więcej.

– Co to znaczy, u diabła?

– Otwieraj te cholerne drzwi – zniecierpliwił się Mallory.

Mag otworzył drzwi, wciągnął detektywa do środka i zatrzaskał drzwi z powrotem.

– Jak ci poszło? – zapytał.

– Nie zagłędałeś w kryształową kulę?

– Cały czas próbuję znaleźć Winnifred.

– Kup sobie nowy kryształ – poradził mu Mallory. – Ona już jest uratowana.

– Dzięki tobie?

Mallory przytaknął.

– To wspaniała nowina! – zawołał Mefisto z entuzjazmem. – Co tak stoisz?

Wchodźże dalej!

Poprowadził Mallory'ego z małego korytarzyka do salonu. Na stoliku do kawy z wiśniowego drzewa spoczywała kryształowa kula, a na ścianie wisiało lustro o dziwnym kształcie, poza tym jednak pokój wyglądał zwyczajnie. Stało tam kilka krzeseł i kanapy w ohydny, nowoczesny duński styl, wszystkie w fioletowych pokrowcach, półka z książkami tak starannie ustawionymi i odkurzonymi, że przypominały raczej dekorację niż prawdziwe książki, kolorowy telewizor i dwa magnetowidy podłączone do nagrywania. Na czarnym aksamicie rozmieszczono kilka obrazków przedstawiających dzieci-elfy o wielkich oczach.

– Wprawdzie to nie żaden pałac – usprawiedliwił się Mefisto – ale czynsz jest umiarkowany, a wodę, gaz i światło mam za darmo. – Wyobrażałem sobie, że będzie tu trochę

więcej atmosfery – wyznał Mallory.

– Atmosfery?

– No wiesz, iluminowane manuskrypty, bulgoczące kociołki, nietoperze polatujące nad głową i tak dalej.

Mefisto roześmiał się.

– Opisałeś mieszkanie Grundy’ego, a nie moje.

– Jakoś mi się wydawało, że wszystkie pracownie czarnoksiężników powinny właśnie tak wyglądać – mruknął Mallory. Podszedł do lustra i popatrzył na swoje odbicie. – No, ja właściwie jestem nie tyle czarnoksiężnikiem, co raczej iluzjonistą – wyjaśni!

Mefisto.

– Na czym polega różnica?

– Czarnoksiężnik, oczywiście, uprawia czary.

– A czym się zajmuje iluzjonista?

– Sztuczkami karcianymi, kuglarstwem, wyciąganiem królików z kapelusza... sam wiesz.

– Ale masz przecież kryształową kulę i czarodziejskie zwierciadło-- No cóż, jestem iluzjonistą, ale także oportunistą – bez skrupowania oświadczy!

Mefisto. – Kupiłem to lustro na bazarze w Marakeszu, a kryształową kulę ukradłem magikowi z Tulsy.

– Więc wcale nie jesteś czarodziejem.

– Och, potrafię robić trochę czarów – odparł Mefisto. – Wystarczy jak na moje potrzeby. Ale najlepiej wychodzą mi sztuczki z kartami. – Sięgnął w powietrze, wyciągnął dziewiątkę kier, przesunął nad nią ręką, po czym odsłonił kartę. Wszystkie serduszka znikły.

– Zdaje się, że to nie zrobiło na tobie wielkiego wrażenia – zauważył. – To tylko mała wprawka, żeby rozgrzać publiczność. Mam w zapasie o wiele lepsze rzeczy. – Sztuczka była



światna – zapewnił Mallory. – Po prostu pomyślałem sobie, że nie obroni nas przed Grundym.

– Przed Grundym? – powtórzył nerwowo Mefisto.

Mallory przytaknął.

– On wie, że tu jestem.

– Przyprowadziłeś go do mojego apartamentu! – zawołał Mefisto tonem oskarżenia. – On i tak wie, gdzie mieszkasz – odparł Mallory. – Do diabła, pewnie twój adres jest w książce telefonicznej.

– Ale nie wiedział, że mam coś wspólnego z tobą!

– Jemu wcale na tobie nie zależy, możesz mi wierzyć – zapewnił Mallory. – Chodzi mu o mnie.

– Gdyby chciał cię załatwić, już byś nie żył.

– On czeka, żebym go zaprowadził do rubinu.

– Więc wiesz, gdzie jest rubin? – zapytał z napięciem Mefisto.

– Tak.

– Gdzie?

– Pożyjesz dłużej, jeśli nie będziesz wiedział – oświadczył detektyw. Rozejrzał się po pokoju. – Jak mogę się stąd z nim połączyć?

– Z Grundym?

– Właśnie.

– A powiesz mu, że nie mam z tym nic wspólnego?

– Obiecuję.

Mefisto westchnął głęboko.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli użyjesz Pobrzeżki – powiedział w końcu.

– Kim lub czym jest Pobrzeżka? – zapytał Mallory.

– To moje czarodziejskie zwierciadło – wyjaśnił Mefisto.

– Jak ono działa?

– Po prostu mówisz mi, czego sobie życzysz, i masz nadzieję, że będzie w dobrym humorze. – Skrzywił się. – Jest trochę po, psute. – No, coś podobnego! – przemówił cienki, płaczący głos. Mallory odwrócił się do lustra i spostrzegł, że w zadziwiający sposób zmieniło się ono nagle w coś, co przypominało ludzką twarz: szerokie, wyraziste usta, wąski, ostry nos i wielkie, okrągłe, nabiegłe krwią oczy.

– Sterczę tu po całych dniach w zimnym, pełnym przeciągów pokoju, okłamuję twoich wierzyteli, pomagam ci oszukiwać w kartach i tak mi za to dziękujesz? Trochę popsute, rzeczywiście!

Mallory podszedł do lustra.

– Chciałbym porozmawiać z Grundym – oznajmił.

– Och, chciałbyś, naprawdę? – prychnęła Pobrzeżka. – Natomiast ja chciałabym mieć właściciela, który ma jakieś takie pojęcie o dekoracji wnętrza, który od czasu do czasu czyści dywany, który potrafi okazać trochę współczucia dla lustra i rozumie, że lustro też przeżywa swoje radości i smutki jak każdy!

Mallory zagapił się na lustro, niezdolny do udzielenia odpowiedzi. – Chyba najbardziej drażni mnie w nim ten brak manier – wyznała Pobrzeżka. – Czy wiesz, że on siedzi tutaj, pije piwo i ogląda walki zapaśnicze w telewizji, a przy tym obgryza sobie paznokcie u nóg?

– No, tego już za wiele! – oburzył się Mefisto.

– Patrz! – wrzasnęło lustro. – Teraz chce mnie uderzyć!

– Wcale nie chcę cię uderzyć – zaprzeczył ze znużeniem mag. – Byłam szczęśliwa w Marakeszu! – zatkała Pobrzeżka. – Miałam pozycję i poważanie, traktowano mnie jak członka rodziny, nikt nie zamykał mnie w pokoju i nie zapominał o mnie na całe dni. – Żałośnie przewróciła przekrwionymi oczami. –

Ojcie, ojcie – zaintonowała – czemu mnie opuściłeś?

– Bardzo mi przykro – zwrócił się Mefisto do detektywa.

– Po prostu czasem zdarzają się jej takie wieczory.

– Myślisz, że tego nie potrafię, co? – oskarżycielskim tonem przemówiło lustro. – Myślisz, że nie mogę połączyć się z Grundym, kiedy tylko zechcę!

– A możesz? – zapytał Mallory.

– Ja mogę wszystko! – oświadczyła Pobrzeżka. – Patrz! Nagle twarz znikła i powierzchnia lustra zaszła mgłą. Po chwili mgła się rozwiła i ukazał się stadion baseballowy.

– Co to jest, do diabła? – zdumiał się Mallory.

– Piąty mecz na mistrzostwach świata w 1959 roku – odpowiedziała z dumą Pobrzeżka. – Właśnie Luis Aparicio zagrywa na pierwszej bazie, a Nelson Fox zamierza odbić piłkę.

– Niezłe – przyznał Mallory.

– To jeszcze nic! – zawołała Pobrzeżka z entuzjazmem. – Teraz zobaczycie prawdziwą ucztę dla oczu!

Baseball znikł, zastąpiony przez scenę z filmu przedstawiającą Humphreya Bogarta i Clarka Gable'a, którzy prowadzili do ataku armię afgańskich obszarpańców. – „Człowiek, który miał być królem” – oznajmiło lustro. – Chyba się pomyliłaś – zaprotestował Mallory. – Widziałem ten film, tam grał Sean Connery i Michael Caine.

– Ach – powiedziała Pobrzeżka – ale to jest wersja, którą John Huston chciał nakręcić dwadzieścia lat wcześniej, tylko zabrakło mu funduszy. – Naprawdę? – zdziwił się Mallory. – Chętnie to kiedyś obejrzę. – Widzę, że jesteś człowiekiem wrażliwym i obdarzonym dobrym smakiem – stwierdziło lustro z aprobatą. – Nie to, co ten szuler. On chce oglądać wyłącznie filmy Russa Meyera.

– Nie każdy lubi takie pseudoartystyczne bzdury – bro-

nił się Mefisto. – Niektórzy wolą po prostu dobrą fabułę.

– Z mnóstwem golizny i panienek z dużymi biustami – odgryzło się lustro. – No, w każdym razie więcej w tym sensu, niż w tych przesiąkniętych niezdrową atmosferą szwedzkich filmidłach, które ciągle każesz mi oglądać. – Ja tylko usiłuję poszerzyć twoje horyzonty – wyjaśniło lustro. – Jesteśmy ze sobą związani na dobre i złe, więc możemy przynajmniej znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia. Ale nie, to nie z tobą. Ty nie możesz znieść tego, że lustro próbuje polepszyć swoją pozycję, zdobyć trochę kultury, wznieść się na wyższy poziom życia! – Twarz Pobrzeżki pojawiła się ponownie i przewróciła oczami w stronę Mallory’ego. – Widzisz, co ja muszę znosić? Czy to takie dziwne, że czasem jestem w złym humorze? – Jak można cię wprowadzić w wystarczająco dobry humor, żebyś się skontaktowała się z Grundym?

– Trochę uprzejmości, trochę szacunku, to wszystko. – Lustro zawahało się. – A propos, czy wiesz, że byłeś śledzony?

– Przez Mürgenstürma – przytaknął Mallory. – Mignął mi przez chwilę, akurat kiedy schodziłem po schodkach.

– Czego on chce? – zapytał Mefisto.

– A czego chcą wszyscy? – ironicznie zagadnął Mallory. – Gdyby miał trochę rozumu, wyniósłby się z miasta do diabła, póki to jeszcze możliwe. Gildia i Grundy zaczną go ścigać o świcie. – Odwrócił się do lustra. – Nie chcę być nieuprzejmy, ale mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Połączysz mnie czy nie?

– A ja myślałam, że jesteś inny! – fuknęła Pobrzeżka. – Myślałam, że jesteś subtelny i wrażliwy. Powinłam była wiedzieć lepiej! Wszyscy jesteście tacy sami! – Umilkła. – Jeśli cię z nim połączę – ciągnęła gniewnie – powiadomię go, gdzie jesteś, i mam nadzieję, że on ci zrobi coś okropnego.

Lustro nagle zaszło mgłą, a potem pojawiła się postać Grundy'ego.

– Po co mnie wezwałeś? – zapytał demon.

– Chciałem cię zawiadomić, że zgłosiłem się już w pierwszym punkcie kontrolnym.

– Kłamiesz. Dziewczyny-kota tam nie ma.

– Nie dam ci okazji, żebyś mógł ją złapać – oświadczył Mallory. – Poleciłem jej sprawdzić, czy będę stał przed tym budynkiem o czwartej trzydzieści. Nie wiem gdzie się ukrywała, i nie wiem, gdzie jest teraz. – Zrobił przerwę. – Ale wiem, gdzie będzie za godzinę i jeśli mnie tam nie zobaczy, gra skończona.

– Moja cierpliwość jest niewyczerpana – ponuro oznajmił Grundy. – Mogę zaczekać!

– Chciałem się tylko upewnić, że nie chwycisz za broń, kiedy stąd wyjdę. Nadal nie mam przy sobie klejnotu i nadal będę się zgłaszał w punktach kontaktowych, więc zabijając mnie teraz, spowodowałbyś własną klęskę.

Grundy przeniósł spojrzenie z Mallory'ego na Mefista.

– Sprzymierzyłeś się z moim wrogiem – stwierdził zło-wieszczo. – Nie, proszę pana! – zawołał Mefisto. – Nie ja! Poznałem go dopiero dziś wieczorem!

Przysięgam, panie Grundy!

– On jest godnym przeciwnikiem – kontynuował Grundy. – Ty natomiast jesteś tchórzliwym, skamlącym, nieudolnym, drugorzędnym iluzjonistą, dobrym jedynie do zabawiania gości na koktajlowych przyjęciach. Myślałeś, że możesz bezkarnie przeciwstawiać się moim zamierzeniom. Myliłeś się! – Nic! – zaskowytał Mefisto.

– Zajmę się tobą później – obiecał Grundy. – Nie ze względu na twoje postępowanie, ale ze względu na twój cha-

rakter.

Obraz, demona nagle znikł i Pobrzeżka znowu wyglądała jak zwyczajne lustro.

– Widzisz? – wrzasnął Mefisto. – Widzisz, co narobiłeś?

– Niczego nie zrobiłem – sprzeciwił się Mallory. – Przyłączyłeś się do nas z własnej nieprzymuszonej woli.

– Nie wiedziałem, że do tego dojdzie!

– Ale mogłeś to przewidzieć – odparł detektyw wzruszając ramionami. – Występując przeciwko komuś takiemu jak Grundy, podjąłeś określone ryzyko. Wiedziałeś o tym, a jeśli nie, to powinieneś był wiedzieć.

– Frazesy! – prychnął Mefisto. – Grundy chce mnie zabić, a ty częstujesz mnie frazesami!

– On pewnie blefował – uspokajał go Mallory. – Przecież pozwolił odejść Winnifred i Ehippusowi.

– Co mnie obchodzi jakiś zwierzak i tłusta stara baba! Boję się o siebie! – Oni są warci dziesięciu takich jak ty! – zawołał zapalczywie Mallory. – Oni odważnie stawili czoło wrogowi, a ty chowałeś się w swoim mieszkaniu i opowiadałeś, jaki jesteś dzielny.

– No, ale teraz z tym skończyłem! – oświadczył nieoczekiwanie Mefisto. Sięgnął w powietrze, wyjął magiczną różdżkę i skierował ją na Mallory'ego. – Masz w kieszeni pistolet.

Wyjmij go bardzo powoli.

Mallory popatrzył na niego i ani drgnął.

– Ja nie żartuję, Mallory! – warknął Mefisto. Wycelował różdżkę w lampę i nagle cała lampa – abażur, żarówka i stojak – znikła z głośnym cmoknięciem. – To nie jest zabawka.

Wyjmij broń i rzuć na podłogę.

Mallory sięgnął do kieszeni i ostrożnie wyciągnął pistolet trzymając go za lufę.

– Na podłogę! – powtórzył Mefisto.

Mallory położył pistolet na podłodze.

– Teraz kopnij go w moim kierunku.

Mallory wykonał polecenie.

– Co dalej? – zapytał.

– Mürgenstürm na pewno dał ci zaliczkę – powiedział mag. – Oddaj ją.

Detektyw wyjął z kieszeni gruby plik banknotów i upuścił go na podłogę. – Marnujesz czas i energię – oświadczył. – Nigdy mnie nie zmusisz, żebym ci powiedział, gdzie jest rubin.

Mefisto wyszczerzył zęby.

– Mam w nosie rubin!

Mallory wydawał się zbity z tropu.

– Jeszcze nie rozumiesz? – rzucił Mefisto. – Jeżeli tu zostanę, Grundy zabije mnie prędzej czy później, więc przenoszę się na twój Manhattan. Błona pozostanie przepuszczalna wystarczająco długo, żebym zdążył przejść na drugą stronę. – Uśmiechnął się triumfalnie. – Grundy nie będzie mnie ścigał, dopóki rubin jest tutaj... w końcu ten klejnot ma o wiele większe znaczenie dla niego niż dla mnie. A jeśli kamień ma tu zostać, najlepiej będzie zabić cię, zanim Grundy znajdzie jakiś sposób, żeby wycisnąć z ciebie wszystkie informacje.

– Jeżeli umrę, w ciągu godziny rubin znajdzie się z powrotem na moim Manhattanie.

– Możliwe – odparł Mefisto. – Ale ten, kto go tam zabierze, nie będzie wiedział, że to ja cię zabiłem. Wszyscy pomyślą, że zrobił to Grundy, więc nie będą mieli żadnego powodu, żeby mnie prześladować. – Przerwał. – Bardzo mi przykro, że tak się stało, ale to twoja wina.

Niepotrzebnie mnie w to wciągałeś. – Nagle uśmiechnął się. – Wiesz, myślę, że jednak w końcu zdobędę posadę magika

w Las Vegas.

– Nie chciałbym cię martwić – powiedział Mallory – ale w obecnych czasach nie ma wielkiego popytu na sztuczki z kartami.

– Więc będę pokazywał piłowanie kobiety na pół. – Dobry pomysł – przyznał Mallory. – Nie powinieneś zużyć więcej niż dwa, trzy tuziny kobiet, zanim wystarczająco opanujesz technikę.

– Mam nadzieję, że się dobrze bawisz – oznajmił poważnie Mefisto – ponieważ był to twój ostatni żart.

## **Rozdział szesnasty**

### **4.48 – 5.05**

Mallory rozpaczliwie rozejrzał się po salonie szukając jakichś możliwości obrony, ale na próżno: nie miał w zasięgu ręki nic, czym mógłby rzucić w Mefista, nie było chodnika, który mógłby wyszarpnąć magowi spod nóg, żaden mebel nie stał dostatecznie blisko, żeby się za nim schować.

– Gówno! – mruknął detektyw pod nosem.

– Wydajesz się zdenerwowany – zauważył Mefisto rozkoszując się całą sytuacją.

– Owszem – odburknął Mallory.

– Nie mam ci tego za złe. Nikt nie chce umierać. – Nie o to chodzi – odparł Mallory. – Każdy umrze prędzej czy później.

– Spojrzał Mefistowi w oczy. – Ale czuję się oszukany. Zostałem przerzucony do obcego świata i w ciągu sześciu godzin rozwiązałem piekielnie trudną zagadkę, odzyskałem klejnot i znalazłem sposób na poskromienie Grundy'ego. – Potrząsnął głową. – Tyle sukcesów tylko po to, żeby taki gnojek mnie załatwił...

– Właśnie! – warknął Mefisto celując różdżką między



oczy detektywa. – Jesteś trup!

– Nie zrobisz ze mnie współniczki morderstwa! – zawołało lustro. I nagle czarodziej wrzasnął z bólu, kiedy niezdolna jasność uderzyła go po oczach.

Zatoczył się do tyłu, rąbnął o ścianę, padł na kanapę i wreszcie ciężko zwałił się na podłogę, a jego różdżka poleciała na środek pokoju.

Mallory również został na chwilę oślepiiony. Po omacku dotarł do Mefista, lewą ręką złapał go za włosy, żeby przytrzymać głowę, a prawą wymierzył cios w szczękę. Nie zobaczył efektu, ale poczuł, że ciało Mefista zwiotczało. Kiedy odzyskał wzrok, spostrzegł różdżkę leżącą na podłodze i podniósł ją, potem pozbierał swoje pieniądze i zaczął się rozglądać za pistoletem. – O co chodzi, Mallory? – zapytała Pobrzeżka.

– Pistolet – wyjaśnił. – Nie mogę go znaleźć. Widocznie kopnąłem go pod jakiś mebel, kiedy na ślepo szukałem Mefista.

– Nie kłopot się tym – ponagliło lustro. – Po prostu odejdz.

– Nie mogę tu zostawić broni! On zaraz pobiegnie za mną.

Mefisto jęknął i przetoczył się na bok.

– Jeśli obudzi się i zastanie cię tutaj, nie będzie potrzebował broni – oświadczyła Pobrzeżka. – Ty nie umiesz się posługiwać różdżką, a on to potrafi. Może jej rozkazać, żeby cię zabiła.

Mefisto ponownie jęknął.

– Dochodzi do siebie – ostrzegła Pobrzeżka. – Uciekaj szybko... i ukryj różdżkę!

– Może po prostu ją złamać? – zaproponował Mallory

przełamując różdżkę na pół. – W dalszym ciągu ma moc. Zabierz ją ze sobą i ukryj, kiedy będziesz miał okazję.

– Dobra – odparł Mallory spiesząc do drzwi. – I dziękuję.  
– Jeśli naprawdę chcesz mi podziękować, załatw mi przeniesienie na jakieś lepsze miejsce.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał Mallory.

– Tylko nie zapomnij! – wrzasnęła Pobrzeżka, kiedy detektyw zatrząskiwiał za sobą drzwi. – Jesteś moim dłużnikiem!

Biegając ulicą Mallory miał wrażenie, że widzi Mürgenstürma uskakującego do bramy, ale nie zdążył tego sprawdzić, ponieważ Mefisto wrzeszcząc i przeklinając wyskoczył ze swego apartamentu z pistoletem w rękę i wystrzelił parę razy w stronę detektywa.

Mallory wpadł pomiędzy dwa budynki, zorientował się, że przejście prowadzi do alei po drugiej stronie, pobiegł dalej i nie zatrzymując się cisnął różdżkę na dach jakiegoś garażu, który właśnie mijał. Wkrótce dotarł do następnej przecznicy. Ciągłe jeszcze słyszał za sobą odgłosy wystrzałów, ale już bardziej odległe. Zwolnił i przeszedł w trucht. Dwie przecznice dalej kończyła się dzielnica mieszkaniowa i Mallory wahał się przez chwilę, czy zawrócić tam, gdzie ulice były ciemniejsze, czy też zaryzykować przejście do dzielnicy handlowej, gdzie przynajmniej mógłby zdobyć jakieś narzędzie obrony. Wciąż jeszcze zastanawiał się nad wyborem dalszej drogi, kiedy zobaczył dwóch wojskowych wchodzących do baru. Wiedziony nadzieją, że zdoła od nich wyzebrać, pożyczyć lub ukraść broń, przebiegł przez jasno oświetloną aleję i wpadł do baru w chwilę po nich.

Zatrzymał się tuż za drzwiami i dysząc badał wzrokiem otoczenie. Ściany pokryte były scenami bitewnymi ze wszystkich amerykańskich wojen, począwszy od Rewolucji, a skoń-

czywszy na Wietnamie. Kilku ponurych generałów spoglądało groźnie z fotografii opatrzonych autografami i oprawionych w ramki; było tam również migawkowe zdjęcie Teddy'ego Roosevelta i jego Niepokonanych Jeźdźców. Długi bar zajmował jedną stronę pomieszczenia, a naprzeciwko stały proste drewniane stoły i krzesła bez poręczy. Grająca szafa rozbrzmiewała niekończącą się serią wojskowych marszów. Przy barze stało z dziesięciu klientów, następnych piętnastu siedziało przy stołach..

Ubrani byli w kompletne wojskowe mundury ze wszystkimi akcesoriami, chociaż ich stroje przypominały bardziej wymuskano maskaradowe kostiumy niż prawdziwe sorty mundurowe, jakie Mallory dotąd widywał.

Im dłużej Mallory im się przyglądał, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, że coś było nie w porządku. Głowy mieli zbyt okrągłe, ciała zbyt sztywne, postawę zbyt nienaganną.

Wreszcie, kiedy jeden z żołnierzy odwrócił się i obdarzył go przyjacielskim uśmiechem, detektyw zrozumiał, co go zaniepokoiło: ich twarze były namalowane. Nie mieli wydatnych szczęk ani wystających nosów, uszy nie sterczały po bokach głowy, włosy nie wymagały przystrzyżenia – mieli tylko czarne kropki zamiast oczu i nozdrzy, czerwone kreski zamiast ust, kółka zamiast uszu i czarne, jakby polakierowane włosy, które przylegały im do czaszek jak skóra.

Popatrzył na ich dłonie, spodziewając się niejasno, że zamiast palców zobaczy drewniane kołeczki, ale wszyscy nosili białe rękawiczki. Ich mundury dosłownie świeciły od epoletów i szarf, medali i mosiężnych guzików, srebrnych szabel i błyszczących pistoletów.

– Witamy u „Pinokia” – odezwał się barman, który wydawał się takim samym człowiekiem jak Mallory. – Co panu

podać, żeby rozpocząć Nowy Rok z prawej nogi? Mallory podszedł do końca baru.

– Może być whisky – odparł.

– Służę panu – powiedział barman przyjemnym głosem, nalewając szklaneczkę.

– I to samo dla pana – dodał Mallory rzucając kilka monet na kontuar. – Serdecznie panu dziękuję – odparł barman. – To się nazywa postąpić po chrześcijańsku!

– Czy pan jest Pinokio? – zagadnął Mallory, podczas gdy barman nalewał sobie kieliszek.

– Ależ skąd, proszę pana – roześmiał się barman. – Prawdę mówiąc, tu nie ma żadnego Pinokia. To tylko nazwa. – Urwał. – Odkryłem, że dzięki temu moi klienci czują się tu bardziej swobodnie.

– Niech mi pan o nich opowie – poprosił Mallory.

– No cóż, jak pan widzi, są to wyłącznie wojskowi.

– Oni wszyscy wyglądają jak ołowiane żołnierzyki.

– Owszem, proszę pana – zgodził się barman. – Zwykle wpadają tu po północy. Pewnie dlatego to są sami oficerowie; zwyczajni żołnierze o tej porze muszą już wracać do koszar. – Pociągnął łyk swojego drinka i wydał zadowolone: „Ach!”. – W każdym razie – ciągnął – przesiadują tu aż do świtu i gadają o wojnie, a potem wracają do swoich pułków. – O jakiej wojnie? – zdziwił się Mallory.

Barman wzruszył ramionami.

– O tej, którą prowadzą.

– Czy ich broń jest prawdziwa?

– Nie można prowadzić wojny bez prawdziwej broni – zareplikował barman. – Faktycznie nieraz widziałem, jak dwóch z nich zakładało się, który potrafi szybciej rozebrać i złożyć broń z zawiązanymi oczami. Oczywiście – dodał – to

dotyczyło wyłącznie pistoletów.

Bardzo trudno jest rozebrać białą broń.

– Wyobrażam sobie – potwierdził Mallory zastanawiając się, jak poruszyć kwestię pożyczenia pistoletu.

Do ich uszu dobiegł odgłos wystrzału. Kilku oficerów w głębi sali wyjrzało na ulicę.

– Sylwester! – zaczął narzekać jeden z oficerów, wysoki mężczyzna z gęstym siwym wąsem. – Te łajdaki nie mają nawet tyle przyzwoitości, żeby poczekać do rana! – Przepraszam pana – zaczął go Mallory przesuwając się wzdłuż kontuaru. – Ale z kim właściwie prowadzicie wojnę?

– To właśnie jest najgorsze! – poskarżył się mężczyzna. – Nie wiemy.

– Nieznany wróg? – podsunął Mallory.

– Pewne osoby znają go cholernie dobrze – odparł oficer. – Ale nam nikt niczego nie mówi. – Popatrzył na Mallory'ego. – Pan jest tu nowy, prawda? Mallory przytaknął.

– Nazywam się Mallory.

– MacMasters, proszę pana... major MacMasters – oznajmił oficer wyciągając dłoń. – Zawsze chętnie się spotykam z miejscową ludnością.

– W ilu akcjach brał pan udział na Manhattanie? – zapytał ciekawie Mallory. – W żadnej – odpowiedział major MacMasters. – Ja tylko czekam tutaj, dopóki nie zatwierdzą mojej prośby o przeniesienie i nie wyślą mnie na front. – Gdziekolwiek to jest – dodał ironicznie Mallory.

– Nie wiemy, kim jest wróg, ale to nie znaczy, że nie możemy z nim walczyć! – bronił się major MacMasters.

– W jaki sposób?

– Wiemy, że przeniknął do naszych szeregów, toteż podjęliśmy odpowiednie środki, żeby mu pokrzyżować plany.

- Na przykład?
- Słyszał pan kiedyś o Wydziale Zbędnych Wydziałów? – spytał major MacMasters.
- Niestety nie – przyznał Mallory. – Ale nazwa brzmi fascynująco.
- To nie tylko fascynujące. To cholernie skuteczne!
- Co robi ten wydział? – zapytał Mallory.
- Najlepiej niech pan porozmawia z jego naczelnikiem. – Major MacMasters przywołał gestem jednego ze swoich towarzyszy.
- Panie Mallory – powiedział, kiedy podszedł do nich wysoki, nienagannie ubrany mężczyzna – pozwoli pan, że panu przedstawię kapitana Petera Anthony’ego Kapitana.
- Mallory wyciągnął rękę.
- Kapitan Kapitan?
- Zgadza się – powiedział kapitan Kapitan, ujmując jego dłoń i potrząsając nią energicznie. – Co mogę dla pana zrobić?
- Opowiedz mu o wydziale – wtrącił major MacMasters.
- Nie ma wiele do opowiadania – stwierdził kapitan Kapitan. Zwrócił się do Mallory’ego. – Jesteśmy odpowiedzialni za całą biurokrację w armii. – W jaki sposób to wam pomaga nękać wroga? – zapytał Mallory. – Zdziwiłby się pan, ile można osiągnąć za pomocą odrobiny biurokracji – odparł z uśmiechem kapitan Kapitan. – Weźmy dla przykładu przypadek Grobinsky’ego. – Kto to jest Grobinsky?
- Nie wiemy – wyznał kapitan Kapitan. – Wiemy jednak, że nie jest jednym z nas. Jest szpiegiem wroga, który jakimś cudem awansował do rangi podpułkownika. – I co mu zrobiliście? – zaciekawiał się Mallory. – Zaczęliśmy od przeniesienia go na Manhattan, po prostu żeby sprawdzić, dokąd chce dostać następną przydział. Ale drań był cwany: poprosił tylko o

przeniesienie na front. – Kapitan zapalił małe cygaro. – Potem kazaliśmy mu wypełnić pięćdziesiąt siedem identycznych formularzy, które musiał złożyć w pięćdziesięciu siedmiu oddzielnych urzędach rozrzuconych po całym mieście. Wreszcie, kiedy zakończył obchód, zawiadomiliśmy go o zgodzie na przeniesienie, do czego jednak wymagane są badania lekarskie. – Pozwoli pan, że zgadnę – przerwał Mallory. – Musiał przejść badanie pięćdziesiąt siedem razy.

– Właśnie – potwierdził kapitan Kapitan. – I stwierdzono, że pomiędzy pierwszym ostatnim badaniem jego waga zmieniła się o dwa – funty. – Uśmiechnął się. – Naturalnie oskarżyliśmy Grobinsky’ego o szpiegostwo na rzecz wroga... w każdym razie sześciu Grobinskich. Pozostałych pięćdziesięciu i jeden otrzymało zgodę na przeniesienie.

– I co było dalej? – dopytywał się detektyw.

– Przeszedł sześć kolejnych badań lekarskich, a ponieważ jego waga za każdym razem była taka sama, oskarżenie wycofano... ale wszystkim sześciu odmówiono zgody na przeniesienie.

– A co z pozostałymi pięćdziesięcioma i jednym?

– Każdy z nich został przeniesiony z Manhattanu na Manhattan.

– Czy to nie szatański wynalazek? – wyszczerzył zęby major MacMasters. – Drań już od ponad pół roku przebywa w zakładzie zamkniętym z rozpoznaniem ostrego przypadku schizofrenii.

Ponownie rozległy się wystrzały.

– Zbliżają się – zauważył kapitan Kapitan.

– Świetnie! – oświadczył major MacMasters. – Już mi się sprzykrzyła ta wieczna beczynność.

– Czy wy, chłopcy, naprawdę chcecie walczyć?

– Jak najbardziej! – wykrzyknął major MacMasters. – Ostatecznie walka jest celem naszego życia.

– Mogę wam w tym pomóc – oznajmił Mallory.

– Och? W jaki sposób?

– No, skoro to jasne, że nie wyślą was na front, co byście powiedzieli, gdyby front przeniósł się tutaj?

– To znaczy do „Pinokia”? – upewnił się kapitan Kapitan.

– Właśnie – potwierdził Mallory. – Według mnie istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten facet, który tam strzela, jest jednym z najbardziej podstępnych szpiegów wroga.

– Ten facet? – powtórzył major MacMasters. Jego małe, czarne oczka rozbłyły podnieceniem.

Mallory przytaknął.

– Mam powody przypuszczać, że został wysłany na rekonesans. – Urwał. – Chyba będę mógł go tutaj zwabić.

– Kapitalnie! – zawołał major MacMasters. Nagle oczy mu się zwężyły. – Dlaczego on miałby tu przyjść za panem?

– Ponieważ on chce mnie zabić.

– Przecież pan jest cywilem – wtrącił kapitan Kapitan. – Co on ma przeciwko panu?

– Prowadzę małą, prywatną wojnę z Grundym – wyjaśnił Mallory. – Muszę to przemyśleć – stwierdził major MacMasters. – Jeśli pan jest przeciwnikiem Grundy’ego, a ten człowiek chce pana zabić...

– To on na pewno jest sprzymierzeńcem Grundy’ego! – zakończył triumfalnie kapitan Kapitan. – Jasne, że panu pomożemy, Mallory! Wprawdzie nie wiemy, kim jest wróg, ale jesteśmy przekonani, że zawarł sojusz z Grundym! – Wolałbym, żebyście raczej nie zabijali tego faceta, tylko wsadzili go na jakiś czas do aresztu – zaznaczył Mallory.

– Sami zdecydujemy, czy on zasłużył na śmierć –



oświadczył stanowczo major MacMasters.

– No, zanim go pan przeszyje szpadą, powinien pan wiedzieć, że on posiada coś, co może się wam bardzo przydać.

– Na przykład co?

– No, przede wszystkim posiada czarodziejskie zwierciadło, które zapewni wam bezpośredni dostęp do Grundy'ego.

– Och, Taktyczny zapłaciłby ładny grosz, żeby dostać coś takiego! – wykrzyknął uszczęśliwiony kapitan Kapitan. – Dzięki za informację, Mallory. – Chciałbym, żebyście w zamian za to wyświadczyli mi przysługę – ciągnął Mallory.

– Przecież ratujemy panu życie – zaprotestował major MacMasters. – Czego pan jeszcze chce?

– Żeby lustro znalazło się w przyjemnym otoczeniu – odparł Mallory. – Coś z klasą.

Może Sala Wojenna w Pentagonie.

– Co to za różnica?

– Obiecałem mu.

– Dał pan obietnicę lustru? – zdumiał się major MacMasters. – To wbrew wszelkim przepisom!

– To nie jest zwyczajne lustro – wyjaśnił Mallory, czując się zdecydowanie głupio.

– Widocznie nie – przyznał major MacMasters. Rozważył propozycję detektywa. – No dobrze, Mallory... zgadzamy się na pańskie warunki. – I proszę się nie martwić – dorzucił kapitan Kapitan. – Zanim Wydział Zbędnych Wydziałów skończy z tym facetem, nie będzie warto go zabijać! – W porządku – powiedział Mallory. – Trzymajcie ludzi w pogotowiu. Głęboko zaczerpnął powietrza i wyszedł na ulicę. Nigdzie nie było ani śladu Mefista, a ponieważ detektyw nie chciał się zbyt od-  
dalać od frontowych drzwi baru „Pinokio”, postanowił nic

spacerować po ulicy w celu zwrócenia uwagi maga, tylko oparł się o najbliższą latarnię.

Po pięciu minutach, podczas których nic się nie wydarzyło. Mallory włożył do ust papierosa i wyjął zapalniczkę. Wówczas rozległ się strzał i papieros został przecięty na pół.

– Teraz cię mam! – zawołał Mefisto wychodząc zza rogu.  
– Ręce do góry, Mallory!

Mallory podniósł ręce i zaczął się cofać przed magiem. – Nieźle się starałeś – ciągnął Mefisto – ale musiałybyś się bardzo wcześniej zerwać, żeby mi zamydlić oczy.

– To najgłupsza przenośnia, jaką w życiu słyszałem – stwierdził Mallory, wciąż cofając się w stronę drzwi baru.

– Jeśli z ciebie taki mądrała, to dlaczego ja mam broń? – zarechotał Mefisto.

– Głupi zawsze ma szczęście – odciął się Mallory. – Świat dzieli się na wygrywających i przegrywających – oświadczył Mefisto. – A wygrywający sami sięgają po swoje szczęście.

– Skoro tak uważasz – rzucił Mallory i zanurkował w otwarte drzwi baru.

– Dwa razy mi nie uciekniesz! – wrzasnął Mefisto pędząc za nim. Mallory przykucnął za stołem i patrzył, jak czarodziej wpada w drzwi, po czym natychmiast zostaje rozbrojony i obezwładniony przez majora MacMastersa i jego ludzi.

– Co to ma znaczyć? – ryknął Mefisto. – Puśćcie mnie! – Moim zdaniem on wygląda jak Ruski – zauważył major MacMasters przypatrując się magowi, którego przytrzymało dwóch mężczyzn.

– No, nie wiem – odezwał się drugi oficer. – Myślę, że może mieć trochę krwi arabskiej.

– Zdecydowanie typ słowiański – oświadczył trzeci. – Zwróćcie uwagę na te paciorkowate oczka i cofnięty podbró-

dek. Zdecydowanie nie można mu wierzyć.

– Zaraz wszystkiego się dowiemy – oznajmił kapitan Kapitan przepychając się przez tłum. – Jak się nazywasz, przyjacielu?

– Wielki Mefisto!

– Czy „Wielki” piszesz z dużej litery?

– Co to za różnica, do diabła? – zdenerwował się mag.

– Potrzebujemy tych danych do protokołu – wyjaśnił kapitan Kapitan.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – przyznał Mefisto. – Wrócimy do tego – zapewnił kapitan Kapitan. – Jestem bardzo cierpliwym człowiekiem. Następne pytanie: jak się pisze „Mefisto” w języku angielskim, niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, arabskim, suahili i serbsko-chorwackim? Mallory podniósł się i ruszył do drzwi.

– Przetrzymacie go przez parę godzin? – upewnił się.

– Mallory! – wrzasnął Mefisto. – Ja cię zabiję! – Zamknij się, ty! – warknął kapitan Kapitan. Odwrócił się do detektywa. – Moim zdaniem samo ustalenie jego nazwiska, stopnia i numeru porządkowego zabierze wydziałowi co najmniej tydzień. Przez następne sześć miesięcy będzie wypełniał formularze, a dopiero potem wytoczymy mu proces.

Mallory uśmiechnął się szeroko, zsalutował kapitanowi i z powrotem wyszedł na ulicę. Dwie przecznice dalej ciągle jeszcze słyszał przekleństwa i pogróżki Mefista.

## **Rozdział siedemnasty**

### **5.05-6.13**

Mallory ruszył Piątą Aleją na północ. Ulica była prawie pusta z wyjątkiem kilku słoni, które niosły pasażerów, oraz zamiataczy ulic na nosorożcach, którzy zgarniali rozmiękły

śnieg z szerokiej jezdni za pomocą metalowych pługów przy-mocowanych do grubych skórzanych uprzęży.

Detektyw zatrzymał się przy otwartym całą noc kiosku i kupił gazetę, żeby sprawdzić, czy była jakaś wiadomość o śmierci Lepa Gillespie'ego. Z ulgą stwierdził, że o skrzacie nie zamieszczono żadnej wzmianki. Artykuł wstępny omawiał sprawę ujęcia zagranicznego szpiega przez niebędących na służbie oficerów w miejscowym lokalu, nie podano jednak żadnych szczegółów.

Mallory wrzucił gazetę do kosza na śmieci, spojrzął na zegarek i upewnił się, że zdąży do następnego punktu kontrolnego w przewidzianym czasie, po czym znowu ruszył na północ.

Na Trzydziestej Ósmej Ulicy natknął się na wielki tłum zgromadzony wokół trójki goblinów tańczących break-dance i musiał zejść na jezdnię, żeby go ominąć. Zanim zdążył wrócić na chodnik, przyłączył się do niego jakiś wysoki, brodaty, ponury mężczyzna w turbanie i powiewającej białej szacie.

– Z przyjemnością widzę, sahibie, że nie interesują cię takie wulgarne widowiska – odezwał się mężczyzna idąc obok Mallory'ego. – Zrobiłeś na mnie wrażenie człowieka obdarzonego wyjątkową wrażliwością.

– Co ty sprzedajesz? – zapytał ze znużeniem Mallory.

– Wiekuisty spokój.

– Pozwól mi zgadnąć – powiedział detektyw. – Jesteś przedsiębiorcą pogrzebowym.

Mężczyzna uśmiechnął się z wyższością.

– Jestem mistykiem, który zgłębił największe tajemnice wszechczasów.

– I opowiesz mi o tym w zamian za skromne honorarium? – domyślił się Mallory. – Nie biorę dla siebie żadnych

pieniędzy! – oświadczył mężczyzna z wielką godnością.

– Rozdajesz te tajemnice za darmo? – sceptycznie zagadnął Mallory.

– Absolutnie za darmo! Proszę tylko o mały datek na pokrycie bieżących potrzeb.

– Potrzebujesz nowego turbanu? – rzucił Mallory przyspieszając kroku.

– Nie całkiem, sahibie! – sprostował mężczyzna. – Jestem właścicielem Mistycznego Targowiska Abdullaha.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– To jest przy następnej przecznicy. Może zechcesz tam wstąpić i przyłączyć się do podobnych tobie poszukiwaczy Prawdy Ostatecznej? – Raczej nie – odparł Mallory.

– Czy nigdy nie nawiedzało cię pragnienie, aby przeniknąć odwieczne tajemnice? – nalegał mężczyzna.

– Takie jak zagadka życia i śmierci?

Mężczyzna pogardliwie zmarszczył nos.

– Dawno już pozostawiliśmy za sobą tak prostackie zagadnienia.

– Więc jakie, u diabła, tajemnice badacie? – zapytał Mallory.

– Oczywiście te, które mają związek z codziennym życiem.

– Na przykład?

– Dlaczego dorośli nie mogą otworzyć butelek zabezpieczonych przed dziećmi? – znacząco wymówił mężczyzna. – Dlaczego wszystkie windy przejeżdżają jednocześnie? – Przerwał, żeby sprawdzić reakcję Mallory'ego, po czym kontynuował: – Dlaczego nigdy nie można złapać taksówki, kiedy pada deszcz?

– To fascynujące zagadnienia – przyznał Mallory. – Ale

moim zdaniem powinno się je pozostawić jako wielkie pytania, na które nie ma odpowiedzi. – Prowadzimy również sprzedaż tranzystorowych radiodbiorników.

– Nie jestem zainteresowany.

– Ach, sahibie, moje serce krwawi przez ciebie! Popełniasz ogromny błąd!

– Naprawdę chcesz zrobić interes? – zapytał nagle Mallory.

– Jak najbardziej – zapewnił mężczyzna.

– O jakieś pół bloku za mną idzie taki mały, brzydki elf. Mężczyzna obejrzał się.

– Nie widzę go.

– On się chowa – wyjaśnił Mallory. – To taka nasza zabawa. W każdym razie, jednym z jego hobby jest kolekcjonowanie radiodbiorników. – Naprawdę? – skwapliwie podchwycił mężczyzna.

Mallory przytaknął.

– Tak się składa, że mam również słuchawki stereo po cenie kosztu.

– Akurat coś dla niego – zapewnił Mallory.

Mężczyzna przystanął, skłonił się nisko i wykonał ręką zamaszysty gest.

– Bądź błogosławiony po tysiącokroć, sahibie!

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł z uśmiechem Mallory.

Detektyw powędrował dalej na północ. Minąwszy kolejne sześć przecznic przystanął i obejrzał się, a wówczas dwie przecznice dalej dostrzegł zieloną sylwetkę, która błyskawicznie ukryła się w bramie.

– Z drogi, kolego! – zawołał jakiś głos.

Mallory odwrócił się i ujrzał parę słoni stąpających

ciężko środkiem Piątej Alei.

Słonie ciągnęły za sobą coś, co wyglądało zupełnie jak boisko do koszykówki. Na grzbiecie każdego słonia siedziało pół tuzina młodych ludzi pogrążonych w rozpasanej wesołości, którzy żłopali piwo i ryczeli bojowe pieśni swoich uczelni. Słonie skręciły w najbliższą przecznicę i Mallory stwierdził, że boisko powoli objeżdżające róg zatarasowało mu drogę.

– Co tu się wyprawia, do cholery? – zapytał.

– Przybyliśmy, zobaczyliśmy, zwyciężyliśmy! – wrzasnął triumfalnie jeden z młodych ludzi.

– O czym ty mówisz?

– Wielki mecz! Wygraliśmy 55:54 dzięki dogrywce! – poinformował go student.

– Każdy może zabrać jako trofeum siatkę z kosza! – krzyknął inny. – My zabieramy do domu całe to cholerne boisko!

– Skąd jesteście, chłopaki? – zapytał Mallory.

– Z Florydy! – dumnie odwrzasnęli chórem.

– I zamierzacie wlec to boisko przez całą drogę do domu?

– Jasne!

– Przykro mi to mówić – oświadczył Mallory – ale pomyliliście kierunki. – Wpadniemy najpierw do St. Louis, żeby odwieźć moją dziewczynę – wyjaśnił jeden z młodych ludzi.

– Dużo szczęścia – mruknął Mallory.

– Odsuń się, bo sam będziesz najbardziej potrzebował szczęścia! Słonie ciągnęły dalej, a Mallory wszedł do jakiegoś sklepu, żeby poczekać, aż droga będzie wolna.

Znalazł się w galerii, gdzie wystawiono ze dwieście bardzo dużych obrazów, głównie pejzaży i widoków miast. Poziom prac był nienadzwyczajny i detektyw zaciekał się, w

jaki sposób właścicielowi udało się sprzedać dostatecznie dużo obrazów, żeby pokryć koszty lokalu na Piątej Alei.

– Witamy w Agencji Turystycznej Zadumy – odezwał się przyjazny głos. Mallory odwrócił się i ujrzał nadchodzącą elegancką kobietę w średnim wieku. – Czym mogę panu służyć?

– Agencja turystyczna? – powtórzył ze zdziwieniem detektyw. – Dla mnie to wygląda jak galeria sztuki.

– Zrozumiała pomyłka – zgodziła się kobieta. – Co prawda, nie powiesiłabym żadnego z tych obrazów u siebie w domu. Rzeczywiście nie są najlepsze. – Więc po co je wystawiać? – zapytał Mallory.

– A jak inaczej pan się dowie, dokąd pojechać? – odparła.

– Nie bardzo panią rozumiem.

– To są nasze turystyczne plakaty – wyjaśniła kobieta.

– Powinniście byli wybrać lepszych artystów – stwierdził Mallory. – Och, na pewno są lepsi artyści – odpowiedziała. – Ale Adonis Zeus jest tylko jeden.

– On jest tym malarzem?

Przytaknęła.

– Grecki dżentelmen. Niewiele o nim wiem... on nie lubi opowiadać o sobie, chociaż kiedyś wspomniał, że nie pochodzi z Aten. Mam wrażenie, że jego przodkowie byli góralami.

– Przerwała. – W każdym razie próbował sprzedawać swoje obrazy na całym Manhattanie, ale odrzucały je wszystkie galerie sztuki. Wreszcie jakieś cztery lata temu trafił do nas i od tej pory jesteśmy z niego bardzo zadowoleni.

– Nie rozumiem dlaczego – przyznał szczerze Mallory. – Wobec tego pokażę panu – zaproponowała podchodząc do obrazu przedstawiającego lesistą okolicę. – Co pan o tym myśli?

Mallory przyjrzał się obrazowi.



– Nic specjalnego – powiedział w końcu. „„

Uśmiechnęła się.

– Więc niech pan patrzy.

Sięgnęła w głąb obrazu i po chwili cofnęła rękę. W dłoni trzymała mały, uschnięty listek.

– Niech pani to zrobi jeszcze raz – poprosił Mallory, niedowierzająco wpatrując się w liść.

– Z przyjemnością.

Sięgnęła ponownie i wyjęła mały leśny kwiatek.

– Zdziwiałające! – wykrzyknął Mallory. – I każdy może po prostu włożyć rękę do któregoś z tych obrazów?

Kobieta wyglądała na ubawioną.

– Nadal pan nie rozumie. Każdy może spędzić wakacje w jednym z tych obrazów.

– Naprawdę?

Skinęła głową i poprowadziła go wzdłuż rzędu malowideł.

– Jakie jest pańskie największe pragnienie, panie... hm?

– Mallory.

– Jakie jest pańskie największe pragnienie, panie Mallory? Majorka, Jamajka, wyspy greckie? – Po kolei wskazywała na poszczególne obrazy. – Wyprawa do źródeł Amazonki?

Sielankowa leśna okolica? Nie musi pan się już martwić o paszport i połączenia lotnicze. Po prostu wypożycza pan obraz na okres pańskiej podróży i płaci pan w dogodnych ratach.

– I mogę pojechać w każde miejsce?

– W każde miejsce, które namalował Adonis Zeus.

– Nawet jeśli to miejsce nie istnieje w rzeczywistości, tylko na obrazie? – dopytywał się zaciekawiony detektyw.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Niech pan pójdzie ze mną do naszego Salonu Fantazji.

Przeszli przez wąskie drzwi.

– Nie każdy ma tyle wyobraźni co pan – powiedziała kobieta – toteż zwykle wystawiamy od frontu tylko obrazy najbardziej popularnych wakacyjnych, miejscowości. Ta sala jest dla klientów o bardziej awanturycznym usposobieniu. Zaprowadziła Mallory’ego do malowidła, na którym niemal nagi mężczyzna zabijał nożem lwa.

– Afryka Tarzana – wyjaśniła. Wskazała na następne. – Kraina Czarów Alicji. – Przeszła parę stóp dalej i wskazała na obraz przedstawiający zagracony pokój z epoki wiktoriańskiej, pełen książek, chemikaliów oraz dziwacznych trofeów. – Baker Street 221-B – oznajmiła. – Romantyczny zakątek w sercu czytelnika, nostalgiczna kraina wspomnień, gdzie zawsze jest rok 1895. Poprowadziła go wzdłuż kolejnego rzędu obrazów. – Czy chciałby pan zabłądzić w haremie? Czy pragnie pan ożywić martwą tkankę w swoim laboratorium? Polować z Rosterem Cogburnem? Spływać tratwą po Missisipi – Huckiem Finnem i Tomkiem Sawyerem? Służyć na „Pequodzie” podczas polowania na Białego Wieloryba? Organizujemy wszystkie te podróże i wiele innych. – Jak to się odbywa? – zapytał Mallory.

– No cóż, może pan otworzyć rachunek, jeśli zamierza pan korzystać z naszych usług co najmniej trzy razy do roku. W przeciwnym wypadku poprosimy pana o jakiś dokument potwierdzający pańską tożsamość w celu rejestracji. Może pan uiścić pełną opłatę za wynajem albo też złożyć depozyt i zadeklarować jakiś późniejszy termin płatności.

– Chciałem się dowiedzieć, jak działają obrazy. – Musi pan tylko wybrać miejsce urlopu i zawiadomić nas, jak długi wyjazd pan planuje, a my zapakujemy obraz i wręczymy go panu. – Uśmiechnęła się. – Następnie po prostu zabiera pan obraz do domu, wieszka go na ścianie i wchodzi do środka. – A

jak się wydostanę?

– Dokładnie w ten sam sposób. Jednakże jeśli zechce pan przedłużyć urlop, proszę wyjść na chwilę i zadzwonić do nas; za każdy dzień przetrzymania obrazu obciążamy klienta dużą grzywną.

– A gdybym chciał wziąć urlop na stałe? – zapytał Mallory.

– Chodzi panu nie o wycieczkę, a o odejście na emeryturę?

Detektyw skinął głową.

– Właśnie.

– To żaden problem, panie Mallory – oświadczyła kobieta. – Każdy z naszych obrazów można nie tylko wypożyczyć, ale również kupić. – Przerwała. – Mogę zapytać, jakiego rodzaju obraz ma pan na myśli?

– Jeszcze się nie zdecydowałem – odparł Mallory. – Pozwoli pani, że trochę się rozejrzę?

– Bardzo proszę – odpowiedziała miłym głosem. – Będę w pokoju obok. Kiedy pan się zdecyduje, proszę po prostu zanieść wybrany egzemplarz do kasy. – Dziękuję pani – odparł Mallory.

Zaczął przechadzać się tam i z powrotem wzdłuż rzędów obrazów, mijając wizerunki bogów uczujących na Olimpie, Ichaboda Crane'a uciekającego przed Jeźdźcem Bez Głowy, króla Artura prowadzącego w bój Rycerzy Okrągłego Stołu, Graya Lensmana strzelającego z blasterów do agentów Boskonu, Kubusia Puchatka i Prosiaczka polujących na hohonie, Oposa Pogo i Alberta Aligatora łowiących ryby na Bagniskach Okefenokee, a także Humphreya Bogarta, Petera Lorre'a, Sydneya Greenstreeta i Mary Astor oglądających Sokoła Maltańskiego.

Kiedy dotarł do obrazu przedstawiającego Piotrusia Pana w śmiertelnym starciu z kapitanem Hakiem, zatrzymał się i przyjrzał mu się uważnie. Znalazłszy na pokładzie okrętu Haka przedmiot, którego szukał, zdjął malowidło ze ściany i zaniósł je do kasy. – Doskonały wybór, panie Mallory – pochwaliła go sprzedawczyni. – Druga gwiazda na prawo i prosto aż do rana.

– Ile to będzie kosztować? – zapytał detektyw.

– Pan kupuje czy wypożycza?

– Kupuję.

– Cena wynosi tylko dwieście dolarów – oznajmiła. – W tym tygodniu mamy wyprzedaż bajek dla dzieci. Przypadkiem zrobił pan najlepszy wybór. – Zawahała się. – Jednakże ponieważ planuje pan tam odejść, obawiam się, że trzeba będzie uiścić pełną opłatę.

– Jestem tu przejazdem – wyznał Mallory. – Nie wiem, czy moje dokumenty tutaj wystarczą.

– Żaden problem – uspokoiła go sprzedawczyni. – Dokumenty potwierdzające tożsamość wymagane są tylko przy wypożyczeniu, nie przy sprzedaży za gotówkę. Mallory wyjął swoje dwa ostatnie studolarowe banknoty i podał jej-- Na pewno z radością przyłączy się pan do Zagubionych Chłopców – powiedziała sprzedawczyni z uśmiechem. – Pozostanie pan wiecznie młody, no i oczywiście spotka pan księżniczkę Tygrysią Lilię, Blaszą Dzwoneczek, Wendy, Michała i Janka. – Nie mogę się tego doczekać – stwierdził Mallory. – Zechce mi to pani zapakować?

Na dworze ciągle jeszcze pada i nie chcę, żeby obraz się zniszczył.

– Oczywiście – zgodziła się. Wyciągnęła spod lady arkusz brązowego papieru, owinęła obraz i przymocowała pa-

pier taśmą klejącą, po czym podała pakunek detektywowi. – Dziękujemy za skorzystanie z naszych usług, panie Mallory... i niech pan przyjemnie spędza czas w swoim obrazie.

– Taki mam zamiar – zapewnił ją.

Zatrzymał się przy drzwiach, wyjął z kieszeni plan miasta, studiował go przez chwilę, po czym wyjął długopis, obwiodł kółkiem pewne miejsce i włożył plan razem z długopisem do obszernej kieszeni swego płaszcza. Wyrzwał przez okno. Boisko do koszykówki skręciło wreszcie za róg i rozpoczęło podróż do St. Louis. Widząc to detektyw wsadził obraz pod pachę i wyszedł.

Nie zobaczył ani śladu Mürgenstürma, wobec czego zaczął ostentacyjnie zapalać papierosa i udawać, że zawiązuje sznurowadło, dopóki nie wypatrzył w końcu małego elfa trochę dalej. Zanim znowu ruszył na północ, upewnił się, że Mürgenstürm go zauważył.

Mallory minął kilka przecznic, potem skręcił na zachód i przez jakiś czas krążył po wąskich bocznych uliczkach starając się do pewnego stopnia utrudnić zadanie Mürgenstürmowi.

Przez dobre dwadzieścia minut prowadził elfa wyjątkowo powikłaną trasą. Wreszcie dotarł do „Azyłu Mikołaja”, wspiął się na frontowe schodki i wszedł do holu. – Witam po raz drugi – powiedział Kris podnosząc wzrok znad rozkładówki z rozebraną dziewczyną. – Znalazłeś w końcu tego Lepa Gillespie’ego? Mallory kiwnął głową.

– On tu już nie wróci. – wyszczerzył zęby.

– A co z jednorożcem? Też go znalazłeś?

– Tak.

– Odwaliłeś dzisiaj kawał roboty, no nie? Kris.

– Jeszcze nie skończyłem – odparł Mallory. – Jak tam Kristem?

Kris wzruszył ramionami.

– Odkąd wyszedłeś, nie było żadnych gonitw, więc sytuacja jest dokładnie taka sama.

– Ciągłe jeszcze w systemie są luki?

– Niewielkie – oświadczył portier obronnym tonem. – Wiesz co – zaczął z namysłem Mallory – tak naprawdę to ty potrzebujesz sponsora.

– Sponsora? – powtórzył Kris.

Mallory przytaknął.

– Kogoś, kto zgodzi się zainwestować pewien kapitał, żeby porządnie przetestować Kristem w warunkach polowych.

– Masz rację – przyznał Kris. – Ale gdzie kogoś takiego znajdzie?

– Może właśnie przed tobą stoi – oznajmił detektyw.

– Ty?

– Może – powtórzył Mallory. – Ale jest jeden warunek.

– Zawsze są jakieś warunki – mruknął niechętnie Kris.

– Ten będzie łatwy.

– Okay. O co chodzi?

– Jestem na tym Manhattanie tylko przejazdem. Chcę wiedzieć, czy Kristem działa na moim Manhattanie.

– Więc chcesz, żebym go tam przetestował? – upewnił się Kris.

– Właśnie.

– Żaden problem – oświadczył uradowany portier. – Do diabła, na twoim Akwedukcie są nawet wygodniejsze siedzenia. – Nagle popatrzył uważnie na Mallory'ego. – Jaka suma wchodzi w grę?

– Duża – odparł Mallory.

– Umowa stoi! Kiedy mam zacząć?

– Wkrótce – oznajmił detektyw. – Ale najpierw wstąpi-

my na chwilę do pokoju Gillespie'ego.

– Okay, ale niczego tam nie znajdziesz. Po twoim wyjściu trochę tam posprzątałem. – Spochmurniał. – Mógłbym zabić tego drania z zimną krwią! – O? Dlaczego?

– Prawie cała biżuteria była imitacją!

– No, nigdzie nie jest powiedziane, że on był wyjątkowo sprytny... po prostu był nieuczciwy. – Mallory kątem oka dostrzegł zielony błysk. – Pamiętasz drogę do pokoju Gillespie'ego?

– Piętnaste, dwunaste, czternaste, trzynaste – wyrecytował Kris. – Proste jak drut.

– Piętnaste, dwunaste, czternaste, trzynaste – powtórzył Mallory. – Jesteś pewien?

– Byłem tam trzy razy po twoim odejściu – wyjaśnił Kris.

– Dobra – powiedział detektyw. – Idziemy.

Wjechali windą na piętnaste piętro, potem zeszli na dwunaste, weszli na czternaste i wreszcie zeszli na trzynaste.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Kris otwierając drzwi.

– Ty tu naprawdę posprzątałeś, co? – zauważył Mallory obrzucając spojrzeniem niemal pusty pokój. Czasopisma, kasety wideo i prawie wszystkie złodziejskie łupy zniknęły.

Pozostało bardzo niewiele: połamane meble Gillespie'ego, łóżeczko dla lalek, przybory kuchenne, pięćdziesiąt wełnianych skarpetek nie do pary i kilkaset sztuk jojo. – Wyliczyłem sobie, że po prostu odbieram od niego w naturze zaległy czynsz – oświadczył Kris z uśmiechem.

– I niewątpliwie zatrzymasz wszystko w depozycie, dopóki nie zgłosi się po to Nick Święty – ironicznie rzucił Mallory.

– Zgadłeś – potwierdził Kris.

Mallory zaczął odwijać obraz.

– Co to jest? – zapytał portier.  
– A co ci to przypomina?  
– Jakby jakiś dzieciak, któremu brak talentu, przerysował komiks na kawałku płótna – odparł Kris.

Mallory podniósł obraz do światła.

– Rzeczywiście – przyznał.  
– Jeżeli chcesz zobaczyć prawdziwą sztukę – poufnie szepnął Kris – zejdź ze mną do holu, to pokażę ci kilka pisełek, które stąd zabrałem. – Może później – odparł Mallory rozglądając się po ścianach, dopóki nie znalazł gwoździa sterującego z tynku. – To będzie idealne miejsce – oznajmił zawieszając obraz na gwoździu.

– Skoro tak uważasz – zgodził się Kris. – Ale ciągle nie rozumiem, co ty w tym widzisz.

– Ten obraz ma ukryte zalety – wyjaśnił Mallory. – Może z czasem przyzwyczaisz się do niego.

– Jak do grzyba na ścianie – przyświadczył z przekonaniem Kris. Popatrzył ciekawie na detektywa. – I tylko po to tutaj przyszedłeś... żeby zawiesić ten obraz? – I żeby czekać – oświadczył Mallory.

– Na kogo?

– Na tego, kto teraz się zjawi – powiedział detektyw. Podszedł do dzbanka z kawą. – Napijesz się?

– Nie, dzięki. Po całych nocach wlewam w siebie kawę. – No to ja się napiję, jeśli nie masz nic przeciwko temu – mruknął detektyw, wziął dzbanek i napełnił swój kubek z emblematem drużyny New York Mets. – W końcu to mój własny kubek, do cholery.

Właśnie zamierzał pociągnąć łyk, kiedy drzwi się otwały i do pokoju wpadł Mürgenstürm z ogromnym rewolwerem w rękach.



- Dobra, Johnie Justinie! – zawołał. – Gdzie to jest?
- Gdzie co jest? – niewinnie zapytał Mallory.
- Wiesz, czego chcę! Gdzie jest rubin?
- Rubin? – powtórzył Mallory. – Nie widzę tu żadnego rubinu. – Odwrócił się do Krisa.
- A ty widzisz?
- Nie wiem, o czym wy mówicie – zaprotestował Kris cofając się jak najdalej od elfa.
- Za niecałą godzinę wszędzie słońce! – warknął Mürgenstürm. – Jeśli nie zdobędę rubinu, zginę!
- To już nie moja wina – odparł Mallory. – Miałeś aż za dużo czasu, żeby wynieść się z miasta.
- Oni by mnie znaleźli – oświadczył elf z przekonaniem.
- Jeśli muszę umrzeć, nie umrę sam... to ci obiecuję, Johnie Justinie! – Postąpił krok do przodu. – Więc gdzie to jest?
- Naprawdę gotów jesteś mnie zabić, co? – zagadnął Mallory.
- Nie mam wyboru.
- Mallory westchnął.
- No dobrze – ustąpił. – Pokażę ci.
- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia – stwierdził Mürgenstürm. – Gdzie jest rubin?
- Tam – powiedział Mallory wskazując na obraz.
- Tam? – niedowierzająco powtórzył Mürgenstürm. – W skrzyni ze skarbami kapitana Haka – wyjaśnił detektyw. – Myślałem, że będzie tam bezpieczny, dopóki po niego nie wrócę.
- Oczy Mürgenstürma zwięziły się w szparki.
- Sprytnie, Johnie Justinie... bardzo sprytnie. – Uśmiechnął się z triumfem. – Ale ja okazałem się sprytniejszy!
- Może i tak – zgodził się Mallory. – A może nie.
- O czym ty mówisz?

– Grundy na pewno śledzi każdy nasz krok, odkąd wyszliśmy z magazynu – przypomniał Mallory. – Naprawdę myślisz, że on ci pozwoli wejść do tego obrazu? Mürgenstürm zamknął na chwilę oczy koncentrując się intensywnie, po czym otworzył oczy.

– Znowu zatrzymałem dla niego Czas. Został unieszkodliwiony na co najmniej dziewięćdziesiąt sekund.

– Kiedy się z tego otrząśnie, będzie najbardziej wściekłym demonem na świecie – ostrzegł Mallory.

– Do tego czasu znajdę się na twoim Manhattanie razem z rubinem – oświadczył Mürgenstürm. – Stań tam pod ścianą, obok twojego przyjaciela. Mallory przesunął się na miejsce wskazane przez elfa. – Zabieram ze sobą broń – oznajmił Mürgenstürm. – Jeśli pójdziesz za mną, nie zawaham się jej użyć.

– Wierzę ci – odparł Mallory.

– Lepiej, żebyś mi wierzył – burknął elf. Przyciągnął krzesło do obrazu, wspiął się na nie i wszedł do świata Piotrusia Pana.

Mallory natychmiast przesunął się w róg pokoju, ostrożnie zbliżył się do obrazu i szybkim ruchem odwrócił go do ściany.

– Jednak wdzięk nie zastąpi inteligencji – stwierdził z ponurym uśmiechem.

– Co to ma znaczyć, do cholery? – zapytał Kris. – Nie mam czasu na wyjaśnienia – rzucił detektyw. – Została nam niecała minuta, zanim Grundy otrząśnie się z tego i znowu zacznie mnie śledzić. Czy nadal chcesz wypróbować Kristem?

– Do diabła, pewnie.

– Dobra – powiedział Mallory wyjmując z kieszeni plan miasta. – Idź Czwartą Aleją, dopóki nie dojdiesz do tej bocz-

nej uliczki... zaznaczyłem ją na planie. – A potem?

– Zobaczysz dwóch facetów, którzy siedzą na dworze i grają w szachy.

– O szóstej rano, w taką pogodę? – niedowierzająco zapytał Kris. – Ta gra jest chyba jedyną rzeczą stałą w wiecznie zmiennym wszechświecie – oświadczył Mallory. – Właśnie dlatego ją wybrałem. Teraz słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał – ciągnął nie spuszczać wzroku z portiera. – Na polu c4 będzie stała solniczka.

Otwórz ją i wysyp sól. Jeżeli moja przyjaciółka Felina wykonała moje polecenia, na dnie znajdziesz największy rubin, jaki widziałeś w życiu. Zabierz go natychmiast na mój Manhattan, zastaw go albo sprzedaj i będziesz miał wystarczający kapitał obrotowy na Kristem. Zrozumiałeś?

– Tak, ale...

– Żadnych ale – uciął Mallory spoglądając na zegarek. – Zaczekaj parę minut po moim wyjściu, zanim po niego pójdziesz... i jeśli chcesz żyć wystarczająco długo, żeby zdążyć wypróbować Kristem, nie wspominaj o rubinie nikomu! – Jak sobie życzysz.

– Właśnie tak sobie życzę. A teraz chodźmy. On się przebudzi za dziesięć sekund. Wyszli z pokoju, zeszli po schodach na dwunaste piętro i zjechali zabytkową windą na parter.

– Zaczekaj – odezwał się Kris, kiedy Mallory zbierał się do wyjścia. – A co z tym elfem?

– Chyba będzie musiał się nauczyć, jak sobie radzić z kapitanem Hakiem i panem Smee, dopóki ktoś nie przekreśli obrazu – uśmiechnął się Mallory. – Ale teraz nikt już tam nie przyjdzie, bo i po co? – zauważył portier. – No cóż – odparł Mallory – na takie ryzyko naraża się każdy, kto zostaje piratem.

Kris parsknął śmiechem.

– Może napijesz się przed wyjściem?

– Nie, dziękuję – odmówił Mallory. – Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, zanim wzejdzie słońce.

– Dziękuję, że mnie odwiedziłeś – powiedział Kris. – To był interesujący wieczór.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił go Mallory. Potem na użytek Grundy'ego dodał: – Porozmawiamy jeszcze o sfinansowaniu Kristemu, kiedy wpadnę następnym razem.

Zanim Kris zdążył odpowiedzieć, Mallory wyszedł na zewnątrz i bardzo zadowolony z siebie ruszył po mokrym chodniku.

Niebo zaczęło zmieniać kolor z czarnego na szary, zapowiadając nadejście poranka.

## **Rozdział osiemnasty**

### **6.13-6.57**

Mallory nie zamierzał zjawić się w miejscu przeznaczenia, zanim Kris odbierze rubin, toteż szedł niespiesznie, spacerowym krokiem, zatrzymywał się, żeby obejrzeć co bardziej interesujące wystawy, kupił nową paczkę papierosów, przerzucił gazety ułożone na stojaku przed kioskiem. Kiedy dotarł w pobliże Broadwayu, zajrzał do cukierni i kupił tuzin paczków różnych kształtów i smaków, potem wstąpił do sklepu obok i nabył funt mielonej kawy.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek i stwierdził, że pozostawił Krisowi aż nadto czasu na odszukanie rubinu i przejście przez błonę. Przyspieszył kroku. Osiem minut później znalazł się na placu Tajemnicy, a w chwilę potem schodził po schodkach do frontowych drzwi apartamentu Mefista.

Drzwi były zamknięte, ale z łatwością otworzył zamek posługując się kartą kredytową. Jedno spojrzenie na ścianę upewniło go, że kapitan Kapitan nie tracił czasu i od razu wysłał oddział wojska po Pobrzeżkę.

Mallory wszedł do kuchni, włożył pączki do lodówki i przygotował dzbanek kawy. Potem wrócił do salonu, usiadł na niewygodnej, nowoczesnej duńskiej kanapie, podniósł słuchawkę telefonu stojącego na równie brzydkim stoliku i połączył się z informacją. Podano mu numer Koszmarni i w chwilę później rozmawiał z Winnifred Carruthers. – Mallory! – wykrzyknęła. – Nic ci nie jest?

– Czuję się świetnie – zapewnił ją. – A co z wami?

– Dotarliśmy do domu bez żadnych kłopotów.

– To dobrze – odetchnął Mallory. – Jak się czuje Eohippus? – Rany mu się goją. Zrobiliśmy mu stajnię w dziecięcej trumience, którą wyścieliliśmy słomą. Powiedział, że mu się tutaj podoba, więc poprosiliśmy go, żeby zamieszkał z nami.

– Miło mi to słyszeć.

– Umieram z ciekawości – ciągnęła. – Co się stało z rubinem i jak udało ci się uciec z tego okropnego miejsca?

– Coś ci powiem – zaproponował Mallory. – Jestem o jakieś pół godziny drogi od Koszmarni. Może wpadniesz do mnie, a ja opowiem ci wszystko przy kawie i pączkach?

– Z rozkoszą – oświadczyła Winnifred. – Gdzie to jest?

– Plac Tajemnicy 7. Zostawię drzwi otwarte.

– Czy to nie jest adres Mefista?

– Wynająłem od niego mieszkanie – wyjaśnił Mallory.

– O? – zdziwiła się Winnifred. – Co mu się stało? – Musiał dość nieoczekiwanie wyjechać w ważnych sprawach służbowych – odparł Mallory z uśmiechem. – Nie sądzę, żeby potrzebował tego mieszkania przez najbliższe parę lat.

– No, w takim razie najlepiej odłożę słuchawkę i zaraz wyjdę – oznajmiła Winnifred. – Będę u ciebie za dziesięć minut.

– Mówiłem, że za pół godziny.

– Pomyślałam, że złapię jakiś powóz – wyjaśniła. – Zwykle ustawiają się przy końcu tej ulicy; o tej porze nie powinno być kłopotów ze znalezieniem wolnego powozu. – Więc idź tam za dwadzieścia minut.

– Coś nie w porządku?

– Nie – odpowiedział. – Ale mam jeszcze jedną, ostatnią sprawę do załatwienia i nie chcę, żebyś przy tym była.

– Nic ci się nie stanie?

– Chyba nie.

– To ma coś wspólnego z Grundym, prawda? – domyśliła się.

– Tak.

– Bądź ostrożny, Mallory.

– Postaram się – obiecał. – Do zobaczenia za pół godziny.

Odłożył słuchawkę, po czym jeszcze raz rozejrzał się po pokoju szukając jakiegoś sposobu skontaktowania się z Grundym. Jego spojrzenie zatrzymało się na kryształowej kuli.

Podniósł ją i obejrzał dokładnie. Obracając kulę w ręku i daremnie szukając jakichś wyłączników widział wewnątrz śnieg padający z nieba na wiejski krajobraz, a kiedy odłożył ją na miejsce, zamierzała chyba pokazać mu stary film z braćmi Marx. W końcu detektyw westchnął, podniósł słuchawkę telefonu i zapytał w informacji o numer Grundy'ego. Po początkowym okrzyku przerażenia poinformowano go, że numer Grundy'ego jest zastrzeżony.

– Co u diabła – mruknął pod nosem Mallory wpatrując się w tarczę telefonu. – Jeśli chcę zdjąć gwiazdkę z nieba, mu-

sze przynajmniej wyciągnąć rękę. Potem starannie wykręcił: G-R-U-N-D-Y. Natychmiast buchnął kłęb czerwonego dymu i przed Mallorym stanął Grundy w całej swej demonicznej krasie. – O cholera! – wykrzyknął Mallory. – Naprawdę działa! – Zobaczyłem; że próbujesz się ze mną skontaktować, więc postanowiłem ci pomóc – oznajmił Grundy. Wbił w detektywa spojrzenie płonących nienawiścią oczu. – Błona stwardniała, Mallory. Straciłeś ostatnią szansę ucieczki.

– A ty straciłeś o wiele więcej – odparł Mallory rozpie-  
rając się wygodnie na kanapie. – Wojna skończona, Grundy.

– O czym ty mówisz? – groźnie zapytał demon.

– Klejnot znajduje się na moim Manhattanie, gdzie ani ty, ani ja nie możemy go dosięgnąć.

– Nie wierzę ci.

– Możesz nie wierzyć – rzucił Mallory wzruszając ramionami. – Ale nigdy już nie zobaczysz rubinu. Ten świat będzie musiał ci wystarczyć. – Nikt dobrowolnie nie rezygnuje z przedmiotu posiadającego taką moc – oświadczył Grundy z przekonaniem. – Ty go wciąż masz, Mallory, więc nie próbuj mi wmawiać, że ktoś taki jak ty mógł dać za wygraną, bo tylko się ponizasza w ten sposób. – Skoro tak uważasz.

– Tak uważam – potwierdził Grundy. – Ale ciągle popełniasz grubą omyłkę. Miałeś możliwość bezpiecznej ucieczki, ale zlekceważyłeś to. Teraz będę cię śledził i czekał, dopóki nie sięgniesz po rubin, a wtedy uderzę. Resztę swojego życia spędzisz na tym Manhattanie, chociaż niewiele ci już zostało.

– Bywają gorsze miejsca – zauważył Mallory. – Do diabła, w ciągu jednej nocy opanowałem podstawowe reguły gry, odnalazłem rubin i nie dopuściłem, żeby wpadł w twoje ręce. Kto wie? Może za tydzień całe miasto będzie należało do mnie. – Ten Manhattan nie jest taką utopią, jak ci się wydaje, Mallory

– pouczył go demon.

– Pewnie masz rację – przyznał Mallory. – Ale z drugiej strony nie jest gorszy od tego, który opuściłem.

– Tak myślisz? – zagrzmiał Grundy. – Więc patrz uważnie na ten kryształ! Wykonał ręką jakiś gest i nagle Mallory zobaczył w kryształowej kuli Mefista skrzyżowanie Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Kilku przechodniów stało na rogu czekając na zmianę świateł.

– Zdaje się, że to policjant – stwierdził Grundy pokazując spiczastym palcem na gliniarza, który regulował ruch. Nagle policjant chwycił się za pierś i upadł. – I ta stara kobieta – dodał Grundy. Ponownie wyciągnął palec, a starsza dama popchnięta przez kogoś upadła na jezdnię, prosto pod koła przejeżdżającego powozu. Grundy odwrócił się do Mallory’ego ze złośliwym uśmiechem na wąskich wargach.

– Czy wiesz, co sprawiłem tej nocy w twoim i moim świecie... jakie klęski wywołałem, ilu ludziom odebrałem życie? Czy wiesz, że zebrałem straszliwe żniwo cierpień i niedoli?

– Mogę sobie wyobrazić – mruknął detektyw.

– Wątpię – pogardliwie odparł demon. – Popatrz teraz, Mallory. W kryształowej kuli pojawił się wielki biurowiec. Grundy strzelił palcami i nagle ze wskazującego palca wytrysnęła płomień. Demon pochylił głowę i delikatnie dmuchnął na palec – a biurowiec natychmiast zmienił się w piekło szalejących płomieni. – Czym dysponujesz, Mallory, żeby zmierzyć się z taką potęgą? – zagadnął Grundy.

– Na razie niczym – przyznał Mallory. – Ale w ciągu jednej nocy odebrałem ci połowę twego królestwa. – Umilkł. – Kto wie? Może pewnego dnia znajdę sposób, żeby odebrać ci resztę.



- Więc chyba powinienem teraz cię zabić.
  - Chyba tak - zgodził się Mallory. - Ale nie zabijesz mnie, dopóki myślisz, że mam rubin.
  - To prawda - powiedział Grundy. - Wyładuję mój gniew na innych. Ześlę na miasto śmierć i zniszczenie, a ty będziesz tego przyczyną. - Myślałem, że twoim zadaniem jest zaprowadzać porządek, a nie chaos.
  - Nie ma doskonalszego porządku niż niszczenie.
- Mallory potrząsnął głową.
- Dlaczego? Ponieważ niszczysz wszystko w porządku alfabetycznym? Tam, skąd pochodzę, też mamy alfabetycznych morderców... a kiedy ich złapiemy, nie zamykamy ich w więzieniach, tylko w domach wariatów.
- Grundy zaśmiał się.
- Ściśle biorąc zamykacie ich na kilka tygodni lub miesięcy, a potem znowu wypuszczacie ich na wolność, żeby mogli dalej zabijać. - Popatrzył na Mallory'ego. - Jeśli naprawdę chcesz czegoś dokonać, przyłącz się do mnie i stań u mego boku w odwiecznej walce z moim Przeciwnikiem.
  - Sam sobie będę wybierał wrogów, jeśli ci to nie zrobi różnicy. - Istnieje różnica pomiędzy wrogiem a dokuczliwym insektem - oznajmił demon. - Ty jesteś tylko insektem, niczym więcej.
  - Nie bądź taki pewien - ostrzegł Mallory. - Każdym światem rządzą określone prawa, nawet tym światem. Pewnego dnia, kiedy poznam je wystarczająco dobrze, - może zapoluję na ciebie.
  - Grozisz mi? - ryknął Grundy.
  - Nigdy nie ośmieliłbym się grozić najpotężniejszemu demonowi w okolicy - odparł Mallory. - Powiedzmy raczej, że za pomocą kryształowej kuli próbuję przepowiedzieć przy-

szłość.

– Więc spojrzij w nią i opowiedz mi, co widzisz! I nagle Mallory ujrzał w kuli samego siebie, ze skórą przeżartą jakąś ohydłą chorobą, z ciałem powykręcanym i okaleczonym, z oczami pełnymi beznadziejnego cierpienia. – Oto co czeka cię w przyszłości! – zapewnił demon. Mallory oderwał wzrok od kryształowej kuli i zmusił się do lekceważącego uśmiechu.

– To nawet lepsze niż sztuczki karciane Mefista.

Nagle Grundy uśmiechnął się szeroko.

– Mój Przeciwnik wybrał znakomite narzędzie! – oznajmił z aprobatą. – Wiedziałem to od razu, jak tylko cię zobaczyłem!

– Więc zdałem egzamin?

– Pierwszy egzamin – zaznaczył Grundy. – Każdy następny będzie trudniejszy. – Powiedz mi jedną rzecz – poprosił Mallory. – Czy naprawdę zabiłeś tych ludzi i podpaliłeś budynek?

Grundy kiwnął głową.

– Oczywiście. Jak wiesz, karmię się śmiercią i cierpieniem.

– Zrobię wszystko, żeby cię powstrzymać.

– Niczego innego się po tobie nie spodziewałem, Mallory... w końcu jednak przegrasz, bo każdy przegrywa ze Śmiercią.

– Więc będę wygrywał bitwy i nie będę się przejmował losami wojny – odparł Mallory.

– A ja będę cię śledził w dzień i w nocy – obiecał Grundy.

– Prędzej czy później na pewno spróbujesz odzyskać rubin, a wtedy uderzę. – Mówiłem ci, że klejnotu tutaj nie ma.

– A ja mówiłem, że nikt dobrowolnie nie wypuści rubinu z rąk... zwłaszcza ktoś taki jak ty.

– Masz z natury ograniczony punkt widzenia, Grundy – stwierdził detektyw. – Nie wyobrażasz sobie, że sam mógłbyś oddać rubin, więc nie możesz również zrozumieć, że ktoś inny to zrobił, nawet żeby uratować cały świat. – I nikt by tego nie zrobił.

Mallory wzruszył ramionami.

– Skoro tak uważasz.

– Nie mam zamiaru cię przekonywać, Mallory – oświadczył Grundy. – Larkspur żył przez niecałe siedemdziesiąt lat.

– Więc?

– Więc wojny i niewolnictwo, represje i tortury, bigoteria i nienawiść, krucjaty, inkwizycja, więzienie w Andersonville i Czarna Jama w Kalkucie... to wszystko zostało wymyślone przez twoją rasę, nie moją. – Umilkł. – Naprawdę sądzisz, że pozbawiając mnie rubinu zamieniasz swój świat w utopię?

– Może masz rację – przyznał Mallory. – Może powszechna szczęśliwość nie istnieje.

Ale uważam, że mój świat ma prawo ginąć bez twojej pomocy. – Kłamiesz, Mallory, i ciesz się, że o tym wiem – warknął Grundy. – Gdybyś mnie przekonał, że mówisz prawdę, nic by mnie nie powstrzymało przed zabiciem ciebie.. – Przerwał. – Moja cierpliwość, podobnie jak moje istnienie, nie ma granic. W końcu wykonasz jakiś ruch, a wtedy obraz, który widziałeś w kryształowej kuli, stanie się rzeczywistością.

Demon wykonał ręką nieznaczny gest, nagle buchnął następny kłęb czerwonego dymu i powietrze z cmoknięciem wypełniło przestrzeń, którą właśnie opuścił. Mallory przez długą chwilę siedział bez ruchu, potem westchnął, podniósł się i poszedł do kuchni, żeby dopilnować kawy.

## Rozdział dziewiętnasty

## Świt

– Mallory! – zawołała Winnifred z przedpokoju. – Nic ci nie jest?

Mallory wyszedł z kuchni, żeby się z nią przywitać.

– Nigdy nie czułem się lepiej – zapewnił. – Wejdz i poczęstuj się pączkiem.

Niepewnie weszła do mieszkania.

– Czy Grundy tu był?

– Był i poszedł – odparł Mallory. Zaprowadził ją do kuchennego stołu i podsunął jej krzesło. – Z czym pijesz kawę?

– Tylko ze śmietanką. – Poruszyła się niecierpliwie na krześle. – Do diabła, człowieku, powiedzcie, co się stało!

Mallory uśmiechnął się.

– Dogadaliśmy się, że się nie dogadamy.

– A rubin?

– Wrócił do mojego świata.

Nagle rozejrzała się z obawą.

– Chyba nie powinniśmy o tym rozmawiać. On może podsłuchiwać.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Mallory. – On i tak mi nie wierzy.

Podał jej filiżankę kawy, a potem nalał sobie.

– Cholera, brakuje mi mojego kubka z emblematem New York Mets!

– Zostawiłeś go na swoim Manhattanie?

– Prawdę mówiąc zostawiłem go w pokoju Lepa Gillespie'ego – wyznał detektyw.

– Więc dlaczego po niego nie pójdziesz, skoro tak ci na nim zależy?

– Pewnie kiedyś pójde, za jakieś trzy, cztery lata – zgodził się Mallory.

Przyniósł pączki, postawił je na stole i podał jednego Winnifred.

– Dziękuję, Mallory – powiedziała przyjmując pączka i maczając go w kawie. – Obawiam się, że zjadłem już prawie połowę – usprawiedliwił się Mallory. – Ale nie miałem nic w ustach, odkąd Mürgenstürm mnie tu sprowadził. – W związku z czym nasuwa mi się interesujące pytanie – podjęła Winnifred. – Teraz, kiedy chyba zostaniesz tu na stałe, co zamierzasz zrobić ze swoim życiem? – To samo, co dotąd.

Potrząsnęła głową.

– Tutaj jest inaczej. Tutaj masz za przeciwnika Grundy'ego, a także niezliczone skrzaty, elfy, gobliny i temu podobne. Twoje metody mogą się nie sprawdzić. Mallory uśmiechnął się.

– Na razie sprawdzają się nie najgorzej. A kryminaliści, których tu spotkam, na pewno nie będą dużo groźniejsi od włóczęgów, handlarzy narkotyków i brutalnych mężów, z jakimi dotąd miałem do czynienia.

– Możliwe – przyznała. – Ale mamy nawet inny system wymiaru sprawiedliwości.

– Na swój sposób wasz system jest lepszy – stwierdził detektyw w zamyśleniu. – Przynajmniej Gillespie nie będzie już popełniał żadnych przestępstw, a mój przyjaciel Mürgenstürm nie może zaapelować o mniejszy wymiar kary i znaleźć się z powrotem na wolności, zanim wzejdzie słońce. – Z zadowoleniem pokiwał głową. – Tak, myślę, że całkiem nieźle tu sobie dam radę.

– Mam nadzieję – mruknęła Winnifred.

– Ale jeszcze czegoś mi brakuje – rzucił detektyw niezobowiązującym tonem.

– O? Czego?

- Wspólnika.

- Dlaczego tak dziwnie mi się przyglądasz, Mallory? - zapytała Winnifred. - Chcesz się wyrwać z Koszmarni, prawda? - przypomniał jej. - Jak ci się podoba nazwa: „Mallory i Carruthers, Agencja Detektywistyczna”? - Mówisz poważnie? - zawołała. Jej oczy rozbłyły podnieceniem. - „Dyskretne i Poufne Dochodzenia” - ciągnął Mallory. - „Fundacja Grundy’ego i Przeciwnika, Spółka z o.o.”.

- Co to znaczy? - zapytała nagle.

Uśmiechnął się.

- Taki prywatny żart.

Pochylił się do przodu.

- No więc jak? Wchodzisz w to?

- Oczywiście że wchodzę! - wykrzyknęła. - Tej nocy po raz pierwszy od piętnastu lat znowu poczułam, że żyję!

- Dobra - oświadczył Mallory. - Sprawa załatwiona. - Zawahał się. - Równie dobrze możemy pracować tutaj. Nie ma sensu wynajmować biura, dopóki nie odłożymy trochę forsy.

- Moim zdaniem niezłe rozwiązanie - przytaknęła Winnifred dopijając kawę. - Nie żałuj mi tak tych pączków, Mallory.

- Gdzie jest twój mały konik? - zamruczał znajomy głos. Odwróciwszy się ujrzeli Felinę stojącą w drzwiach kuchni.

- Co ty tu robisz? - zapytał Mallory.

- Jestem głodna - oznajmiła. Podeszła i otarła się o niego biodrem, po czym odwróciła się do Winnifred z niewinnym uśmiechem. - Gdzie jest Eohippus? - W domu - odparła chłodno Winnifred. - Poczęstuj się pączkiem.

Felina lekko wskoczyła na lodówkę.

- Wolę mleko - powiedziała i polizała sobie ramię. Mallory wpatrywał się w nią przez chwilę, potem westchnął,

otworzył lodówkę i nalał jej pełną szklanekę mleka.

– Co u diabła – mruknął wracając na swoje miejsce. – Uważam, że w każdym biurze potrzebny jest biurowy kot.

– My potrzebujemy raczej klientów, skoro otwieramy interes – stwierdziła Winnifred obrzucając Felinę pełnym niesmaku spojrzeniem, po czym przestała na nią zwracać uwagę.

– Och, myślę, że w najbliższych dniach nie będziemy narzekać na brak roboty – zapewnił Mallory.

– Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że wróciłam do swojego zawodu – zawołała Winnifred z zapałem. – Po tych wszystkich latach bezczynności zdaje mi się, że jestem w niebie.

– No cóż – odparł Mallory z westchnieniem zadowolenia – będzie ci to musiało wystarczyć, dopóki nie zapanuje powszechna szczęśliwość. Pierwsze promienie słońca zaglądały przez kuchenne okno.

## ***DODATEK A***

### **Pełny rejestr wyników Eohippusa**

Wiek

Gonitwy

Pierwszy

Drugi

Trzeci

Wypłaty

2

3

4  
5  
6  
8  
14  
7  
19  
10  
0  
0  
0  
0  
0  
0  
0  
1  
0  
0  
0  
2  
0  
0  
1  
0  
1310,00 \$  
900,00 \$  
550,00 \$  
Razem 2760,00 \$

***DODATEK B***



## **Na tropach jednorożca z karabinem i kamerą**

Monografia pułkownik Winnifred Carruthers wydana przez Klub Krwawych Sportów, Sp. z o.o.

Zbliżywszy się na odległość dwustu jardów do stada jednorożców południowosawannowych, które tropiła od czterech dni, Rheela z Siedmiu Gwiazd pomodliła się do Czwórgrzywego, Boga Łowów, nałożyła Amulet z Kobassen, sprawdziła kierunek wiatru, żeby się upewnić, czy znajduje się po nawietrznej, i zaczęła podchodzić do stada z kamerą w ręku.

Ale Rheela z Siedmiu Gwiazd popełniła jeden błąd – błąd niedbalstwa – i w trzydzieści sekund później umarła, brutalnie przebita rogiem jednorożca. Hotack Zwierzobójca ostrożnie wspiął się na zbocze Góry Bezimiennych. Był doświadczonym tropicielem, nieustraszonym myśliwym i znakomitym strzelcem. Wybrał okaz nadający się na trofeum, zbliżył się do zwierzęcia na odległość wzroku i cisnął maczugą.

Maczuga pomknęła prosto i pewnie do celu.

A jednak w niecałe dziesięć minut później Hotack, ciężko ranny w lewą nogę, ledwie zdołał schronić się przed niebezpieczeństwem w gałęziach rosnącego opodal Tęczowego Drzewa. On również popełnił błąd – błąd ignorancji. Bort Niepokalany miał za sobą udane safari. Upolował trzy chimery, gorgone oraz pięknie dobraną parę gryfów. Podczas gdy jego trolle ściągały skórę z gorgony, Bort spostrzegł jednorożca, który mógł się poszczycić rekordowym rogiem. Z bronią w ręku zaczął go ścigać. Teren stopniowo się zmieniał i nagle Bort znalazł się wśród smoczej trawy sięgającej mu do ramion. Nie tracąc odwagi podązał tropem prowadzącym w zbity

gąszcz.

Ale Bort Niepokalany również popełnił błąd – błąd głupoty. Szczątki Borta znalazły jego trolle w jakieś sześć godzin później.

Niedbalstwo, ignorancja, głupota – każdy z tych błędów powoduje więcej śmiertelnych wypadków wśród łowców jednorożców, niż wszystkie inne czynniki razem wzięte.

Weźmy dla przykładu omawiane przypadki. Wszyscy trzej myśliwi – Rheela, Hotack i Bort – brali udział w niejednym safari. Byli przyzwyczajeni do surowego klimatu i niegościnnego terenu; potrafili znosić drobne niewygody, jak na przykład robaki wpadające do piwa albo upiory włączące do namiotów; zdawali sobie sprawę, że rozpoczynają śmiertelnie niebezpieczną grę, i zanim wyruszyli, podjęli wszystkie niezbędne środki ostrożności.

A jednak dwoje z nich zginęło, a trzeci został ciężko ranny. Przyjrzyjmy się ich błędom i zastanówmy się, jakie wnioski możemy stąd wyciągnąć.

Rheela z Siedmiu Gwiazd przyswoiła sobie całą wiedzę o jednorożcach, jaką mógł jej przekazać osobisty czarodziej, zakupiła najlepszy sprzęt fotograficzny, wynajęła miejscowego przewodnika, który brał udział w wielu polowaniach na jednorożce, oraz dała swój Amulet z Kobassen do pobłogosławienia miejscowej wiedźmie-znachorce. A jednak w chwili zagrożenia amulet okazał się bezużyteczny, ponieważ Rheela nie zidentyfikowała prawidłowo odmiany gatunkowej stojącego przed nią jednorożca – a przecież nieustannie przypominam na wszystkich swoich wykładach, że Amulet z Kobassen działa tylko na rzadkie i prawie już wyteńczone jednorożce leśne. Jedynym skutecznym zaklęciem przeciw jednorożcom południowosawannowym jest Talizman z Triconis. Niedbalstwo.

Natomiast Hotack Zwierzobójca miał w pogardzie wszelkie środki ochronne pochodzenia nadprzyrodzonego. Dla niego istota polowania polegała na tym, żeby zmierzyć się w bezpośrednim starciu z wybraną zwierzyną. Jego zabójcza maczuga, mistrzowsko wykonane i świetnie wyważone narzędzie mordy, położyła trupem niejednego simurga, humbabę czy nawet straszliwą wełnistą hydrę. Mierzył w głowę i maczuga zaledwie o milimetry minęła się z celem. Ale Hotack nie wziął pod uwagę fenomenalnego węchu jednorożców ani szybkości, z jaką potrafią się poruszać te groźne bestie. Zaniepokojony obecnością Hotacka jednorożec odwrócił głowę, żeby popatrzeć na swego prześladowcę – i maczuga odbiła się od rogu nie czyniąc zwierzęciu żadnej krzywdy. Gdyby Hotack porozmawiał wcześniej z którymś spośród starych łowców jednorożców, wiedziałyby, że trafienie w głowę jest praktycznie niemożliwe, i celowałyby w kolano, żeby unieruchomić zwierzę. Ignorancja.

Bort Niepokalany zdawał sobie sprawę z wyjątkowej przewagi, jaką ma dziewica polująca na dzikiego jednorożca, dlatego też zachowywał całkowitą abstynencję seksualną, odkąd tylko zaczął rozumieć, co ten termin oznacza. A jednak naiwnie wierzył, że skoro dzięki zachowaniu czystości mógł łatwiej od innych myśliwców zbliżyć się do jednorożca, zwierzę od razu stanie się łagodne i nie będzie się przed nim broniło – dlatego poszedł za złośliwym jednorożcem, który musiał go dopuścić do siebie, i zanurzył się w gąszcz wysokiej trawy, gdzie nie było dość miejsca do manewrowania w razie nieuniknionego ataku. Głupota.

Co roku setki myśliwych z nadzieją wyruszają na poszukiwanie jednorożców i co roku wszyscy, prócz nielicznych, wracają z pustymi rękami – jeśli w ogóle wracają. A przecież

jednorożca można bezpiecznie wytropić i upolować, jeśli tylko myśliwi i tropiciele poświęcą trochę czasu, żeby poznać swoją zwierzynę.

Jednorożec jest w zasadzie zwierzęciem stosunkowo łagodnym (chyba że został rozdrażniony). Posiada określone nawyki, które powinien poznać każdy zapalony fotograf czy łowca trofeów, a wówczas okaże się, że zdobycie upragnionego rogu czy zdjęcia nie jest wcale bardziej niebezpieczne od, powiedzmy, walki z Ośmiogłowym Smokiem – a na pewno łatwiejsze niż łapanie na łąso dzikich minotaurów, który to sport stał się ostatnim krzykiem mody wśród śmietanki towarzyskiej na Platynowej Równinie. Zanim jednak można sfotografować lub zabić jednorożca, trzeba go najpierw znaleźć – a zdecydowanie najłatwiej jest odnaleźć stado jednorożców idące za hordami smerpów odbywających wielką migrację. Smerpy, jak wiadomo, nie mają żadnych naturalnych wrogów prócz tratwojarzy i zumakinów, wobec czego pozwalają do siebie podejść ludziom (lub istotom nadprzyrodzonym) na całkiem bliską odległość. Parę słów ostrzeżenia co do smerpów: ze swoimi długimi uszami i ładnym, puszystym futerkiem smerp najbardziej przypomina przerośniętego królika – ale podobieństwo to jeszcze nie wszystko i błędem byłoby nie doceniać siły tych małych, groźnych padlinożerców.

Chociaż smerpy na ogół polują w stadach liczących od dziesięciu do dwudziestu osobników, niejedną raz zdarzyło mi się widzieć, jak samotny smerp, którego aura promieniowała ze straszliwą siłą, zwał z nóg młodego jednorożca. Mięso smerpów jest niezbyt smaczne, ich skóry są bezwartościowe ze względu na trudności z garbowaniem i utrwalaniem aury. A martwy smerp nie stanowi imponującego trofeum, chyba że trafi się na okaz posiadający naprawdę wspaniałą parę uszu –

w rzeczy samej na wielu terenach smerpy nadal są traktowane jak szkodniki – ale przewidujący łowca jednorożców może sobie oszczędzić wiele czasu i wysiłku, jeśli po prostu pozwoli się smerpom zaprowadzić do swej zwierzyny.

Wraz z rozplenieniem się kłusownictwa znikły legendarne stada jednorożców liczące tysiące sztuk. Obecnie, co łatwo sprawdzić, przeciętne stado składa się z pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu osobników. Minęły na zawsze czasy, kiedy to fotograf ukryty bezpiecznie przy wodopoju mógł utrwalić na filmie nie kończący się strumień zwierząt ciągnących ku wodzie – i jest to absolutnie szokujące, kiedy człowiek uświadomi sobie, ile jednorożców musiało zginąć, żeby ich rogi mogły być sprzedawane na czarnym rynku.

Niezwykle niepokojący jest fakt, że w naszych oświeconych czasach niektórzy nadal wierzą, iż sproszkowany róg jednorożca działa jak afrodyzjak.

(W rzeczywistości, co mógłby wyjaśnić pierwszy lepszy mag, róg jednorożca zalewa się wyciągiem z grakcha i powoli gotuje w roztworze z krwi sfinksa. To dopiero jest afrodyzjak!)

Ale odbiegam od tematu.

Jednorożce jako zwierzęta mało wymagające pod względem paszy, które mogą się żywić trawą, liśćmi, owocami, a nawet od czasu do czasu jakimś małym drzewkiem, występują w wielu rozmaitych środowiskach, często wspólnie z innymi roślinożercami, jak centaury i pegazy.

Napotkawszy stado jednorożców należy się do niego zbliżać, zachowując wielką ostrożność i rozwagę. Jednorożce mają wprawdzie kiepski wzrok i niewiele lepszy słuch, ale za to dysponują znakomitym węchem oraz niesamowicie wyczułonym zmysłem zwanym grimsz, o którym napisano już tyle, że nie ma sensu jeszcze raz wałkować tego tematu.

Jeśli wybieramy się na bezkrwawe safari, usilnie odradzam zbliżanie się nawet do pojedynczej sztuki na odległość mniejszą niż sto jardów – chodzi znowu o grimsz – a większość znanych mi fotografów zaręcza, że to zupełnie wystarczy przy soczewce 85/350 mm z automatycznym nastawianiem ostrości, oczywiście pod warunkiem, że została błogosławiona przez czarnoksiężnika trzeciego stopnia. Jeżeli nie zdążymy skończyć zdjęć przed zachodem słońca, najlepiej zrobić sobie przerwę i wrócić następnego dnia. Można naturalnie użyć lampy błyskowej, ale światło zwykle przywabia golemy i inne, jeszcze bardziej niebezpieczne nocne drapieżniki.

Ostatnia uwaga pod adresem fotografów: z przyczyn, których nasi alchemicy jeszcze nie wyjaśnili, nikomu nie udało się sfotografować jednorożca przy użyciu zwykłej błony bez względu na czas ekspozycji, należy więc koniecznie zaopatrzyć się w któryś z popularnych filmów na podczerwień. Wstyd byłoby spędzić całe tygodnie na safari, opłacić kucharza, przewodnika i trolle, a potem wrócić ze zdjęciami lasu, który miał stanowić tylko na fotografii.

Natomiast myśliwi przede wszystkim powinni pamiętać o tym, że jeśli zbliżają się do zwierzęcia, to zwierzę również zbliża się do nich. Z tego powodu, chociaż nie lekceważę sobie krwawych ofiar, amuletów, talizmanów i błogosławieństw, sama z reguły czuję się pewniej, kiedy trzymam w rękach nitro express.550. Myśliwy dysponujący dodatkowym argumentem zawsze ma większe poczucie bezpieczeństwa. Każdy oczywiście pragnie upolować byka jednorożca: ich rogi są bardziej efektowne niż rogi krów – a zanim róg byka urośnie dostatecznie, żeby warto go było włączyć do kolekcji, zwierzę i tak będzie prawdopodobnie za stare, żeby brać czynny udział w programie rozrodczym stada.

Strzał w głowę, – z powodów podanych wcześniej, nigdy nie jest decyzją rozsądną.

O ile myśliwiec nie nauczył się od swego czarodzieja runu Mamhoteta – który pozwoli mu podejść do zwierzęcia dostatecznie blisko, żeby nasypać mu soli na ogon i w ten sposób uniemożliwić mu ucieczkę – polecam strzał w serce (obojętne w które, a jeśli posiadamy karabin z podwójną lufą, możemy spróbować trafić w oba, po prostu na wszelki wypadek).

Jeżeli pechowy strzelec tylko zrani jednoroźca, zwierzę natychmiast ucieka do lasu albo w wysoką trawę, co stawia myśliwego w nadzwyczaj niekorzystnym położeniu. Niektórzy w takiej sytuacji po prostu wycofują się i pozwalają smerpom dokończyć dzieła – w końcu smerpy rzadko pozerają rogi, chyba że są naprawdę strasznie wygłodzone – ale trudno to nazwać sportowym zachowaniem. Przyzwoity, szanujący się myśliwiec, świadomy niepisanych praw rządzących tym krwawym sportem, sam pójdzie za jednoroźcem. Cała sztuka polega oczywiście na tym, żeby spotkać zwierzę na otwartym terenie. Jednorożec szarżujący z pochyloną głową jest praktycznie ślepy, należy więc tylko zwinnie uskoczyć mu z drogi i strzelić po raz drugi – albo też, jeżeli myśliwy nie zna runu Mamhoteta, wyjąć sól i spróbować sypnąć trochę na ogon jednoroźcowi, kiedy będzie przebiegał obok.

Jeżeli to jednorożec narzuca reguły gry, sytuacja jest o wiele gorsza. Zwierzę zwykle cofa się po własnym tropie i kładzie się opodal w wysokiej trawie, żeby czekać na przechodzącego myśliwego, którego następnie atakuje rogiem od tyłu. Myśliwy musi wówczas nateńczyć cały swój spryt. Najlepiej rozejrzeć się, czy gdzieś w pobliżu nie latają ogniste ważki. Te małe, szkodliwe owady często żyją w symbiozie z jednoroż-



cami i wyjadają im pasożyty z uszu, toteż ich obecność zwykle oznacza, że jednorożec jest niedaleko. Innym śladem wskazującym na bliskość zwierzyny będą stada, głodnych harpii krążących nad głową i czekających, żeby pożywić się resztkami zdobyczy; i oczywiście najbardziej nieomylną oznaką jest wściekłe chrząkanie oraz widok małych, nabiegłych krwią oczu rannego byka jednorożca w odległości dziesięciu stóp albo jeszcze bliżej. W takich chwilach człowiek naprawdę czuje, że żyje, szczególnie kiedy sobie uświadomi, że ten stan może nagle ulec zmianie. No dobrze, załóżmy, że polowanie się udało. Co dalej? Naturalnie trolle obedną zwierzynę ze skóry, a ze specjalną troską zajmą się odłączeniem i zakonserwowaniem rogu.

Jeżeli zostały odpowiednio przeszkolone, zrobią również ze skóry dywanik, z kopyt popielniczki, z zębów naszyjnik, z ogona packę na muchy, a z moszny woreczek na tytoń.

Moim zdaniem nie należy z niczego rezygnować, ponieważ w ten sposób można udowodnić histeryzującym obrońcom środowiska naturalnego, że polowanie na jednorożca daje myśliwemu znacznie więcej niż kilka minut sportowej satysfakcji oraz róg. A skoro mowa o korzyściach z jednorożca, pragnę usilnie zapewnić każdego myśliwego, że straci naprawdę niezapomniane przeżycie, jeśli powróci z safari do domu nie skosztowawszy choć raz mięsa jednorożca. Nie ma to jak jednorożec upieczony nad ogniskiem na zakończenie udanego polowania. (I nie zapomnijcie zostawić trochę dla smerpów, bo inaczej mogą dojść do wniosku, że myśliwy jest równie smaczny jak jego zwierzyna).

Zatem wyciągajcie amulety i talizmany, odwiedzajcie magów i czarnoksiężników, pakujcie kamery i broń – i pomyslnych łowów!



## ***DODATEK C***

### **Raport z Biura Osób Zagrożonych**

NAZWISKO DOMNIEMANEJ OSOBY ZAGROŻONEJ:

**Winnifred Carruthers**

ZGŁASZAJĄCY: John Justin Mallory DATA ZGŁOSZENIA: 1 stycznia PODJĘTE DZIAŁANIA: Z powodu braku personelu rutynowe poszukiwania podjęto dopiero 5 stycznia, kiedy to przeprowadzono dochodzenie w Barze i Grillu „U Harry’ego” (patrz załącznik) oraz w sąsiedniej „Karczmie Willy’ego Warriata” (patrz załącznik).

Ponieważ dochodzenie przeciągnęło się podczas ustawowej przerwy na lunch, załączamy wniosek o wynagrodzenie za pracę w nadgodzinach, jak również rachunek za poniesione wydatki (82,75 \$). Żaden ze stałych informatorów w żadnym z wymienionych miejsc nie wiedział nic o podmiocie.

ZALECENIA: Po rozpatrzeniu sprawy nasz wydział wydał opinię, że Winnifred Carruthers, o ile jeszcze żyje, prawdopodobnie nie jest już Osobą Zagrożoną; zgodnie z powyższym jej akta przekazano do Biura Osób Zaginionych.

## ***DODATEK D***

Formalne dochodzenie dotyczące działalności Wielkiego Mefista

1 stycznia we wczesnych godzinach rannych w barze

„Pinokio” zatrzymano w celu przesłuchania Wielkiego Mefista. Pięćdziesiąt siedem wstępnych siedemdziesięciodwustronnicowych formularzy, które wypełnił w ciągu następnych dwóch miesięcy, zostało odrzucone, ponieważ nie napisał „Wielki” z dużej litery, a właściwe ich wypełnienie zabrało mu kolejne dziewięć tygodni. Podczas trzech następnych miesięcy przechodził podstawowe badania lekarskie, ponieważ częstotliwość jego pulsu zmieniła się aż o dwa procent w okresie pomiędzy jednym badaniem a drugim. Później polecono mu napisać swoje nazwisko 20 000 razy, ponieważ specjaliści od grafologii zauważyli drobne różnice w jego podpisie na formularzach wstępnych.

W chwili obecnej Mefisto przebywa w areszcie od 287 dni, a w ciągu następnych sześciu do ośmiu miesięcy rozpoczyna się formalne przesłuchania. Z przyjemnością donoszę, że śledztwo postępuje bez przeszkód i jak dotąd wyprzedziliśmy harmonogram o siedemnaście dni.

Z poważaniem, kapitan P. Kapitan  
Wydział Zbędnych Wydziałów

### ***DODATEK E***

Partia szachów (od 1937 roku do chwili obecnej)

Białe Czarne

1. d2-d4 f7-f5
2. e2-e4 f5:e4
3. Sbl-c3 Sg8-f6
4. f2-f3 e4:f3
5. Sgl:f3 g7-g6
6. Gcl-f4 Gf8-g7

7. Hdl-d2 0-0
8. Gf4-h6 d7-d5
9. Gh6:g7 Kg8:g7
10. 0-0-0 Gc8-f5
11. Gfl-d3 Gf5:d3
12. Hd2:d3 Sb8-c6
13. Wdl-el Hd8-d6
14. Kcl – bl a7-a6
15. Wel – e2 Wa8-e8
16. Whl-el e7-e6
17. Sf3-e5 Sf6-d7
18. Hd3-sąsiedni stół (!) Solniczka-c4

#### DODATEK F

Wyniki pierwszego testu polowego Kristemu

1 stycznia: Rubin sprzedany za 225 000 \$ pośrednikowi w „handlu biżuterią”, który życzy sobie pozostać anonimowy.

2 stycznia: 30 000 \$ postawiono na Bez Pudła w zakładach 17-1. Przyszedł dziewiąty.

Pozostała suma: 195 000 \$.

3 stycznia: 25 000 \$ postawiono na Cała Naprzód w zakładach 25-1. Przyszedł czwarty. Pozostała suma: 170 000 \$.

3 stycznia: 50 000 \$ postawiono na Pewny Strzał w zakładach 9-5. Zwyciężył, zdyskwalifikowany, drugie miejsce. Pozostała suma: 120 000 \$. 4 stycznia: 40 000 \$ postawiono na podwójną kombinację Jak w Banku i Wielka Wygrana. Przyszły kolejno: ósmy i piąty. Pozostała suma: 120 000 \$. 5 stycznia: 40 000 \$ postawiono na Zwycięzcę w zakładach 6-1. Złamana noga, nie ukończył biegu. Pozostała suma: 30 000 \$.

8 stycznia: 30 000 \$ postawiono na Odłota w zakładach 70-1. Nadal biegnie.

Pozostała suma: Zero.

